

WACŁAW BERENT
DZIEŁA WYBRANE
WACŁAW BERENT
PRÓCHNO

i

powieść

19 5 6 CZYTELNIK

19 5 6 CZYTELNIK

Tekst według „Pism” Wacława Berenta, Warszawa, Gebethner i Wolff, r. 1933

Tłoczenia na oprawę projektował JAN S. MIKLASZEWSKI

CZEŚĆ PIERWSZA

Redaktor techniczny: Witold Rober

Korektorzy: Anna Cebrzyńska i Halina Michalak

S. W. „Czytelnik”, Warszawa 1956 r. Nakład 10 205 egz. Obj.: ark. wyd. 15,25; ark. druk. 21, Papier druk. sat. 82X104, 70 g, kl. III. Oddano do składania 13. 8.

Podpisano do druku 7. 12. 1956 r. Druk ukończono w grudn.u 19 Toruńskie Zakłady Graficzne, ul. Rabiańska 15/17. Zam. Nr 1358. E/t-7-30221. Cena zł U.

Płaski i nagi kawał ugoru, otoczony niskim, krwawo-czerwonym murem, spiętym ciężkimi fortecznymi wrotami. Ponad suchymi garbami ziemi sterczały długie i równe szeregi żelaznych krzyży, wyszłych jakby spod jednego odlewu. Pomiedzy nimi wypukłe, ostrym, szeleszczącym żwirem wysypane drożyny i ścieżki. Pękate, sztywne i brudne od kurzu akacje.

To surowe, twarde otoczenie przypomniało Kunickiemu zapuszczone po wsiach naszych cmentarze, z suchymi wierzbami na mogiłkach, żydowskie kirkuty, gdzie w olbrzymim stepowym zielsku sterczą krzywe kafnienne tablice — smutek żałobny na jednych, niemą martwość i opuszczenie na drugich... Tu wstrętny ład, obmierzła kultura wielkiego miasta, zda się, śmierć nawet przebrała w mundur i postawiła jako policjanta przy wrotach.

— Na niemieckim cmentarzu i wrona sięć nie zechce — przerwał mu myśli Borowski, przysiadłszy się do niego na ławkę. — Twardemu życiu twarda śmierć — mówił dalej, wiodąc okiem po kominach fabrycznych naokół. — Mnie tam o posłanie pośmiertne nie idzie: żyjesz marnie, umrzesz marnie, zgnijesz marnie. — Chrząknął i splunął gdzieś między mogiły.

— Co mnie!... Pod marmurem leżeć, korzenie cyprysu mieć w zębach, czy glinę i żwir ostry... Przykro tylko, że każdy musi być tam samotnym, w tym ciasnym pudełku... Człowiek nierad sam gnije. Im bardziej go robaczki toczą... To straszna rzecz, jak my wtedy potrzebujemy sympatii!

7

Kunicki zrobił grymas nieokreślony i spojrzał mu bystro w oczy.

— Pan musisz mnie mieć za wielkiego łotra? — zagadnął nagle Borowski.

Kunicki parsknął śmiechem.

— Filozofowanie pańskie nie przeraziło mnie jeszcze tak dalece. A co do łotrostwa?... Słucham chętnie.

— A ja pana mam za dziecko.

— Proszę?

— Pan tym mądrzej, tym wymowniej mówi, im słuchacz mniej pana rozumie i więcej się przed nim korzy. U pana we wszystkim jeszcze tak i siak, a zawsze szaro, nudno i nadęto. U pana te doktryny, filozofie, morały... A u mnie psie, podle, sobacze życie!

— zakończył niespodzianym okrzykiem.

— A miało być inaczej — mówił potem w zadumie. —

Ojciec mój aktorem był.

— A?...

— Tak jest, artystą był. I dobrze mu się pod koniec działo. Miał takich, co pożyczali pieniądze, i takich, co prezenty dawali. Pamiętam, pieniędzmi w kieszeniach dzwonił. „A ciebie — mawiał — do tej budy (na scenę niby) nie puszczę. Ty siebie szanuj, temperamentu nie masz”. We mnie bo ojciec żadnej cechy nie spostrzegął, człowieka nie widział; tylko cenzurki i stopnie dobre chwalił, do książki kijem, ręką i nogą zapędzał, a przy rozmowie z obcymi zawsze drwił ze mnie i lekceważył. Umiał mnie znakomicie naśladować i „odstawiał”, jak się do kobiet zabieram, to jest, jak się przeginam, kryguję, włosy dłonią przyglądzam i równocześnie rozmówkę wszczynam z aktorkami, co do ojca zachodziły. A na złość staremu, mnie kobiety bardziej lubiły niż jego. Starego bo za podbródek szczypały, szcutki mu w nos dawały, a do mnie uśmiechały się miło, inteligentnie i tę rączkę białą z trzema odciskami deseni, wprost spod rękawiczki, miękką i wilgotną, podawały mi na ciepło... „Pocałuj, chłopczyku, w rączkę” — mówiły tym życzliwym uśmiechem.

Całowałem... A kiedy poszły, tom w książkę nosem stukał i myślałem — nie o nich, bom w zakłopotaniu twarzy dobrze nie rozejrzał, ale o tej rączce białej. A stary doglądał książek, na których się nie rozumiał, i do pracy zapędzał: „Ty się do łaciny lansuj, nie do facetek. Kuj, kuj — będziesz sędzią, profesorem, idioto!”

Póki mi tylko kobiece rączki w rękawiczkach i nóżki w pantofelkach po głowie chodziły, źle było. Pałki do domu znosiłem, a stary kłął. Wszystko zmieniło się nagle, niespodzianie, gdym książki, gdym powieści do rąk wziął: smutny się stałem, dziwaczny, kapryśny, zapamiętywałem się po kątach i — wolno wierzyć lub nie — pisywałem wiersze na okładkach. Z łaciną nawet ulżyło, mimo że więcej nie pracowałem. Tu, w głowie, ruch się wszczął nagły, życie się zbudziło: świat przede mną stanął. Niepokój się zbudził jakiś, w oczach blask zaświecił, czoło się wyświeciło, głos głębiej z piersi się dobywał, echo w sobie miał i falował jak organy, gdym się w mowie zapalił. Stary na śpiew mnie próbował. „Powinieneś — powiada — co dzień mnie po łapach całować, zem cię takim zrobił. Kapitał masz tu — mówił ciągnąc mię za gardło — grdyka jak u wołu!...” Zainteresował się mną, w kąpieli nawet obejrzał i wtedy aż nogą mnie kopnął i śmiał się zadowolony. „Takich miej — mówił. — Żenić, to się żen z ka-mienicznicą, ale dzieci miej gdzie indziej!...” A gdym na niego podejrzliwie spojrział, to się zachnął i pchnął mnie do lustra. „Chcesz legitymacji? — Masz legitymację! Daj swoim dzieciom taką”. I wyrznał mnie w piersi. „EchT u chłopa z piersi, jak ze dzwonu, echo idzie! Temperamentu tylko szelma nie ma...”

Tego dnia obchodził mnie jak wilk, podpatrywał, przeglądał, wreszcie zaszedł mnie raz z tyłu i położył na książkę jakiś portret. „Masz legitymację!...”

Z obrazu na stole uśmiechała się do mnie twarz młodej kobiety. Więc to znaczy: matka? Jam dotychczas nic o niej nie wiedział... Nie, to była kobieta. Młoda... Piękna... Jedna z tych, co w kształty jeszcze nie obleczone, już w myślach mych żyły... I ten jej uśmiech dziwny. Powiedzieć chce coś. Uśmiecha się, a czuć, że chłodne, zimne słowo rzuci... I te usta miękkie. Te oczy, oczy żywe, mówiące.

A jednak: matka!

Powstałem szybko z miejsca i, onieśmielony, odstałem na bok.

— Więc to ty mnie rodziłaś? — pytam z daleka. — Powiedz, kim byłaś? Coś cierpiała? Wszak to ja jestem twym cierpieniem, ja! Twym bólem w uśmiechu, twym płomieniem w oczach, twą zadumą na czole. Stary cię mój porzucił, czy też?...

Biedna ty! A jednak dumna...

Jak można, będąc matką, mieć takie oczy! Matka...

Późno uczyć się muszę treści tego dźwięku. Późno przychodzisz, bardzo późno przychodzisz... I przestań się tak uśmiechać, bo ja chcę ciebie, matko, powitać. Staremu portretu nie oddałem. Zawiesiłem go sobie pod krzyżem, nad łóżkiem. I przeżywałem ciężkie dni. Na wszystkie me myśli, smutki i marzenia, dawniej samotne, patrzała teraz ta twarz z uśmiechem wciąż dla mnie niezrozumiałym, z tak dziwnie niepokojącym uśmiechem.

Ocknął się jednak i we mnie ten potężny głos natury, wielki, ślepy nakaz, i rzucił mnie wreszcie przed nią na kolana. Spowiadałem się jej po nocach z tych wielkich pragnień obiecanego mi życia, co szerokim, tajemniczym rozłogiem, przysłonięte tumanami marzenia, stoi oto przede mną i czeka. Chodź... A w myślach tych tuliłem się do jej obrazu.

— Potrzeba mi twej miękkiej dłoni, matko, twej dłoni na me czoło gorące. Twoich mi kolan potrzeba, abym na nie ciężką od rojeń głowę złożył. Wodzenia dłoni twej po

10
włosach mi trzeba, aby w te rojenia spokój uczucia, spokój myśli wstąpił. Aby czynem się stały.

I stóp mi twoich potrzeba, abym się pokory uczył- Bo do czynu i pokory potrzeba. Brak mi twej duszy matczynej, syna nadziejami tylko już dumnej. Dla mej słabej woli twej mi dumy, matko, potrzeba. Mocny będę.

Brak mi serca twego, wszystkich mych uczuć prawego domu i czystego ogniska. Czyś ty o tym nie wiedziała? czy ci żadne nie mówiło przeczucie, jak ja ciebie bardzo kiedyś potrzebować będę? Czy ci przy śmierci żaden smutny anioł nie powiedział, że przy młodzieńczym zrywaniu pęt, przy pierwszych próbach lotu nie mieć matczynej ręki, matczynek kolan i stop matczynek — że to jest zło wielkie? Że ja kiedyś przy olbrzymim pragnieniu życia mieć będę serce — takie żadne miłości — a takie puste. Czyś nie przeczuła, że z twym synem stać się może rzecz straszna? Ja żyć, żyć, żyć chcę! A tyś odeszła.

Kto mnie ochłodzi? kto mnie ogrzeje? kto wzmocni? kto poprowadzi? Kto mnie pokory nauczy i krzyżem świętym pobłogosławi? kto nauczy dumy? kto w potrzebie miecz w dłoń poda i zawoła: „Bij! bij, synu! A stąpaj mocno.”

Jam twego żywota płód szlachetny. I otom jest twą słabą dziewiczą wolą — słaby, twym dziewiczym marzeniem tak hojnie bogaty.

Kto

mnie ogrzeje? Kto mnie poprowadzi? Jestem jako kwiat polny na twojej mogile.
Zdepcą mnie ludzie, matko!...

I tak modląc się do niej po nocach, wonną paliłem jej mirrę: mych pierwszych,
młodzieńczych, mych czystych uczuć ofiarę. A ta jej twarz na obrazie wchłonęła w
siebie wszystko, com miał w piersiach. W jej rysy spłynęły, zlały się i stopiły
wszystkie me pragnienia. Ta twarz stała się

11

-

dziwnym, widocznym ich kształtem, zagadkowym symbolem matki, życia, kobiety,
sztuki...

Skulony w łóżku, zgięty, w sobie zebrany, wchłaniałem w siebie ten haszysz upojeń.
A z tego patrzenia krew mi w skroniach młotem kuła... Ani takiego jasnego
przejrzystego czoła, ani takich oczu, przyczajonych za rzęsami, takich oczu
całujących, ani takich ust — mądrych, takiego owalu twarzy — smutnego, ani szyi
tak giętkiej, ani piersi tak rzeźbionych i dyszących — tego nigdy, ani przedtem, ani
potem, nie widziałem.

I ten uśmiech! uśmiech, co do siebie siłą fatum przyciąga — i mrozi.

Raz jeden pamiętam, wiersz dopiero co napisałem i leżałem na łóżku w tumanie
odurzenia. Jakiś nagły, potężny napływ uczucia łyzy na policzki wyrzucił i za gardło
ścisnął. Porwałem się na nogi.

I do tych ust uśmiechniętych, do obrazu matki pod rozciągniętymi ramionami krzyża,
przyłgnąłem gorącymi wargami.

Kocham cię!...

I tak mi Bóg na wstępie życia grozą grzechu kazirodczej myśli piersi zdławił.

Czyniłem pokutę — leżałem krzyżem. A w wyobraźni mej wytęskniony przeze mnie
świat w wirze szalonym zatańczył.

Jakiś dziki pęd upiorów po krwawej nocy, jakieś ostre chichoty czarownic, jakiś
szalony natłok ciemnych obrazów w płomieniach błyskawic, grzmoty przekleństwa i
w proch padająca serdeczna pokuta, i korowody taneczne nagich kobiet.

Po nocy zaś pisałem:

„A jednak: czemuś Ty, czemuś Ty odeszła? Wyżej bym latał, ptak młody. Z dłoni twojej
piłbym może nektar wieczności.”

Podpatrzył raz te dziwne nabożeństwa ojciec. Obraz

12

zdjął ze ściany, spojrzął na mnie ostro i chmurnie. Wreszcie splunął i wyszedł. v
W duszę mi tym napluł. Jezus Maria, myślałem, czyżbym ja dzisiaj był już
potworny?

Dogoniłem starego i wczepiłem mu się oburącz w ramiona.

— Czy ty nie widzisz, ojciec, co się ze mną dzieje? Czy ty nie widzisz, zem ja się już
ocknął z dzieciństwa? Że mnie życie lada chwila w swój wir porwie?

— Wściekleś się? — pyta stary z flegmą.

— Słuchaj, jeśli mnie życie w samym zaraniu gdzieś w kanały rzuci, ty będziesz
temu winien. Bo patrząc na mnie jak na dziecko, nie widzisz mnie wcale.

Spowaźniał stary. Zapalił spokojnie papierosa, ujął mnie za rękę i zaciągnął przed

fotel. Usiadł, kilka kłębow dymu wypuścił, a tę swoją twarz aktora: wielką, nagą i jak płótno na wietrze ruchliwą ułożył w jakiś grymas powagi, który mi się nie podobał. Pod tym grymasem czaiła się ironia.

— Byłeś już? — pyta niby poważnie.

— Gdzie!?

Szerokim ruchem ręki wskazał gdzieś na miasto, na ulicę.

Zachnąłem się.

— Bo przecież taka jest ta wasza pierwsza tragedia. Śmieszne smyki!

Wstał i ujął mnie za ucho.

— Chłopaczysko wyrósł jak byczek. Ale głupi! ale niemrawy! — skoro myśleć o sobie nie umie.

— Mnie tego nie potrzeba.

— Nie!?! — huknął mi basem tuż nad samym uchem i skrzywił się z niesmakiem. —

A czego ci trzeba?

Zamyśliłem się. Nie byłem przygotowany na to proste pytanie.

Życia — rzekłem z wahaniem i po długim namyśle.

13

Stary rozkraczył nogi. wtłoczył ręce do kieszeni. Po chwili:

— A ile to kosztuje? — Sięgnął po portmonetkę. — Masz rubla i poszedł precz, boś głupi.

Stoję na miejscu i w niedołęznym zaprzeczaniu poruszam głową. Nie znajduję teraz najprostszych słów dla tych myśli, co takim wirem krążyły mi co wieczór po głowie.

— Wyjęzycze się, wystękaaj — przedrzeźnia stary —

Mów, coś za jeden?

— Mnie potrzeba opory... We wszystkim, co myślę i czuję, musi być jakaś luka, z którą żyć nie można. A może brak mi tylko...

Przycisnąłem ręce do piersi. - — Kochania — zadeklamował stary i podniósł białka na sufit. — Jakiś ty niebotycznie sentymentalny!

— Widzisz, ja mam za dużo pragnień w głowie, a za mało wagi w sercu. I czuję, że to jest źle... Puść mnie! — wybuchnąłem nagle, chwytając go za rękę. — Puść mnie od siebie.

— Dokąd?

— Gdzie bądź. W świat pójde — odpowiadam ponuro.

— Po co! — stary poczerwieniał już ze złości.

— Przeznaczenia swego szukać.

— I... co ty znajdziesz, durniu?

Westchnąłem tak głęboko, że mi się zdawało, iż mi chyba serce spod żeber wyskoczy.

— Ciągnie... Rady sobie dać nie umiem. Bo ty nie wiesz wcale — wołam czując gorące wypieki na policzkach — ty nie wiesz wcale, ile ja sił w piersiach czuję! I czym ty mnie częstujesz? Daj mi najpiękniejsze kobiety — powiem: „tyle tylko?” Daj mi bogactwa — powiem: „mało!” Wywróż mi szczęście — zawołam: „ach, nie dbam o to!” Obiecuj tryumf, sławę, władzę... ja będę wołał: „mało, mało!” Bo dla moich wielkich chęci

nie może być nazwy, bo wszystko, co określone, zmrozi je tylko. Ale gdy mnie natomiast na bok weźmiesz i szeptem powiesz: „Synu, czeka na ciebie... gdzieś... coś

wielkiego... coś, co..."

— Basta! — trzasnął ojciec jak biczem. — Bo się udławisz frazesami. Wiesz ty, co to wszystko znaczy? Dokąd cię to pociągnie?

— Nie wiem — mówię szarpiąc palce, aż w stawach trzeszczało. — Nie wiem.

— Aktorem chcesz być — wyrzucił stary przez zęby wraz z wielką chmurą dymu od papierosa.

Po kilku miesiącach byłem już w teatrze. Ale stary wystąpił. „Ja — mówił — ze smarkaczami rywalizować nie będę”. I dobrze się stało. To wszystko ze środka znalazło gdzieś ujście: precz z duszy, precz z krwi, z myśli, z nerwów. Rzucałem się na scenie jak piskorz, darłem się jak sroka, huczałem jak wicher. W sercu wciąż jeszcze była pustka. — Powodzenia to, oczywiście, nie wróżyło. Stary był zły, gryzł się i martwił. „Opętać, opętać szelmę! — wołał. — Ocet niech łyka, w łaźni niech odmięknie!”

Raz przyszła do ojca ta, co z najbardziej dystyngowanym witała mnie uśmiechem, co z największym spokojem, z wyszukaną światową uprzejmością ze mną rozmawiała. Miała na sobie lekką czarną zarzutkę, niby wielki kołnierz koronkowy, i duży czarny kapelusz. Twarz to czyniło bladą i ściągłą, ciemne oczy odbijały wymownie, rzęsy wyglądały jak zasłona czarnych, jeszcze delikatniejszych koronek. Ręce w duńskich, wysokich aż po łokcie rękawiczkach wsparła na cienkiej parasolce i mówiła o książkach, sztukach, namawiała mnie na operę. Pociągnęła mnie ta spokojna blada twarz pod zamaszystym kapeluszem. Przysiadłem się do niej, ująłem za rękę. Przegięła się...

I tak w otepieniu jakimś, nie zrzuciwszy zarzutki, kapelusza nie zdjąwszy... Nawet parasolki z rąk nie wypuściła. Dopiero potem ujęła mą głowę w obie dłonie i złożyła

14

15

•długi, ciepły, jakby dziękczynny pocałunek na mym czole. Łzy miała w oczach. Zrozumiała, że była pierwszą? Nie wiem. A potem mieszała się przy mnie, czerwieniła, podsłuchiwała me rozmowy z ludźmi, jakby bojąc się, by o niej mi czego nie opowiedzieli. Ze mną mówiła szeptem. Zaczęła się czesać gładko, nosić prosto, pociągłe, smukło. Wzdychała często, używała zdań niedokończonych, domyślnych, aktorskich... Mówiła, że nikogo w życiu tak nie zna, nie odgaduje, nie czuje jak mnie — a znała mnie chyba tylko na zewnątrz... Czasami w półmroku, przy ledwie świecącej pod czerwonym ciemnikiem lampie, siadała na fotelu w swej czarnej luźnej sukni z szerokimi rękawami, zarzucała białe ramiona na tył głowy i zapadała w zadumę. Mnie kazała godzinami całymi milczeć i siedzieć opodal. Potem przyzywała do siebie, pieściła jak kota. Dopatrywała się we mnie Bóg wie czego. Ja w niej znalazłem tylko ciało i znużenie. Byłem dla niej tak Nielitościwie, co gorsza, tak nieświadomie brutalny, jak być tylko potrafi gdzieś w świat przed się na osłep pędząca młodość. A ona płakała często. Żaliła się, że mi z niej duszę wyrwał, zmiął, podeptał, że mi wraz z duszą i talent rzuciła pod nogi, że krew swą we mnie przesącza i że po śmierci w moim talencie żyć będzie. Zaklinała się wreszcie, że miłość miłości nierówna, że ona tej ostatniej przy mojej zdradzie nie przeżyje. Tej ostatniej...

— Bo ja ciebie przeszłością oszukiwać nie chcę — wyrzuciła ze łzami, i ta jej biedna,

jakimś obcym mi jeszcze bólem życia okropnie zmęczona twarzyczka drgać we łzach poczęła.

Całowałem po rękach, uspokajałem. Nie mam żalu do przeszłości; dziś ją mam i mieć będę na zawsze. Kazała mi przysięgać — przysięgłem.

I nie przeżyła...

IG

Padła mi w poprzek drogi życia, koniec młodości mojej znacząc.

Ojciec przysłał mi na scenę wieniec — sam ojciec! Potem wyprawili kolację. Stary się upił i kłął na czym świat stoi. Wołał, że go podpatrzył, okradł, zmałpował, głupio zmałpował, że dawniej publiczność była mądrzejsza, że na tę błagę cichej afektacji, na tę „czuciowość” w grze brały się tylko histeryczki, że dawniej było więcej męskiej teźyzny w grze aktorów. W końcu skuł się do nieprzytomności i walił pięścią w stół, i ryczał ku uciesze aktorów:

— Dacie wiarę, ta małpa kochał się w portrecie własnej matki.

A ja puściznę po obu wziąłem. Po tamtej na obrazie spod krzyża, co była świadkiem i kochanką pierwszych moich marzeń. I kim ona była? Mówili mi ludzie, że uciekła kiedyś od ojca. Jakie ja promienie duszy i jakie trucizny w spadku po niej otrzymałem? Jej uśmiech — dziś dopiero to widzę — nie był uśmiechem matki.

Takim chłodem niedbałego uśmiechu wabi ku sobie piękna kobieta, tak nęci życie, takim uśmiechem przykuwa do siebie sztuka. Do chłopięcych moich marzeń uśmiechał się spod ramion krzyża sfinks życia, a ja, rwąc się do życia, wycisnąłem mu na ustach gorący pocałunek. Ten uśmiech wgryzł mi się w oczy, wsiąkł w duszę na zawsze. Ten pocałunek został mi chyba na wargach. Może dlatego, myślałem, pocałowanie ust moich zabija? Może dlatego tamta w grobie legła?

A potem wziąłem ciężki jak kamień spadek po tej drugiej: smutnej, zdradzonej, zagadkowej wówczas dla mnie, dziś jeszcze niezrozumiałej, a już nieżywej.

I zjawił się ból...

Ból, co ciężył na każdej myśli, drgał w głosie, odbijał się w ruchach i tu na piersiach tłoczył; ból, co rojem ja-

I — Prochu* | y

dowitym pierwszy owoc doświadczenia życiowego osiadał, by na nim nasiona złego złożyć — liszki się legły z tych nasion, miąszem cierpień się żywiły, by się gdzieś potem w motyla sztuki przepoczwarzyć; ból taki smutny i bezbronny, że pozwalał chorej wyobraźni rzucać mnie w jakieś zawrotne koła gorączkowych rojeń, w których myśl się gubiła, życie wiodło... Jak pijak, miałem wódkę i smutek, smutek i wódkę.

Z wódki łyzy piłem: w pieściznach, w uściskach, w szale z pierwszą lepszą, co mi na piersiach zwisała; dziwiłem się, czemu ma usta świeże i ciepłe, a nie twarde, sine i obrzękłe? czemu oczu nie ma matowych? szlamowatych i żółtych, sztywno na pół przymkniętych powiek?

A smutek był moją trzeźwością.

Nie grałem — zgrywałem się na scenie. Kiedym czyjś żal w duszę przejął, tom w oczach ludzi spływał krwią własną, serdeczną; gdym się cudzą rozpaczą przepoił, rzucałem im kawałami coś ze swego serca, z głowy, z duszy — precz! na zawsze! — wiedząc, że to do mnie już nigdy nie wróci, że jutro dam mniej niż dzisiaj, że za rok

już w sobie nic nie znajdę.

Ojciec słał wieńce na scenę — sam ojciec! Chodził to do krzeseł, to do łóż na galerię, rzucał się, klaskał, wymyślał publiczności od kanalii.

A ja na scenie już tylko żyłem. W życiu byłem gnuśny, opieszwały, tępy.

I nie miałem już nic w myślach, tylko kobiety, kobiety!...

Wtedy poznałem ją... Dwunastego września. Ją, Zochnę. żonę.

Mówię staremu: tak i tak, żenić bo się chcemy.

— Weź — powiada — sprowadź, bodajby dzisiaj, i ożeń się. Nie wstydz się, skromny młodzieńcze.

— Jeżeli — mówię mu — na ślubie uczciwych ludzi choć jedna świeca więcej się pali, i tę chcę mieć zapaloną. Nie tknę, nie ruszę wprzód.

Ciało przy niej pokorę czuje, a dusza w płaczu się zrywa, marząc o szczęściu.

Ojciec skrzywił się strasznie, wyduł wargi i zaśpiewał przez nos:

— Osioł jesteś!

Słyszeć o tym nie chciał. Dokuczał, za mymi plecami jakieś czarne intrygi wszczynął. Uwziętem się na złość staremu, wystąpiłem z budy i zamieszkałem sam.

Słyszę, chce moją rolę brać. Ogłasza się na afiszach, sprawił sobie nowe ubranie i wałęsa się po mieście, poważny, namaszczoney — łeb zadziera.

Przychodzi sztuka, cofa się przed samym spektaklem, mówi, że stary, że kolana mu się trzęsą, choć mu po linie chodzić przecie nie kazali, tylko grać. Po dwóch godzinach zwleka się do mnie pijaniusieńki. Staje w drzwiach, cylindra nie zdejmuje, ramiona spleta i mruczy coś przez nos. (Stary zaczynał się już manierować na tych nosowych dźwiękach, mających wyrażać pogardę).

— Syn — bąkał tedy — syn wystąpił, a starego wyleli... Wyleli — powtórzył, rozwalil się na krześle i wyciągnął sztywnie nogi. Patrzył w sufit i gwizdał cierpliwie i uparcie przez godzinę całą.

— Ty! — rzekł po godzinie.

— No?

— Wyleli — mruknął i znowu zaczął gwizdać. — Alles ist weg, alles ist weg.

— Rubla masz?

A gdym do kieszeni sięgnął, zrobił ten swój świetny, nie do naśladowania, ledwo widoczny, a tak wymowny ruch dłonią. W tym było nie tylko: „Daj no, daj!” To mówiło, w pośpiesznym, zdławionym, niedbałym tempie: „Pienędzy mi potrzeba. Ty dasz — wiem. Ja ci ich nie oddam — ty wiesz o tym, choć na moje honorowe zapewnienia schyłasz głowę. Za to cię jeszcze ani kochać, ani

18

19

szanować nie potrzebuje.. Ja sobą może i gardzę, ale tobie nic do tego. Moje życie jest... Ale co ci do mojego życia! Chcę pić, będę pił... Je men fiche — o, la!" — A to wszystko, tę całą duszę człowieka, wypowiada się, tuląc cztery palce dłoni i puszczając jakiś mały, przelotny promyk po twarzy. Jaki?... Tego ani opisać, ani naśladować nie podobna. To Bóg daje. Nazywa się to — talentem aktora. A człowiek, który to lichy posiada, będzie miał nieraz, przy wielkim sercu Chrystusa, niskie instynkty zwierzęcia i całą marność człowieka w sobie. Taki szczęścia nie zazna i zaznać nie może. Jest w tym i ludzka zemsta, i Boża kara.

Zastąpiłem staremu drogę przy drzwiach. Ściskam sobie dłoń, palcami trzaskam, wargi gryzę: bom nie wiedział, czy wyleczę, czy dobiję.

Wreszcie powiedziałem:

— Ojciec, może... może bym ja zagrał... za ciebie. Chciał mi się na szyję rzucić, ale zatrzymał ręce na mych

ramionach, potem wsadził je do kieszeni, wydał usta i rzekł protekcyjnie:

— Spróbuj.

Zaprowadził mnie do restauracji i za mojego rubla zafundował mi piwa. Był uprzejmy i gościnnie: com łyk ze szklanki pociągnął, dolewał mi pośpiesznie. Po raz pierwszy w życiu zapytał o zdrowie. Kiedyśmy już kilka butelek opróżnili, przysiadł się do mnie, zapalił papierosa, gładził siwe włosy i blednąc dziwnie na twarzy rzekł do mnie szeptem:

— Ja ciebie, Władek, psuć nie chciałem, ale to jedno wiem, i tak mi Panie Boże dopomóż, jak szczerze mówię: ty byłbyś nowy, świeży, genialny, gdyby nie kobiety. One cię gnębią, krew twoją toczą, mlecz piją, mózg ssą. One teraz wszystkie do ciebie pełzną, wszystkie! Oplotły cię, opętały, pierś ściskają, talent w piersiach chcą zdusić... Mnie wszystko jedno: bierz je bodaj wszystkie — ale potem pluń i przepędź, boć to bydło jest przecie, gad zimny i leniwy. I nie wiąż się ze zwierzęciem, nie wiąż, chłopcze, bo kiedy z ciebie wszystko wysie, to się kiedy nocą, jak kot, do łóżka zakradnie, tu na szyi w wielką żyłę się wgryzie i krew twą serdeczną do ostatniej kropli wyżłopie. Taki gad żoną się nazywa...

Ciebie by banda impresariów po Europie obwoziła. O, Władek, Władek!... Tam, w Paryżu, w Berlinie, w Wiedniu — tam nas cenią! Nie klaszczą, nie wyją, nie przeszkadzają, jak tutaj, lecz rozumieją, na równi z piszącymi uważają. Tam ma walor intuicja, bo oni mają za dużo szkół i wiedzy; tam wielbią puls życia indywidualnego, bo szare są wielkie miasta... Co ja mówię, oni nas tam bardziej od piszących szanują, bo ich bibuła, pisaniny, literaty przytłaczają i nudzą. My zaś jesteśmy życiem samym, jesteśmy śmiechem, łzą, okrzykiem, buntem, szalem w żywym człowieku... Literat to kłamliwy komediant — aktor ma szczerą duszę. Tak piszą!... Nie wierzysz? Czytaj gazety cudzoziemskie.

Piwa miał już widocznie za wiele, gdyż pięścią w stół uderzył i krzyknął, aż echo rozniosło po-sali:

— Figaro! Frankfurter Zeitung!

Wywinął się kelner przed stół i tłumaczy, że nie ma tych gazet w restauracji.

— Przynieś z kiosku — rozkazał ojciec krótko. Kelner stał z miną grymaśną i niezdecydowaną. Ojciec zmarszczył czoło.

— Słyszał kelner, com rozkazał?

I spadając natychmiast z aktorskiego tonu, dokończył po swojemu:

— Poszedł precz, bo zabiję!

— Niechże ojciec nie rzuca butelek. Awantura będzie... Spochmurniał i nasrożył się mój stary. Wydało mu się,

że jakiś tam klient dobrego krawca i fryzjera, hrabicz czy Kupczyk, od sąsiedniego stołu przypatrywał mu się aro-

gancko. Stary pochwycił dopiero co odkorkowaną butelkę wypił ją duszkiem, postawił z impetem na stół, nogi na krzesło założył i rozpiął kamizelkę.

— Niech kelner!... przy-nie-sie! cygaroo! — zaśpiewał na tremolo.

A potem do mnie znów się przysiadł.

— Będziesz grał, Władek?... Słuchaj — wołał chwytając mnie za bary — ty jutro mnie i siebie pomścić musisz. I nas wszystkich. My wszyscy jesteśmy biedni ludzie, bo nie wiemy dla kogo i po co swą duszę w szmaty targamy. Płomieniem krwi twej młodej roznieć jutro wielkie światło duszy; niech tamci mrużą oczy, niech się kurczą, wiją, podłe, ślepe gady! Ty im się wgryź w serce! niech poznają, że jest puste; bij po głowach obuchem; porusz leniwe mózgi; po kałdunach sytych kop! odbierz im spokój... A dusze ich w kale nurzaj; drwij, znęcaj się i pluj! powłaczaj im mózgi w brzuchy... Skończy się, i rozpełzną się kłębiskami gady gnuśne, ciężkie i leniwe, pełne strachu i pokory... A my wtedy: deptać! Puścimy za nimi tony marsza żalobnego lub taniec szkieletów i nuż szarpać, targać, rwać w strzępy marne dusze! Bydło, owce, kałduny! Ha! ha! ha!...

Śmiech był zrobiony bajecznie. Wpadł jakby z cichej ulicy, basem piersiowym rozległ się po sali, zahuczał echem jak organy i ludziom usta zamknął. W sali uczyniło się cicho: na szczęk noża ludzie sykali gniewnie, kelnerzy zatrzymali się pośrodku. Patrzano wyłącznie na nas.

Ale ojciec już tego nie widział.

— Ty — mówił uderzając mnie pięścią w piersi — ty bydlę niskie, do nich pragniesz teraz przejść! Żenić się chcesz! Będziesz handlował, szachrował, Żydom po biurach się wysługiwał, łykom po sklepach, szlachcicom cielęta hodował i tuczył? Nie odpowiedziałem mu nic; musiał jednak z mej twarzy coś wyczytać, gdyż uśmiechnął się cicho i napił piwa.

Wyznałem mu tedy całą prawdę: mówiłem o tym, jak się ścieram i zużywam z dnia na dzień, jak dziś już, niby morfinista, trucizną tylko dobrać coś z siebie potrafię. Stary początkowo wierzyć nie chciał, potem wpił się rękoma we włosy, oparł głowę na łokciach; myślał i słuchał. A gdym mówić przestawał, unosił nieco głowę, białka wywracał i tak się wpijał we mnie tym spojrzeniem dziwnym.

— Bywa, bywa — mruczał pod koniec — czasami tylko jeden dzień, jedna wiosna, jedna miłość. Dziś więcej niż dawniej... Motyle, jętki, ćmy — potem gady!

Wyprostował się wreszcie sztywno.

— Na długo się cenisz? Wzruszyłem ramionami.

— To zależy.

— Od kobiet?

— Chociażby.

— A potem? — pytał wlepiając we mnie przewrócone białka oczu.

Chłód mnie przebiegł po ciele. Dotychczas nie myślałem o tym, cpm w ojca spojrzeniu wtedy wyczytał; nie myślałem o upokorzeniu.

Jeżeli kobieta — zaczął ojciec, wpatrzony błędnie przed siebie — nie wiem, jak się ta twoja nazywa — jeżeli tym lubieżnym a wzgardliwym uśmiechem, w którym właściwa dusza kobiety się przejawia, śmiać ci się będzie w wystygłą twarz, podczas gdy inny, świeży, nowy, mocny będzie ją tęsknymi oczyma budził, podniecał,

roznamięt-niał? O! takiej doczekać się w życiu godziny i kobiety nie zabić! Aktorem jesteś: wmyślże się, czuj, przeczuj własnej młodości koniec... A jeżeli drugi tam na scenę wejdzie, podpatrzy cię, okradnie i złupi - sobie na karierę? Jeżeli... jeżeli okrzykną go genialnym dlatego tylko, żeś ty! ty! ty! tak bardzo cierpiał?... Jeżeli ludzie cię porzucają, psy tobą wżgardzą, dyrektor cię wyleje? Jeżeli kel... kel...? Ujciec schwycił się za głowę: krople rześistego potu wy-

22

23

stąpiły na bladą jak chusta twarz. Rzucił się w głąb kanapy.

— Jeżeli kelner ci gazety przynieść nie zechce?! — krzyknął, zabełkotał coś i rozplakał się tak straszliwie, że wszystko porwało się z miejsc.

W restauracji wszczął się szmer, potem jakiś zgielk i pogwar gniewny. Ludzie wołali kelnerów, płacili z hałasem. Kobiety wychodziły z wyrazem przestachu i współczucia, ich towarzysze z grymasem niesmaku nad tym płaczącym starcem. Wyprowadziłem ojca na ulicę. Upierał się, że mi szampana zafunduje, choć do tego piwa ja dopłacić musiałem.

— Przyjmij ode mnie — prosił, całował, przymilał się. I ledwo stojąc na nogach, ciągnął do drugiego szynku. Przed samym domem wytrzeźwiał jednak.

— Jeżeli?... — zapytał poważnie i myśląco.

— Ja nie będę miał czego żałować — odparłem spokojnie.

— Chcesz ze mną?...

I zrobił jeden z tych swoich ruchów nie do powtórzenia. Ręką tylko skinął i uśmiechnął się. Jak? Bo ja wiem! Tak się może uśmiechali dawniej ci, co na stosie ginęli: było w tym i politowanie, i wżgarda, i żal serdeczny za głupim życiem podłych ludzi. Zwiesił głowę i pokiwał nią do swych myśli.

— AU ŋght! — zawołał na pożegnanie jak cyrkowiec.

Na drugi dzień doglądał mnie i strzegł na każdym kroku. W południe nie wytrzymał i narzucił się na mnie.

— Grać będziesz?

— A no...

— Mów, co tobie, człowieku? Pić chcesz? Tyś i wczoraj niewiele mówił.

— Tęsknię.

— To weźże ją sobie!

— Poczekam, aż mi ją rodzice dadzą.

— Aż ci wyschnie, zwietrzeje i ulegnie się do ołtarza?

— Poczekam.

— Ocknij ty się! Ty przecie nic nie myślisz, na twarzy widzę, że nic nie myślisz! Już masz na swej głupiej gębie idiotyczne piętno narzeczonego... Ty mi dzisiaj porządnie grać musisz! — krzyczał i trzął mną za ramiona. — Ale to nie podobna, żeby taki zadowolony z siebie kretyń ucziwie coś zagrał... Idź do niej, czy co?... Spraw sobie zdradę, czy jak?... Rób coś: porusz, porusz bebechy! Ty, gnuśne, tępe, narzeczone bydle!

Ojciec trzasnął drzwiami i zostawił mnie z mą bezmyślnością.

Dawniej inaczej bywało. Dawniej, gdy wyszła ode mnie która z tych kobiet, pozostawiwszy po sobie zapach ciała swego, atmosferę od pieścizot ciepłą, od

szarów jeszcze duszną i nieukożone żądze — wówczas, jeśli za nią nie pobiegłem, tłukłem się jak wariat po pokoju, w gęstej dymnicy od papierosów i wlewałem w siebie, co było: koniak, wódkę, wino. Targałem we wspomnieniach każdy drobiazgi mych upojeń, odurzałem się wyobraźnią, coraz nowe układała mi ona obrazy w dziwnej jakiejś scenerii grobów, kościołów, cmentarzy. Kończyło się zawsze tu w potylicy bólem ostrym i nagłym, jak pod zimną wodą, trzeźwieniem. Wtedy coś gryzło, rozpierało w piersiach, śliną w usta się sączyło: ten, w ciało już weszły, wyrzut i ból. Wtedy czułem jedno tylko: brak, brak i jeszcze raz brak. dokuczliwy. Papierosa? — nie to!... Wódka? — nie!... Jadło? — nie!... To ciało się kurczy, jak gad nadeptany, a brak tu. tu — w duszy... Jedno, jedno tylko słowo, co się wyśliznęło z pamięci, wykradło z myśli; jedno wypowiadające wszystko, ostatnie, wielkie słowo: okrzyk!...

I szukam jak wariat tego słowa, a niepokój mój wzrasta, skupia się, przechodzi w napięcie szalone. Krzyczeć chcę:

24

25

„słowa, słowa!” I wiem, że o nie iść przecie nie może, czuje, tylko, że myśl mą rozognił, pognął, że szaleje już sama: już mnie opanowała, pędzi i ponosi mnie tam, gdzie już chyba czarna noc ducha. Chcę gonić, podążyć za wyobraźnią mą, co z władz duszy myślącej już się wymyka. Znajduję natomiast, triumfujący, znajduję to, co mi kapryśna pamięć w tej chwili przyniesie. Mam wreszcie:

Oto mój żywioł, ta ciemność ponura, Już do otchłani myśl moja należy, I nieskończoność jako ciemna chmura Świat opłynęła. Myśl gdy w nią pobieży, Wraca zbłąkana i znów się. zamyka W sennych marzeniach...

Albo to ostatnie:

Dzisiaj ja nie chcę zabijać słowami, Bo każde słowo do serca utonie I jako sztylet dreszczem je oziębi. A potem długim rozpamiętywaniem, Jak żar piekielny rozpali się w łonie I potem, potem... cała przyszłość moja Stanie się długim i ciężkim konaniem!

Ale co mi poezja! co mi cudze bóle! Pędzę do teatru: węch mnie tam prowadzi.

Wpadam na pustą scenę, na deski moje pochyłe, i śmieję się, i płakać chcę... Mój świecie jedyny! życie moje! przeznaczenie me krwawe! ziemio ty moja obiecana!...

Dziś ojciec wyszedł, drzwiami z pogardą trzasnął i pozostawił mnie w ogromnej, nudnej trzeźwości. Wiedziałem tylko, że miałem dziś grać, rehabilitować siebie i ojca, co mnie pobudzało do wzruszania ramion, jakieś światła wielkie zapalać (to śmieszne było po prostu), wtlaczać mózgi w brzuchy (stary idiocieje dziwnie szybko), wyrzucać wieńce precz... Jemu te wieńce i spać, i trawić nie dają.

26

Z pierwszą szklanką piwa łyknę taką myśl o wieńcu i upije się jak zwierzę, a potem daje po knajpach dzikie przedstawienia... jubileuszowe. Jeśli ja się już zgrałem do ostatniej kropli krwi, to stary się zmanierował do kosteczki... Aktorzysko!

Zaczynałem żałować wczorajszych postanowień. Rozgłos aktora? Przy tym mimo woli myśleć trzeba

O młodych pędrakach ze szkoły, zaczynających już szukać emocji, o entuzjastujących się Żydkach z kantoru, o fryzjerach, którzy z galerii i przez pisemka brukowe zawierają z aktorami amitié du cochon, wreszcie o tych tabunach

wyrostków nie wiadomo skąd wałęsających się wieczorami przed teatrem. A poza tym: dziennikarze zbyt gadatliwi, mecenaszy zbyt milczący oraz kilku grubych panów, czytających o nas przy rannej kawie dlatego tylko, że reporter

I redaktor jego gazety nie mieli, prócz o wypadkach miejskich, absolutnie nic więcej do powiedzenia. I to staremu duszę w szmaty potargało. Trzymać się tego płotu i zgnieć razem z nim, dać w ofierze życie całe? Skromne to powołanie, za mała rólka... I temu dać jeszcze w ofierze ją, Zochnę?...

Dziwna rzecz, ilekroć o niej wspomnę, tiffman zapomnienia przysłania mi świat natychmiast. Nie widzę, nie słyszę nic. Ją czuję; jej twarzyczka jasna, łagodna, spojrzenie bezbronne i ta dobroć wielka, co z jej oczu na duszę mi się kładzie, rozbijają mnie słodkim, cichym, dziękczynnym marzeniem. Modłę się do jej włosów, do poruszenia dłonią, do okrągłego ruchu ramion... I widzę, tak znakomicie widzę... Dość na przykład, by przebiegłszy przez pokój przysiadła na krześle, a stawała się tak zamkniętą w kształtach, tak skończoną w ruchu, tak doskonałą w każdej linii, że jej skromne suknie wydawały się jedną falą miękkiego jedwabiu, opływającą posłusznie swobodny układ jej ciała. A przy tym ta przez uśmiech przebijająca nieświadomość swego wdzięku, to piętno każdego arcy-

27

dzieła: spokój, dumny spokój życia... Otaczała ją coś niewidzialnego, czułem to za każdym zbliżeniem; brała miłość, obejmowała ją ramionami i całowała uśmiechniętą w czoło: „Tyś do kochania stworzona.”

Tamte wszystkie: kochanki, żony, przyjaciółki, zzywają się z naszą myślą, z przyzwyczajeniem; powszednieją. Ich się potem właściwie nie ogląda, nie spostrzega; czuje się tylko ich obecność, w oczach ma się je takimi, jak nam je pierwszy błysk miłości w pamięć rzucił... Ja przez oczy tak wchłonałem ją w siebie, takem ciałem własnym nią przepoił, że gdy na chwilę zapomnę, ocknę się wnet w przestrachu, jakbym duszę własną zgubił. I szukam niespokojnie, i znowu zobaczę; zdziwię się i znów pokocham, i do nieobecnej znowuż zateęsknię. A po uśmiechniętej szczęściem twarzy łzy gradem się leją... O, ja naprawdę kochałem!...

Siedzę zapatrzony gdzieś w przestrzeń, widzę ją i modłę się do niej wspomnieniem. Nie tknę cię, nie ruszę, święta ty moja! obietnico spokoju, wytchnienia, szczęścia! Przy tobie odrodzę się człowiekiem, odmłodnieję uczuciem, odetchnę świeżością twoich marzeń, ukoję pragnienie pachnącą rosą twego ciała, nie ruszę, święta ty moja! Poddaj twarzyczkę twą ciepłą, do mej twarzy przytul, ogrzej wyziębłą twym pierwszym rumieńcem, wypieść świeżym puchem twych policzków. I nie bój się... W dłonie obie ujmę, widokiem się nasycę, wypieszczę, wycałuję, w pamięci zapiszę. Pokaż twą lekliwego ptaka szyję, pokaż, dziecko. Wycałuję tylko. Nie bój się, Zochna, nie bój się. nie... Nie tknę, nie ruszę, święta ty moja! Obietnico spokoju, wytchnienia i szczęścia... Widokiem się tylko nasycę, wypieszczę, wycałuję, w pamięci zapiszę...

A Zochna szeptała:

— Mój... mój...

I kryła się twarzą na mych piersiach.

Kaprysić mi dzieciak poczynał: wydyma wargi i puszy się, rączki w fałdach sukni chowa. Przeciąga się leniwie i pada na kanapę. Każe sobie

znosić czekoladek, słodczy, ale jeść nie chce; wyrzuca wszystko, że niedobre! Myślałbyś, że lada chwila zmęczy się i zaśnie, rozrzucona niedbale na otomanie. Lecz oto zrywa się: pokazała mi czubek języka, zakreśliła się na pięcie, zaszeleściła suknią i — ucie kła.

— Paskudny! — wołała na odlocie. A za chwilę znów powróci. Czasami się zapamiętywa.

— Zochna?...

Uśmiecha się miękko, ciepło, a szyję ku mnie wyciąga. O mnie myśli — dobra Zochna!

— Wiesz — mówi — wiesz, Właduchna, aż mi dziwno, ja się ciebie wcale, ale to wcale nie boję. Przecież to ty — myślę. Ty!... Ty!... Chodź, pocałuj! Tutaj, i tu — jeszcze. Och, Boże, jakbym ja cię ugryzła... Ale ja niedobra jestem!

I znów дума, rozważa, czoło marszczy.

— Mąż! — pociesza się wnet pieszczotliwie i siada mi na kolanach.

Siedzę jak w odrętwieniu i wspominam — bez końca wspominam — tęsknię! Czasami silniej to we mnie uderzy: Zosi drobne rączyny jakby mi głowę wtedy ścisnęły.

Zrywam się, otrząsam... Posyłam po wódkę., grzęznę w dymie od papierosów; powoli zaczynam odżywać: myślę... Tęsknota? To jest uczucie dla zwierząt w menażerii. Ja tej trucizny jeszcze nie znałem: mnie wszystko w porę przychodziło, nie nauczyłem się czekać. Tęsknota!? To duszne, wilgotne, zatrute powietrze: nim umiemy oddychać tylko marzyciele. Ten żar suszy przede wszystkim najbardziej subtelne kwiaty uczucia: wspomnienia. W końcu nie ma czego wspominać, zbrakło chęci silnych, tylko tęsknota pozostała. Wydaje się człowiekowi, z przyzwyczajenia do ciasnego kółka swych myśli, że czegoś pragnie.

28

29

i ta ułuda dobija go do reszty. To tragedia marzyciela, dramat idealisty, farsa ascety! Piję wódkę: myśl biegnie, płynie, ponosi... Chodzę po pokoju, mówię ze sobą, deklamuję głośno:

— Marzenia!... Marzenia!... Obwisłe i bezwładne, na wypalonym gruncie tęsknoty, tracą i one swe syte rozkoszą, miękkie uczuciem barwy. Póki je żar w popiół pamiętek nie rozsypie, wysysają chciwie rosę z najgłębszych zakątków duszy, niby jemiola zapuszczają korzenie coraz to głębiej w sam rdzeń swej ofiary, w najistotniejszą część jej ducha i piją z niej chciwie dawne myśli, uczucia, nadzieje. Więdnąc rozplenają się jak kąkol, zachwaszczają umysł jak pokrzywa, suchymi badyłami łodyg bez kwiatów, bez woni, bez cienia... Dawny kwietnik zmienia się w jałowy ugór: warzy się na nim kielkująca myśl, przepada nowy zasiew, giną dawnych płonki... A kiedy się tak przeznaczenie marzącego dokona, wówczas ocknie się może i zerwie zbyt wielkie jego pragnienie życia. W gorączkowym porywie czynu, w diabła ambicji popielisko orać będzie, a smutnym aniołom dobrych chęci stuletnie dęby na nim sadzić każe. Z diablej orki i anielskiego zasiewu wiatr się zaśmieje, obfite żniwo zbierze ludzka niechęć, pokłósi choroba zagarnie, a dziedzictwo wciąż jeszcze bogatego gruntu obejmie śmierć!...

— Ave! Przyjdź!... Ja i tak na śmierć skazany jestem, bom się na miedziane grosze

chwilowych powodzeń rozmieniał i rozdał doszczętnie, bo tęsknota mnie wreszcie zre i pali...

A potem długim rozpamiętywaniem Jak żar piekielny rozpali się w łonie — I potem, potem... cała przyszłość moja Stanie się długim i ciężkim konaniem...

Niechże śmierć teraz, w tejże chwili, po mnie przyjdzie, ale niech mi ją na rękach żywą i ciepłą przyniesie i niech mi ją rzuci:

„Masz! Weź!” A wtedy dam się diabłu w zamian. Tyle mam w sobie męskości, że potrafię oddać kartę życia za to, na com ją postawił. Bez wahania śmierci się oddam, szyję jej obnażę:

— Masz! Weź i ty z kolei...

Byłem już pijany: stojąc pośrodku pokoju szarpnąłem za kołnierz i obnażyłem pierś.

— Bierz!

W tejże chwili drzwi zaskrzypiały i rozchyliło się czarne wnętrze. Parsknąłem śmiechem; w tył się podałem. Strach mi oczy zaokrąglił, skórę ściągnął na twarzy: stoję i dyszę ciężko, w sobie się zbieram i piersi kurczowym ruchem przysłaniam...

Na progu stała Zośka w chustce na ramionach. Rzuciłem się ku niej, chwytam w pół, rękoma głowy, twarzy dotykam...

Ona ciałem: Zośka moja!

— Dziecko — krzyczę i ciągnę ją płaczącą ku sobie — kto cię tu przyprowadził?

Mów! Kto przysłał? Kto mieszkanie wskazał? Mów!

— Ojciec twój — wypłakała.

Poznała, żem pijany, czy też ta jej dobroć anielska swój instynkt miała, gdyż zbliżyła się do mnie i w chłodne rączyny ujęła me skronie.

— Nie gniewaj się na mnie, Władus, nie martw się.

— Masz łyzy moje — odpowiedziałem patrząc na nią jak w obraz. — Bóg widzi, nie dałem ich jeszcze żadnej.

Całowała oczy, wypila łyzy wszystkie. Ale trzeźwości, opamiętania nie dała. Drzwi się uchyliły, wsunęła się czyjaś ręka nad podłogą, wstawiając do pokoju wysoką butelkę i dwa kieliszki, co z brzękiem upadły na ziemię i potoczyły się na środek pokoju.

~~ Pij! — rozkazałem nalewając kieliszki.

Dzwoniła zębami w szkło: piła. Potem trzęsącą się ręką odstawiła niezręcznie kieliszek na brzeg stołu.

30

31

— No, widzisz! i kieliszek ci zbiłam... Nie, po co ty mi każesz pić?

Już klęczała na ziemi i zbierała skorupy.

Podniosłem ptaka z ziemi wysoko, wysoko. Roześmiała się. Ale potem, gdy na kolanach się moich znalazła, gdym parzył ją pocałunkami, wówczas westchnęła raz i drugi, zapatrzyła się gdzieś wielkimi oczyma...

I zrozumiała...

Oczy jej cieniste rozwarły się szeroko i natychmiast przysłoniły się rzęsami; w kątach ust coś zadrgało silnie. Biała była na twarzy, nozdrza pulsować jej zaczęły.

Po raz pierwszy w życiu rzuciła na mnie dumne, wyniosłe spojrzenie. Pęk jasnych włosów, zaczesany nisko na tyle głowy, w ciężkim powikłanym splocie opadł jej na ramię. O, ten uśmiech! wzgardliwy, zimny, dumny... Ja go zbyt dobrze pamiętam! A

jednocześnie ten ciężki splot warkocza, opadający szybko coraz niżej po ramieniu i rozwijający się nagle w złotą połyskliwą falę.

Zatopila mnie ta fala jasna...

Ojciec włókł mnie do teatru pod ramię, a gdy Zosia dogoniła nas na ulicy, namawiał ją łagodnie, aby była rozsądną i wracała do rodziców.

— Idź do mnie — prosiłem. — Wróć po teatrze. Pozostała w tyle, czułem jednak, że idzie za nami. Stary mówił coś u wejścia z portierem, wskazał na Zosię i zakończył jednym ze swych ruchów dłonią.

— Fiu! — gwizdnął, machnął chustką, jakby kogoś od bramy odpędzał.

Był wesół i dobrych myśli. Poprawiał mankiety i krawat, a do mnie mówił:

— Wiesz, Władek, gdyby nie moje lata... Toż to nieboszczka zmartwychwstała! To otwarte i jasne czoło, te łuki brwi i tu — ten zakrój nosa; usta, w głębokim jakby
32

oddechu zawsze uchylone... Co ta dziewczyna ma za zęby! Tylko że nieboszczka brunetką była... Jest w ludziach coś takiego, jest ten pociąg do typu: gatunek w nas żyje... Ale trzymajże ty się... No! — Władek! Cóż u stu par diabłów, wszak jesteśmy mężczyźni!... Ja byłem głuchy.

Ale światła jasne mnie oblały, zapach nasz poczułem. Dziś zrozumieć nie potrafię, jakim sposobem oślepić mnie wówczas mogło „podobieństwo” sztuki. Rzecz była dobra, tylko aż ciężka od zdań okrągłych, gładkich, literackich. Autor wiedział o tym — spodziewał się od aktorów duszy. Tremę miał: życie dusiło go zmorą ciężką.

I ja drżałem na skórze, nie z obawy jednak, lecz ze zbytniego przepełnienia duszy, co dla gry może jest naj-szkodliwszym. Gdym wchodził na scenę — ustało i to...

I wiecznie te dziwaczne, za włosy podciągane „podobieństwa”, które jak błyskawica przesuwały mi się po głowie. Starego widziałem: siedział, kabotyn, z Figarem w rękę, choć trzech liter po francusku nie sklei: siedział i oczyma świecił. „Czeka” — pomyślałem. I znów mi śmierć na grzbiecie siadła. „To się stanie, na pewno: zgram się w proch, w nikczemność, w gadu zimne ciało.”

Szło — szło przeze mnie. — Jest tam pod koniec niema scena... Już mu nic nie pozostało: nadziei w życiu, oparcia we własnych myślach; zbankrutował na samym sobie, nie umie i nie chce bronić się przeciw nieszczęściu. Prędzej czy później wszakże przyjść ono musi, bo źródło swych nieszczęść i przeznaczenie własne człowiek w sobie dzwiga. Po cóż się więc bronić?... Autor jak zwykle: rzuca aktora w fotel i stawia kropkę. Jam się przyparł do ściany: stoję i myślę... A tu cisza huczy. Gdzieś z dala na ulicy powóz zaturkocze; mury głuszą. Ktoś zakaszle na widowni... Stoję i myślę o sobie; potem oczy podnoszę — spostrzegam ojca z Figarem. Spadło z piersi: westchnąłem. I ten ruch, to

* - Próchno 3J

wczorajsze ojca skinienie ręką... „AU right!” pomyślałem. I znowuż cisza...

Tam gdzieś na galerii ktoś odpowiedział: westchnął szeroko, swobodną pierśią. „Dziewczyna młoda” — myślę, i łzy mi się wała do oczu. Stoję, uśmiecham się i głową kiwam, jak ojciec wczoraj. Potem ten efekt ze strzelaniem. Nie cierpię. Na scenie śmierdzi, a ludzie płoszą się jak konie, zamiast się skupiać. Ale teraz wydaje mi się, że tam za sceną, w tej chwili... ona, Zochna, sobie... do piersi...

— Jezus Maria! — chcę krzyknąć, ale coś w porę za gardło chwyta. Zatrzepotałem

się tylko jak ptak i idę, wargami coś niby mówię, czepiam się mebli, ślaniam, potykam i tuż, tuż, u bocznych drzwi, które miałem na zakończenie uchylić, walę się ciężko na kolana. Czoło do framugi przykładam i...zrywam sobie coś w piersiach. Czuję, jak pęka jedna, druga, trzecia struna: wszystkie po kolei, wszystkie na których ludziom smutek, żal i rozpacz grałem...

Stary wstał w krzesłach z Figarem, oczy wytrzeszczył — drży z radości: widzę to, czy też tylko czuję.

Może już przyjść — skończone. Kurtyna już się chwieje, osuwa; już mnie od światła oddzieliła. Cisza... Ja wstaję, czoło z potu ocieram i cichymi łzami płacę nad sobą, nad tym, że dobrze grałem, i nad smutkiem łagodnym, co mi wstręt do samego siebie z piersi stłoczył...

Runęło wreszcie.

Podchodzę do rampy, kłaniam się i uśmiecham. Wieniec podają, krzyczą, klaszczą, tupią. Biorę wieniec. „Zasłużonemu autorowi” itd. Biegnę wtedy za kulisy i chwytam za rękę tłustego pana w długim tużurku. Poskoczył jak balet-nica, tryka, dziękuje.

Tłum nałykał się cudzego bólu: klaszcze, huczy, jak w ulu, głuchym zgiełkiem się przelewa. Dziennikarze i mecenasi otaczają autora. Światło gaśnie rzędami. Tabuny wyrostków ścigają się po galerii, dłonie w trąbkę składają i ryczą ochryple:

— Borowski! Borowski!

Wychodzę raz jeszcze i tym najbardziej u nas wzgardzonym, a moim najwierniejszym posyłam od ust całusa. Wszczęła się na górze gonitwa, tętent, tupanina: chłop-czyska biją się i kopią nawzajem, a mnie przez dłoń w ucho wrzeszczą:

— Borowski!...

Gdybym którego z nich tuż przy sobie postawił, spojrzełby prawdopodobnie swą tłustą od potu twarzą i wylupiastymi oczyma; gębę by wnet rozdziawił i ryknął mi w ucho me własne nazwisko. Potem by śliną i łzami chlu-pnął, nos rękawem otarł, dłonie do ust przyłożył i znowuż huczał:

— Borowski!...

Jeden z nich rzucił mi nawet z entuzjazmu podartą czapkę. Za tę hojność dostałby w domu cięgi, gdyby nie mój ojciec. Stary zwłókł się na scenę i znalazł dla siebie robotę: mógł coś dumnie precz odrzucić i w innych trochę okolicznościach przez nos zawołać: „Bydło, owce, kałduny!”

— A co? — były pierwsze jego słowa do mnie. — Ten ruch mój, hę? Przydał się.

— Przydał.

— Bierz, ja nie bronię.

— Biorę z każdego człowieka, co mi potrzeba.

— Teek?

— Taak!... Nosem mi ojciec nie zaimponujesz, bo to starożytna maniera.

— Tą manierą tyś cały stworzony. Zupełnie niepotrzebnie w ogóle stworzony.

— Co ty, świnió, pleciesz?

To, że za nic nie jestem wdzięczny, nawet za życie. Ojcu? — (białka mu się przewracać zaczęły).

— Nieostrożny kochanek łatwo nim się staje. Do szacunku mały powód.

— Pies.

34

35

Tak rozmawiając wychodzimy na ulicę. Naokół wszystko ocieka, pluska, chlapie; mokre bruki błyszczą od świateł i pogłębiają ponurą ulicę, jak zmatowane lustro. Stary chce widocznie sprawę załagodzić.

— Jesteś podły — mówi — jak wilcze szczenię, ale talent masz olbrzymi.

— Wiem.

— I to, żeś podły?

— To przede wszystkim.

— Pysk masz tylko ruchliwy — łagodził i roztworzywszy parasol, ujął mnie pod ramię.

— Pyskiem grasz, pyskiem szczekasz. Tobie należy niejedno wybaczyć... Chodź się czego napić. Wczoraj ci obiecałem. Jedną wdowę tylko... Żółty mecenas pożyczył.

— Ojciec aktorkami zaczyna handlować? Stanął jak wryty.

— Czego ty mnie kopiesz? Za co ty staremu ojcu w gębę plujesz? Człowieku!

Szczenię ty! Słuchaj: i ja miałem kiedyś taki, jak ty, talent... Przecież i ty chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz. Dał — wzięłem. A czorci mnie do niego, czorci mnie do tych szmat! Tfu, psiakrew, kobiety!

Puściłem go.

— Idź, ojciec — mówię. — Na litość boską, idź... Idź, spij się jak dzika świnia, tłucz butelki, becz po knajpach, ale mnie zostaw. Zostaw mi tę resztę, ten ochłap człowieka we mnie.

Dostał widocznie swego uderzenia krwi do głowy, bo się zatoczył na chwilę. Potem w starczej, bezsilnej złości cisnął własny kapelusz o ziemię.

— Becz po knajpach? — powtórzył ochryple.

I choć jeszcze nic nie pił, schwycił jakiegoś przechodnia za piersi.

— Syn! — wołał kurcząc się i celując we mnie długim palcem.

— Czegoś ty mi ją sprowadził? — mówię, następując wprost na niego. — Po co do tej budy przekłętej ciągniesz? czemu mi moje życie ulicznikom na pastwę rzucasz?

Ludzie zaczynają się skupiać; ja wycofuję się i odchodzę.

— Syn! — huczy stary na ulicy jak w tragedii Szekspira.

Biegnę kłusa i wpadam w bocznice. Tu, nie czując się już na oczach ludzi, zwalniam kroku i czekam, gdyż awantury publiczne starego niepokoić mnie już zaczynają. Tam ucichło nagle; ludzie rozchodzą się ze śmiechem. Czyżby starego do dorożki już wsadzono?...

Gdy tak stoję w niepewności, wybiega zza węgła jakieś dziecko w chustce, przypada do mnie, tuli się do mego boku jak pod skrzydła i wyrzuca w jednym okrzyku:

— Władek, Władusiek, Władek mój!

Wzięłem to piskłę na ręce i zaniósłem do domu; przemokła bardzo.

Ojciec dał przed zbiegowiskiem drugie przedstawienie jubileuszowe. Wwikłał się przy tym w jakieś zajście z oficerem; dostał od niego po uchu, a na wygojenie kożę.

Gdy po dwóch miesiącach wyszedł, byłem już żonaty.

Pieniądzy brakło nam ustawicznie; pożyczki, handlarze, lombardy, nabieranie mecenasów... Ale czym to wszystko było dla mnie wobec szczęścia, jakiegom zaznawał! Czuję taką radość, wiosnę, taką pełnię życia, że...

Grałem źle.

Szczegółów nie pamiętam. Wiem tylko, że źle było. Licho chciało w dodatku, że sztuka była cudzoziemska. Przy swojskiej obstałbym się na zdobytym stanowisku, a sztukę bym położył. Ta przeszła jednak przez granicę jako nowość repertuaru wiedeńskiego i z tą plombą dawaliśmy ją na scenę. Nieobecna, a zagadkowa wielkość powaliła mnie twarzą na ziemię, wiedeńczyk wlaźł na mnie obiema nogami. Nie nadaje się do sztuk obyczajowo-mieszczańskich, do „Familiendramatu” — mówili dziennikarze. Ha, sfery w sztuce były może i mieszczańskie, ale familia stanowczo żydowska, jej dramat z dziennika, a obyczaje z kuchni. Takem się pocieszał, bom ogromnie potrzebowałem pociechy. Tak bardzo chciało się oddychać własnym szczęściem.

W chwili kiedy wszyscy na mnie powstawali, przysłała za kulisy żona, z wilgotnymi jeszcze oczyma, z niewygasłą na twarzy ciekawością i wypiekami na policzkach. Odciągnęła mnie na bok: miała coś bardzo ważnego do powiedzenia. Tam rzuciła mi się na szyję.

— Właduszek mój kochany — wołała — jak ty ślicznie grasz!

I ja miałbym się martwić wobec tego? Śmiałem się jak dziecko: śmiałem się z dziennikarzy, z dyrektora, z młodego błazna, którego na moją rolę już podsunęto; śmiałem się z całego świata. Ująłem ją wpół i jak dwoje dzieciaków puściliśmy się w lansadach przez korytarz.

— Stop! — krzyczę, bośmy się zapędzili w jakieś ciemne przejście. — Zośka, ktoś idzie. Stop! bo wpadnięm w ramiona starcowi. Mecenas, jak szczury, żerują u nas po korytarzach.

Zośka w śmiech: upiła się naszą radością. W tejże chwili błyska światło; ojciec stoi — w cylindrze, w jasnej swej kurtce, z parasolem w jednej ręce, z zapalką w drugiej. Mnie krew uderza do głowy.

— Patrz, Zośka — silę się na wesołość — patrz, jak ojciec ducha Banka odstawia... Statystę gra na korytarzach.

Zośka śmieje się bez pamięci. Mnie wściekać już zaczyna to kabotyństwo wstrętne, to napędzanie grozy, jak dzieciom, płaskimi sztukami niańki. „I czego on chce ode mnie?... Milczy, ani słówkiem się nie odezwie. Poczekaj! ja cię rozruszam”.

— W knajpach odegrał już swój repertuar — mówię -* teraz na melodramaty próbuje się w przejściach do garde-

robey. Z parasolem w rękę próbuje odstawiać widmo sumienia — sumienia artysty.

Zośka zatacza się jak pijana. Kulisy i całe to życie teatru, które widzi po raz pierwszy, odurza ją jak wino. A stary wciąż milczy. Zapalka gaśnie, czerwone zarzewie rzuca groźne refleksy na jego zmęczoną, gorzkim bólem wykrzywioną twarz. Czerwony węgiel opada i gaśnie. Stary stoi po ciemku i wciąż jeszcze milczy.

— Trzeba czym prędzej zapaść się w ziemię — mówię wesoło, a pięści ściskam ze złości. — Że zaś podłoga się nie rozstąpi, należy dla efektu uciekać co rychlej na prawo — do ustępu.

I dałby kto wiare? — posłuchał.

— Nie, Władek! — woła Zośka, krztusząc się i za piersi chwytając — przecież to jest ogromnie zabawne... Ale ty brzydki jesteś. Nie należy drwić z ojca. I ty się upijasz...

Odprowadź mnie, bo się rozchoruję z tego śmiechu.

— Ty kwoko gdacząca! — odzywa się wreszcie stary ze swego stanowiska.

Wyrznięłem pięścią w drzwi.

— Czy ty nie czujesz śmieszności, stary kabotynie?

— Ja ojciec jestem, a nie żaden „ty”! Ja artysta jestem, a nie kabotyn!... Bodaj ci język za te bluźnierstwa usechł.

— Toć wyleźże choć z tej dziury.

Zośka ze śmiechu wpadła w nagły strach, w to instynktowne, wyłącznie kobiece przecucie zbliżającego się nieszczęścia. Czepia się mnie i odciąga na bok.

Ona ci już z serca krew pić zaczęła — huczy stary przez szparę we drzwiach — już ojcu urągasz, w twarz mu plujesz. Zapamiętajże sobie, zapamiętaj: „Oko, które się z ojca i matki naśmiewa, kruki u potomków wydłubią, a orleża je rozniosą”.

— Nie, to oszaleć można! To w manierze na śmieszność oślepie, zgrzybiałe aktorstwo. On mi Biblię stamtąd cytuję!

38

39

B4C

Skąd się u tego dziecka tyle sił wtedy wzięło?

Gniotę jej ręce i zrywam je z siebie, a one, jak ssawki polipa, czepiają się mnie co chwila na nowo i ciągną za sobą. Odrzuciłem ją wreszcie ku ścianie.

— Ty mi o żonie mojej milcz! — krzyczę i walę z całych sił we drzwi.

— Ja cię krwią serca mego wykarmiłem — grzmi ojciec z gabinetu — mym życiem, mym talentem, wszystkimi władzami duszy; a ten polip to wszystko wyssie z ciebie. To nie kobieta, nie dusza, nie artystka, to zwyczajna suka, która pomioty rzucać chce. Zośka wydała cienki, przeraźliwy pisk i uciekła. Rzuciłem się całym ciałem na drzwi.

— Chodź tu! — wołam.

— Do syna?... Bić chcesz?

— Będę bił bez pamięci...

— Będziesz?... — powtórzył przeciągle.

I ucichł. Zośka lka gdzieś w drugim korytarzu, Ten płacz mąci mi myśli do reszty. Spostrzegam się poniewczasie, żem przed chwilą coś potwornego powiedział i zaczynam chłodnąć.

— Ojciec pijany — mówię.

Nie odpowiedział. „Pijany — myślę — mniej przecie odpowiada za siebie niż szczekający pies. — Także porównanie!” — szarpnąłem się natychmiast i miałem ochotę bić siebie po twarzy. Co za nowa nikczemność wstąpiła we mnie? Tego dawniej nie było, nie było! To ostatni dorobek życia, ostatni dar kobiety. Stary tylko w miłości ku mnie był psem chyba. To szlochanie kobiety z daleka takie miękkie myśli na mnie sprowadza.

— Zośka, milcz lub idź precz...

— Ojciec, otwórz — proszę przez dziurkę od klucza. — Nie zważaj, co ja plotę...

Ojciec... Widzisz — już się zwałi?... Otwórz: otrzeźwię i do domu zaprowadzę. Szampana zafunduję. Ojciec! No!... słuchaj, co mówię... Szam-

pitra... Ja cię po rękach będę całował... I czego ty się rzucasz jak szczupak?...

Ręce mi drżą: te głupie myśli tak potwornym niedołęstwem skuwają ciało. Chcę

drzwi wywalić, a klamki ruszyć nie mogę. Ani się nie podda...

Nigdy w życiu tak strasznie nie krzyknąłem, jak wówczas:

— Zośka, wołaj ludzi!

— Klamka ciężka — kołacze mi w myślach i biegnę jak opętany przez korytarz.

Wypada cała banda aktorów i statystów. Na wpół rozebrani otaczają mnie kołem, szarpia, cuca, chcą ze mnie bodajby słowo jedno wydobyć. W tejże chwili jak błyskawica oświecił mi pamięć ojca głos i jego przekleństwo. Widzę naokół te gołe, wstrętne twarze, fia których przed godziną taką radość przy moim niepowodzeniu czytałem; widzę czujne strachem i zaokrąglone oczy, zaparty oddech w ich piersiach: widzów mam przed sobą. I ja, najnikczemniejszy człowiek na świecie — zaczynam grać. Gram wyklętego syna. Język mi kołem utkwiał: bełkocę... Czuję, że trzeba tylko wysiłku, chwilowej mocy, zerwania się krótkiego woli, by się opanować; lecz nie stać mnie na ten wysiłek, nie stać na to, by prawdę od urojeń, rzeczywistość od wyobraźni oddzielić. Coś jakby obuchem ciężkim uderza mnie po głowie: ciało będzie może ode mnie szersze? Przytomności jednak nie tracę, rozum tylko własny gubię; instynkt aktora przecie ocalam. Wyrwam się z chciwych ciekawością dłoni, odskakuję w tył, podwijam się w sobie i padam na wznak. Mam jednak jeszcze tyle sił, by wagę ciała rzucić tam, w stronę tych podłych, fascynujących mnie, jak spojrzenie węża, oczu, w stronę tego błazna, co moją rolę objął. Słabe było bydlę: nie strzy-mał mnie w ramionach. Już na pół tylko przytomny, padam jak kłoda na ziemię i toczę mu się pod nogi.

— AU right — szepcze przeze mnie ten obłąd. Takeśmy z ojcem moim swe ostatnie odegrali komedie..-

-B orowski skończył opowiadanie. Powstał z ławki cmentarnej i z głową zwieszoną, od wspomnień ciężką, począł się błąkać między mogiłami. Kunicki nie widział go, nie myślał o nim prawie: człowiek znikł, rozwiął mu się sprzed oczu. Miał niemal wrażenie, że oto z jednej z tych mogił powstał trup, dzieje mu swoje opowiedział i wraz z ostatnim wspomnieniem, ostatnie wydawszy tchnienie, zapaść się musiał w mogiłę.

I myśląc tak, patrzył w kraj pusty i dymny; w długie, smutne szeregi budowli za cmentarzem, w ostre zarysy kominów fabrycznych, wyrastających z za garbów ziemi jak nagie maszty. Nie było tu zieleni naokół, lecz ostra czerwień murów; zamiast murawy, pył węglowy pokrył czarnym puchem faliste ugory. Ludzie tu jakby wymarli, ptak się nie odezwał, wrona nie zakrakała. Maszyny tylko gadały świstkami i suche dzwony zgrzytały. Nie milknący kołat młotów mierzył rozpaczliwie nudny czas, pełzający tak leniwie, jak te rozwłózione na horyzoncie dymy.

Kunicki spojrzał na Borowskiego i wydało mu się, że w te martwe okolice spadł jakiś ptak z dalekich krajów, trzepocze chorymi skrzydłami i dusi się od węglowego pyłu. Nie pytał go, jak teraz żyje. Wszak wiedział dobrze. Znał to życie wielkomiejskie i zaprzepaszczone w nim egzystencje, wegetujące wspomnieniem minionych dni, czepiające się kobiet ostatnim pragnieniem życia.

Długie, smutne kominy patrzyły martwo w dal pustą i niemą. Zastygłe i zimne w szarym świetle, kłębiły cięż-

kie ofiarne dymy żywych i kołaczących maszyn oiaz martwych i niemych ludzi.

Dusza tych istot ludzkich, wyklęta precz od pracy, błąkała się pokutna po ciemnych

zaułkach i czarnych norach nocy. I wtedy dopiero, gdy maszyny do snu legły, wówczas gdzieś w pomrokach kamiennych, w ciszy umęczonych ciał rozlegał się czasami nagły, straszny, beznadziejny krzyk — budziła się namiętność, buchał płomień duszy. I gasł.

Pozostawiał jeden, dwa trupy i otwierała się nagle przepaść bólu i cierpień. Ale za dnia już zimna, już niema, ziejąca tylko dusznym czadem zgniłych wyziewów. Odżyły już maszyny i zamarli ludzie. Po niebie snują się rude, ciężkie kłębiska dymów.

„Biedna Zochna!... Zochna!... Zochna!”... — szeptało coś Kunickiemu, jakby w takt łagodnego plusku i miarowego szmeru. Tuż nad głową szumiały mu tak druty telegraficzne.

Przypomniały mu się te jej duże, smutne, łzami zaszkłone oczy, gdy wczoraj na niego patrzyła. Drobne białe ręce zatopiła we włosach, wsparła głowę na łokciach i nie spuszczała z niego oczów. „A ty — zdawała się pytać — ty, co tak poważnie mówisz, z takim poczuciem wyższości, i łagodnie, jak do dziecka, uśmiechasz się do mnie, czy ty umiesz kochać inaczej, lepiej, prawdziwiej?” I wryły mu się w pamięć te wielkie, smutne, jakby przestraszone oczy.

Na ciemne szosy wyroił się tymczasem tłum czarny i rozplynał się strumieniami po drogach i ścieżkach. Ściemniło-się. Rdzawe światło przesiąkło kurzawę, zrudziały dymy fabryczne, zasuwała się mgła sina ciężko i powoli.

Ponad ziemią, naokół, wszczęły się jakieś migotania i błyski, i. wraz z gwiazdami na niebie zapalały się wśród ciemnych budowli chłodne księżycy lamp elektrycznych. Zaroiło się wnet od światła białych i ostrych jak stal, czerwonych i drgających jak krew świeżo rozlana, zielonych

42

43

88

jak liść wiosenny, wielkich i żółtych jak słoneczniki. I hen, gdzie tylko poprzez wzgórze oko w ciemności wybiegło, kołysały się ponad ziemią wśród szyn kolejowych wieńce, wstęgi i girlandy tych płonących kwiatów zimnej nocy.

Szczerniała przy nich ziemia i błyskiem lodu się pokryła, zbiełały w tym blasku dymy fabryczne i stanęły nieruchome, jako białe obłoki. 1

Wciąż jeszcze podnieconej wyobraźni Kunickiego wydało się, że oto jeden z tych dymów przyjmuje zwiewny kształt ludzkiego cienia i wałęsa się wśród tych błędnych ogników. I pomyślał, że jej dusza po takim czyścucu błąkać się kiedyś powinna, wciąż jeszcze nie chcąc wierzyć, że wszystkie te kwiaty, choć barwne, choć płoną, zimne są i bez woni.

Tuż za parkanem, gdzie wał wysoki, ryknął pod ziemią jakiś potwór, wybiegł z czarnej czeluści wzgórze, trysnął snopem iskier czerwonych, wydał świst ostry i potoczył się po nasypie. Pociąg biegł, kołatał, trząsał, migał smugą oświetlonych okien; raz jeszcze krzyknął nagle i wpadł w drugi tunel.

Szum głuchy po nim pozostał, jakiś pęd i rozmach w powietrzu.

— Jezus Maria! Jezus Maria, wrócić!

Borowski stał w ciemnym zmierzchu, jak krzyż między mogiłami. Za odchodzącym pociągiem ręce mimo woli podniósł i okamieniał jakby w tym ruchu. — Jezus Maria,

wrócić! Wró-ócić!... — już nie jęczał, lecz wył długo i przeciągle.

Kunicki słuchał tego monotonnego skomlenia z niemiłym uczuciem. Podrażniało go to biadanie uparte, nieskończone, niby dziwaczne modły wschodniego muezzina.

Teraz dopiero spostrzegł, że legła już noc.

— Panie Borowski — rzekł dotykając jego ramienia.

— Wrócić na scenę! Wró-ócić!...

44

— Panie Borowski! — wołał szarpiać go za ramię. — Późno już. Noc. Kto słyszał, na cmentarzu!...

Powlókł się wreszcie za nim. Już dochodzili do bramy, gdy Borowski, obchodzący mogiły kołem, miedzami, potknął się o niskie, przyziemne sztachety nagrobka i runął na ziemię.

Porwał się sprężyć na nogi i obejrzał poza siebie.

— Ciemno — mruknął Kunicki, aby coś powiedzieć. — Stłukłeś się pan?

A on przyślizgnął się do niego cicho jak kot i podsunął mu swą twarz tuż, tuż pod oczy.

— Znowu! — szeptał owiewając go ciepłym oddechem. — Widziałeś? Znowuż przewróciłem się przez mogiłę. Trzecia będzie!

Kunicki chwycił go mocno za rękę i wyprowadził poza bramę.

Szli ciemną szosą pośród długich szop i okratowanych budowli fabrycznych. Tu i owdzie przytrafiała się mała lampka żarowa przy murze. W czerwonym świetle ledwo tlejących drutów obserwował Kunicki jego wielką aktorską głowę o twardym czole byka, dziwnie miękkich, kobiecych prawie ustach i nieco mętnych, przepaścistych, zadumanych oczach.

— Trzecia! — mruczał ten od czasu do czasu, przeżuwając z grubym uporem wciąż jeszcze tę samą myśl.

— Milcz pan u diabła! — szarpnął się wreszcie Kunicki. — Zmora nocna!

Bardzo żałujesz mej Zochny? — spytał nie podnosząc oczu.

Kunicki nic nie odpowiedział. On zaś, jakby dla odpędzenia złych myśli, podjął machinalnie kamień z drogi i cisnął go przed siebie. Kamień wyrznął gdzieś o bruki, odskoczył, znowu drogę skrzesał, skry rzucił i poszedł da-jak po wodzie. Po dwóch zaledwie minutach przycichł dopiero grzechot, zgasła ostatnia iskra.

45

03

Kunickiemu zapadła jakby pierś w zadumie. Westchnął raz i drugi.

— Bardzo żałujesz mej Zochny? — usłyszał po raz drugi.

Szli dalej. Przed nimi rozeszła się na chmurach ruda i ciężka luna wieczornego miasta.

Gdzieś na odległej ulicy wszczęło się jakieś głucho po nocy rojenie. Nagle zerwało się gwałtowne i ostre rechotanie świstawki, potem tętent przytłumiony, nawoływania, krzyki...

Obaj stanęli ściskając odruchowo laski w dłoniach i próbując przejrzeć ciemności.

Lecz naokół znowuż cisza zaległa. Szumiały tylko druty na słupach i hen na krańcach bił młot nocnej walcowni.

Kunicki ruszył z miejsca. Borowski wciąż jeszcze stał i strzygł uszami. Teraz dopiero

ocknął się jakby ze swego zapamiętania: twarz mu się rozjaśniła, oczy zabłyśły.

— Znowu zbrodnia! — rzekł z uśmiechem.

— Cieszy to pana tak bardzo?

— Lubię miasto! — i pociągnął nosem jak wyżeł.

A nie otrzymawszy odpowiedzi, zawołał po kilku minutach:

— Nienawidzę miasta!

Kunicki rzucił niecierpliwie ramionami.

— Wie pan, co mi za myśl przyszła! — mówił Borowski po chwili. — Panu po prostu zazdrość tamtego, z opowiadań moich. Panu zazdrość, że tam życie takie bujne.

— Nie bujne — odparł Kunicki — ale dzikie, wściekłe życie rozpętanych byków! Biada, gdy się pod te kopyta dostanie — dziecko.

— A jednak ludzie płakali razem ze mną, płakali nad moim zgniłym bólem. Nad pańską cnotą ziewnęliby może tylko. He, panie — taniusia jest cnota na świecie?... Kunicki cmił spokojnie papierosa, a otrząsając starannie popiół, mówił niedbale, jakby do samego siebie:

46

— Ktoś mówił, że nago mogą się ukazywać tylko bogowie. My mamy dziś wszelkie powody do ukry^{ar}a swej nagości.

— Widzisz! — parsknął Borowski i wpił mU si<? palcami w ramię. — Ukrywać!? Widzisz, dawniej ludzkie namiętności były życia i pracy ramieniem i młotem- Dawnie} i bogowie nie wstydzi się swych namiętności. Dzisiaj są one od biurka, od maszyny precz wyklęte i gdzieś głęboko, głęboko pod ziemią ukryte, aby życiu nie przeszkadzały! Ty dzisiaj nic już o nich nie wiesz... Dzisiaj bogów nie ma. Ale nawet bogów namiętność stać by siS musiała w potępieniu gnuśną, jadowitą, trawiącą.

— Dziś mamy rozsądek.

— Wleźże nim czym prędzej w głąb i wynieś swe namiętności na światło dzienne, aby cię nie pożarły' — Ma-cie rozsądek. A jednak... słyszysz? Oto rozlega się krzyk, straszny, beznadziejny krzyk po nocy! Otwarły stó podziemia wasze i cuchną. Zrozumiałeś, kto je otworzył? kto Jest bólu waszego krzykiem po nocy? Zrozumiałeś, za c0 mu ludzie dają łzy swoje, święte i czyste łzy ludzkieJ tęsknoty?...

— Deklamacja! zresztą chroniczna — cmoknął niecierpliwie Kunicki. Otrząsł znowu popiół z papierosa i znowu mówił niedbale, cicho, jakby do siebie tylko:

— Ja panu powiem, kto te wszystkie cuda nocfle dokonywa: biedny, chory człowiek. Zaś koniec — warto zastanowić się i nad końcem — koniec będzie zwykły:

ostateczny zanik hamujących czynności woli — ciesz się pa^o> M3-wizje, gnuśność - „iech się cieszą kochanki! aPatia i o ep.enie graniczące ze stuporem - tu już śmierć zęby wyr2eSzcza!... I to w najlepszym razie - kończył i *poj-zyczne ^

B^{r0}Wskie^o' Jakby taksując jego #Y

Borowski miał już widocznie gotową odpowie- ^

47

ostatnie słowa zamknęły mu usta. Zaniepokoił się widocznie i zagadnął szybko:

— A od czego to pochodzi! Apatia niby?

— Toż mówię!

Przeżuwał myśl jakąś uparcie, czoło chmurzył. Wreszcie: — Boję się — rzekł

cichym, szczerym głosem dobrego dziecka. — Boję się apatii!

I zadrżały mu wargi, jak u wrażliwej kobiety.

— Siądźmy — rzekł nagle i, nie czekając odpowiedzi, cofnął się pod mur i osunął na jakąś ławę. Marszczył się, chmurzył, w oczach Kunickiego zapadał gdzieś myślą coraz głębiej.

— Widzisz, póki chodzę, mówię, nienawidzę — Boże, jak ja wszystkiego i wszystkich nienawidzę! — poty zapominam. Ale niech sam z sobą zostanę, niech się położę... Sen nie przychodzi... Więc niech mi teatr do myśli powróci, niech się coś ocknie, zbudzi, zerwie! A tu nie przychodzi nic, nic!... Rozumiesz ty — nic!

I gwałtownym ruchem schwycił Kunickiego za rękę. Po chwili zatrząsł się całym ciałem. Zdjął kapelusz z głowy, grzbietem dłoni wycierał jakby zimny pot z czoła. Bładł widocznie, gdyż twarz jego stawała się po ciemku bardziej jasną i jakby fosforyzującą. Kunicki spoglądał nań uważnie i z pewnym niepokojem.

— Co panu?... Panie Borowski, na litość boską!...

— I z tej pustki wyłania mi się — zgroza, tylko zgroza! Nieludzka, straszna groza wytrzeszcza na mnie zimne oczy: rzeczywi...! „Zośka!” — krzyknę jak szalony, zerwę się z łóżka i błędnie, ornackiem trafiam tam do niej. I jak dąb podcięty, walę się na jej białe ręce. „Zasłoń mi oczy, Zośka!” — Zasłania, rączynami twarz mi okrywa. „Nie bój się, nie bój się, Władek.” — „Całuj, Zośka!” — Całuje. — „Zochna, Zochna, Zochna ty!...”

Z daleka, jakby w zaczajonej ciszy ciemnego przedmieścia, słyszeć się znów dały niecierpliwe, ostre sygnały świ-

48

stawki, wołające nie wiadomo gdzie i nie wiadomo kogo na pomoc. Bo zresztą cisza była. Hen na krańcach bił tylko młot walcowni, a tuż ponad głową szumiały im obu druty telegraficzne: Zoch-na... Zoch-na... Zoch-na...

Wreszcie zabłyśły światła w oknach podmiejskiej ulicy. Kunicki zaprowadził Borowskiego do najbliższej robotniczej restauracji i wmuszając w niego wodę mówił coś

o słabej woli, o rozhukanej wyobraźni, o potrzebie leczenia. Borowski odstawił szklanekę wody na bok i odpowiadał mu powolnym, zmęczonym głosem.

— Pan osądza wszystko tak łatwo, prosto, higienicznie, że aż miło słuchać. Uspokaja to, jak ciepłe okłady. Taki świat mały, a pan taki duży, duży. Taki świat chory, a pan taki zdrow, taki higienista... Duży, duży higienista!... A biedny chory światek skruszył się, zesechł, zblakł. —

I pana nigdy nie straszy zmora rzeczywistości? Kunicki uśmiechnął się ckliwo i niedbale.

— E, pan świat ma w kieszeni. On pana nie przestraszy.

— Jestem lekarzem, panie Borowski.

— Właśnie!... Absyntu, duszko — zwrócił się do kelnerki, wciąż jeszcze tym smutnym zmęczonym głosem..

— Ja proszę wody sodowej! — pośpieszył się Kunicki.

Dla pana doktora syfon wody. Światło było mętne i senne. Pokój nagi, przesycony zapachem siodu i farby olejnej. Dwóch wielkich, ciężkich robotników o rudych, źle wygolonych twarzach drzemało wraz z gospodarzem nad gazetą, mającą okrzyk

„Naprzód!" w nagłówku.

Kunicki sięgnął po gazetę i zapytał od niechcienia:

t - Próchno

49

— Czytujesz pan to?

— Namiętnie. Kati, chodź no tu i podaj łąpkę... Niech no pan doktor spojrzy, tak tylko, dla ciekawości. Przecież to jest fenomenalne! U kobiet z tej klasy? U Niemki zwłaszcza!

Kati przedrzeźniała obcą mowę, zaśmiała się piskliwie i pobiegła za bufet. — Milczeli przez dłuższy czas. Borowski popijał z rzadka, wolno i obserwował uważnie trzech śpiących robotników, jak budząc się z drzemki rzucali od czasu do czasu dorywcze, opryskliwe zdania zmęczonych ludzi. Potem znowu przyzwał Kati do siebie i w smutnym zamyśleniu bawił się palcami jej ładnych rąk niby paczką zapalek.

Kunicki nie wytrzymał.

— Puśćże pan ją — zawołał. — Mnie to osobiście dotyka, w mojej godności ludzkiej. Przecież to człowiek, a nie mebel. Dziewczyna przy tym zmęczona; musi pracować osiemnaście godzin na dobę.

— Według wykazów statystycznych — dopełnił Borowski.

I kazał podać sobie drugą porcję absyntu. Gospodarz zbudził się wobec tego ostatecznie i przyszedł powitać gości. — Towarzysz? — spytał widząc gazetę w rękach Kunickiego. A otrzymawszy skinienie głową, przysiadł się do stołu i powtórzył te same, dorywcze, gburowate zdania, jakie wyszły przed chwilą z ust drzemiących wciąż robotników.

— Miał dawniej dom publiczny, teraz trudni się wyszynkiem i rewolucją — gawędził ze sobą Borowski, gdy gospodarz powrócił do swych robotników.

Spostrzegłszy zaś oburzenie Kunickiego, ni to zagwizdał, ni to zanucił:

— Cesi le peuple! le peuple! le peuple!...

Kunicki spostrzegł w tej chwili jakieś konwulsyjne drganie aktorskie w jego grymasie. „Oho — pomyślał — trze-

ba nam wracać. I ten gotów mi dać przedstawienie jubileuszowe".

— To zamiłowanie do brudów — rzekł głośno — łatwo wytłumaczyć: pan tylko tym żyjesz, że siebie usprawiedliwiasz.

— Staram się znaleźć trzeźwy, życiowy ideał: ideał społeczny.

— Cynizm groszowy. Złodzieje kieszonkowi mają go nieraz w lepszym gatunku. Dla mnie byłby tylko nudnym, gdyby nie... pańska żona, panie Borowski!...

On podniósł głowę i przysunął się bliżej z krzesłem.

— No? — pytał chmurnie.

— Biedna tylko. Nic więcej.

— Ba! — odrzucił się niedbale w tył.

— Zasługiwałyby na coś więcej niż na pańską miłość. Tymczasem...

— Jaką byś pan jej dał? Co by taki, jak pan, z niej uczynił? Szarej swej duszy wieczną samotnicę, dzieci swych milczącą niańkę, kariery swej czujnego psa. I czym pan taką potęgę, jak miłość, mierzysz? Paznokciem — zaśmiał się nerwowo w kieliszek. — Paznokciową miarą mieszczkańskiej solidności.

Kunicki cofnął się z niesmakiem.

— Chodźmy. To staje się zupełnie plugawe, ta opętana alkoholem monomania erotyczna Pańska głowa wypowiedziała się w życiu dostatecznie. Dla niej nie ma na świecie nic innego prócz kobiety.

; Nie ma! — krzyknął powaliwszy się pierśią na stół i schwycił Kunickiego za rękę.

— Dla wielu, dla bardzo wielu ludzi nie ma nic na świecie prócz ukochanej kobiety.

Ona jest im wszystkim! Jest żarem czynów, cierniem wytchnienia, gwiazdą nadziei, słońcem wiary w siebie; a przede wszystkim jest, jak cnota, sama sobie celem 1 2rodłem najwyższej na świecie rozkoszy.

— Dosyć! — krzyknął Kunicki zmęczonym głosem i wywierając gniew na syfonie wody odsunął go energicznie od siebie. — Dosyć!... I ciągle, i bez ustanku, i wiecznie tylko kobieta. Pan-eś mi je chyba na całe życie obmierzył.

— Słabyś ty ze swą wodą sodową!... Czy suchy pajak medyczny i tego nie rozumie, że trzy czwarte życia koło niej się obraca, że dla milionów jest celem trosk jedynym

— milionom przyobiecana nawet poza grobem — życia i śmierci władczyni!...

A utkwivszy swe mętne, przepaściste oczy gdzieś u pułapu, mruczał w szczególnym natchnieniu:

— ...na stopniach uświęconych ołtarzy! pod błogosławiącymi ramiony białych kapłanowi wśród kadzideł mirry! organów wysokiego grania i zawodzącego chóru tęsknoty do życia!...

Czknęło mu się. Głowa na sztywnym grzbiecie rzuciła się w tył. Opanował się jednak i zmógł, a białą jak kreda twarz pochylił nad kieliszkiem.

— Płacić! — krzyknął Kunicki i zerwał się z miejsca.

Borowski podniósł głowę i rozejrzał się błędnie naokół. Po czym uniósł się poważnie i* wyszedł sztywno na ulicę. Tu zachwiał się dopiero i w zmęczoną pierś wzionął z rozkoszą powietrze miejskie.

Szumiało miasto. Szły z dala tysięczne pogwary, turkot i głuche dudnienie, rozkołysane tu na przedmieściu w jakiś miarowy, senny takt. W tym rytmie sennego jakby walca falowała, zda się, i ta u czarnych wież gotyckich zawisała, jasna, żółtawa i zimna jak stal mgławica. Nieruchomo stała tylko rdzawa, niezmiernie głąb nieba, na której tu i owdzie z rzadka mrugnęła na chwilę mała żółta gwiazda.

Borowski słuchał i patrzył: wchłaniał w siebie szum i woń miasta. Kapelusz na tył głowy zsunął i zgarniał z białego czoła garście długich czarnych włosów. Chwilami się

zataczał i odruchowo wyciągał przed się ramiona. Wreszcie wsparł się o potężny słup lampy łukowej. Mruczał: majaczył czy też improwizował coś po pijanemu.

Kunickiemu przypomniało się nagle jego skomlenie na cmentarzu, gdyż oto do uszu jego dobiegł ten sam głęboki, żałośliwy głos. Słuchał:

— ...Lodem miasto w nocy zamarza, dla samotnych chłodne, dla cierpiących nielitościwe. ...Miasto w ciszy nocnej o gnuśnych zbrodniach tajemniczo gada, miasto wielomilionowe, zimne, ponure. ...Ja czuję puls twój chory, o miasto wielkie, ja, zgnilizny twej powiędły kwiat, ja, młodością mą zgrzybiały i gnuśny, ja, czarny twój kapłan, ja — aktor!...

Światło lampy łukowej przygasło nagle i rzuciło czerwone blaski. Zmogło się wszakże, bo z upartym sykiem rozplomieniło się po chwili w równej, chłodnej,

fioletowej toni.

Kunicki tymczasem spłoszył się zupełnie. „No — myślał — ten już chyba dostał obłędu pijackiego.” I oglądał się po ulicy, aby na wszelki wypadek mieć ludzi pod ręką.

Ale Borowski wnet opadł, zatoczył się, bełkotał:

— Doktorze, choć kieliszek koniaku jeszcze!

— Pan musisz chyba iść jutro do jakiejś pracy. Nie?

— Muszę — potwierdził bezmyślnie.

Lecz w tejże chwili zaciął się, począł walić laską o mur i wołać uparcie:

— Nie muszę, ale chcę... Z własnej dobrej woli chcę... Dla własnej mojej Zochny chcę... I nie przez sentyment, jak się w pańskiej głowie śni. Dla jej włosów złotych z wojska uciekłem, dla jej jasnego czoła pieniędzy chcę. Nie pracy. Ja pluje na pracę. O — tfu!

Stał na trotuarze sztywno i tak się na stopach kołysał, że Kunicki bał się, iż lada chwila twarzą lub potylicą o bruk uderzy.

52

53

— Doktorze — mówił po jakimś czasie, starając się koniecznie objąć Kunickiego za szyję. — Dok-torze! doktor jest nieszkodliwy pajaczek, na bardzo drobne i chore muszki w uniwersytecie ułożony. Doktor ma angielski cynizm, jest sobie matler of fact. Doktor zrobisz bajeczną karierę na higienie. Będziesz się cieszył szacunkiem u panów noszących flanelowe paski na brzuszku — i u społeczeństwa... Będziesz niepokonanym autorytetem w kwestiach kataru kiszek, impotencji obowiązującej, piękna, dobra i ideałów społecznych... Doktor ma głupią teraz minkę. Daj mi buzi, doktor...

— Ja doktora chcę w pysk pocałować! — rozgniewał się nagle, chwycił brutalnie jego głowę i wycisnął mu na ustach twardy pocałunek. — Nie pluj doktor, bo... Bo ja doktora kocham — dokończył niespodzianie w łagodnym spadku. — Ja kocham doktora — powtórzył jakby po głębokim namyśle, miękko i rzewnie, jak dziecko. — Ja tobie, słuchaj, doktor, wypowiadałem się jak histeryczka księdzu: z detalami. Ja tobie bramę do mego serca otworzyłem. A potem każę ci wleźć głębiej. Ja... O Jezusie Mario!... Weź mnie pod ramię i prowadź! Czarnej kawy za-fundui... Nie — stój!... Czekaj.

I stali tak razem przez jakiś czas. Kunicki nie puszczał go. mimo wszystko, wiedząc, że lada chwila runąłby na ziemię.

— Oh! — westchnął wreszcie Borowski. — Co też ja chciałem?... O czymże to ja?... Poczekaj, poczekaj!... O Zosi! Chcesz o Zochnie? A czemu milczysz, szelmo, jak pień? czemu nie gadasz, że chcesz o Zochnie?... Zochna ma takie ciało... I, nie szarp się, nie szarp! Przecież ja czuję — nie wiem, ale czuję — że ty na to za mną się wałaszasz, na to mych spowiedzi słuchasz... Ty szpiegu cudzej niktzemności, coś własnych uczuć nie wyszpiegował! Taki jak ty stać się może strasznym, gdy zapomni o karierze.

Kunicki odtrącił go od siebie. Instynktem kierowany, rzucił się Borowski między dwie kamienice. I tam rozwiął się ostatni przebłysk jego trzeźwości. Osłabł zupełnie, rozmawiał już sam ze sobą: opowiadał coś brukom miejskim o złotych włosach swej

Zochny.

— Znasz ty — mówił wyciągając w stronę Kunickiego bezwładne swe ramię z obwisłą dłonią — znasz tę polską bajkę o stratowanym przez świnię kwietniku? I tę francuską... Daudeta... Z mojego młyna — wykrzykiwał bezdźwięcznie jak echo, a dłonią twarz tarł, coś koło szyi nią poprawiał.

— O tym... mózgu złotym? — wykrztusił wreszcie z trudem. Szarpnął i zdarł kołnierz.

Kunicki podbiegł i schwycił go za głowę.

— O... o... Boże mój wielki!... O tym mózgu złotym... Po kilku minutach wytrzeźwiał nagle i niespodzianie,

jak stary pijak. Nastawił kołnierz palta, zapiął się starannie i powoli, grubą laską z ziemi zgarnął, kapelusz podniósł i głęboko na czoło nacisnął. Odchodząc spoglądał twardo i pochmurnie. Kunicki wyczytał w tym spojrzeniu nienawiść. I nie zdziwiło go to wcale.

Rozeszli się i każdy poszedł w swoją stronę. Kunickiemu huczało w głowie jak w młynie. Wszystkie myśli tonęły w nieokreślonej, fizycznej wprost niechęci do tego człowieka. Miał do niego tę nieświadomą odrazę, jaką czuje chart do wilka, jamnik do lisa, ptak polny do kukułki: nienawidził w nim obcego, wrogiego sobie, drapieżnego gatunku.

a wiru niejasnych wspomnień wypłynęła nagle jedna dziwaczna myśl:

„On teraz, w tejże chwili, kamień podnosi, zamierza się... celuje...”

Zwrócił gwałtownie i zbliżył się do niego.

— I na co pan czekasz? Czemu pan do domu nie idziesz?

Borowski wywijał laską.

-1 Chciałem jeszcze... - zaczął niepewnym głosem. Uśmiechnął się jakoś cierpko, dłoń wysunął i skurczył

Pa!T'Rubla masz? To jest, właściwie - pożycz mi doktor markę.

_ Pić pan będziesz? ,

_ Bóg widzi, doktorze - coś zanadto dziś cięży. Nie udźwignę po trzeźwemu.

K. unicki począł się bać jak ognia tych chwil, gdy myśl umęczona pracą a nie przykuta do mechanicznego zajęcia ponosiła go w dziedzinę wspomnień. Bał się tych cichych, smutnych wieczorów przy bladym świetle lampy. Wówczas czuł, że w duszy jego nurtować coś poczynia, jak w tych źródłach letnich, co z głębokich warstw idąc czasami się wzburzą i zapienia, świadcząc tylko, że tam gdzieś w głębi czyhają obce potężne siły. Oto na kartach książki, uporczywie trzymanej przed oczyma, rysują się jakieś bezładne obrazy, wyzierają z nich postacie zagadkowe i bolesne. Widzi dziewczynę zbiegłą od rodziców i wyczekującą w ulewie na to, by do nóg rzucić się łotrowi, bo ta najstraszniejsza krzywda, jaką wyrządzić można kobiecie, przykuwa niejedną na całe życie do nóg mężczyzny: położy się przed nim jak pies czujna i zazdrosna o jego miłość. I o ileż czystsza, większą, głębią uczuć mocniejszą jest ta niewolnicza dusza od serca swego władcy! Lecz oto jej kat staje się jej całopalnej ofiary uświęconym kapłanem. Kunicki widział w tej chwili wielkiego aktora, dającego bezsłownej i niemej rozpacz dziewczyny męski dźwięk buntu i zatrzymującego setkom ludzi oddech w piersiach.

Z kolei przypomniały mu się te rozluźnione w aktorstwie dusze: starzec rzucający z ustępu Tobiaszowe przekleństwo i wieszający się w aktorskim szale oraz dziedzic jego talentu i zgnilizny, który, w braku udzielania się w aktorstwie na zewnątrz, spala się w żarze własnych namiętności. W tym miękkim zapachu zmysłów, w odurzającej,

57
lubieżnej woni, w gorących wyziewach alkoholu niszczał i przepadł człowiek. Lecz oto, jak Feniks z popiołów, powstaje aktor i w braku nowych ofiar staje się kapłanem własnego całopalenia. Kunicki przypominał sobie, już nie z odrazą, lecz wprost ze strachem, te jego hymny na cześć miłości, te tęskne wycia do gnębiącego go potwora miasta.

Dalej odżyły mu w pamięci kłębiące się ogniem kominy fabryczne, głuche tajemnicze świstki na ciemnych przedmieściach, postacie ospałych i ciężkich jak młoty parowe robotników oraz gnuśnego lichwiarza, radykalizującego trywialnie opitym głosem.

Piosnka anarchistycznej Carmagnoli ocknęła się nie wiadomo skąd w pamięci; na inne słowo, lecz tą samą melodią i taktem dokuczała uparcie myślom:

C'est la vie! la vie! la vie!

A ciemny kąt w głębi pokoju dziwnie pociągał wzrok; tam stała niema, niby wyczuta obecność ludzka, szeroko otwartymi oczyma wpatrzona samotność.

Zgiełk uliczny tłumiała noc; od czasu do czasu zerwał się jeszcze gdzieś w dali i tonął w ciszy tak nagle, jak niespodzianie wybił się ponad nią. Ucho chwyta jakiś gwar pomieszany, jakiś turkot głuchy, tętent pośpieszny; chwyta i łowi je na próżno: ucichły, utonęły gdzieś w ciemności i ciszy. Uwagę zaniepokoją raptem ludzkie głosy: coś jakby okrzyk grozy, wołania o ratunek, tajemnicze hasła, przerzucane gdzieś w dali. Echo niesie z drugiej strony szczątek pijanego śmiechu, skłóca, miesza te odgłosy, a wielka cisza wieczoru tłumi wszystkie pogwary.

Idzie ktoś po schodach: stąpa ciężko, powoli. „Jak wyraźnie słyhać dziś wszystko — dziwi się Kunicki. — Własne westchnienie wydaje się niemal jękiem.” Idzie: schody trzeszczą. Zatrzymuje się. dyszy ciężko. Waha się, czy za dzwonek pociągnąć. Niesie zło czy dobro? Co przychodzi zwiastować?

Czekać każe na siebie. I niecierpliwi. Jezus Maria, jakże rozdrażnia! Dzwonić prędzej!

Schody trzeszczą: ktoś wolnym, starczym krokiem drapie się o piętro wyżej.

Kunickiemu coś piersi podnosi i stłacza znowu w westchnieniu. A z ciemnego kąta pokoju patrzy, zda się, zimna, badawcza, zadumą smutna melancholia — jak ta na sztychu Diirera, co globus, księgi i teleskop na bok odłożywszy zapatrzyła się w skupieniu w duszę ludzką.

I gdy stokrotnym tłumem milczące pająki Snują zabójcze sieci...

przypomniało się Kunickiemu. „Skąd mi to nagle do głowy przyszło?” — dziwi się sam sobie. Szuka w myślach przyczyny tego smutku, co ołowiem zaciężył mu na piersiach, i znajduje tylko jedną odpowiedź buntu: „Ja nie chcę, ja nie potrafię być sam ze sobą.” Instykt zwraca mu myśli w stronę zajęć codziennych. I oto z kart książek medycznych, z kamiennych szuflad szpitali, w które zaglądał zwykle z taką obojętnością, wyrzały twarze żółte, zapadłe, suche, z okropnym strachem śmierci w rozszerzonych źrenicach. „Wesprzyj się na nas. wesprzyj! Wszak tą drogą, kosztem

najmizerniejszego kalectwa doszedłeś do poczucia twej wyższości, dorobiłeś się marsa poważnej zadumy."

Tymczasem wiatr idzie ponad miastem: syczy z dala jak raca, lada chwila skłębi się, zburzy, w szyby zadzwoni, oknami zatrzęsie. Lecz oto syk ten ani w dał się nie ponosi,

ani zawierucha nie pęka: łamie się, tonie, grzęźnie wśród ciszy.

Na stole pali się świeca tylko, o ceglasty jej płomień tłuką się ćmy. Słuch Kunickiego zapada w tę pustkę i ciszę, czai się w półsennym odrętwieniu, czuwa niezmordowanie i w tejże chwili wydaje mu się, że ktoś za nim stoi: czyjeś miękkie dłonie chłodzą mu czoło, ktoś się nad nim

58

59

pochyla, owionęło go ciepłe tchnienie, słyszy własny swój oddech...

Zerwał się i zgasił świecę. Za chwilę szedł, a raczej biegł przed siebie, byle w tłum, byle między ludzi!

Niebawem znalazł się w parku. Ale i tu były pustki. Po długich alejach wałęsały się jakieś ciemne i gnuśne postacie, których cienie nawet miały w sobie coś podejrzanego. Zaś po ławkach, gdzie spojrzeć — znieruchomione w cieniu, w siebie wtulone i zaszeptane pary.

Kunicki poczuł nagle niewypowiedzianą odrazę do tych ludzi, do których tak gorączkowo garnał się przed chwilą. Osunął się na ławkę, nastawił kołnierz i zapadł we własne myśli. Od czasu do czasu nietoperz, zmyliwszy w górę drogę, spadał mu kulą przed twarz i zrywał się sprzed oczu jak czarny upiór. A ciężka głowa chyliła się coraz niżej w jakiś bezdenny, niewypowiedziany smutek.

Wyszumiały mu go wreszcie drzewa; tak niedawno czytał:

Samotnyś. Błądzisz. W wyobraźni chorej Rój dziwnych widem myśli twoje niańczą,
Zdasz się sam sobie duszą wywołańczą, Od której pierzcha tłum w ucieczce skory.
I mroki zwolna w duszę twą się sączą, Gaszą w niej wszystko, tłumią swą opończą, I
pustka wielka zalewa ci łono. Nawet marzenia, które życie złocą, Pierzchły jak ptaki.
Z głową opuszczoną" Szepczesz bez myśli: „Po co wszystko? po co?"

...I znów tylko wilgotne poszumy drzew, i ten głuchy, ciężki gwar miasta z daleka.

Czujne ucho chwyta nagle szmer odmienny, cichy, jakby lekkie, pospieszne stąpanie. Żwir zaszeleścił — a jemu serce młotem w piersiach zabiło... Ktoś podchodzi, ślania się nad nim, chłodne, miękkie dłonie obejmują skroń...

Boże mój, Boże!...

60

I

Spod ławki wysunął się kot o grzbiecie w pałak zgiętym i twardo wystawioną kitą ogona. Na stężonych jakby nogach szedł sztywno, błędnie, świecił ogromnie rozszerzonymi ślepiami i włókł za sobą wielki, potworny cień. Kunicki uderzył kijem to czarne lichy. Kot skoczył w kierz i rozległy się niebawem przeraźliwe, ochryple, gardłowe syki, a potem jakby beznadziejne szlochanie dzieci po ciemnym parku.

Koty darły się po kątach.

A gdy one ucichły, rozległ się z pobliskiej ławki głośny pocałunek i szept stłumiony, duszny. Kunicki miał ochotę podejść tam i bić, bić, co sił starczy.

Jezus Maria — jakież to wszystko wstrętne!

Powiał znowuż wiatr wilgotny, niosący z sobą miękką woń świeżo zoranej ziemi.

Wiosna — przypomniało się Kunickiemu.

Za chwilę był w kawiarni.

Tu przynosił zwykle ciężkie brzemie samotności i w ogromnej potrzebie ludzi wchłaniał w siebie wielki gwar obcego życia. Cichy i niewidoczny na uboczu, leczył się jak chore zwierzę widokiem gromady; zbiedzony, przybity smutkiem, zapominał o sobie: ginał, rozpraszał się, wsiąkał w tłum wielkomiejski.

— Pesymizm? Pesymizm? — rzucił niedbałe pytanie ktoś tyłem do niego zwrócony i pochylony nad bilardem. Poznał znajomego dziennikarza Jelsky'ego, „trochę Polaka”, jak zwykł mawiać o sobie. Widywał go u Borowskich.

— Gorzej — wstręt — odparł.

— Na podkładzie sentymentu może?

— Nieomal.

— Takich wzruszeń doznaje się tylko w małżeństwie.

— Pan uprawiasz cynizm zawodowo, metodycznie.

— Wiatr wiosenny owiał pana sentymentem — zaśmiał się Jelsky i przysiadł się do niego z kijem bilardowym w rękę. — Widzisz pan, oburzanie się jest niedołęznym

61

seplenieniem ludzi sentymentalnych, sentyment mową kariery w powijakach, cynizm jej pieśnią łabędzią. Jesteś więc pan sam na najprostszej drodze do cynizmu.

Podobał mu się widocznie frazes, gdyż ukrywając uśmiech, zapalił papierosa.

— Toteż — mówił dalej, smakując równie w papierosie jak w swej złośliwości — toteż z uwagi na pańską niechybną karierę oraz na obiecujący jego sentyment radzę panu czym prędzej...

Dokończył mu na ucho.

— Kobieta.

Łagodząc zaś swe powiedzenie, uściśnął go za rękę.

— Allons, petit bourgeois — zawołał chwytając go pod ramię — przedstawię pana mej przyjaciółce.

I nieomal przemocą zaciągnął Kunickiego w drugi koniec kawiarni.

— Nazywamy się Liii — rekomendował — nie tyle ze względu na dziewiczość, ile na bajeczną płeć.

Kunicki znalazł się w ten sposób, wbrew woli, u stolika dziewczyny młodej, niebrzydkiej, o dziwnie białej cerze i ogromnie czarnych aksamitnych oczach.

— Panna Liii — mówił wciąż Jelsky — ma w sobie coś ze storczyka: *Cephalantera alba*.

— Także komplement — zaśmiała się piskliwie — musiałabym chyba szukać w *Lexiconie*.

Jelsky schwycił przewijającego się tuż obok *piccola*.

— Mały, *Lexicon* dla panny Liii. Litera C.

Ale Kunickiemu nie do pustych było gawęd. Toteż rad był, gdy Lili odeła się poważnie, podejrzewając, że obaj przyszli po to tylko, aby z niej zadrwić. Powrócili na swoje miejsca.

— Oh, żebyś pan wiedział!... — skarżył się za powrotem Kunicki.

— Wiem i widzę, żeś pan swym sentymentem zajechał

62

r

na ślepe szyny. Hamuję, pcham z powrotem na rozsądną drogę kariery; robię, co mogę.

— Pan mi dziś karierą tak dokuczysz! Mój panie, dlaczego pan jesteś dziennikarzem, a nie filantropem?

— Ponieważ to metier jest najmniej odpowiedzialnym.

— Aha! Ale pan-eś w kawiarni jak u siebie w domu?

— Mieszkam — odpowiedział z filozoficznym spokojem i pilnikiem kieszonkowym począł szlifować sobie paznokcie. — Z obowiązku, z fachu. W kawiarni robi się dziś kultura. Nawet prorocy nie każą dziś na górach, tylko po kawiarniach.

Rzucił okiem na gazetę i swym pilnikiem wskazał niedbale jeden ustęp.

— Jest tu nowy żer dla pańskiego sentymentu i nowe kastalskie źródło wstrętu... Oj, te idee, te idee! Wraca skądciś banda obieżysasów galicyjskich i wiezie piękne gościńce kultury do swej ojczyzny. Jeden w drugiego! powiadam panu. Jeden w drugiego! kobiety! dzieci nawet!

Kunicki nastawił uszy.

— Boże wielki! to ich nie można puszczać tam — do kraju.

— Więc ich wyrzniemy — konkludował flegmatycznie dziennikarz nie przestając szlifować paznokci.

A po dłuższej przerwie, jaka okazała się konieczną przy tej operacji, ziewnął i rzekł:

— Powinieneś się pan czym prędzej wyleczyć z tego świerzbu społecznego. Zostaw pan tłuczenie o mur twardszym głowom, a bity komunałami trakt idei pospolitszym owcom! Me! me! jak źle jest na świecie.

— No, dobrze! — szarpnął się Kunicki, rad, że mu ktoś pomoże do wgadania się w przyczynę dzisiejszego smutku. — No, dobrze! Leczyć ludzi z niesmakiem i obojętnością, patrzeć co krok na zbrodnie i potworność życia, oddychać zatechłym powietrzem nędzy i cierpienia... I to wszystko razem nazywa się?...

63

— Zadowoleniem ambicji tylko. Poza tym, jest się, chwalić Boga, jeszcze człowiekiem i można...

— Grywać w bilard.

— Chociażby.

— Albo pić.

— I to nie jest do pogardzenia. W picciu jest zupełnie ta sama mądrość, co i w życiu: złudzenia. Oczywiście nie każdy pije na to tylko, aby z Bachusem wywracać koziołki.

— Przypuśćmy, że nie pijam.

— Ależ się pan objuczył pryncypiami. Prędzej czy później taki pociąg towarowy wykoleić się przecie musi. Nie pijasz pan? Tym bardziej należy pamiętać, że tam oto siedzi Liii i nudzi się nad Graphicem.

— Pozostawiam ją panu.

— Dziękuję za dziś — odwzajemnię się jutro. Poza tym, o ile pana interesują problemy życiowe... (Jelsky wciąż oglądał swe paznokcie) poza tym, lekarz na

przykład może leczyć uczciwie, ile że nie ma powodów, dla których człowiek inteligentny miałby coś robić niesumienne. Dalej, można czytywać książeczki nie jako katechizmy komunistyczne, lecz jako mowę nowego umysłu i nowej duszy, z którymi w kawiarni nie zawsze spotkać się możemy. Na koniec można rozglądać się po świecie, co bywa ostatecznie najzabawniejszym.

— I to wszystko?

— Można jeszcze...

— Zająć do kawiarni — zaśmiał się nerwowo Kunicki. — Oto do czego sprowadziła się u was zagadka życia.

Jelsky zajął się tymczasem przeglądaniem jadłospisu.

— Można jeszcze... — powtórzył.

— No?

— W łeb sobie strzelić, o ile ktoś kwestię swego przyjscia na świat wziął zbyt poważnie. — Nie podnosząc głowy

wywrócił ku Kunickiemu białka oczu, uśmiechnął się kwaśno i dodał:

— Im bardziej szarym jest czyjeś życie, tym większa śmieszność w takim zakończeniu.

Kunicki gryzł i szarpał w zębach munsztuk od papierosa.

— Szare życie, szare życie — bąkał. — Szary, przeciętny, nieomal zbyteczny! — wybuchnął w nagłym rozdrażnieniu. A ręka mu się trzęsła, gdy ją do papierosa podnosił.

Jelsky teraz dopiero podniósł głowę. Twarz wyciągnęła mu się wyrazem zdziwienia.

— Panie — wołał tymczasem Kunicki — dzisiaj ci szarzy ludzie zanadto uświadamiają sobie życie na samym już wstępie. Znają nie tylko maksimum tego, co osiągnąć mogą, ale i to całe morze małych fałszów, lichych komedij, mizernych podstępów, aprobowanych podłości, jakie przepłynąć muszą. Cel ich niezbyt pociąga, a droga nazbyt odraża. I to jest tragedią szarych ludzi.

— No — „tragedią”! — skrzywił się Jelsky.

— I pan chcesz im odebrać jeszcze wiarę w obowiązki społeczne, w ideały. Trzeba im te zostawić, chociażby...

— Chociaż dopóty, dopóki im skóra nie stwardnieje. Potem cisną tę tarczę sami, na głowy młodszych. I to z rozmachem wielkim. He?

Kunicki wpadł już w pasję.

— Więc czymże, czym mam się bronić przeciw temu smokowi wszystkich improduktów, co na mnie nałazi i ziewa mi w twarz smutkiem życia, nudą, pustką... O tak, pustką! Zresztą, nie! Ja ciągle jeszcze nie o tym mówię, co mi dolega. Mnie dławi, oczadza, dusi po prostu niesmak, obrzydzenie i wstręt do wszystkiego!

— krzyknął niecierpliwie, zerwał się i schwycił za kapelusz.

— Wiosna — westchnął melancholijnie Jelsky zakładając serwetkę za kamizelkę.

64

5 — Próchno

65

Podaną sobie dłoń zatrzymał jednak w ręku.

— My wszyscy tak intensywnie odczuwamy dziś wiosnę! Wiedzą coś o tym restauratorzy miejscy. Jest to najstosowniejsza pora, aby pić.

Siłą niemal posadził go przy stole i nalał mu kieliszek wina. Kunickiego rozbrajał zupełnie ten jego spokój.

— Ja nie jestem przyzwyczajony... Chociażby dlatego.

— Głupstwo! — Jelsky zabrał się ze smakiem do kolacji. — Pan nie pijasz — wywodził przy tym — ponieważ to wytwarza podobno rozszerzenie serca, nazywacie to cor bovis. Ale wierz mi pan... (Jelsky nie znalazłszy czegoś przy nakryciu zadzwonił w talerz) wierz mi pan, stokroć gorzej nie pijać, nie szaleć, nie umieć stawiać życia na jedną kartę i wołać: va banque! To wytwarza z czasem cor ranae, serce żaby...

Kunicki patrzył ze zdumieniem na jego krzętny apetyt w tej chwili.

— Szaleć? Na kartę?... Pan chyba miał Speisekarte na myśli.

— Oho — skrzywił się Jelsky. — Ja nie wrzeszczę i nie szarpie włosów jak pan, tylko rozumiem. A to nie przeszkadza mi jeść... Z takim sercem żaby gorzej żyje się na świecie — żadne uczucie już się w nim nie zmieści.

— Uczucie?! — powtórzył Kunicki jak wprzódy. Wzruszył ramionami i bezwiednie zupełnie, jak w złości, podniósł kieliszek do ust.

— Miłość — tłumaczył dalej Jelsky — miłość, co słońca wesela winna zapalać nad głową, rzuca takim ludziom tylko cień goryczy, obrzydzenia i wstrętu na jałową codzienność. — Hej, jakaż to znana nuta... Gdyby najada, zbudziwszy się gdzieś w górskim uroczysku, huknęła: „kocham!” — echo z dolin ludzkich przyniosłoby jej wołanie: „jałowość, nuda, gorycz!” Gdyby Prometeusz skruszył górę i grzmotem obwieścił ziemi: „Bracia, zerwałem kajdany, po nowy idę dla was ogień” — echo odpowiedziałyby: „gorycz, obrzydzenie, wstręt!”

Jelsky napił się wina, otarł usta serwetą, odstawił talerz i gestem nakazał przynieść sobie następną potrawę. Kunicki powtarzał w myślach: „miłość”, „najada”, „Prometeusz”, „kajdany”, „płomień”, powtarzał przy tym mimo woli z tym samym smakowitym akcentem, z jakim wygłoszone były te słowa. I wytrzeszczał już tylko oczy na Jelsky'ego. A potem znowu pociągnął z kieliszka.

Jelsky zaś prawił:

— Spójrz pan, ile tej goryczy, ile śliny i jadu na wszystkim, czego się dotknąć, na co spojrzeć... (prosit, prosit!... pij pan śmiało!) do czego przywiązać by się chciało. Od takich właśnie ludzi ta ślina, ten jad ropuszy pochodzi. W żabich serduszkach nie zmieściło się umiłowanie społeczne.

— Umiłowanie społeczne!?!... Pan żartuje?

— Mówię, umiłowanie społeczne nie mieści się dziś w marnych, skarłałych sercach. Zaledwie wciśnie się w nie doktryna. I oni, oni to właśnie każą nam wierzyć w ideały.

— W ideały!?!...

— Niewątpliwie! Przy każdym rozdrożu stoi taki właśnie drab z maczugą w ręku i woła: „Idź tą drogą — a nie, to po pysku!”... Czyż to nie ironia życia?

— Ironia?... Ha! ha! Tak, tak — to wszystko racja, co pan mówisz. Ja to czuję. Ha! ha! Ironia! — Pan-eś mnie zaraził apetytem. Zjem chyba kolację i wzniosę się na wyżyny filozofii spokoju... Nie, po coś mi pan wmawiał to wino? Ha! ha! Ironia... Kunicki po jednym kieliszku poczuł już obezwładnienie w członkach. Ciężką głowę

wsparł na łokciu i zapatrzył się na Jelsky'ego.

— Ja pana nie rozumiem wcale — rzekł nagle poważnie. — Zresztą, głowa mnie boli. Ha! ha! Nie — to ironia! — i znów śmiać się począł.

66

67

— To szkoda, bo ja pana znakomicie rozumiem.

— Ja boję się pana — boję się, jak czegoś zupełnie obcego. Zresztą — nie, ja nie jestem pijany! — zresztą, wierzę, iż pan wszystko wie. Mój panie, niech mi pan powie, co się ze mną stało ostatnimi czasy? co za chmura stanęła nade mną?

— Czyś pan aby pewny, że to chmura? Czy to czasami nie słońce? A ten cień pod nogami, czy nie jest przypadkiem cieniem własnej osoby?

— To jest wyrocznia delficka.

— Powiem dalej jak Pytia: jeśli w żabie serduszko wciśnie się uczucie wielkie, runie obiecująca kariera.

— Pan mnie chyba nie posądzasz? — Kunicki zakrył grymas czy też uśmiech łykiem wina.

— Posądzam, i to bardzo! My wszyscy tak intensywnie dzisiaj kochamy! Wie coś o tym Liii i towarzyszki, te skarbonki naszych uczuć.

Kunicki zerwał się z miejsca, ale usiadł natychmiast. Ciężką głowę wsparł już nie na łokciu, lecz czołem na stole. Próbował się roześmiać w obrus i nagle rozplakał się cicho, rzewnie jak dziecko.

— Nie — mówił potem, ocierając łzy kułakiem — po coś pan we mnie wmawiał wino? Takie tęgie wino? Ja mam słabą głowę... Po coś pan ze mnie zrobił sobie małą?...

Kunicki zaczął się wprost niepokoić o siebie. W kilka dni potem, po nieudanej operacji, dostał spazmów wobec licznych świadków — musiano go cucić.

Operowano młodą czeską robotnicę z fabryki zapalek. Dziewczyna, wystraszona zapachem jodoformu i widokiem tyłu mężczyzn w białych fartuchach i zakasanych rękawach, wpiła się jak rak w rękę Kunickiego. Wśród tych obcych ludzi z nim jedynie mogła się jako tako rozmówić. Uspokajał ją, jak

68

umiał. Opowiadał, że jej krzywdy przecież nie zrobią; przeciwnie, dadzą piękną srebrną szczękę zamiast brzydkiej spróchniałej kości, że tego nikt potem nie spostrzeże, a każdy powie: „Ah, jak wyładniała ta...”

— Jak ci na imię?

— Mianuje se Zofie.

— No widzisz — Zochna...

Przyszedł profesor i zanim nałożył maskę, pogłaskał ją po włosach.

— Patrz, jak ci do twarzy w białym. Potem będziesz się mogła nawet w lustrze obejrzeć... No, nie bać się mała — nie bać!

Nic nie rozumiejąc, uśmiechnęła się do wszystkich jak do rodzonych ojców. I wszyscy, ilu ich było, odpowiedzieli jej przyjaznym skinieniem głowy. Studenteria zaroiła się na amfiteatrze. Kunicki miał pilnować pulsu tej ręki, która wczepiła mu się w dłoń. Głaskał tę skurczoną strachem dziecięcą rękę i szeptał wciąż:

— Nie bać się, Zochna, nie bać!...

W miarę jak zasypiała, uścisk palców stawał się coraz mniej kurczowy. Już się rozchylały zupełnie, gdy w ostatniej chwili przytomności uścisnęła mu rękę krótko i rozumnie: jakby dziękowała mu za dobroć i prosiła, by nie odchodził.

On baczył już tylko na jej puls — o niej zapomniał niemal zupełnie. Naprzeciwko trzymał asystent drugą rękę. Profesor operował przez głowę chorej. Na jej piersiach postawiono lustro i trzymano skośnie przed operatorem. Asystenci chwyтали pesetami, niby ptaki dziobami, rozszczepione płyty skóry i rozciągali je na bok, oraz wycierali krew pękami waty. Było cicho. Słychać było tylko szcęk narzędzi, ludzkie oddechy i jakiś kaszel na amfiteatrze.

Po chwili Kunicki drgnął — drgnął bezwiednie uprzedzającym instynktem niesłychanie czujnego zwierzęcia,

jaki przy podobnej pracy i człowiek nawet zdobyć sobie musi. Rzucił bystre, pytające spojrzenie na asystenta naprzeciw. Ten już na niego patrzył. Obaj przenieśli wzrok na profesora. Ten już o wszystkim wiedział. Już odkładał narzędzia, już wielką pęsetą wyciągał chorej z gardła język, którym się dławiła. Nie pomogło to jednak. Zaroilo się przy stole. Pośród audytorium znalazło się nawet zwierzę, które w tej chwili parsknęło śmiechem. Przebito chorej gardło, by wywołać sztuczny oddech. Lecz i tracheotomia nie pomogła.

Co dalej było, Kunicki pamiętał zaledwie jak przez mgłę. Wiedział, co mu czynić należy. Podnosił naprzód jedno ramię chorej, potem dla ujednostajnienia ruchu wyrwał i drugie asystentowi. Podnosił je i opuszczał miarowo w ten równy takt, w jakim profesor uderzał w piersi chorej. Zamienił się w maszynę: pracował bez wytchnienia minuty, czy godziny — tego nie pamiętał. Pompował wtedy jeszcze, gdy audytorium opróżniło się zupełnie; podnosił i opuszczał bezwładne ramiona, gdy inni odeszli już od stołu; pracował i wtedy jeszcze, gdy ktoś złym i zniecierpliwionym ruchem kazał mu wreszcie zaprzestać. W końcu odepchnięto go niemal. Przełożono ciało na wózek, narzucono na nie prześcieradło i odwieziono do trupiarni.

Obowiązkiem Kunickiego było przeliczyć narzędzia i zebrać je do wanienki siatkowej. Gdy się tym zabawiał, poczuł nagle zawrót głowy. Cofnął się do pierwszej ławki amfiteatru i osunął się na nią wcześniej, niżli się zamierzał. Ogromnie białe i łagodne światło zasnuło mu wszystko przed oczyma białą mgłą. Ktoś z bliska stojący usłyszał najwyraźniej, jak szeptał: „Nie bać się, Zochna — nie bać!...” Zachłysnął się, ujął za głowę i dostał najprawdłowszego spazmu.

— Vapeurs! — stawiał z francuska łatwą diagnozę jakiś student z głupia frant.

Ludzie byli mu wdzięczni za ten humor. Przy sztucznym nieco śmiechu załatwiono się bez trudności z bagatelną sprawą Kunickiego.

Już zdjął fartuch i nakładał mankiety, gdy wpadł jak bomba asystent i zawezwał go do profesora.

— Dobryś! — rzekł Kunicki. — Tym spazmem zarzynałem się na śmierć w jego oczach.

I z duszą w piętach wstępował do gabinetu.

Profesor zdążył również pozbyć się fartucha. Naokół nie było ani śladu odbytej przed chwilą operacji. Siedział przy biurku i notował coś pośpiesznie. Ruchem złym i zniecierpliwionym wskazał mu krzesło.

— Ja tu już od kilku dni mam pana na oku. I dziś patrzyłem przed operacją... Chociaż

muszę przyznać, że jako lekarz sprawowałeś się pan nieźle.

Skończył pisać, położył z impetem pióro i zwrócił się wraz z krzesłem do Kunickiego.

*~ Ale co znaczą spazmy? Skąd spazmy? Ja już zaczynałem pana szanować za „brak nerwów”. Muszę panu powiedzieć, że upatrzyłem go sobie na asystenta. Więc mam zawód!... — syknął. — Pozwolisz się pan zbadać?

— Ależ ja, dalibóg!...

— No, no, no!...

Zbadał, opukał, a nic nie znalazłszy, wzruszył ramionami.

— Masz pan jakie zmartwienia?

— To jest właściwie... konkretnych... Chyba żebym... jeszcze...

— Jeszcze?

Profesor, poprawiając okulary, zasłonił twarz dłonią.

— Radzę wyjechać na trzy tygodnie. Gdzie bądź... Cygaro, panie Kunicki?

— Dziękuję uprzejmie... Nadzieja asystentury...

— Nie o to idzie. Chciałem panu powiedzieć, że... Hm! Wydał wargi, gładził długą brodę, wreszcie:

70

71

— Z małżeństwem nie należy nigdy zwlekać! — wypalił mu prosto w oczy.

Kunicki stanął jak w ogniu.

— Ależ... dalibóg!...

Ujął go za obie ręce, uścisnął i odprowadził do drzwi.

— Ja umiem tylko radzić. Niedyskretnym być nie potrafię. Żegnam pana.

Z wielkim profesorskim cygarem w ustach szedł zadumany przez ulicę. A że myśli były bardzo przykre, węzeł stawał się beznadziejnie zawiłym, więc — uczył nagłą potrzebę napicia się czarnej kawy.

Gdy wracał do domu, gniewał go ścisk na ulicach, zmuszający do wolnych, ślimaczych prawie ruchów i bezcelowego oglądania obojętnych twarzy. Przy sposobności zauważył, że ten i ów, mijając go, uśmiechał się nieznacznie, jakby chcąc powiedzieć: „Oto idzie znowu jeden z tych, co to mają lekkiego fiołka w głowie.” Uśmiechali się oczywiście komiwojażerzy, ci zawsze z siebie zadowoleni, „najnormalniejsi” ludzie w mieście. „Ja wśród aniołów w niebie odróżnię chyba duszę, która na tym padole płaczu była komiwojażerem — zemścił się na nich myślą Kunicki. — Swoją drogą, muszę być bardzo rozdrażniony i wyglądam prawdopodobnie dziwnie. Ah, ta kawa, to cygaro obrzydliwe!... Zresztą, to jest jasne: rozdrażnienie wywołuje szybkie, gwałtowne, ostre ruchy, w tym tłumie ślamazarnym muszę wyglądać, oczywiście, jak mucha w pajęczynie.”

Gdy skręcił na swoją ulicę, ścisk uczynił się na chwilę jeszcze większy. Usłyszał za sobą cichy, krótki dzwonek. Ludzie się rozstępowali, dwie baby przyklekły nawet na trotuarze. Kunicki zdjął czapkę, co tu widocznie nie było we zwyczaju. Przechodzący tłusty jegomość znowu się uśmiecha z poczuciem wyższości solidnego człowieka, któremu interesa dobrze idą. „Ty bydlę niskie!” — myśli Kunicki i korzystając z wolnego miejsca za księdzem, postępuje tuż za nim. Ludzie najwyraźniej przypuszczają, że to on księdzka do kogoś

srowadza. Jakaś baba podbiegła nawet, by zagadnąć, do kogo.

„Ja muszę mieć ładną minę, jeśli pasuję nawet do takiego rodzajowego obrazka. Ależ traf szczególny, żeby akurat do mego domu szli... I na schody moje... Co, u diabła!... Czyżby na drugim?... Trzecie!...

Baba!... Oczywiście baba. Ale cóż by jej tak nagle? Z czego?

A co? Dzwonią..."

Otworzył obcy człowiek w mundurze warty sanitarnej. Kunicki zaniepokoił się już poważnie. Ksiądz pyta, do kogo. Kunicki, stojąc o pół piętra niżej, nadstawia uszu. Tymczasem nie chce mieszać się do niczego. Poczekaj.

— Do młodego pana — brzmiała odpowiedź. „Co!?”

— Kto taki? — pyta ksiądz.

— Student.

Kunicki chce w pierwszej chwili krzyknąć przeraźliwie. Ale się słania, za poręcz chwyta i ściska ją z całych sił. Lewą dłońią po ciele wodzi, szarpie spotniałe włosy, szczypie się w wargę. „Nie, ja przecież nie śpię. U Boga — co to jest!? Co to wszystko znaczy?” Chłopak kościelny zadzwonił raz: cicho, króciutko, jakby przez nieostrożność.

— Niech będzie pochwalony — obcy, cichy, zapłakany głos, gdzieś w głębi korytarza.

— Na wieki.

Ktoś klęka tam w głębi korytarza. Szłocha. Jak strasznie szłocha!

— Wypadek? — pyta ksiądz człowieka w czapce z od-wachu sanitarnego. — Przytomny?

— Bardzo mało — szepcze ktoś basem. — Samobójstwo.

Ksiądz cofa się od progu.

72

73

Wypada młoda kobieta z głębi i buch! księdzu do nóg. „Jak ona strasznie upadła!” I szłocha. „Chryste, jak ona szłocha!”

Kunicki puszcza poręcz schodów. Preży się jak struna, zaciska pięście kurczowo. Nie da się halucynacji. Nie da się nawet obłędowi, jeśli to jest obłęd! On tu jest — nie tam! Nie da się. Woli ma jeszcze trochę.

Zimny pot strugami zlewa mu twarz.

Przeskakując po kilka stopni, pędzi na dół. Instykt zachowawczy woła w nim bezładnie: „Dorożka. Z powrotem do profesora. Szpital. Osobny pokój... I cisza, cisza wielka. Z początku morfina, a potem cisza i spokój tylko... Musi przejść... Aby tylko dorożka!”

Wyskoczył z bramy aż na środek ulicy. I tu się dopiero obejrzał. W imię Ojca, Syna i Dutha!... Numer trzydziesty ósmy.

O dwa domy za daleko!

Otarł chustką pot z twarzy, poprawił kapelusz, zapiął palto i zagryzając wargi, aby się nie trzęsły, zawrócił pod numer trzydziesty czwarty. Obejrzał swój dom uważnie i porównał go z tamtym. Podobne oczywiście jak bliźniaki, a jednak trzeba być bardzo roztargnionym. Oj, ta czarna kawa, to cygaro!

W domu zastał swą gospodynię w niesłychanym podnieceniu.

— Wypadek był w sąsiedztwie — wołała od proga, a raczej wymlaskała z prawdziwym smakiem.

— Wiem.

W myśli zaś dodał: „Chwała Bogu, rzeczywistość! Konkretny, policyjny fakt, entuzjasmujący wszystkie kucharki w całej dzielnicy. Ależ napatrzyłem się dziś rozkoszy miejskich. I to mnie tak niesłychanie rozdrażniło”.

Zmaczał głowę i piersi, natarł skronie wodą kolońską i postanowił natychmiast posłać do apteki. Wyrwał więc kartkę z notatnika i pisał pedantycznie:

Natri brom.....3,0

Kali brom.....2,0

Amon.....

Zastukano do drzwi. „Oczywiście baba z plotkami.”

— Przed trzema godzinami, natychmiast po wyjściu pana doktora, zachodziła tu jedna pani.

Kunickiemu wydało się, że w tej chwili ktoś go pięścią w ciemność uderzył.

— Z tej kamienicy pewno? Po poradę? — pytał mimo to z niedołączoną jakąś chytrą i jakby chcąc oszukać samego siebie, odwrócić fakt, zagadać rzeczywistość.

— Nie. Nazywa się — zostawiła bilet — nazywa się Zofia Borowska.

Kunicki uczył, jakby po raz drugi, mocne uderzenie w ciemność. Powstał z miejsca powoli, sztywno. Oparł się tyłem o biurko, chciał coś powiedzieć, ale głosu mu zabrakło. Zwiesił więc głowę i milczał. „Jak ta szelma ropucha musi patrzeć na mnie w tej chwili!”

— Pani przysłała zapytać, czemu pan doktor do państwa Borowskich wcale nie zachodzi. Oboje z mężem są niespokojni, czy pan doktor nie chory. Pani bardzo rozpytywała o pana doktora... Niech mi pan za złe nie weźmie, ale ja się przy niej wstydziałam po prostu mej brzydoty. Jakaż ładna! jaka świeża!...

— Dosyć!

— Prosiła, żeby pan doktor nie zapominał. Trzy razy to powtórzyła. Pani przyniosła ze sobą wiązanek kwiatów, myśląc, że pan doktor jest chory. Wejść nie chciała. Rozmawiała ze mną przez próg. Prosiłam bardzo, żeby zostawiła i zdrowemu. Mówiłam, że pan doktor zawsze taki samotny, że kobiet nigdy...

— Dosyć!

Baba położyła ostrożnie garść kwiatów na najbliższym krześle i zamknęła cicho drzwi za sobą.

74

75

Kunicki wciąż jeszcze stał nieruchomo przy biurku. Po chwili dopiero sięgnął po receptę i począł ją drzeć na drobne kawałki. Podjął machinalnie jakąś książkę ze stołu, ustawił ją pedantycznie na etażerze, zbliżył się wreszcie wolno do wiązanki kwiatów, powąchał, znalazł się blisko kanapy i osunął na nią z kwiatami przy ustach, pod twarzą. Miał wrażenie, że jakaś potężna dłoń wciska mu twarz w te kwiaty. Patrz, patrz, gnuśny i uparty! Na życiowej ścieżce źródła tego ominąć nie wolno: taką jest wola młodości. Musisz pić z tych wód, co rodzą albo siłę i czyn, albo ducha wyłącznie, albo bezwolę jedynie: rodzą życie, sztukę lub marzenie. W płomieniach,

co cię ogarną, natura hartu twej duszy doświadczyć pragnie, na to, aby cię wznieść lub poniżyć. Taką jest wola młodości!

Gdy powstał, miał w głowie jedną tylko myśl, jedną trwogę:

„A jednak — dokonało się!”

Ah, Boże! — myślała Borowska — od czasu, jak dostał te książki od Jelsky'ego, nie wychodzi wcale z domu. Zamyka się w pokoju, mruży, deklamuje i chodzi, bez ustanku chodzi, równo, miarowo jak wahadło. I pije. Znowuż!

Zajrzała przez dziurkę od klucza. Tużurek włożył na siebie. Po co? Zapięty i sztywny chodzi jak żołnierz na warcie. Staje przy biurku, prawa dłoń na piersiach: czeka dumnie na coś. O czym on myśli?

— Władus? — szepnęła w szparę.

Spojrzał wyniosłe w stronę drzwi, odwrócił się i nic nie odpowiedział. Znowuż chodzi.

— Władek, ja nie chcę! — poczęła szarpać się u drzwi. A gdy ją wpuścił do siebie, rzuciła badawcze spojrzenie

na biurko i przeniosła na niego czujne, niespokojne oczy.

— Wiesz, dlaczego mieszcza książek nie lubi? — pytał cierpko.

— Wiem. Bo tamte — mówiła wskazując na książki — są zawsze w balowej toalecie we wszystkim, co mówią, czują, myślą, bo tamte są fałszywe, wszystkie bez wyjątku — te napisane kobiety.

— A więc zazdrość — seplenił mąż wyciągając twarz w hrabiowski grymas. — Vous tombez dans la risée du monde, margrabino! — zagrał jej na poczekaniu. I wnet potem, ujmując ją za łokieć:

— Zosieńka — zmanierowałaś się coś niecoś na małżeństwie.

— Piłeś? — zapytała wobec tego niespokojnie.

— Nie, nie piłeś! Teraz będzie Volksstuck, co?

77

— Oh! — westchnęła ciężko.

— Klempusia! — mruknął pod nosem i zagwizdał jej głośno w odpowiedzi. Wtłoczył ręce do kieszeni i chodził z kąta w kąt, przelewając się z nogi na nogę. Ona osunęła się na kanapę, zwyczajem swoim zatopiła dłonie we włosach i zapatrzyła się smutnie na niego.

— Kochasz? — szepnęła po chwili.

— Którego? — odparł zatrzymując się przy niej w zwrotnym piruecie.

— Władek! — zachnęła się gniewnie.

— Względem czego?

Zochna rozplakała się bezradnie.

— Ciupuś ty! — rozplomnienił się mąż nad tym płaczem. Odgarnął jej włosy z czoła, odjął ręce i kazał sobie podać pyszczek. — Nie płaczę, nie! Pocałować męża.

Przeprosić za malutkie zmanierowanie się w małżeństwie. Tak! Już się na kolana ładujemy. Oczywiście. Oko? Nadzwyczajne! Mięciusie, wilgotne spojrzenie.

— Kochasz?

— Mhm! — Borowski potrząsał głową.

— Ugryzę!

— Gryź... Zocha! I dałby to kto wiarę? Toż boli... Oj, kot, kot! Już się tuli, już zwija

w kłębuszek.

— Jak ja ciebie lubię, Władus!

Zaparlo się westchnienie w piersiach Zochny.

— Ale nie chodź tak, Władek, całymi dniami po pokoju — to takie smutne.

— Zupełnie tragiczne — he? To wskazuje, że mąż jeszcze myśli.

Drgnęła mu czujnie w ramionach, odrzuciła w tył głowę i wpiła się w niego trwożnym wejrzeniem. Borowski sięgnął po papierosa i ukrył się niebawem w chmurze dymu. Siedzieli tak w milczeniu: on ćmił papierosa i machinalnie, niemal automatycznie głaskał ją po włosach.

— Rozpleć...

Miękkim ruchem ramienia dotknęła ciężkiego zwoju na potylicy, potrząsała głową: jasne pęki rozprysły się same. Zapachniały włosy.

Wyrwała mu z ust papierosa i odrzuciła precz.

— Nie chcę, żebyś palił!...

— I znowu chodzisz? — szeptała potem cicho, łzawo, wtulona w kącik kanapy.

Przez dłuższy czas nie odpowiadał jej wcale. Potem, zatrzymując się nagle przed nią, wołał gorączkowo:

— Widzisz, tam u nas, w budzie, najczęściej tak bywało — w spektaklach niby. W czarnym szlafroku i ze świecznikiem w rękę, wpadam jak bomba na scenę, rzucę się o prawą kulisę i wrzasnę: „Ojcobójca!” A że fajerwerk zapala, więc się spłoszę i buch o lewą kulisę. „Bratobójca!” I tam fajerwerk — więc walę we drzwi: „Ojcobójca! Bratobójca!” — i buch w szlafroku na ziemię! A tu kulisa się wali, ognie dymią, kamienie obracają się w becze... A ludzie ryczą. Im aby fajerwerki, aby aktor wył, aby konie na scenie... Tfu!

A nie, to familiendramy! Pijesz kawę z pustej filiżanki, jesz gęś papierową i gładzisz, i pleciesz przez pięć zbytecznych aktów. I kucharki się szwendają i gospodynie sapią: dzieci nękają ojca, ojciec nęka dzieci, ponieważ pierwsze nie wiedzą czego chcą, a drugi dusi pieniądze: zamiast kupić szczęście sobie i innym, dobija siebie i otoczenie.

Synków takich przewinałbym przez kolano, skąpca papę okradł zaraz w pierwszym

akcie — i nie ma familiendramy! Co tu grać? A nie, to kupuj lakiery, pożyczaj

tużurek, pucuj zęby i rób hrabiego! „Dokąd że to pan?” — zapyta zazdrosna żona.

„Do klubu, hrabino!” — „Żegnam!” — „Pani!...” — „Hrabio?...” — westchnie.

Zwracasz się więc ode drzwi i kładziesz cylinder na krzesło: „Pani!...” — „O nic, nic!

— do widzenia, hrabio.” Zdejmujesz wobec

78

79

tego rękawiczki i całujesz. Wchodzi lokaj, więc mówisz smutnie: „Kaź odprzezać, mój biedny Pawle. I kaź posłać łóżko, mój biedny Pawle”. I taką małpę bez krwi, bez myśli, bez sensu, bez krzty człowieka w sobie robić musisz przez trzy godziny. A jak się oblizują recenzenci! „Co za bajeczna rzecz! Paryż, Paryż — kultura! Jak to zrobione, jak wycyzelowane! Co za maestria machy!” Dziwię się, że żaden recenzent jeszcze nie pokopał w życiu. Albo te adwokaty, te doktory nasze i ich klempy ospałe po łóżach. Cholerna publika!

— Tęsknisz tam, Władek?...

Zamiast odpowiedzi rzucił się do biurka i porwał książkę.

— Wiesz, tu jest tak! Zbankrutował. Runęło wszystko tak, że te gruzy, wiesz, aż w celi więziennej go zasypały. A potem jeszcze gorzej. Z gruzów wypełzły żmije, wiesz: ludzka krzywda, złość, podłość, i ułożyły mu się tam, pode drzwiami; nie dopuszczają ludzi. Samotny! Przychodzi tylko jakaś klempa bębnić mu na fortepianie. Ale przez tylne drzwi, od bocznej kulisy. Do niej nawet się nie pali: już mu wszystko nic! A żonę ma podłą! Biłbym przecie szelmę, że aż!... I widzisz: chodzi. Słuchaj, co mówię! Tam na dole kobieta, która się zestarzała w miłości ku niemu: taka wielka, bolesna miłość! Ona tam na dole z tą szelmą żoną rozmawia. A potem cisza. Smutek wspomnień się zrobił, daleki smutek młodości. A tam u góry: łup! łup! łup!... Widzisz, chodzi! Chodzi, jak lew po klatce, ten lew jej młodych marzeń. W klatkę życie zamknęło! A na scenie cisza, cisza... Zaś ludziom tam w sali, który lepszy, tu coś pod gardło... Widzisz, Zochna — nazywa się Ibsen. Autor niby. Z Norwegii będzie, powiadał Jelsky. Z Norwegii... będzie... powiadał... Zochna zaniepokoiła się i powstała z kanapy.

— Władus, co tobie?

— Powiadał Jelsky... — Borowski skrzyżował ręce na czole i wciskał dłonie w oczy. A gdy go żona objęła troskliwie, pocałował ją szybko w rękę i odsunął od siebie. Po czym sięgnął po papierosa i ukrywając się w dymnicy, zno-wuż biegał po pokoju.

— I wiesz, ciągle czeka — mrucał przez pół do siebie. — Co kto na schodach się ruszy, on...

Borowski rzucił się do biurka i stanął we wspaniałej pozie dumnego wyczekiwania.

— A! — wyszeptała żona, teraz dopiero zrozumiałwszy jego zachowanie się w ciągu ostatnich kilku dni. — O, tego nikt na świecie tak nie zagra jak ty! — westchnęła prawie bezwiednie. — Chodź tu, Władus, siądź przy mnie. Weź za rękę i tak opowiadaj.

Usiadł posłusznie.

— Widzisz, Zochna, potem przychodzi tam do niego robak zdeptany przez życie. Wygniotło mu ono z duszy wszystko, prócz tego, co w młodości kiedyś napisał: dramat, czy lichy. Nosi się z tym wszędzie; wszyscy drwią. Przywłókł się więc do najbardziej wzgardzonego. Gęba potwornie żalosna, ruchy chwytny: obrzydliwość i łyż... Wielki złamany czyn i robacze, jak plwocina, nie dające się zdeptać marzenie. — Powiadał Jelsky — zaczął po chwili i zwiesił głowę — Jelsky mówił... Jezus Maria, nie móc grać! nie móc grać!...

Zochna westchnęła i wsparła mu jasną głowę na piersiach. Oddychała głęboko w zamyśleniu.

— Władek — mówiła z trudem wielkim, marszcząc jasne czoło i przysłaniając oczy rękami — Władek, jeże-libym ci kiedy na drodze stanęła...

— To co, Zocha?

— To zdepcz!

I nagłym ruchem usunęła się przed nim na kolana. Chciała coś mówić, lecz słów nie znajdując w przepelnionej duszy wsparła bezwładną głowę na jego piersiach. Podjął z ziemi, przytulił twarz do jej policzka: pomieszały

się łyzy obojga. A gdy ją potem coraz to mocniej do siebie przygarniał, wysilił się spoza tych łyż uśmiech błędny i ogromnie zmęczony...

— I znowu chodzisz? — grymasiła wydymając wargi i z dwóch poduszek pluszowych wyścielała sobie przytulne gniazdko w kącie kanapy.

— Opowiedz co — uprzedzała z bezwiedną chytryością jego ciężką zadumę. — Co tam jest więcej w tych książkach?

— Tam? Dużo, bardzo dużo: świat nowy! Wróg ludu — rozumiesz? Chodzi tam o jakieś kąpiele... Ale co mi! Widzisz — tłum, tłum wielki i jednostka, która czegoś pragnie... Poczeka, ja ci zaraz...

— Nie pij, Władus...

— Ach, daj mi pokój!... Widzisz, jednostka! jedno małe drgające serce ludzkie — a tam wielka, bierna masa: nazywa się kurierek, gazeta, publiczność. Chciał czegoś, pragnął, kochał, cierpiał... Patrz! widzisz, idzie przez ulicę. Tam u nas po Nowym Świecie. A za nim tłum. Widzisz. Zochna — tłum.

Skoczył w kąt, przyparł się do ściany, zebrał się, stulił w sobie, ramiona łokciami do się przycisnął, wskazujące palce dłoni z żarłoczną ciekawością przed się wystawił i zrobił straszną maskę: zabijał kogoś złośliwym, jadowitym śmiechem.

— Tłum! — wołał. — On idzie tam przez ulicę, a tłum za nim! „Patrzcie! — syczał Borowski jak żmija — patrzcie, to idzie ten, o którym w gazecie stało, któremu pozerająca ambicja tak niepotrzebnie roztworzyła głupią gębę... Patrzcie, jak on idzie, jak się rusza... Widzieliście kiedy taki nadzwyczajny egzemplarz durnia? — A czytałeś ty, co tam właściwie w gazecie było? — Nie. — No, można być łotrem, to nikogo dziś nie zdziwi; ale mając takie nie-

82

, czyste sprawy za sobą, jeszcze gębę otwierać, wynurzać się jak piskorz* z błota ludziom pod nogi — na to trzeba być czymś więcej: osłem kapitalnym. —

Patrzcie, patrzcie, jak on idzie! jak się rozkracza! On jest słaby na żołądek! Widzicie, widzicie, jak się uklonił, jak się w pałak zgiał! Jaki szczęśliwy, że stróż przed nim czapkę zdjął. On tego stróża w udo z wdzięczności poca-: łuje!..."

Ha! ha! ha! — tłum się śmieje!

Tu Borowski zatrząsł się tak potwornym śmiechem, że Zochna drgnęła na kanapie.

— Władus — nie!...

— Stój, ty proroku! — wołał tymczasem mąż. — Stój, aposto!o wykrzywionych kamaszach. Stój! Swój człowiek cię woła... Nie wierzy! On już nikomu nie wierzy... Stój, opowiedz: czy bardzo palą ci grzbiet te odprowadzające na ulicy spojrzenia? Ale ty życia jeszcze nie znasz, proro-

l ku!... A znasz ty te nagłe milczenia, gdy wchodzisz? te

szepty i gawędy najpospolitszych kretynów? te po kątach parskania niepowstrzymanego śmiechu, skandalizujące nawet twoich wrogów?... Tyś pewno zakochany?... Taki dok-tryner bywa zwykle zakochany. Bój się Boga człowieka, i ty śmiesz walczyć z tłumem?! A znasz ty ten wyraz niesmaku u kobiety, co cię wczoraj jeszcze kochała? Kobieta pokocha łotra, lichwiarza, handlarza żywym towarem, szpiega. Ale nie było jeszcze kobiety, która by umiała zachować miłość dla człowieka

ośmieszonego przez tłum! A wiesz ty, ile jadu jest w udanym zainteresowaniu życzliwych? A wiesz ty, jaką wściekłość wzbudza współczucie głupich? A znasz ty niemoc dumnych? A znasz ty niezaradność choć trochę szlachetniejszych natur?... Chcesz rozumieć oszołomionej wiewiórki bezwład? Chcesz poznać potęgę węzowego spojrzenia najbrutalniej szego łotra, gdy się czuje w posiadaniu twej tajemnicy? Ale jakiej? jakiej? Ty nie masz tajemnic! Wiesz, jakim kałem obrzucić cię pragną wokół? Już słyszysz! już czujesz! już tę hydrę za łeb chwytasz! A jednak — nie! Nic nie wiesz, nie masz nic prócz smutku i przygnębienia twoich najbliższych. „Co tobie? — pytają. — Co tobie!?” Pochwycisz pierwszego szakala z brzegu za bary i krzykniesz mu: „Człowieku, ja prawdy, tylko prawdy w życiu chciałem!” Pryśnie ci śmiechem w twarz: „Wariat!” Naokół widzisz tylko oczy! — oczy! oczy! — I na piersi spada ci ciężar: czujesz się winnym zbrodni.

Taką jest potęga motłochu. Ha! ha! ha!

Ten śmiech mrozem przebiegł Zośce po krzyżach. Podbiegła i przytuliła się do męża. — Władus, przestań... Boję się.

— Idź precz! — wołał jak opętany i odtrącił ją od siebie. A potem powracając do swej wizji:

— Proroku z prowincji polskiej, stój! Twój człowiek do ciebie mówi: w każdym proroku jest i musi być trochę aktora. Czy ty nie wiesz, że tam, gdzie nie ma publicznego życia, gdzie „młynek na strudze miele plewy swoje i cudze”, tam gazeta poranna przynosi ludziom szemat myśli na cały dzień? że tam spiritus fiat ubi reporter v u 11? że tam człowiek, który ma coś do powiedzenia, czego szemat ten nie ogarnie, nazywa się chaotycznym umysłem? że ledwo usta otworzył, już się w oczach ludzi śmiesznością okrył, a ledwo je zamknął, już się maniakiem dla nich stał? że już mu czapeczkę z dzwonekami na czoło wcisnęli? Widzisz, o tej czapeczce z dzwonekami zapomnieli Ibsenowie. A to jest rzecz bardzo ważna, bardzo współczesna! Dla tego drobiazgu proroków nawet w powiecie być nie może, nawet tych skromnych, co to chcą czystej wody w studniach i czystych rąk przy publicznych sprawach. Każdy, każdy bez wyjątku czapeczkę dostanie! Czy ty masz dość mocne nerwy, Samsonie, wobec wojska podejrzeń? wobec ciżby złej woli? wobec tłumy ciekawości? Jak mucha w pajęczynie, owikłasz tylko, oplączesz i zamotasz ducha swego nienawiścią... A znasz ty proroku, szpitalne cele puste? A znasz ty, tę w samotności aż do bezkresów rozrosłą nienawiść, która w rozbolelej duszy już się nie mieści? O, bo do nienawiści tłumy trzeba potęgi ducha! Więc się rzucasz opętany szałem nienawiści: chcesz kąsać, szarpać, dusić... Ale ściany wybite już materacem, a w pokoju nie ma nic więcej prócz siennika. Ujrzyś może jeszcze tylko w małym otworze drzwi parę wydłużonych kretyńskim uśmiechem oczu dozorczy. Ha! ha! ha! — proroku..,

Zochna stała wsparta o framugę drzwi; oczy rozszerzyły jej się i zwilgotniały; źrenice pogłębiły się, blada była na twarzy: wciągnął ją w wir chaotycznych swych myśli.

Bezwiednie grała już z nim razem! — grała niemo, trwożnym biciem serca.

— Nie trzeba się było dać, Władus! — próbowała dorzucić swoje i rumieńce wytrysły jej w jednej chwili na policzki. — Mężczyzna nie da się! — zawołała, prężąc się dumnie, wyrosła, spotężniała w jednej chwili. — Mężczyzna zdepcze, zabije bodajby nawet tłum!...

Rzucił na nią zdziwione, przelotne spojrzenie i ocenił natychmiast zarówno siłę ekspresji i metaliczny, szczery dźwięk tego kobiecego wybuchu.

— Dobrze zrobione — rzekł mimo woli. Niebawem powrócił jednak do swoich myśli.

— A było takich proroków po wszystkich guberniach tylu! — tylu! — tylu! — Osunął się na kanapę, rozkrzyżował ramiona na jej oparciu i z pochmurnym uporem zapatrzył się gdzieś w pułap.

— A jednak — westchnął po chwili ciężko — pójdz do mnie, tłumie, abym cię umiłował.

— Nie, Władek!...

— Zlituj się, Zochna, przecież ja o nim tylko marzę, przed nim korzę się w myślach.

— Władus, nie! nie! nie! — wołała, tuląc się do niego

84

S5

w bezwiednym, instynktownym strachu. Usłyszał, wyczuł to kołaczące się serce ptaka i zdjęła go litość wielka. Posadził ją sobie na kolanach i głaskał obie jej dłonie.

— Pamiętasz, coś mówiła przed chwilą?

— Co, Właduchna?

— Zdepcz, powiedziałaś.

— Ty tego nie uczynisz.

— Wierzysz mi?

— Kocham.

— Nie płacz, nie płacz. Zocha... Wiesz, dlaczego — pytał, ocierając jej palcem łzy spod oczu — wiesz, dlaczego nasze życie jest takie smutne? takie bardzo smutne? Uniosła mu się w ramionach, jak dziecko, popatrzała uważnie, pilnie i po chwili potrząsała bezradnie głową.

— Nie wiem — szepnęła.

— Pokazać ci raz jeszcze ten ziejący śmiechem potwór? Zochna zaczęła dygotać na całym ciele. i

— O, ty możesz mnie i bez tego swymi urojeniami na śmierć zamęczyć. Ja słaba jestem, coraz słabsza. Nie widzisz tego, Władus?... Pamiętasz, jaką dawniej byłam?... Patrz, jaką ja chuda!...

Powiódł dłonią po czole, jakby siłą nawracając myśl w stronę, dokąd ona ją ciągnęła. Ujął żonę za ramiona, odsunął nieco od siebie i przypatrywał jej się długo, badawczo.

— Zbrzydłam?

Nic nie odpowiedział, tylko nachmurzył się jeszcze bardziej.

— Nie! — szarpnęła się kapryśnie i zatargła go za czuprynę. — Ty nie myśl, Włada, żebym ja znowuż tak schudła. Piersi mam jeszcze...

— Ah ty! — zamknął jej usta mocnym, długim pocałunkiem. — Przecież ty chyba nie wątpisz, że ja nie za to tylko?... Zlituj się, Zochna!...

86

Potakiwała pośpiesznie głową, przeważnie na to tylko, aby ukryć łzy tryskające do oczu.

— No więc?... I czemu znów płaczesz?

— Sama nie wiem, Władus... Nie gniewaj się... Pochwyciła jego rękę i przycisnęła

przelotnie do ust.

— Coraz słabsza jestem. Czasem całymi dniami tylko bym płakała.

Borowski schwycił garściami pęki swych włosów na ciemieniu i targnął je z całych sił.

I stał się pieczołowity, spokojny, dobry dla niej.

— Poczekaj, położę cię tu na kanapie, okryję... Albo wiesz, do łóżka już cię ułożę. Gorączkę masz, biedactwo? Zochuta moja!... Co to za aktorka z niej by była! Jak to ona bić i zabić tłumy nakazywała! Duszo ty moja skrzypcowa! Spać już... Spa-ać... „A a! — koty dwa, szare bure obydw...”

Zochna wyprostowała się nagle żwawo, senność strzepnęła ręką z czoła.

— A chciałbyś?...

— Nie chciałbyś — odparł jej kwaśno, domyślając się pytania. — Ja mam Zoche i mnie to wystarcza. Teraz zaniosę do kołyski. Hop! Zimno w nożyny? Daj że tu jedną — w kułak schowamy.

Po drodze, gdy ją w czoło całował, przymykając mimo woli oczy, rzekł nagle złamanym, bezsilnym głosem:

— Wiesz, Zocha, com ja w tej chwili ujrzał?

— Co, Władus?

— Ah — szarpnął się — i to twoje bezdennie naiwne zaufanie. „Co, Władus?” — przedrzeźniał jej spokój. — Ujrzałem tego potwora, ziejącego śmiechem, i zdawało mi się, że ciebie w tej chwili oto wprost z ramion jemu w paszczę...

Rozpaczonym ruchem ramion oplotła go w jednej chwili jak powój. „Trzymaj mnie!”

— chciała, zda się, krzyknąć. Pochwycił, utulił, przygarnął...

87

— Litości! Zmiłowania! — wyszeptaly jedne usta wspólną myśl...

Leżał na wznak. Światło czerwonej amplii u sufitu sączyło cikliwą, duszną, jakby wonią miękkich perfum przesyconą mgłą. Rozsnuwały się w niej leniwie i grzęzły długie, kręte taśmy dymu od papierosa. I zdawało się Borowskiemu, że te sine taśmy oplatają go siecią pajęczą, obezwładniają powoli i przykuwają do kanapy. Na tyle głowy, tam gdzie się nią o poduszkę wspierał, czuł mocne, lecz coraz to powolniejsze uderzenia pulsu. Oczy błędziły po suficie, patrząc jakby w przyczajone gdzieś w kącie olbrzymie cielsko kosmatego pajaka, co kolczastymi łapami grzebie, snuje i przędzie swe jadowite nici...

Miękkie uczucie bezwładu zatapiało myśli w bezgraniczną bierność, kołysało wszystkie zmysły w rytmikę nieuchwytną, senną, coraz to łagodniejszą; zasnuwały się pajęczne nici, kłębiły różowe mgły... Słodka, lepka, haszyszowa woń rozchyłała usta w leniwej niemocy; roztopiały się niemal członki.

„Sen?... Śmierć?...”

Puls już bić przestał... Uderzył przecie raz jeszcze mocno, jakby młotem, w tyle głowy. Rozchylił powieki. Tuż ponad nim żarzy się zieloną głębią para oczu... Płoną i wpijają się w niego okrągłe, wielkie, ciemne oczy!

— Zocha!?!...

Poczuł długi, wilgotny pocałunek na wargach.

— Zapomniałeś? — wwionęła mu niemal w usta. Skinął głową. „O czym ja zapomnieć miałem? — przyszło mu do głowy. — O czym ja myślałem wprzód?”

— Już nie jesteś smutny? I znów głową skinął.

— Myśl o mnie, Włada. Myśl zawsze tylko o mnie. Po raz trzeci chciał skinąć głową, lecz zamiast tego westchnął głęboko i zarzucił dłonie na twarz.

— Duszno!... ciężko!...

Słuchał... Poza oknem turkot zwykły; ciągły, bezustanny; toczą się fale życia, szumią i pędzą, pędzą w dal... I nagle ta dziwna chwila wieczora, kiedy w łoskot i pogwary uliczne spada nagła cisza niby czarny ptak. Borowski drgnął i otworzył szeroko oczy. Tam na ciemnej toni skrzy się niespokojnie mrowie gwiazd. A cisza krzepnie, ciężarem wali się na piersi, skrzypi w uszach, jak miliony drobnych nocnych świerszczy po łąkach.

Pajęczyna tuż przed oczyma staje się połyskliwą, złotą, wonną. Bije ten zapach...

— Zaplecć włosy, Zochna! Zaplecć... I nie patrz tak! Idź, zostaw mnie. Idź, otwórz okno... Posłuchaj — majaczył na pół senny. — W takie kryształowe noce, gdy cisza zniecka opada, słyhać czasem... Nie widać, tego nigdy nie widać! Głosu po nocy nigdy nie wydadzą... Ale z góry, spod gwiazd, łopotanie skrzydeł czasami ucho pochwyci... Żurawie ciągną... Wiosna!

Przeięła się leniwie w tył — upinała włosy. Po czym powstała cicho i odeszła jak cień.

— Zgaś to światło!

Drgnęła. I ją jakby przestraszyło w tej chwili to czerwone, cikliwe światło.

Gorączkowym, niechętnym ruchem ściągnęła na dół amplę i zgasila ją czym prędzej. Otworzyła okno. Borowski, nie oglądając się, czuje, jak stoi tam biała we framudze okna i w obnażonych ramionach ukrywa twarz. Po chwili spytał sennym, znużonym głosem:

— Płaczesz?...

Milczy, nie chce odpowiadać. — Zocha? — szepnął po raz drugi.

— Toś ty!... ty! ze mnie taką uczynił!...

I zerwało się w jej drobnych piersiach serdeczne, bezradne łkanie...

bochna stałą wciąż jeszcze przy oknie i tłumiła z wysiłkiem płacz. Mąż zaciał się w pochmurnym zapamiętaniu; nie mówiąc ani słowa przygotowywał się do wyjścia.

Wdział już palto i rękawem czyścił kapelusz, gdy ona wydała cichy okrzyk i cofnęła się czym prędzej w głąb pokoju. Borowskiego i to nie wyprowadziło z równowagi; zbliżył się powoli do okna i wychylił się na ulicę.

— Dureń! — mruknął przez zęby. — A ty ubierz się lub idź do łóżka, bo się zaziębisz! Powiedz no mi, czemu ten Kunicki woli tam pod oknami marcować, zamiast tu do nas na górę przyjść? Oj, ci doktrynerzy!... Jakież te ich uczucia i afekty są nieszczerze, podziemne. Brr!... On ci pewno broszurki i tendencyjne powieści przysyła. Co?

— Daj mu pokój — szepnęła cicho.

— Pro-oszę! Rozrzewnił?...

— Dawniej bardzo go lubiłam. Brak mi go było po prostu. Miał taki spokój, taką dobroć bezinteresowną... O, i my kobiety potrzebujemy czasem przyjaźni, tylko przyjaźni! Ale wy mężczyźni tego nigdy nie zrozumiecie.

— Bagatela! Żona potrzebuje przyjaciół. Daruj, ale to już operetką trąci.

— Oj, Władek, myśmy zaprzepaścili przyjaźń wzajemną.

— No, a Muller? Czy i on?...

Przymrużyła oczy i zagryzła wargi jakoś boleśnie.

— Bardzo mi go żal.

— A Jelsky? — indagował mąż.

— Jego się boję.

— Oh, ba!... Ty ich wszystkich możesz jednym skinieniem sobie pod nogi...

— Władek!

— No?

— Czy ty nie czujesz, że to jest wstętne, co mówisz w tej chwili?

Wzruszył ramionami.

— Mam oczy — widzę. Do zazdrości nie mam tymczasem powodów, ale takie rzeczy mszczą się — flirt niby.

Nerwowym ruchem poczęła nagle dłońmi twarz i czoło sobie wycierać; a potem jakby z ramion, z rąk coś zetrzeć, zmyć pragnęła.

— Idź już, idź! Tyś się mną dziś już przesycił i zaczynasz mnie traktować jak... — Osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Zatrzymał się na progu i spoglądając uważnie na żonę wydymał wargi. Wreszcie aktorskim gestem narzucił kapelusz na tył głowy.

— Non capisco! — mruknął, zwrócił się na pięcie i wyszedł. Za chwilę jednak był z powrotem, niosąc w ręku luźną garść kwiatów.

— Na słomiance w sieni leżało... Na Mullera coś bardzo patrzy. Białe lilie!... To afekt suchotnika. — Cisnął kwiaty niedbale na kanapę.

— Primadonny hołdy to, Za jeden kwiat ploteczek sto

zanucił na poczekaniu kuplet, ze złośliwym śmiechem odbijając każdą zgłoskę. Ale żony nie było już w pokoju.

O piętro niżej spotkał się oko w oko z Jelskim.

— Daisterja! — ucieszył się przebiegle Jelsky, rad niby, że nie potrzebuje się fatygować o piętro wy-

90

91

żej. — Jak się masz, Borowski — wołał podając mu rękę szeroko, po burszowsku, z niemiecką dobroduszością.

„Będziemy pili!” — pomyślał nie bez zadowolenia Borowski, który w mowie ludzkich gestów czytał jak w otwartej księdze. „Od niego bije zawsze glans, jak od oficerskiego buta” — dodał w duchu na widok starannej toalety Jelsky'ego oraz jego cylindra. Tego stroju głowy Borowski nie znosił, uważając cylinder za „złe copcysko”. Przed tygodniem wypili obaj z Jelskim na braterstwo, toteż fra-ternię akcentowali teraz usilnie, dodając do każdego „ty” nazwisko.

— O wilku mowa, a wilk tuż — witał go Borowski głośno. — Przed chwilą mówiłem o opinii publicznej.

— Opinia wzywa cię do swego warsztatu. Kawiarnia — nasz stół... Będzie, uważasz, mecenas — można liczyć reńskie, burgundzkie, sekt krajowy — oraz młoda wasza, polska sława... Etranżerek, młodziuchny autor dramatyczny... kalkuluję szampan.

Idziesz?

Borowski zwiesił wargę.

— Autorkowie dramatyczni mnie dotychczas szukali.
— O, on prosił cię, bardzo prosił, chciał poznać — łagodził Jelsky. Ujął go pod ramię i wyprowadził na ulicę. — Cuda o twojej grze tam w kraju opowiadał.

Gdy skręcili w boczną ulicę, spostrzegli po drugiej stronie Kunickiego. Nastawiał kołnierz i starał się obejść ich kołem jak dzik.

— Szacunek doktorowi!

Skrzywił się i powitał ich niechętnie.

— Opowiadają sobie ludzie, że doktor przenosi się stąd, wyjeżdża do Szwajcarii? — rozpytywał Jelsky. — Tegom nie przewidział — zaśmiał się nie dając mu dojść do słowa. — Przeszkody wprawdzie nie przeskoczył, ale się pod nią podkobie i wygrzebie się przecież na prawowitą drogę rozsądku i kariery.

92

— Pańska złośliwość zaimponowała mi raz tylko w życiu, w dodatku po ciężkim winie — odciął się cierpko Kunicki. — Co porabia Muller? — zwrócił się do Borowskiego.

— Pluje krwią, pije i pisze.

— Bajeczną, potężną rzecz — dorzucił Jelsky z naci-, skiem.

— Wiem. I dlatego robię wszystko, aby przedłużyć to krótkie życie, póki się da. Borowskiemu rozpromieniła się twarz.

— A wiesz, jakie to doktor byczo powiedział! Jakie to spokojne! jakie męskie ogromnie! jakie mocne!... Czemu on nie jedzie do Davos?

— Środki znalazły się dwukrotnie. Przepił.

— Zuch! — ucieszył się Borowski.

— Mówi, że go tu coś trzyma, alkohol w gardło wlewa ,i że mu się w tej rozpaczynie lepiej pisze.

— Widzisz pan! — Borowskiemu rozszerzyły się nozdrza. — I to jest bycze, potężne z tym Mullerem! Wielka dusza!

f Kunicki wzruszył ramionami.

— Smutna — poprawił.

— My z żoną lubimy go bardzo.

Kunicki podniósł na niego oczy. „Co się z tym człowiekiem stało! — przemknęło Borowskiemu przez myśl. — Pod nudnym połyskiwaniem okularów tego kreta kryją się sarnie, załośliwe oczy." On tymczasem otwierał już usta, ale zdecydował widocznie inaczej, gdyż machnął niedbale ręką.

— A może tak jest dobrze — mruknął. — Może tak być powinno.

!— Co takiego? — zainteresował się Jelsky.

— Ot, cały ten smutek życia! Może on jest konieczny? Może ten jest potężnym, kto go hojną dłonią sieje? Może

93

z tych . właśnie nasion wyrastają najszlachetniejsze kwiaty?

„Inaczej to brzmi niż wówczas na przedmieściu" — pomyślał Borowski i nie czuł już do niego ani cienia niechęci. Miękkie, szerokie jego wargi wyrażały w tej chwili tkliwe, kobiece prawie współczucie.

— Chodź pan z nami! — krzyknął chwytając go odruchowo pod ramię. I wraz z tym dotknięciem wyczuł instynktem aktora, że tego człowieka smutek wtrącił w jakąś

niezmierną bierność, że gotów iść wszędzie, robić, co mu każą.

— Mogę — odparł. — Ja już od dwóch tygodni nie pracuję wcale i po mieście się wałęsam.

— Chodź pan do kawiarni. Pójdziemy potem gromadą na Yvette?

— A któż to jest Yvette?

— Jakto, nie wiesz doktor? Szansona — bycza! Yvetta Guilbert.

— Ah! Tyngłówka?

— Fenomenalna, nadzwyczajna, boska! — entuzjazmował się Jelsky. — Księżna cynizmu współczesnego! pani ostrych zgrzytów! Wiecie, jej cynizm pada podobno, bryzga, chłapie wprost w gęby słuchaczy i widzów — a ona czysta zostaje. Czysta, dumna, karząca — jak sztuka. Cella veut dire quelque chose — co?... Rękawice nosi aż pod pachy — czarne, okropnie czarne i połyskliwe.

Suknia — wiesz doktor — ni za długa, ni za krótka jak na szansonę: matematycznie jakby wykreślony ten właśnie największy smaczek... I brzydka! Tą właśnie fascynującą brzydota, potężną jak kaprys mistrza. O, to zaciekawia, rozdrażnia, bierze! Nie wiem, ilu ludzi w łeb sobie dla niej strzeliło, ale gruba, gruba liczba... Jednym słowem, boska, nadzwyczajna kobieta! Le genie du sexel Der kategorische Imperativ] Nosi czarne majteczki.

Minęli tymczasem zaułki i wydostali się na bulwar. Ude-

94

rzył ich w uszy huk i zgiełk, przed oczyma roztoczył się świat jaskrawy i rojny.

Wpadła w ucho muzyka, zrywająca się co chwila w skoczne tempo i tonąca w turkocie ulicznym. W takt jakby tej muzyki, pod świeżą zielenią drzew bez cienia, ostrą, dziwną i jakby zastygłą w jaskrawym przepojeniu sztucznym światłem, roił się i przelewał czarny tłum. Na ciemnym tle męskich sylwetek kołysały się mieniące i barwne kapelusze kobiet, szumiał jedwab, szeleściły suknie. Wzdłuż ulicy pędziły jak wichry długie jasno oświetlone wagony tramwajów elektrycznych, dorożki snuły się w nieskończonych szeregach.

Jelsky zbliżył się do Kunickiego i ssąc cygaro szeptał mu na ucho:

— Horror vacui... wiesz doktor — w fizyce średniowiecznej. Warto tę siłę wskrzesić dla wytłumaczenia współczesnych dusz. I potęgi kobiet dzisiaj. Kobiety stawały się zawsze potężne wtedy, gdy idee się kurczyły i zasychały w doktryny. Dla czasów i ludzi żywych mają one tylko wartość markietanek na postoju nocnym.

— Jelsky cytuje oczywiście Mullera — wtrącił Borowski, posłyszawszy ostatnie słowa. — W ogóle, radzę bliżej poznać Mullera. Odkryjesz doktor źródło elokwencji i erudycji wielu dziennikarzy...

— Potwarz! — oponował Jelsky i wetknął Borowskiemu cygaro w usta na znak, by milczał.

— ...oraz niewyczerpany skład sentencji tyczących się kobiet — mówił mimo to Borowski. — Wielki, lecz dziwaczny łeb siedzi na tym suchotniczym ciele. „Kobiety — mówił na przykład mej żonie — są jak żuki: składają najpłodniejsze nasiona w to, co próchnieje i gnije. Prusy — mówił innym razem — są dlatego najpotężniejsze w Europie, ponieważ pruskie kobiety są najgłupsze na świecie.” Miillerek, choć Niemiec, nie cierpi Prusaków. Albo raz, pamiętam: „Kobiety dawniejsze perfumowały się idea, ciągnęły do żelaza i wszystkie razem cuchnęły krwią; dzi-

siejsze spryskują się sztuką, ciągną do złota i wszystkie razem śmierdzą prostytutką... Novissimae gloriae cupido — mówił dziś o Yvecie — jest kobieta artystka, kobieta droga i cuchnąca, jak wszystkie ścieki życia razem wzięte..." Muller — kończył Borowski — nienawidzi kobiet, ponieważ jest erotomanem.

Kunicki parsknął suchym śmiechem na tę ostateczną i najgłębszą sentencję. Ale śmiech jego zerwał się nagle i uciał jakby pośrodku. Na twarzy jego odbiło się takie ogromne cierpienie, że Borowski nachmurzył się, a Jelsky skrzywił z niesmakiem.

— To jest otchłań — rzekł.

— Kobieta?

— Nie, ona jest najczęściej kałużą — tylko nasze myśli i uczucia dla niej.

„I to jest niezłe" — notował w myślach Jelsky.

Tramwaje elektryczne śmigają po asfalcie z suchym pluskiem, w równych rzutach, jak łodzie parowe po zaskrze-płej powierzchni stawu. Dzwonki grały. Powozy biegły lekko i równo; miarowy grzechot kopyt końskich wybijał się ponad krótkie okrzyki, dzwonki, świstki, gwar i huk tłumu. Kiedy niekiedy zadudniła głucho trąbka i z niecierpliwym warczeniem potwornego żuka przeleciał jak strzała dygoczący automobil.

Z ciężkiej maszyny omnibusu wywinął się chłopak w dżokejskiej czapce, stosem gazet jak chorągiewką mignął i wrzasnął:

— Katastrofa w Nowym Jorku!... Zamach anarchistów!

I tym wołaniem jakby echo zewsząd zbudził. Wzdłuż i w poprzek ulicy rozbiegła się krzykliwa banda kamlo-tów.

— Katastrofa w Nowym Jorku!...

Skłębił się, zwichrzył, poplątał tłum na trotuarach. Porywał ten gorączkowy wir, ten kierat pełny zgiełku,

96

krzyku i tumultu; krew żywiej krążyć poczynała, ruchy stawały się w tłumie giętke, elastyczne. Czaiły się zmysły. Muzyka w sąsiedniej kawiarni grała coś z Carmen.

„To-re-ador! To-re-ador!" — brzęczało w uszach jak natrętna mucha.

— Katastrofa w Nowym Jorku!... Straszna katastrofa!... Ponad rynsztokiem posuwał się zgarbiony, ogromnie

obojętny i głuchy na wszystko starzec: szukał w ścieku odpadków od cygar.

— Patrzcie — wołał Kunicki — oto jest człowiek w mieście, który dziełem swoim żyje.

— Dobry! — aprobował krótko Jelsky i rzucił starcowi dymiący jeszcze ogarek.

Kupili gazetę. Kunicki wetknął w nią nos na długo. Jelsky przebiegł ją oczyma i oddał Borowskiemu, ten spojrział od niechcienia i oddał któremuś z przechodniów.

— Słuchaj, Jelsky, czy ten nasz autor dramatyczny... czy on mnie widział w Kupcu weneckim?

— Widział. Tam się dopiero kotłować musi w New Yorku.

— A w Piętro Caruso?

— Widział, wszystko widział. Chciałbyś, Borowski, być kiedyś świadkiem czegoś socjalpyrotechnicznego?

— A co mnie te hece! A w Ryszardzie?

Ktoś im się ustawicznie w drodze nawijał. Przed oczyma przesuwał się jak mewa wielki, biały kapelusz, rzucała się natrętnie w oczy fioletowa spódnica pod jasną suknią, łuchały niemal czadem duszne perfumy.

— Idź, duszo, precz, idź!... i Wskoczyli do kawiarni.

Wionęło na nich parnym oddechem tłumu i zadudniło w uszach od pogwarów ludzkich. Jelsky'emu i Kunickiemu zapotniały w jednej chwili binokle. Borowski rozglądał się niecierpliwie w toni światła, i ostrych refleksów od

t

7 — Próchno Q7

złożonych ram, kryształowych żyrandoli, purpurowych kanap i jaskrawych fresków. Tuż za nimi wskoczył kamlot, wysadził się na środek i okrzyknął jak herold:

— Extrablatt... Najnowsze depesze z katastrofy... dwieście osób zabitych i rannych... Teatr wysadzony w powietrze! Extrablatt!

A muzyka grała:

„To-re-ador! To-re-ador!”

Borowskiemu rozszerzała się pierś, wyrywał się z niej wielki okrzyk radości: Życie! życie!...

skłaniając głowę przed obcymi twarzami, mruknął kilkakrotnie swe nazwisko.

Kilkanaście par oczu patrzyło na niego; podniecało to Borowskiego ostatecznie; a że czuł się w pierwszej chwili nieco zażenowanym, zrobił więc nonszalancję. Rzucił się w głąb kanapy pod ścianą i nie zdejmując kapelusza zsunął go na tył głowy.

— Co się pije? — spytał.

Nikt mu nie odpowiedział, wszyscy rozprawiali krzykliwie o zamachu w New Yorku.

— Co słyhać w kraju? — zwrócił się tedy po polsku do pana w długim tuzurku, nader obfitym krawacie, jasnych kamaszach i w cylindrze na głowie. „Inaczej — myślał — nie może przecież wyglądać młody autor dramatyczny.” — Co słyhać u nas? Pan dawno?...

— W kraju?... Młodzi poeci piszą nowe wiersze, starzy krytycy pieszczą się starymi wierszami. Tyle w ruchu społecznym. Pan X. w Dzwonku Codziennym przepisał artykuł z Presse, zaś pan Y. w Dzwonie Tygodniowym rozprawkę z Contemporary Review, czym ożywili ruch umysłowy na cały tydzień. Zresztą tygodniki zjawiają się co tydzień, co tydzień bywa „czarna kawa” i co tydzień „herbata”; to wszystko uspiłoby ruch umysłowy beznadziejnie, gdyby go nie orzeźwiały poniekąd pojedynki, przytrafiające się co tydzień. Przelewa się to jak piasek w klepsydrze z niezmierną dokładnością pięćdziesiąt dwa razy do roku.

99

„Aha — myślał śmiejąc się Borowski — takiś ty numer!” — A pan skąd obecnie, jeśli spytać wolno?

— Jaa?... Z Paryża.

— Pisał pan co?

Autor zasłonił się dłońmi, jak przed osobistym atakiem.

— Nic! Nic! panie. Żyłem tylko moimi nerwami artysty... — I strzeliwszy dymem cygara w sufit: — Zresztą, moje Przeznaczenie będzie grane w Paryżu. Czytał pan moje Przeznaczenie?

— Nie zdarzyło się.

— Zna pan Coqueline młodszego? — pytał pan Turkuł, nie zmieniając głosu ani o pół tonu.

— Napluć na Coqueline! — obraził się niespodziewanie Borowski. — Coquelin i Coquelin! Mało aktorów bywa na świecie!

Zdziwił się niepomału usłyszawszy poza sobą również polską mowę.

— To pan jest Borowski? — wołał ktoś krzykliwie, wpół go obejmował i niemal że w ramię całował. — Ja pana widział w kraju, na scenie... O, to jest gra! Napięcie, siła!

— wołał wymawiając forsownie, lecz miękko te mocne słowa. — Ja pana szanuję, panie Borowski. Oni wszyscy falsetem biorą, pan piersiami, sercem!... Ja jestem malarz — Pawluk. Oni jak lisy — widać jut — a ogonem zatra. A sztuka to jest siła, panie Borowski!

I wyciął pięścią w stół. Borowski niewiele zrozumiał z tych wylewów temperamentu; nie wiedział, kto i po co merda ogonem i po co zaciera. Mimo to pan Pawluk chwycił go za serce.

— Wiesz, pan Borowski, ja chcę namalować anarchię. Pan to zrozumie. Ot — teatr wysadzili — sztuku zrobili! Ha? Tak zrobię, uważasz — rozłożył ramiona gotując się do szerokich gestów, przy czym odepchnął bez ceremonii sąsiadów po obu stronach.

— Miasto!... Wieczór!...

100

Ciemno. Domy, domy, domy!... Błyski chlapnę tu! tu! tam! Wieże. Kominy. Dymi się. Kłębi! Czujesz, jak się kłębi? Zasnuło wszystko, wszystko! Nic nie widać — ciemno. A na niebie gwiazdy. (Rozłożonymi palcami dłoni rzucał gdzieś przed siebie gwiazdy na imaginacyjne tło.) A tu na przodzie — on — morda!... Już ja ci, bracie, dam mordy! Złość, nienawiść, szal! Siła być musi! I... (z przymrużonymi oczyma chwycił coś z powietrza w niespokojne kułaki) podpiszę „Anarchia” — zakończył wreszcie i odsapnął. —: Bo u mnie, widzisz pan Borowski, farba ma blask! połysk — a!... Ja robię tak: asfalt, berlinerblau i — zuch! Śmiało trzeba... Farba trzęsie się, świeci! Bo nasi malarze to izwoszczyki, nie artyści.

Ogłuszyły Borowskiego te twórcze erupcje rodaka; nie wiedział, co na nie odpowiedzieć. Z drugiego końca stołu odezwał się tymczasem głos cudzoziemski, spokojny i niedbały:

— Pawluk maluje oczywiście językiem! Nie męcz ty ludzi i zwilż lepiej język, bo farbie twej zabraknie wnet blasku.

Mówił ktoś, kogo Borowskiemu przedstawiono jako pana von Hertensteina. Siedział na kanapie niedbale, w pozycji półleżącej, białymi dłońmi unosił kolano i z wyrozumiałą cierpliwością na twarzy słuchał opowiadań jakiegoś czerstwego młodzieńca o tłustych policzkach. „Mecenas” — zgadywał Borowski i „poprawił” czym prędzej twarz, jak ktoś, co wchodząc do salonu poprawia krawat i mankiety. Tenże instynkt starego nawyknienia sprawił, że Borowski począł nieznacznie, boczkiem, podsuwać się na kanapie w tamtą stronę.

Młodzieniec opowiadał o czymś gorączkowo, ustępy widocznie bardziej intymne szeptał na ucho; przy czym z miną i zwinnością wiewiórki obgryzał żarliwie paznokcie.

— Fenomenalna histeryczka — rzekł wreszcie pan von Hertenstein. — Ty zaś jesteś wybitnym szelmą... Nota

benc, jeśli to wszystko jest prawdą... Napisz to, napisz — kończył klepiąc go po ramieniu.

Młodzieńcowi przerwał Pawluk, który przewinał się szybko między stołem i kanapą, znalazł się na drugim końcu, przysiadł, a raczej przykucnął przed panem von Hertensteinem i wgadywał się gorączkowo w jego sympatię.

— Pan drwi sobie z moich kompozycji. No, zobaczycie kiedyś! Do diabła, ja czuję, że oni wszyscy nie to malują, nie to, co trzeba. Czuję — o! (począł się bić kulkami w piersi). Mnie nie szkoła, a życie uczy. Ot, co! Mnie trzeba jeszcze was literatów zgryźć, przeżuć i... wypluć potem.

— Bardzo ujmujące! — odparł pan von Hertenstein i odsunął go łagodnie od siebie.

— Ty lepiej ich nie gryź i wypluj czym prędzej, bo się nimi już dławić poczynasz.

Pawluk szarpnął się oburącz za włosy.

— Nie rozumieją flegmatyczne Niemcy!

Pan von Hertenstein począł się rozglądać po obecnych. Zmęczony jakby dotychczas i opieszale, ożywiał się w oczach patrząc na Borowskiego. Nagle zerwał się i nalał mu wina do kieliszka. Borowski miał ochotę cmoknąć sobie na pochwałę: „Wziąłem go milczącą gębą — na odległość!”

— O panu słyszałem — mówił pan von Hertenstein. — Zmanierowano mi chłopca

— nawiązywał natychmiast rozmowę wskazując bez ceremonii na czerstwego młodzieńca. — Ale przedstawiam panu obiecującego autora konfiskowanych za

pornografią nowel. W konkursie „coups de grâce” pobiłby go może Prévost,

natomiast w rekordzie „coups de force” znuży najbardziej łakomego czytelnika...

Spojrzyj no pan proszę na te tryskające zdrowiem policzki.

Śmiech chóralny nie dał młodzieńcowi dojść do słowa.

— Mój kochany — perswadował mu spokojnie Hertenstein — nie rób ty z siebie literatury: nie każ nam wierzyć, że twoja literatura ma cośkolwiek wspólnego z twym życiem. Gdy staniesz się naprawdę cynicznym, będziesz pi-

sywał rzeczy sentymentalne i poczniesz rozdzierać szaty nad zepsuciem — w sztuce... My wiemy, co to jest literatura młodych ludzi.

— To jest siła! — krzyknął malarz i wyskoczył z krzesła jak z procy, aby pobiec do Hertensteina.

— Literatura młodych jest jak młode wino — rzekł, a raczej ziewnął Jelsky. — Cały smaczek w pierwszej fermentacji.

— Literatura jest jak kokota — bąkał niewyraźnie Müller żując w zębach papierosa.

— Kiedy jest przezorną i dalekowidzącą, nosi się skromnie, dba o opinię i stara się o ciche względy starszych panów. Gdy jest młoda i płocha, lubi nadto modne stroje, jiosi zbyt wielkie dekolty, naraża się opinii, czym zyskuje entuzjastyczne sympatie młodych ludzi.

Jelsky załamał ręce’.

— Zlitujże się, Müller, ty niedługo cały świat pojęć osolisz sobie erotyzmem.

— Literatura neoromantyczna — odezwał się „ autor dramatyczny i uniósł się na krześle, aby go dobrze widziano — literatura neoromantyczna, zerwawszy wszystkie związki z życiem, stała się alembikiem na książkach i dziennikach; poezja — tego

alembiku destylatem. Dramat jedynie pozostał prawym dzieckiem życia.

— Dramat jest łątanym kostiumem w rekwizytorni! — parsknął Borowski. —! Wtedy coś wart, gdy się dobry aktor w niego ubierze. U nas, bywało, w teatrze, na dramatach smażyliśmy sobie befsztyki!

Wszczął się więc spór o pierwszeństwo poezji, dramatu czy powieści. Wśród wrzawy, krzyku i brzęku kieliszków obrzucano się modnymi nazwiskami, cytatami i naprędce kleconymi aforyzmami, niby garściami confetti. Pan von Hertenstein, leżąc niemal na kanapie, pieścił w dłoniach swe kolano i raczej patrzył niż słuchał; bawiły go, zda

103

się, bardziej gesty i okrzyki niżli treść zdań i nie mniej od tych, co się sprzeczali, ci, co milczeć potrafili.

Ale dziennikarz Jelsky krzywił się czegoś i grymasił nad winem. Dla niego były to zbyt ograne melodie. „Albo pić lepsze wino — myślał — albo dowiedzieć się czegoś nowego! — Jest tu trzech Polaków, niechby o swoich tam śmieciach coś powiedzieli. Da się może zrobić artykuł”.

— Mój Borowski — zaczął tedy wytrawnie, z daleka — u was podobno nie ma kawiarni?

— Nie ma.

— Bój się Boga!

— Czy to źle?

— I ty pytasz? Tam, gdzie nie ma kawiarni, wszystko, co twórcze, a samotnym być nie potrafi, wkurczy się, wgrzęźnie, da się wnąkać w obmierzłe idealiki mieszczaństwa... No, a tyngle macie?

— Jest jeden.

— Strzeżcie go, by nie upadł!... No, i cóż wy tam jeszcze macie? Kobiety ładne?

— Są.

— To się wie. Jeżeli który z panów twórców — zwrócił się do obecnych — życzy sobie zaznać nadzwyczajnych transów, radzę zakochać się w Polce. (Tu Jelsky poczuł z prawdziwą satysfakcją ostre spojrzenia Kunickiego, Mullera i Borowskiego.) Pomyślcie tylko! Największe imiona wielkie raczyły robić tu reklamę: Byron, Shelley, Heine, Lenau, Napoleon, Szopen, Mickiewicz, Balzac...

— Millócker — zadowolił się krótkim odcięciem Borowski i zanucił na poczekaniu aryjkę z Bettel-studenta.

— No, a teatr? Aktorów musicie mieć nadzwyczajnych?

— Tylko repertuar przynoszą nam raki z Europy — wtrącił autor dramatyczny. — Nad rakami czuwają au-gurzy dziennikarscy. Muza komedii, zestarzawszy się we
104

Francji, przyjęła u nas funkcje guwernantki i wyprowadza na scenę dziecinny dramat. Szekspir, zmęczony się sztucznym entuzjazmem Berlina, przychodzi od czasu do czasu przespać się na scenie warszawskiej. Szekspira grywają u nas rzadko, ponieważ autor nie bywa na „czarnej kawie”.

— Dery well! — Jelsky ożywiał się jak rteć i wyciągał już notes.

Borowski zerkał bokiem na mecenasa i rozumiał, że jemu milczeć tu nie należy. Gotował się więc i on;

— No, a literatura? — indagował Jelsky z ołówkiem w ręku. — Co robią nasi pisarze?

— Leją przeważnie w puste miechy współczesnych dusz tęgie stare wino — odparł Borowski przygotowując twarz do mimiki. — Toteż przeszłość przypomina się nam żywo, „rozszerza piersi”. Czasami — rozszerzy piersi i przypomni się zanadto, jak to zwykle bywa po winie. Ale my to wszystko połykamy z powrotem, ponieważ cenimy tradycję jako sakrament. Poza tradycją dozwolone są tylko myśli o biedzie i połączone z nią sentymenty, ponieważ charakter narodowy tych poematów odczuje nie tylko głowa, ale i kieszeń, która jest zawsze najbardziej narodową i sentymentalną. Recenzent siądzie na książce i wie, że ma do czynienia z tendencją sympatyczną, która, jak czuć najwyraźniej, nikogo nie uraża, nikogo nie kole. „Nie wnosi przeto rozterki między warstwy społeczne. Aby spokój, aby harmonia! Bo oto czyha na nas hakatysta! Zbijmy się do kupy jak owce — nie połknie nas dzieciożerca. A jeśli połknie, nie strawi gromadą...” Łagodni Słowianie, przywykliśmy od wieków bronić się przeciw zachodniej kulturze płodnością. Już w uniwersytecie zaopatrujemy się w róg obfitości i — co za tym idzie — w dumę i ostrożność ojca rodziny. Jeśli się potem jakie myśli w nas rodzą, zanosimy je wnet ze skruchą pod małe nóżki tłustego bankiera.

— Więc bogate mieszczaństwo nie lubi u was nowych myśli?

— Tego nie można powiedzieć. Widzisz, Jelsky, pieniądz rusza się u nas zwawiej niżli nauka i sztuka, nic dziwnego, że i myśl ruchliwszą przy nim się staje.

Mieszczaństwo nie lubi tylko samodzielnych, zwłaszcza miejscowych porodów myśli i gdzie może, urządza sztuczne poronienia z namiętnością starych akuszerok. Nie przeszkadza to tym panom opiekować się instytucją dla porodów fenomenalnie już twardych i uciążliwych, dzięki którym przychodzą na świat wielkie i ciężkie kobyły rasy germańskiej, maszyny wytrzymałe, juczne i bezpłodne jak muły! Jest i nauka w kraju, wbrew prasie i na przekór społeczeństwu! Złośliwość tę zawdzięczamy finansom.

Jelsky skoczył z krzesła i nalał Borowskiemu wina.

— Co za aktor kapitalny!... Ze wszystkich etranżerów najbardziej lubię Polaków: nikt tak namiętnie nie szkaluje stosunków swego kraju, jak oni... Mój Borowski, a kto tam u was zajmuje się właściwie literaturą, czytuje książki?

— Krytycy i panienki.

— A kokoty nie?

— Kokoty boją się jej, ponieważ jest zanadto cnotliwa. Gotowe się nawrócić i wykoleić w życiu..

Pan von Hertenstein wtulił się w kątek kanapy i patrzył rozmarzonym wzrokiem na Borowskiego i Jelsky'ego.

— Jelsky, jestem dumny z twej przyjaźni. Chcesz się czego napić, Jelsky? — pytał raczej z przyzwyczajenia, gdyż na stole stała pełna butelka.

Ale Jelsky'ego pochłaniał całkowicie interview.

— Skończyliśmy zatem z literaturą i nauką — obliczał na palcach. — No, a malarstwo? Co tworzą malarze?

— Oni nie tworzą, lecz malują pilnie to, co stworzył kto inny.

— Mianowicie kto taki?

— Krawiec.

— Aha! Portreciści mają się zwykle świetnie.

— Bogać tam! Krzątają się wprawdzie, jak mogą. Wyprawili kolację „w kraju i dla kraju”, naspędzali posażnych panien do „zaczarowanego lasu”, pokazali społeczeństwu łydki w „turnieju rycerskim”... Ale indyferen-tyzm ogółu!... Zresztą, u nas mało kto nosi szatę godną wykwintnego pędzla artysty.

— No, a cóż robi szlachta dla sztuki?

— Każe portretować swe konie, co posłuszniejsze, przy czym sądzi się być wolną od zarzutu nieuleczalnego marzy-cielstwa. Pochodzi to stąd, że konie polskie, według znanego estetyka, powinny posiadać charakter syntetyczny.

Więc końscy malarze są niejako syntetykami ducha narodowego?

— Tak dowodzi estetyk. Boże, jak ci końscy malarze świetnie się mają! W rozmowach krytykujemy ich obficie, ponieważ zemsta jest jedyną rozkoszą naszych biednych bogów na nudnym Olimpie.

— No, a świeże pomysły w malarstwie?

— Są. Panoramy!

— O jerum! — westchnął Jelsky.

— Nie tylko „malowano, ale i prawdziwie: z fonem na przodku” — z piaskiem, żwirem, drabiną i starym kamaszem.

— Co oznaczają te symbole?

— Wojnę. Na wszystkich cykloramach przedstawiane są mianowicie bitwy. Jest to przeważnie gust warstwy, która tak szybko wchłania narodowe tradycje, że w krótkim czasie znienawidziła — Żydów. Stąd pochodzi antysemityzm, bo dotychczas mieliśmy tylko pisma antysemityczne. — A propos pism... Czemuś zbladł, Borowski?... Czy tanio robi się u was opinia?... No, mówże!

— My Polacy nie boimy się wroga, nie boimy się Boga, nie boimy się sumienia, ale boimy się Kuriera! Nie będę nic gadał!

106 x

107

— Opinia, znaczy, robi się u was łatwo i tanio.

Tu Jelsky powstał i ostentacyjnie poprzez stół uściśnął rękę Borowskiemu.

— Dziękuję ci, Borowski! O nazwiska cię nie proszę: niedopowiedzenia i domyślniki są bardziej pożądane w dziennikarstwie. Natomiast musisz mi opowiedzieć jeszcze kilka najświeższych plotek: bez plotek nie ma publicystyki!... Chcesz się czego napić, Borowski?

Pan von Hertenstein, leżąc wciąż w rogu kanapy, nie spuszczał rozmarzonych oczu z Jelsky'ego.

— Jelsky, ty jesteś arcywzorem aktualności, modelem dziennikarza.

Wszyscy porwali się z miejsc. „Niech żyje Jelsky!” Jelsky trącił się ze wszystkimi kieliszkiem, po czym chrząknął znacząco.

— Silentium! — Jelsky chce powiedzieć speech.

— Krótki, panowie. Przypomnę wam tylko: „Gdym szatana mego ujrzał, był on poważny, ponury i głęboki... Naprzód, zabijmyż ducha ociężałości!” Panowie, niech żyje...

— Sztuka — pisał ktoś nieśmiało.

— Głupiś! — szepnął mu z góry Jelsky. — Banalne zwierzę! Panowie, niech żyje paszkwil!

Na wszystkich podziałało to jak objawienie; ludzi porwał szła radości.

— Wiwat! Niech żyje!

Pan von Hertenstein zwrócił się do drobnej, milczącej figurki w pelerynie francuskiej.

— Mały, napisz no jaki kuplet przepotężny i zaśpiewaj go nam.

— Brawo! — krzyczano. Towarzystwo było już po tylu kieliszkach wina, że wszystko je cieszyło. — Pisz, Müllerek. pisz.

108

Mały błysnął złośliwymi oczyma; miał widocznie gotową myśl. Pochwycił podaną sobie kartę papieru i począł szybko pisać. Borowski tymczasem rozglądał się po kawiarni. Ujrzał kilka sztywnych pańienek w atłasach, co sznurując usta zerkały boczkiem na pannę Liii i towarzyszkę. Pociągnął nosem z aktorska, skrzywił się i zmrużył oczy.

— Mieszczanństwo czuję! — rzekł uderzając się po nosie.

— Brawo, Borowski! (Przy stole pito już tylko i krzyczano „brawo“.)

Jelsky wezwał czym prędzej kelnera.

— Każ pan orkiestrze grać kankana.

Kelner rozłożył ramiona i wskazywał oczyma na poważną publiczność w sali.

— Poczekajmy trochę — prosił. — Niech się przerzedzi w kawiarni.

— Myśmy nie gimnaziści, panie Zahlkellner, aby nas kankan sam przez się radował

— rzekł z grymasem pan von Hertenstein, bardzo niezadowolony z tego, że go kelner zmusza do mówienia. — Nam to właśnie sprawi satysfakcję, że tamci panowie i tamte pańienki go usłyszą.

Wobec powagi słów pana von Hertensteina kelner skłonił się tylko.

— Ale — wołał za nim autor dramatyczny — przy sposobności każ pan przysłać kilka butelek szampana.

Kelner skłonił się panu Turkułowi.

Turkuł wcisnął się plecami w oparcie kanapy; rozrzuciwszy szeroko poły tużurka ukrył podbródek w obfitym swym krawacie i wystawił niby kieł zgasły papieros; zimnym wzrokiem przyglądał się otoczeniu. Po chwili zwrócił się półgębkiem do pana von Hertensteina:

— Dam im szampana, bo chcę zobaczyć, jak to bydło wygląda po pijanemu.

Na bladej i zimnej twarzy pana von Hertensteina ściągnęły się lekko brwi, syknął po cichu, jak gdyby go na

109

odcisk nadeptał. Uśmiech niesmaku skrzywił mu lekko wargi.

— Zbyteczne koszta — rzekł po chwili spokojnie. — Oni panu dadzą gratis sposobność do jego głębokich studiów psychologicznych.

W kawiarni rozległy się lekkie, skoczne dźwięki muzyki. Przy dalszych stolikach zgoła inne towarzystwo zabawiało pannę Liii i towarzyszkę. Stamtąd doszła niebawem nieśmiała, przytłumiona zgiełkiem nuta pospolitej brukowej piosenki: Siehst du, das ist ein Geschäft, Das bringt noch was ein, Doch es muss verstanden sein...

Pan von Hertenstein klasnął w ręce.

— Nastaw uszy, Jelsky! Tam już kokoty śpiewają hymn na cześć paszkwilu. Kłaniaj się, kłaniaj się czym prędzej!

Dotychczas ocieężały, zerwał się nagle sprężyscie, przewinał zwinnie między krzesłami i przysiadł do Jelsky'ego.

— Kocham cię, Jelsky — wołał obejmując go wpół — kocham cię za to, że tak gruntownie drwisz sobie z całego świata, że możesz na zawołanie być lirykiem, satyrykiem lub reporterem — kocham cię za tę przedziwną lekkość taneczniczy, nazwaną talentem, a którą ludzie nie tylko rozrzewniać się, ale i roznamiętniać dają. O, jak cudownie potrafiłbyś ty roznamiętniać tłumy! — Kocham cię, żeś jest tak ogromnie dzisiejszą duszą! Niech ci żyje paszkwil! niech wam żyje, serdeczni! On jest ostatnim słowem współczesnego talentu, pieśnią twórczej niemocy!

Jelsky zerwał się z miejsca i chciał coś obwieścić, lecz zagłuszył go piskliwy głos Mullera. I on ocknął się teraz dopiero: zrzucił z ramion pelerynę i bębniąc w stół kościstymi rękoma zanucił jakąś zwrotkę; pochwycił ją natychmiast cały chór i w szybkim tempie galopki odbijał na nutę kankana:

110

Tak, tak, tak,

W tym cały sztuki smak,

W tym cały życia sens!

— A wam, panowie — przerwał im na samym początku Hertenstein i schwycił za kieliszek — wam niech żyje kawiarnia: ta kwarantanna cierpliwych, ambitnych a bezpłodnych! Tu możecie do woli pisać, malować i rzeźbić językiem. Bo wszak my wszyscy tak bardzo oszukiwać się pragniemy! Wymawiamy „sztuka” to, co się pisze „vanity fair”, „szał miłości” — co się pisze „obskurny heteryzm”, „przyjaźń” — co każdy pisze „zawiść”, czytamy „indywidualista”, gdzie rozsądek pisze „zbląkany filister”.

— O!... O!... — wszczęły się szemrania przy stole.

— Jest tu człowiek małoduszny, co drwić z siebie nie potrafi! — huknął Müller i uderzył pięścią w stół, aż się kieliszki zatrzęsły.

— Bądźcie mi bardziej szczerzy! — prosił Hertenstein. — Wszak wy wszyscy, ilu was tu jest, piszecie po nocach na wyścigi paszkwile na swych przyjaciół i swe otoczenie. Taką jest dziwna psychologia „amitie de boheme”.

Niezmordowany Müller zanucił powtórnie:

Tak, tak, tak,

W tym cały sztuki smaki

— Panowie — huczał już von Hertenstein na całą kawiarnię — oto znalazł się między nami przypadkowo sławny autor Przeznaczenia. „Nasz!” krzyczymy, choćby on w każdym słowie swoim był zaprzeczeniem wszystkiego, czego my byśmy pragnęli: „nasz!” krzyczymy tym głośniejszy, im większą będzie jego popularność. Bo wszak on nasz byt usprawiedliwia. Sztuka jest, prócz dla tych, którzy się dla niej rodzą, jeszcze tylko dla próżniaków, z których potem traf, kobieta, redaktor wyławiają tak zwane talenty, zaś policja, przytułki i szpitale — tak zwane męty...

111

— Silentium! — uderzeniem kułaka w stół zgłuszył Müller szemrania.

— Panowie... przed nami stoi — źle mówię! — przed nami siedzi człowiek, któremu słuszna pycha wzdyma krawat i rozpiera kamizelkę... W porę przynoszą szampan! Autorowi Przeznaczenia nie dość widzieć nas trzeźwymi, on chce nas upić, podobnie jak kazałby nas pławić w kałuży, gdyby to było w jego mocy — nas, mierzwę swego życia, nas, cośmy go swoim bólem wykarmili, pierwsi odgadli, pierwsi odczuli!... Zaszurano krzesłami.

Turkuł zerwał się dopiero teraz na równe nogi. W długim aż po stopy tużurku, ze wzdętym krawatem, z wypiekami, co w jednej chwili wytrysły mu na policzkach — wyglądał jak indor gotowy do ataku.

— Precz z tym winem! — wrzeszczał tymczasem malarz.

— Cicho, Pawluk! Ty stokroć brutalniej rozkoszować się nami będziesz za lat dziesięć. I więcej takich znalazłoby się tutaj. Ten człowiek — Hertenstein z niezmaconym spokojem wskazał na Turkuła — ten człowiek może mnie odpychać jak zimny metal, a jednak — on jest dla sztuki stworzony! Zapytajcie się waszej zawiści, ona jest najszczerzym głosem artystycznego sumienia.

Turkuł osunął się z powrotem na kanapę i ze wzgardą odrzucił od siebie niedopałek papierosa.

— ...Zapytajcie go, ile on uczuć przemóc, przesilić, zniewolić w sobie musiał, a zrozumiecie może jego niechęć ku nam. Jego pycha naszą miękkość czuje. Nie pytajcie się natomiast, ile ten człowiek szczerych, prostych, ludzkich uczuć potratował w życiu. Gdzie jest zwycięzca, tam muszą być ofiary, gdzie tryumfuje czyn, tam musiało być zdeptane uczucie! A ja poprzez męty uczuć waszych sentyment, biedni, widzę!

Tym razem zaroilo się poważnie przy stole; ktoś ze złości stłukł kieliszek, kilku porwało się z miejsc.

— Nicht wähen, Halunken: Ich sei einer von den ihrigen. Przepadniemy!... A teraz kto z was nie jest naj-nikczemniejszym filistrem, kto nie drży przed losem, jaki sam sobie zgotował, ten za kieliszek pochwyci. Niech przepada słabość — niech żyje sztuka! Niech ginie bezpłodność — niech żyje czyn! — Wiwat autor Przeznaczenia!...

I wszystkich, ilu ich tu było, porwał ten szal dziwnie sprzecznych, na wpół pijanych uczuć. Pereat mundus, fiat ars!... Zapienił się szampan, zabręczały kieliszki.

— W górę go! — krzyczał i miotał się Pawluk wymachując rękoma jak wiatrak. Daremnie bronił się Turkuł. Za chwilę znalazł się w górze na kilkunastu parach ramion, jak wódz zwycięski na tarczy.

Jak szampan w kieliszkach, tak pieniły się lekkie, zwinne, kocie skoki rozpętanej w swawolnym rytmie muzyki. W takt tych skocznych tanów, tempem szalonej galopki nucił niebawem zgodny chór:

Tak, tak, tak,

W tym cały sztuki smak,

Naszego życia sens.

Ale i tym razem zagłuszono kuplet Mullera, bo od dalszych stolików, gdzie siedziała Liii i towarzyszki, zerwał się śpiew głośniejszy, już śmiały i czelny, już swawolny i cyniczny. Odbijając twardo kułakami na stolikach, śpiewano wodzowi na tarczy: Siehst!... du!... das ist ein Geschäft. Das trägt noch was ein,

Doch es muss verstanden sein...

Zewsząd rozlegać się poczęły gniewne syki i niecierpliwe dzwonięcia w naczynia.

— Kelner, płacić!... Płacić! — huczały basowe ochryple od oburzenia głosy tłustych, solidnych obywateli.

112

8 — Próchno

D o tynglu, panowie!

Jelsky wyprowadzał swą drużynę na ulicę. Pawluka szukano na próżno: zawieruszył się między stolikami, gdzie siedziały kobiety. Chciano już wychodzić bez niego, gdy Borowski przyłożył dłonie do ust i w głośny gwar cudzoziemskiej mowy huknął nagle mazurskie:

— Chodź ino, cho-odź!...

Gdzieś spośród tłumu wyskoczyła nagle głowa o rzadkiej, nastroszonej czuprynie; zaśmiały się z daleka małe skośne oczy.

— Ide, idee!... — poniosło jak po stepie.

Pan von Hertenstein zatykał sobie uszy. — Na litość Boską, toż nie polska stodoła.

Pawluk wywinął się tymczasem z tłumu, rad i uśmiechnięty, niby jamnik z borsuczej nory. I zakręcił się koło Borowskiego jak fryga.

— I Niemcy mają kobiety! — wołał. — Won hań siedzi cielista! i biała, biała! A oczy ma cza-arne!... Włosów na głowie, jak Magdalena Ribery. Pławić się można w tych włosach, jak w stepowej trawie. Liii się nazywa... Kaby miał hroszy, toby się i wypysznił!...

— Nie wrzeszcz! — strofował go pan Hertenstein. Ale Pawluk już go wpół chwycił i w kółko nim obracał;

potem jak dziecko przytulił mu się do ramienia.

— Czemu nie lubisz słowiańskiej mowy? Wolisz francuski kankan? He — baron Hertenstein?

— Co ten Kozak plecie? — pan Hertenstein rzucił ramionami.

— _ Wisz go — Prus! A ty, bracie, do nas przyjedź. My tam ciebie polubim! U nas dusza na razpaszku!

Objął go za nogi i podniósł jak piórko z ziemi. Pan von Hertenstein zżymał się, gdy stanął z powrotem na nogach. Otrzepując starannie spodnie, mruczał niechętnie:

— No, jak się polska dzicz upije — da hört die Gemütlichkeit auf!

Jelsky był widocznie innego zdania, gdyż przecierając chustką binokle uśmiechał się pod wąsem. Gdy wraz z Borowskim, zamykając hałaśliwy pochód gromady, wychodzili na ulicę, spojrzeli równocześnie na Kunickiego, który szedł samotnie tuż przed nimi.

— I ten także! — mruknął Jelsky.

— Co takiego?

— Dziki!... Bo to się czuje przecie, że ten człowiek spał się tylko w obręcze doktryn, pracy, obowiązków. Europa na tym karku ciąży. U nas doktryner wiadomo co znaczy: wiór! — u was tylko: Europy się nałykał... Powiedz mi, Borowski, po co właściwie przyjeżdżacie do Europy?

Borowski wzruszył ramionami.

Wataha skręciła z bulwaru w cichy zaułek. Dysputując krzykliwie szła środkiem

ulicy. Tuż za nimi jechał stępa powóz pana Hertensteina. Pawluk tymczasem zawieruszył się znowuż; widać go było z dala, jak wprasza się uparcie do towarzystwa dwóch przechodzących kobiet.

— Ten się nam zgubi dzisiaj — rzekł Jelsky. — Na niego gwizdać trzeba, czy jak? — I naśladując wcale nieźle Borowskiego, huknął w ulicę: „Chodź ino, cho-odź!”

— Ide, idee!...

Jelsky'emu opadły binokle na sznurku; począł je znowu czyścić i mrużyć coś pod nosem. Po chwili nacisnął cwikier z rozmachem i zwrócił się do Borowskiego naj niespodziewanie j w świecie po polsku:

— Wy Borowski... z samej Polski bendziecie? Borowski stanął jak wryty.

— A skądże mam być! — odparł machinalnie.

— Bo ja jezdem ze Ślonska, aus Oberschlesien ndmlich.

— Chryste Panie!... Jelsky, toś ty się oszwabił?! Dziennikarz uśmiechnął się dobrodusznie.

— Wasserpolacke — was?... Ja hochpolnisch niedobrze gadam... Uczyła mnie pańjenka (oder wie sagt man denn?)... ze dwora — Maryna.

Jelsky'emu znowuż odpadł cwikier i domagał się gruntownego czyszczenia. Z zaskrzepłym na wąsach uśmiechem mrużąc coś i opowiadał; gaworzył jak dziecko z samym sobą.

— Co dzień się spotykali... „Mojen! Mojen! Jak spala?...” — „Mówi' się: dzień dobry pani.” — „Dzin... dzień... Das Patschhdndchen her!...” — „Fe, brutalny Prusak! Mówi się: proszę pokornie o podanie rączki...” — „Pokornie rączki... rączki... rączki...” Gott, dies Kind.

Niebawem spochmurniał i nasrożył się Jelsky, wąsa szarpał i milczał. — „O la!” — krzyknął wreszcie i wyrznął laską w bruki.. I tym okrzykiem przeciął wspomnienia. Wysławiając się z trudem, mówił dalej poważnie:

— Po co wy przyjeżdżacie do nas? Niedawno ja widział, chodzili... Sachsenganger. Wszystko jeden jak drugi! (Jelsky machnął ręką). To Europa daje. — „Wy — chciał widocznie powiedzieć — przywozicie coś podobnego w duszy, w sercu do swego kraju”, lecz zamiast tego zaplątał się wraz z naiwnymi słowami narzecza w jakiś bezradnie naiwny krąg myśli. Zachnął się wreszcie niecierpliwie i dokończył twardo, po prusku:

— Intellektuelle Sachsengangerei! To was uczyni nową odmianą Wasserpolaków: germanisierte Wasserintellekte! Spójrzysz no pan na tych żarliwie po polsku się modlących patriotów poznańskich. Czy tam wyrasta choć jeden nowy kielek waszej duchowej kultury?

116

— Widzisz, Jelsky, bo ciebie tam nie ma — syknął mu w odpowiedzi Borowski — boś ty w wielkim morzu niemieckim rozwodnił duszę i...

— Ja jestem „dobrym Europejczykiem” — zachnął się Jelsky niecierpliwie. — Może to pojęcie zabłądzi do Polski za lat dwieście. — Po chwili, krzywiąc się niechętnie w rozmowie z samym sobą: — W afektach das überschäumend Temperamente, w polityce das verflucht Sentimentale: das Polakische... Co się waszą gazetę do rąk weźmie, to ckliwo się robi. Nee! to już nie dla mnie.

— Jelsky, mnie się coś widzi, że ty z twą europejskością w powietrzu wisisz. Tyś po

prostu ten temperament i sentyment poprzestawiał na inne pola i zostałeś kosmopolitycznym dziennikarzem. A ten zgermanizowany Wasserintellekt... Patrz! — wołał wskazując na Pawluka. — O, ja jego stokroć bardziej wolę! Pytasz się, czemu my tu przyjeżdżamy? Gdybyś ty, Jelsky, wiedział, jakbym ja chętnie uciekł tam na wschód i pokazał się twej Europie en face z części zachodniej!

— Po coś ty właściwie z wojska uciekał?

— Dla niej.

— Ba! — Jelsky miał ochotę spluć. — Czy tam wciąż jeszcze nie nauczyli się stawiać sobie pytania: co jutro?

— Widzisz, Jelsky, nie tylko to... Myśmy wtedy nie mieli nic, nic, prócz tej wielkiej chęci do życia. — W kasie teatralnej...

Jelsky chwycił Borowskiego brutalnie za ramię i zwrócił go twarzą w stronę najbliższej latarni.

— Pokaż no ty się. O takich polskich bohaterach zdarzało się już nieraz pisać. — Mrużąc oczy przyglądał mu się wzgardliwie; po chwili parsknął śmiechem i odepchnął go z lekka od siebie. — Cokolwiek by ludzie mówili, wszelka ofiara dla kobiety jest ostatecznie ofiarą dla własnych zmysłów lub długą i nudną skruchą za krótkie chwile wąt-

117

pliwego szczęścia. Trzeba być bardzo... konsekwentnym, ażeby dla takich powodów uczynić się dobrowolnie zerem.

Drużyna pana Hertensteina szła bezładną kupą przy kakofonii gwizdków, śpiewów i wrzasków. Chwilami przycichała wrzawa, wówczas dolatywało do ich uszu czystsze, głębsze nucenie; Borowski włókł się na końcu. Kapelusz niósł w garści i wymachując rękawami szerokiego płaszcza szedł środkiem ulicy, jak po wiejskim gościńcu.

— Śpiewaj, Borowski!

Rzucając bezładnie długie nuty, minął całą gromadę nie spojrzawszy nawet na nich; szedł w głębokiej, upartej zadumie. Na tych ulicach spało już miasto. Dobiegające zewsząd gwary skłócały się tu ze sobą pośpiesznym, jakby stłumionym szeptem i biegły czym prędzej dalej na ludne i rojne bulwary. Gdy Borowski wziął nieco wyżej, wówczas jakieś śpiewne echa i szmery błąkać się zaczęły bez końca po pustych zaułkach. On zasunął wreszcie kapelusz za pazuchę, dłonie splótł na czole, oczy sobie nimi przysłaniał i idąc szeroko, jak po polu, śpiewał sobie, myślom i wspomnieniom swoim:

Nieszczęśliwe te pokoje —

O-jo-jo-joj! Ka nas było tyło dwoje —

O Bożeć Ty mój!

Ludziom zaskoczonym znienacka wysokością i czystością tonu lekki dreszcz po ciele przebiegał. Jelsky nawet zdjął cylinder i dłonią w rękawicze powiódł po włosach.

— Ta-ak! — wyrwało mu się z ust.

Inni słów nie pojęli, rozumiano jednak, że to skarga ludzka z tchnieniem zmroku po polach idzie, że wsłuchuje się w nią wśród poszumów zboża wieczorna cisza na szerokich rozłogach.

118

Ludzie czuli coraz bardziej, że ta piosnka zabłąkała się w te obce mury z daleka i dalekie smutki młodości ze sobą niesie. Ale Borowski urwał i szedł coraz to prędzej, wiodąc za sobą zbitą i milczącą gromadę.

Pawluk rzucał się między ludźmi jak piskorz, sapał i powtarzał bez końca:

— U nas jak za duszę chwyci, rady nie ma. Nie mogę nie chcieć! Ne mahul Choć zabij, wyśpiewać się musi.

Jakoż Borowski zmienił melodię i zaczął na bardziej jeszcze rozlewną nutę. Ludzie nie rozumiejąc czuli, że ta krzywda ludzka na rozdrożu pod krzyżem stanęła i skarży się samotna:

Nad moim wiankiem, nad moim wiankiem

Druhny płakały,

A nad twoim złym copcyskiem

Wrony krakały.

Na samym końcu, wyprzedzeni znacznie przez innych, postępowali Jelsky i Turkuł.

Kroki ich stawały się powolne i ocieźałe, głowy w cylindrach chyliły się coraz niżej.

— O la! — westchnął Jelsky i uderzył laską w bruki. Turkuł próbował gwizdać, lecz zagłuszono go niebawem.

A ludzie czuli, jak krzywda ludzka w wielką pustkę nagich pól ramiona wyciąga, ku krwawemu słońcu, co w kłębach rdzawych tonie chmur; jak jesienne wichry po sinych skibach i rudych ścierniskach kołem się niosą, żółtymi liśćmi sypią i wirem je pędzą, jak w przydrożnych badyłach dziewanny świszczą i wokół wierzb suchych zawodzą a płaczą.

Nad moim wiankiem, nad moim wiankiem

Przemowa była,

A nad twoim złym copcyskiem

Sucysko wyło...

Jelsky i Turkuł przystanąli w tyle. Nagle strzepnęli obaj zadumę z czoła i spojrzeli na siebie. W tejsze chwili

119

96

odczuli jakby niechęć wzajemną, gdyż przyśpieszyli czym prędzej kroku. Pan von Hertenstein dogonił Borowskiego, przedstawił mu się zupełnie zbytecznie po raz drugi i wy-ściskał go serdecznie.

— Czuje, choć nie rozumiem, czuję wszystko! Żal i skarga za dawnym, szczerym, prostym, ludzkim — za tymi czasy, kiedy to dusza chyliła się do duszy jak kwiaty na słońcu, kiedy tu na piersiach biło nam trwożnie czyjeś szczere, proste serce... Czy tak, panie Borowski?

Borowski skinął głową, uśmiechnął się doń i schwyciwszy z góry jego rękę, potrząsnął ją silnie.

Nad moim wiankiem, nad moim wiankiem...

— Ikało jeszcze ponad głowami całej gromady.

Lecz oto wysunęły się z poprzecznicy dwie szerokie sylwetki potężnych drabów w połyskujących mosiężnych kaskach na głowie. Dwa mrukliwe basy nakazywały ciszę.

Pawluk wyrósł tuż obok nich, jakby spod ziemi.

— Bij w pysk, kto w Boga wierzy!

Ale tym razem zawiódł się fatalnie. Borowski tylko oraz Turkuł i Kunicki podrzucili odruchowo głowy i nastavili uszu. Panowie zaś, co przed chwilą burzyli wszystkie łady i składy na świecie, co kankanem wystraszały łyków z kawiarni, zeszli teraz ze środka ulicy, jakby tam rzeka nagle wystąpiła; szli dalej po trotuarze w spokojnej i cichej rozmowie. Jelsky wybrał drogę pośrednią: szedł suchym rynsztokiem. Mruczał coś do siebie, wzdychał: od czasu do czasu cienką trzciniową laseczką uderzał hałaśliwie w bruki, jak gdyby pośród tych obcych ludzi on jeden odczuwał nieświadomą ochotę bicia.

Borowski natomiast wędrował jak wprzódy, środkiem ulicy, niby po wiejskim wygonie. W szerokim swym płaszczu wydawał się z daleka niby sylwetka wielkiego ptaka. Wymachując kapeluszem, jak dróżnik latarką, wy-

120

wiódł całą gromadę na bulwar i wprowadził niebawem w jaskrawą toń światła pod białe arkady teatru.

Tu Jelsky odzyskał lub też zapragnął odzyskać humor. Wysforował się naprzód i obwieszczał głośno:

— Kłamstwem jest, aby ludziom w pewnym wieku i stanie cywilnym pozostawała poza pracą i tak zwaną ambicją jeszcze tylko knajpa, dom publiczny i cudza żona. Panowie, jest jeszcze — tyngiel! Kwiat zaś społeczeństwa, artyści, posiadają passepartout i skorzystają dzisiaj z mojej łoży dziennikarskiej.

Stanął we drzwiach, zdjął grzecznie cylinder i prawą ręką wskazał na połyskliwe od marmuru, lśniące od luster i purpurą wysłane schody.

— Zapraszam!

Poza nimi zaszeleściła w szybkim chodzie jedwabna suknia i roztworzyły się z impetem drzwi wiodące za kulisy. Wionęły na nich miękkie, tłuste zapachy perfum i szminki. Borowskiemu rozchyliły się nozdrza, uniosła pierś. Coś jak uderzenie prądu przebiegło mu wskroś przez ciało i zakłuło-w palcach dłoni. Chwycił się za poręcz.

— Panie, świeć nad jego duszą!...

— Co, pan Borowski? — Pawluk wytrzeszczał oczy. — Taż nie kościół?!

— Ojciec mój!... Wiesz — szeptał Borowski, ściskając dłoń Hertensteina jak w kleszczach — wiesz, to był wielki, szczerzy artysta! Ogromnie kochał sztukę... I dlatego zadusił go ten potwór!

Pan von Hertenstein spojrział bystro i pochmurnie w oczy Borowskiego, po czym zdjął kapelusz i pochylił nisko głowę:

— Cześć poległym! I weszli do tynglu.

!Ruchliwy, pełen zgiełku kiermasz na sali wciąż jeszcze ogłuszał Mullera. Coś, jakby migotanie zwierciadła, odrywało uwagę od sceny, drażniło oczy i zwracało mu je ustawicznie na prawo. W czerwonej ramie firanek, na zwierciadlanym tle wnętrza, w błyskach niespokojnych refleksów, rysowała się wysmukła sylwetka kobiety; na purpurowym tle parapetu świeciła jak śnieg biała, od brylantów połyskliwa i smukła jej dłoń. Zaś tam na dole, pod nią, wśród zastawionych stołów, tworzyły męskie cylindry zgiełkliwy i bezładny rój.

Spod smyczków skrzypcowych wysnuwała się melodia cicha, dyskretna i kłębiła się sennie po widowni. Na scenie tańczono. Sypki, miarowy i melodyjny szelest, jakieś

miękkie szmery kobiecych głosów, westchnienia niespodziane, stłumione i lekkie. Szelest, szmer i zapach kobiet wiewem szły na widownię i niosły ze sobą melodię walca... I szeptał jedwab. Tuż ponad kinkietami sypało się jakieś barwne kwiecie, drobną zmaconą falą przelewał się wzdłuż błękitny wir: drgał, mienił się i musował, rzucając głębszą, lżejszą jeszcze pianę białych tiulów i koronek.

— Daisy!... Daisy!... — dygotała niema piosnka na tej zwiewnej fali; drżały lekko struny skrzypcowe, opowiadał pieściwie flet.

Migały przed oczyma bystro i zwinnie czarne, wiotkie nogi w płytkich pantofelkach, rysowały się śmiało, lotne linie ich konturu. Górą, na barwnych falach jedwabiu świeciła żywo ciepła biel ciała na ramionach, uśmiechały się kobiece główki w złotych kapturkach, drżących, niby

dzwonki, loków. Czasami zniecierpliwienie zaśmiało się psotnie na tych rozkołysanych główkach i ciche szepty, jak szmer liści jesiennych, mieszały takty. Śpiewał, szumiał, grał i tańczył falisty jedwab błękitnych sukien.

I rzucał na salę kłęby miękkich, sennych perfum.

Pieścił się flet, drżały struny skrzypcowe.

Zaś w górze, na parapecie łoży, na pełnej, soczystej purpurze, spoczywała, niby śniegu biała kiść, smukła, od brylantów lśniąca dłoń. Na lustrzanym tle wnętrza, w przyćmionym świetle, wśród niespokojnych refleksów, rysowała się zimno, nieruchomo i dumnie sylwetka pięknej kobiety.

Na dole rojny, zgiełkliwy kiermasz męskich głów.

— Daisy!... Daisy!... — rozśpiewały się drżące struny harfiane, rozpieszczał i rozmarzał flet.

Zdawało się, że gdzieś w głębi, poza jasnymi kwiatami tych śmiejących się główek — tam u tylnej kulisy, gdzie zwieszają się ciężkie, syte słońcem liście palm i kielichy orchidei, tam, w chłodzie cienia, leży kobieta, do śniadej piersi pęki kruczych włosów ciśnie i wzdycha głęboko.

— Aa...! — słyszało się niemal to westchnienie.

Nagle pada strzał; za nim w nagłym pośpiechu — drugi — trzeci — czwarty, jak w tyralierce. Strzelał szampan! Klaskania niedbałe, przeciągłe, oraz rechotliwe, pełne nonszalancji wołania:

— Brawo, brawo, brawo — bis! Cafe chantant!

— Dobrze! — pochwalił Jelsky protekcyjnym skinieniem dłoni w stronę sceny. — Błękitny kankanik amoretów — komentował swemu otoczeniu. — Nie ma jak Angielki!

— Siły w tym brak — kaprysił Pawluk.

Muller, skulony dotychczas pod swą peleryną, zrzucił

122

123

ją nagle z ramion i energicznym ruchem zgarnął włosy z czoła. Jelsky powiódł okiem śladem jego spojrzenia i mruknął tylko:

— Aha!

— Oj, Muller — westchnął za chwilę.

Muller zachnął się i chciał coś odpowiedzieć, lecz w tejże chwili zakaszłał strasznie.

— A widzisz!... Memento mo... moralitatem chociażby. Muller zwinął w kłęb

pelerynę i rzucił mu ją na głowę.

— Ty żurnalisto!

— Uszanuj kapelusza, jeśli nie szanujesz powołania.

— Szanuj Stimmung tynglowy, jeżeli niczego już uszanować nie potrafisz! — i oszczędź mi dzisiaj swego sentymentu oraz opieki.

Jelsky wskazał oczyma na Borowskiego. „Jeżeli tam pójdziesz, obgadamy cię przed nią”. Muller poczerwieniał nagle i zwrócił się do Jelsky'ego tyłem. Borowski siedział gdzieś w najciemniejszym kącie łoża i wsparł ciężką głowę na obu dłoniach. Gdy przycichło na scenie, uniósł się wreszcie i rozejrzał błędnie po widowni; oczy przyćmione i mętne zapadły mu jakby w głąb: czuć było, że widzą przed sobą jakieś inne, obce światy. — Nie dla mnie! nie dla mnie! — szeptał. Po chwili znów opadł na fotel i ukrył twarz w obu dłoniach. „Było! — myślał — było!... Tak zamiera młodość, w takiej cichej agonii kona czyn. Całe moje życie już tylko było! Boś przyszła ty...”
Czyniąc sobie tron i łożę z upadłego mego ducha, Zem skut z tobą, marny tworze,
Jak galernik do łańcucha!...

Uciszone się w teatrze, oczy wszystkich zwrócone były na łożę dziennikarską, gdzie wybuchał w tejże chwili chóralny śmiech. — Brawo, Borowski! — wołał Jelsky. — Jeśli chcesz koniecznie, możemy między jednym kankanem

124

a drugim posłuchać nawet dramatu. Brawo! — On skoczył z fotelu i rzucił okiem na kurtynę; lecz w tejże chwili cofnął się znowu i wpał w najciemniejszy kąt łoża. „Nie dla ciebie, stary — co?...”

Podniósł na nich oczy i zadygotały mu wargi jak u dziecka. A gdy oni śmiać się nie przestawali, wpił się palcami w ubranie na piersiach i szarpnął je nagle.

- Grać chcę!! — huknął na cały teatr.

- Cii...! — sykano zewsząd na sali.

Zza kulis wyfrunęło czerwone stado dziewcząt z kasta-nietami w rękach. Pochyłe deski sceny zagrały, jak jeden wielki bęben pod wartkim uderzeniem kobiecych stóp. Tańczono czardasza. Kobiety rzucały iskry łyskaniem czarnych oczu, uśmiechały się sprężystymi rzutami i przegięciami ciała, biciem kastanietów, zaczepnym przytupywaniem i kiedy niekiedy swawolnym okrzykiem rzuconym na widownię; rozplatały się ich szeregi we wstęgi, snuły się jak ruchliwe wieńce i girlandy, biegły pod tylną kulisę, ustawiały się rzędem i z dzikim impetem pędziły przed się, po rampę, niby rozhukany tabun źrebców.

Oczy Mullera skierowały się znów na prawo* gdzie świeciła w półcieniu biała "dłoń na parapecie łoża. Kobieta nie drgnęła nawet od tego czasu. I wydało mu się w tej chwili, że tam na oparciu łoża siedzi sęp, ostrą głowę w puszysty kołnierz wgarbił i zamarł nieruchomo; czasami tylko senne powieki uniesie, szklane ślepie leniwo przewraca, zamyka i czeka, zimny, na padlinę.

Z brzękiem ostróg, łoskotem i tupaniną wyrzuciła się na scenę gromada mężczyzn. Połączyły się pary i poczęły się wikłać w coraz to dzikszym tańcu. Za chwilę było już tylko widać czerwone plamy, białe kłęby koronek i czarne wiry oraz koliska od wyrzucanych wysoko ponad sąsiednie głowy nóg. Huczały ponad tym wszystkim trąby, bębny

125

i piszczałki, z łoskotem waliły cymbały, odrzynały twardo rytm tańca basowe struny wiolonczeli. Długie ramiona kapelmistrza, wyciągając się w kierunku wirujących nóg, wołały jakby: „wyżej!” — a wymachując rozpacznie ponad orkiestrą krzychały niecierpliwie: „prędej!” Ten zawrotny chaos buchnął jakby ze sceny na widownię i porwał, zdało się, wszystko za sobą: oko chwyciło tylko pęd, ucho szaloną kakofonię dźwięków! Ponad tym sabatem tanecznym królowały tylko i śmigały w powietrzu czarne nogi; wszystko wpadło w jakiś idiotyczny, jak zmora senna dokuczliwy pęd i wir: świat zburzył się, zwichrzył, oszalał, wściekł!

Wyżej, prędzej! — prędzej, wyżej!... Urwała się wreszcie muzyka i runęła kurtyna. Błysk światła, oklaski, bicia lasek o podłogę... Tyngiel-tangiel!

— Dobrze, — chwalił po raz drugi Jelsky życzliwym skinieniem w kierunku sceny.

— Czerwone, węgierskie kankanisko! — tłumaczył swym przyjaciółom.

Pawłuk zapatrzył się tępo na kurtynę.

— Tfu, czort! — splunął nagle, zerwał się z krzesła i począł krzątać się ruchliwie po łożu.

Jelsky'ego przyszły odwiedzić dwie artystki: witały się piskliwie z obecnymi.

— Nie rozumiem... — odezwał się po raz pierwszy Kunicki.

— Jeszcze pan czegoś nie rozumiesz?! — przerwano mu śmiechem.

— Nie rozumiem — mówił nieustraszony Kunicki — co w tej całej kakofonii robi Bizet, Liszt...

— Co robią? Dostali bzika i cieszą się — odpowiedział Jelsky. — Tam, na dole — tłumaczył poważnie — siedzą panowie, którzy mają dosyć tragedii w życiu i — w swych

126

głowach. Panowie żądają wesołości; nie dowcipu ludzkich głów, bo to dziś już nuży, lecz humoru kobiecych nówek. To jeszcze bawi tymczasem. Jeżeli ewolucja pójdzie dalej w tym kierunku, należy się spodziewać, że przy ulepszonych dekoracjach wejdzie, na przykład, na scenę wieża katedry kolońskiej, stanie dęba i zatańczy kozaka... Myśl z wieczora nuży ludzi pracy, ludzi wielkomięjskich!

— Ale w takim razie, co wy tu robicie? — niecierpliwiał się Kunicki. — Gdzież konsekwencja?!

— Młodzieńcze, zrujnujesz się na konsekwencję! — huknął z kąta basowy głos.

— Ależ logika?!

— Pan masz świetne zadatki na bakałarza!

— Więc sens? Sens! Głowa moja! — krzychał Kunicki ściskając dłońmi skronie.

— I panicz chce zostać literatem?...

Müller i Jelsky prostują pomyłkę; towarzystwo chce być grzeczne i kiwa smętnie głowami, na znak widocznie, że i takie fuchy być muszą. Bas tylko szepce niechętnie do sąsiada: — Co ta racjonalistyczna hołota między nami robi? Lekarze! przyrodniku — Czyż nie mam racji? — zwrócił się głośno do jednej z dam.

Ona, patrząc na niego szklanymi oczyma, wyduła usta w dziobek, brzdąkla wargami i wybębniła jak pozytywka:

Ich bin nicht von Prag, nicht von Wien, Ich bin eine fesche Ungarin.

— Osoba udziela się wyłącznie ze strony artystycznej — komentował ją poważnie Müller.

Kunickiemu zdawało się, że jest pijany; chwycił czym prędzej za czapkę. Salwy śmiechu zgłuszył nagły wrzaskliwy pisk z głębi teatru. Światło gaśnie, unosi się kurtyna; scena pusta, a zza kulis drą się ostre, przeraźliwe głosy. Wreszcie wypadają trzy pstrokate potwory w spiczastych czapkach, przypadają do rampy i uderzają się nawzajem w twarz. Olbrzymie karminowe pyski na kredowych maskach wykrzywiają się szeroko i wyrzucają z siebie ochryply, gardłowy śmiech.

— Hehehe!!... Posypały się oklaski.

— The fashionables — odczytywał Jelsky w afiszu. Kunicki trzasnął drzwiami i przygłuszył na chwilę wybuchy śmiechu w łoży.

— Wina! — krzyknął nagle Muller. — Stimmung jest zbyt głupi, aby go można wytrzymać po trzeźwemu. Jeżeli nie będziemy pili, lada chwila beknie tu jakaś owca sentymentem.

— Hertenstein, wina! wina! — krzyczano bębniąc laskami w podłogę. Z kąta łoży podniósł się Borowski, skrzyżował ramiona i patrzył na nich spode łba.

— Jeżeli masz zostać młodą
I być taką, jak ta, co dziś żyje,
I być ochrzczona tą piekielną wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije...

— Co jemu się stało? — wołano.

— Niic — bagatelizował Jelsky — wpadł tylko w d e-lirium teatralicum, cały repertuar klasyczny wymruczał już tam w kącie. Co zresztą nie przeszkadza mu w tej chwili zazdrościć kłownom, że są na scenie.

Ktoś, komu jeden koncept zmanierował humor na cały wieczór, powtórzył niespodzianie:

Tak, tak, tak,
W tym cały sztuki smak,
Naszego życia sens!...
Hehehe!!... — darły się błazny na scenie.

128

Borowski przeniósł się do ciemnej łoży w kącie; wnet za nim wysliznął się i Turkuł.

— Niedościągły imitator, iluzjonista biograficzny, profesor van der Clerk — rekomendował Jelsky podług afisza jakiegoś pana na tle lustrzanego kramu ustawionego na scenie. Profesor krzątał się przy swej cudownej szafie, narzucał na siebie jakieś szmaty i peruki i z batutą w ręku zwracał się jak fryga do publiczności.

— Brawo, Liszt! Liszt! — krzyczały wszystkie usta, klaskały wszystkie ręce. Na radość tłumu patrzyła siwa, trzęsąca się głowa starca, o wielkich guzach po całej twarzy; niedołężna ręka ledwo trzymała batutę. Muzyka grała Trzecią Rapsodię.

— Brawo, Beethoven! — Beethoven! — krzyczano po chwili. Na szerokie śmiechy tłumu odwróciła się starcza, brzydka, potężna głowa wielkiego twórcy. Kapela tynglo-wa próbowała grać Eroikę, zagłuszyły ją oklaski.

W łoży Bawluk porwał się z miejsca.

— Choćby zdjąć głowę z karku, rzucić ją wam pod nogi i pójść sobie precz; mnie i głowa już na nic. Oj, dokuczyło!

I splunął w kąt.

Profesor w kilku zwinnych ruchach przedzierzgnął się ponownie. Przed rampą stanął wysmukły młodzieniec w eleganckim fraku, niedbałym ruchem trzymał w ręku batutę, zerkał na kobiety i ugiął się na słabych nogach. Publiczność śmiała się, lecz nie umiała odgadnąć; ktoś z galerii krzyknął wreszcie: — Szopen!

I zagrzały oklaski.

— Brawo Szopen!... Jeszcze raz Szopen!

W łoży odsunął ktoś gwałtownie krzesło: pan von Hertenstein porwał się z miejsca. Coś jakby kurcze wstrętu przebiegło mu po bladej twarzy.

— Niech ta małpa zaprzestanie!

— Cii, Hertenstein — obrażasz profesora! Co u Boga!... Beczysz?!

9 — Próchno i cyn

— Toż te małpy ośmielają się grać Scherzo h-moll!... Zaprzestać! — huknął na cały teatr.

Pawliik rzucił się ku niemu. -

— A co, pan Hertenstein? Twoje pańskie nerwy nie wytrzymały naporu głupstwa?

Pękło coś — ha? A widzisz — patrz, jak won tam na dole się bawią: publika — ha? Jelsky wzruszał ramionami.

— Nie rozumiem ciebie, Hertenstein! Przecież te błazny przed chwilą i profesor, na którego patrzymy, są sztuką aktorską au fond, jej absolutem bez przypadkowości twórczych pierwiastków, które pochodzą bądź co bądź zawsze od kogo innego. Tęsknota Borowskiego jest w swej nieświadomości szerszą od twego sentymentu... Zaś to — tam na dole... no, to jest... jakżeby to powiedzieć... cest le public, co laury rozdaje. Wniknij w to, Hertenstein, i skrusz się na duchu... Dasz nam kiedy koncert szopenowski lub może własny — ci sami przyjdą! A ty rzucisz im pod nogi wszystko z rozbolełej duszy Szopena i ze swej własnej!... Zlituj się, Hertenstein, kto z was jest większą małpą: profesor van der Clerk czy ty?

— Mógłbyś z równą racją zapytać: twój profesor czy Szopen.

Towarzystwo wybuchnęło pijanym śmiechem. Hertenstein wyprostował się nagle jak struna i tupnął nogą.

— Bydło, nie śmiać się!...

Błada jego twarz wydłużyła się natychmiast i zaskrzepla, jakby w przestrachu nad własnym uniesieniem i brutalnością; siatka sinych żył zatętniła na skroniach; zaświeciły się oczy i dwie wielkie łzy — łzy zdziwienia — zawisły na środku białych policzków. Pochwycił pierwszą rękę z brzegu, uściśnął i wyśliznął się na korytarz.

Obecne w łoży damy próbowały kobiecym taktem załagodzić przykre zajście: nastroiły się brzdąknięciem warg i zaśpiewały zgodny duet:

130

Jam nie z Wiednia, jam nie z Pragi, Jestem sobie z Budapesztu!...

Kurtyna zapadła z szelestem. Hertenstein włókł się jak pijany przez korytarz:

zdawało mu się, że jakiś natrętny rój much krąży mu nad głową, brzęczy i bzyka w uszy. To publiczność rozochociona podczas antraktu śpiewała chórem w takt muzyki: ta-ra-ra-bumdera! ta-ra-ra-bumdera!

Śpiewał, gwizdał, huczał cały teatr...

— Nie ma gadania, powróci! — uspokajał Jelsky przyjaciół. — I on zechce usłyszeć Yvette. Reklama, co wznosi karłów i obala olbrzymów, drwi sobie z ludzkich

kaprysów.

Jakoż Hertenstein zawrócił ze schodów, lecz nie do nich, tylko do ciemnej łoży z brzegu, gdzie ku swemu zdziwieniu zastał dwa nieruchome cienie. Przysiadł się i on do Borowskiego i Turkuła. Nie zdziwili się wcale, nie unieśli nawet głów przy jego wejściu. Cisza, półmrok i jakieś ponure skupienie panowało w tej łoży. Krzyki, wrzawa ze sceny nie dochodziły tu, zda się, nawet.

— Panie Hertenstein — szepnął po dłuższym czasie Turkuł — kiedy pan dasz koncert?

— Nie wiem.

— Trema?

— Tak.

Ktoś westchnął, ktoś drugi zawtórował, trzeci poprawił się na krześle i chrząknął. Milczeli znowu. Ostre oczy Turkuła, świecące po ciemku jak u kota, wpijały się w Hertensteina badawczo i łakomie z chciwą prawie ciekawością.

— Za ten dziwny toast tam, w kawiarni, gniewać się

131

nie umiem — rzekł swym suchym, twardym głosem — ponieważ ludziom ciekawym wybaczam wszystko.

— „Ludziom ciekawym” ... — Hertenstein wydał wargi i potakiwał głową, jak znanej aż nadto piosence. — Tak, to jedyny gatunek ludzi, który my jeszcze tolerujemy.

— Nie wyłączając pana. Bo co do tej pańskiej apo-logii czynu, wierzyć się nie chce, żeby to było szczerze... Na pana dość spojrzeć, żeby odgadnąć, iż pan najlepiej czuć się musi właśnie wśród tych najrozmaitszych wykolej eń-ców z kawiarni. Wszelka twarda, konsekwentna działalność w życiu — tylko patrz — stałaby się dla pana czymś brutalnym. Ludzie czynu bywają najczęściej mniej barwni i ciekawi, natomiast...

— Natarczywi i nudni — przeciął ostro Hertenstein — pomijając już to, że są zwykle przeraźliwie płytki. — I po chwili, jakby łagodząc zbyt ostre wystąpienie, z niezmierną uprzejmością częstował Turkuła papierosami. — Chce pan posłuchać bajeczki? Ludzie z bajki bywają nie mniej ciekawi od ludzi z tynglu i z kawiarni...

Otóż, pytał raz uczeń bramina: „Mistrzu, gdy po śmierci człowieka ciało jego przejdzie w ziemię, krew i nasienie w wodę, włosy w zioła, mowa w ogień, oddech w wiatr, tchnienie, wzrok w słońce, serce na księżyc, dusza w wszechświat: rozumiem to wszystko, panie — ale z człowiekiem, z człowiekiem, mistrzu, co się stało? Co pozostaje z człowieka?” A na to mistrz: „Chwytaj mnie, drogi, czym prędzej za rękę i uchodź, uchodź z tego zgiełku ludzkiego; należy nam w wielkiej ciszy i skupieniu rozważyć tę najgłębszą z tajemnic.” — I poszli w ustronie ciche i tam rozważali. A to, o czym mówili, zwie się czynem, a to, co wstawili, zwą ludzie dziełem.

Rzucił się Turkuł na krzesło.

— Pyszne! — krzyknął i sięgał po notes do kieszeni — kapitalne!

A po chwili:

— A więc: działalność praktyczna, ale... sub specie aeternitatis. Ho! Ho! W panu coś się bardzo kłóci... Ale bajka kapitalna! Pan musisz tkwić w tych starych... tam...

Tiens, czy pan czasami nie jesteś!?

Hertenstein z uprzejmym pośpiechem podsunął mu zapalną pod nos do wygasłego w wargach papierosa. Borowski nie spuszczał z nich oczu.

— Pan powiedział — zwrócił się po chwili do Turkuła — że, gdzie tryumfuje czyn, tam musi być zdeptanym uczucie.

— Ja tego nie mówiłem.

— Prawda, to Hertenstein!...

— O, Hertenstein cudzego uczucia urazić by nie umiał, a cóż dopiero zdeptać własne! — mówił Turkuł, nie przestając zapisywać czegoś w notesie. — Niech się pan nie gniewa, ja czuję pana... Taki rozdaje tylko uczucie, wziąć go sobie od kogoś nie umie: za słaby lub za mało brutalny. Taki — nic sam nie burzy, jemu życie wszystko niszczy. Czyścicowe dusze!... Takim musiał być Szopen — prawda, panie Hertenstein?

Hertenstein zachnął się nerwowo:

— Nie mówmy tu o Szopenie!

— Przepraszam. I znów milczeli.

— Pan mnie zapewne do jakiego dramatu chce wkleić? — zagadnął Hertenstein z cierpkim grymasem.

— Wkleję.

— Czy pan już żyć jako człowiek nie umiesz?

— Nie — odparł Turkuł twardo i jakby z dumą.

— Czuć to. Pan cuchniesz atramentem... Zresztą, pańskie sztuki mogą być doskonałe, ale grać powinien aktor z genialnym nerwem życia. Ot, Borowski na przykład!

Borowski podniósł oczy i zasapał ciężko jak miech. Śpiewki, tańce i błazeństwa ze sceny dochodziły tu dalekim przytłumionym gwarem: niby wrzaskliwe nakrzy-

132

133

kiwanie pastucha pod wieczorną zorzę, co się w cichym powietrzu roznosi i kołysze, harmonią spokoju owiewa i echem pieśni do uszu dolata. Tu w głębi ciemnej niszy żył, drgał i tętnił teatr: wszystko inne roztopiało się w harmonii.

Turkuł nie spuszczał z oczu Borowskiego.

— Jedź pan ze mną! — rzekł nagle — grać moje Przeznaczenie. Dają za trzy dni; jadę tej nocy jeszcze.

Borowski drgnął i spojrział jakby z przerażeniem na niego.

— Wsadzę pana na debiut do Wielkiego.

— Co!? — Borowskiemu krew uderzyła do głowy i przysłoniła nagle wszystko przed oczyma. — Co pan powiedział? — pytał po dłuższym milczeniu.

— Do Wielkiego.

— Boże mój!...

Turkuł, śmiejąc się, wyciągnął rękę, aby w nią Borowski na zgodę uderzył.

— Biorę pana na swój koszt, czym sprawię naszej publiczności prezent królewski. Borowski patrzył bezradnie w oczy Hertensteina, jakby od niego oczekując otuchy, czy też namowy.

Ktoś szarpnął drzwi: do ciemnej łoży wtoczył się pijany Pawłuk.

— Pan Borowski, dawaj żonę! — krzyczał waląc mu się prosto na szyję. — Tam oni cuda prosto opowiadają. Rad by popatrzeć — namaluję może... Tam oni wszyscy

opowiadają, bo my się tam upili... Winem winogronowym upił się i ja... Ty, pan Borowski, nie gniewaj się! A żonę tu sprowadź — ot co! Rączkę wycalujemy — uczciwi będziemy... Wiadomo: cudza żona! Trzymaj się!

Borowski odpychał go od siebie ze wstrętem i strachem, jak złą zmoreę. Hertenstein skoczył wreszcie i chwycił Pawluka za bary.

— A ty, pan Borowski, pożał się nad Mullerem i wy-

134

rzucaj go won od siebie. U pijanego, wiadomo: dusza przez gębę lezie! Powiada, że jeśli w łeb sobie strzeli, to tylko dla onej to Zośki twojej... A Jelsky jest na kobiety drań! Czuj!

Pan von Hertenstein, nie rozumiejąc nic, zżymał się na ten ochrypły, pijany i natrętny głos.

— Idź precz, Kozaku, idź precz!...

— Ja liustra szukał i was znalazł. Liustro zbić chcę!... Spiegel zerschlagen, baron Hertenstein!

— Tłucz, rób, co chcesz!

— Zbiję!... A ty, pan Hertenstein, po co tu przyszedł? Modlić się — ha? Wiadomo — duszę zapomnieć! I ja... i mnie — bełkotał czepiając się każdego z nich po kolei — i mnie tu ciasno w waszej Europie... Pójdiesz do akademii: „Tfu, jak wszyscy umieją!”, pójdiesz do galerii: „Boże ty mój, co ludzie już arcydzieł namalowali” — przytłoczy, zgniecie, zdepcze. Pójdiesz do kawiarni: łeb jak dynię rozedmie. Mądrzy wy, mądrzy! Wiek słuchaj, nie nauczysz się!... A sam ja co? Tfu! I artystą chciał zostać!... Zapłacze dusza! Dawaj — zapju! Przyjdiesz hań gdzie zapomnieć: głupstwo na głowę wskoczy, w czuprynę się wczepi i — paszol! — hajda, galop! U was wszystkiego za dużo w Europie waszej, za dużo, za dużo!... Miejsca dla duszy nie ma!...

— Ni ma, ni ma! — skarżył się i żalił, gdy go za drzwi wypychano. — A ty, pan Borowski, żonie małą to rączkę wycaluj pięknie ode mnie — wołał poprzez głowę Hertensteina. — Kobiety wy by mnie dali, dobrej, pocziwej!... Buchnąłby na kolana, stopy całował i beczał, beczalby!... Tobie, pan Borowski, żony przez to nie ubędzie, a ja duszę zlecę, wymyję łzami, wyczyszczę z błota!... Na wykształcenie pluję! oddam panu Turkułowi: dramat robi; wszystko inne tam — mężowi — niechaj! A mnie serca trochu kobiecego... Baby, baby mi dajcie! ta dobrej baby!...

Wypchnięto go wreszcie za drzwi. Tam począł nieba-

135

B9C

wem wrzeszczeć jak sroka; zataczając się od ściany do ściany, darł się ochrypłym głosem:

— Nad moim wieńcom Druhny płakały...

— Cicho, Pawluk, bo cię wyleją z lokalu!

Lecz on wparł się niebawem gdzieś w kąt i tłukł głową o ścianę.

— Uch, padlec, padlec!... Przedał, jak Judasz!... Za sztuku, mówili, za ono won draństwo, za publikę sprzedał!...

Wreszcie ucichło wszystko; w sali tylko gwarno było przy spuszczonej kurtynie. W ciemnej łoży milczano.

Jakieś swarliwe głosy na korytarzach, potem raptowny trzask i brzęk, co z łaskotem metalicznym potoczył się jakby po kamieniach, echa szklane we wszystkich kątach teatru zbudził, nagłą ciszę wszędzie wyczarował i utonął niebawem w ogólnej wrzawie, krzyku i tumulcie.

— Zbił! — rzekł Borowski.

Pod koniec antraktu orkiestra starała się grać poważnie, kelnerzy snuli się majestatycznie, na głośniejsze śmiechy sykano gdzieś z kąta. Ludzie byli już podnieceni i poddawali się biernie tym nieokreślonym, nie wiadomo skąd idącym nakazom. Wreszcie dzwonienie: długie, powolne, proszące o skupienie.

Numer główny programu!

Przed kurtynę wyszedł jegomość w tużurku i obwieścił żałobnie, iż panna Yveta Guilbert w drodze powrotnej do Paryża raczy wystąpić raz jeden tylko.

„Dobrze robią ciekawość” — aprobował Jelsky w duchu. — Oto chwila brzemienna — zwrócił się z powagą do przyjaciół. — Reklama wyzywa tłum w szranki i potęgę swą mierzy. Przyjrzyjcie się, dzieci, „co może dziennikarz”!

Ludzie tymczasem wlepiali już oczy w kurtynę i nastawiali uszy; sykano na nieproszone gawędy. Jelsky zakaszłał głośno dla eksperymentu: zakaszlano na widowni, jak w owczarni. „Skupienie jest!” — wnioskował. I czuł się panem trzody swojej.

— Stań się! — rzekł, jak kapłan, gdy zasłona unosiła się powoli ku górze.

I stało się!... Tam, przed rampą stała ona! Jak wskrzeszona legenda, jak wyczarowana z gazet, ogłoszeń, wersyj i plotek. „Czarną ma na sobie suknię i żółte wstęgi — mówią sobie ludzie. — I te wielkie, lśniące, czarne rękawice na ramionach, te same, co do anegdoty już niemal przeszły”. Ona! „Nieladna!... Brzydka!... Wspaniała!...” — „Ciekawym, czy też prawda, co o niej piszą” — myślą wszyscy, a każdemu już serce bije, każdy jest już naj-podatniejszym do przyjęcia takich wrażeń, jakie mu w oczy i uszy rzuca.

Stoi, dłonie splotła i uśmiecha się... „Dziwny uśmiech!...” Szczupła, giętka, wysmukła... „Ależ te oczy, te oczy!...”

— Wisz, hadiuka czarna!... — rozlega się na cały teatr tuż ponad głowami Borowskiego i Turkuła. (Pawluk wywinął się na razie z rąk policji).

Wreszcie ona przechyla się giętko — o posłuch prosi: „A young boy gave me his heart” — zaszeleściło jak liście. Ludzie nie przygotowani byli na angielski język.

„Młody chłopiec dał mi serce swoje” — tłumaczono sobie pośpiesznie, podczas gdy artystka wyciągnęła przed się ramiona i trwożnie, pieczołowicie ujmowała, zda się, coś subtelnego w dłonie. I zdawało się ludziom, że w tych czarnych rękach drży lękliwie ciepłe ludzkie serce. Zagrała muzyka śpiewnie- i łagodnie. Padły pierwsze słowa — francuskie. „Dlaczego taka wieża Babel?” — dziwił się ten i ów, lecz każdy wypłaszał czym prędzej z myśli to niewczesne pytanie.

Napięcie tak wzrosło, że pierwsze te słowa były dla

136

137

ludzi niemal ulgą fizyczną. Głos niski, lecz śpiewny i jakiś ogromnie kobiecy. W naprężeniu początkowym każdy puszczał mimo uszu melodię i śpiew, czatując natomiast na treść, na słowa, na gesty. I oto dowiadywały się chciwe uszy, że ...młody

chłopak, gdy łyzy wszystkie na rozstaniu wypłakał, piersi swe roztworzył, serce z nich dobył, u jej stóp złożył. „Weź — do ciebie wszak należy. Mnie już nic po tym!” A w czarnych dłoniach drga, zda się, pulsuje i tętni to serce, niby ptak ofiarny, i krwią widocznie ocieka, gdyż ona tak ramiona przed się wyciąga, jakby się bała poplamić czymś suknię. W tym sercu, jak na dnie purpurowego kielicha, leży biała lilia pierwszych uczuć, nowa młodość, nowego życia wonie i blaski! I pieszczą, i tulą coś te czarne dłonie, niby ptaka przeznaczonego na rzeź; potem: „zwróć mi — daj!” — śpiewają usta, a długie, ruchliwe, czarne palce oplatają coś jak ssawki mątwy, wpijają się, niby ostre pazury, w coś, co drży, łopocze się i precz z rąk wyrывa. Wreszcie krótki, cichy okrzyk! — ludzie westchnęli na widowni, tu i ówdzie krzyknęła kobieta. Rozdarła serce!

I śmieje się... Lecz w tejże chwili zbiera się w sobie, odskakuje nagle w tył, ramiona rozpacznie przed się wyrzUCA i pręży długie palce. Jakiś lęk potworny wykrzywIA jej twarz.

I ludziom się zdawało, że widzą u jej stóp żmiję!

A ona krzepnie w trwodze, drętwieje w przestraczu, długie czarne ramiona wyginają się jak węże, pręży się Tuchliwe, cienkie palce. Ludzie słów wciąż jeszcze nie rozumieją, ale każdy czuje, że żmija dosięgła jej stóp, oplata nogi, po biodrach się ślizga. A muzyka gra śpiewną zwrotkę. Piosnka prosta, co do połowy wierszy opada, od połowy w górę wysokim tonem sięga — i donosi, jak echo skargi dalekiej:

Zgorzała już miłość, Tęsknota nie mija,

138

Z białych uczuć kwiat* Pełźnie czarna żmija.

Ona przechyła się, srania i opada niemal w giętkim przegięciu ciała. A skarga ta dziwna wciąż dalekim śpiewa echem:

Jadem ciało-ć ślini, |Jadem cię plugawi, Mego ducha gruzy Jadem marzeń trawi.

Jakiś nieludzki, błady ból kurczem obrzydzenia wykrzywIA jej twarz, brzydką w tej chwili jak u czarownicy.

Nietoperze rojem Resztę krwi mej piją.

Czego chcesz ty?...

Na twej białej piersi Skonać czarną żmiją!...

I padły te słowa, jako zgrzyt pękniętej struny. Te blado i bezwładnie rozchylone usta, ten nieuchwytny wyraz nie wiadomo: smutku kobiety czy cynizmu aktorki!...

Osunęła się zasłona.

I cisza była. Na korytarzach tylko gdzieniegdzie warczał gaz i dziwnie odbijał się echem turkot powozów na ulicy. Zdawało się, że tamtędy ciągną jakieś konduktury pogrzebowe.

„Co to było?” — pytał samego siebie ten i ów trzeźwi ejszy. Lecz oto pada pierwsze klaśnięcie, jak strzał — oklaski bić zaczęły gradem o pułap, toczyły się jak grzmoty: runął łoskot, wszczął się krzyk i tumult. Gdzieniegdzie ponad tłum wyrzUCAły się rozpacznie ramiona ze złożonymi do oklasku dłońmi lub ukazywała się głowa z okrągłymi oczyma i szeroko, jakby w przestraczu rozwartą gębą. Ryczała, pieniała się ta szalona fala przyływu gromadnej duszy. Czuć było pot ludzki — tłum śmierdzieć poczynał.

139

— Jezus Maria' Borowski?! — krzyknął nagle Hertenstein i rzucił się na brzeg łoża, by go wpół pochwycić. — Bój się pan Boga, kto słyszał się tak wychylać!?

Jelsky stał na froncie łoża dziennikarskiej, na wprost sceny. Kiwnął przyjaźnie dyrektorowi teatru i wyjąwszy machinalnie gazetę z kieszeni, uderzał nią o parapet łoża, spoglądając niedbale na kłębiący się u nóg jego tłum.

— Przepotężna! — zaśmiał się z tryumfem i rzucił numer gazety na głowy inteligentnego motłochu.

^(^sparty na ramieniu Jelsky'ego, włókł się ciężko do domu; co chwila przystawał i oglądał się trwożnie poza siebie. — Pluj na te zmory! — uspokajał go kilkakrotnie Jelsky.

Zagroziły im drogę długie, ślisko wydeptane stopnie, wystające z równego szeregu kamienic. Borowski zapatrzył się na potężne, omszałe kolumny i na barokowe posagi w niszach.

— Nie pójdę! — zawołał nagle i przysiadł na stopniach kościoła.

— Chciałeś, żeby cię do domu odprowadzić?

— Bodajbym był przeklęty!

— Eh! — skrzywił się Jelsky. — W taki melodramat wpija się pierwszy lepszy cham gorzałką.

— Ja jestem trzeźwy.

— No, chodź! Ambicję cenię nawet u pijanego.

— Bez ludzkiej ambicji i głupoty ty byłbyś zerem.

— Obaj, obaj, Borowski... Ale wstań z tych stopni, bo o jest śmieszne i bluźniercze. Zamiast odpowiedzi przylgnął ustami do kamiennych schodów i trzykrotnie w piersi się uderzył.

— Płakać nie mogę — szeptał ujmując Jelsky'ego pod ramię. — To mi piersi chyba rozsadzi!

— Tacy jak ty umieją już tylko na scenie płakać.

— Ja na scenie szczerzej się modliłem niż teraz.

— Każdy z nas, Borowski, każdy z nas dzisiejszych ma taką scenę, na której z powodzeniem szczerze odgrywa. Ja tylko w druku umiem się jeszcze szlachetnie oburzać.

141

— Ja chcę się modlić! .

— Widzę jedyną drogę wyjścia: wstąpić na scenę.

— Boże, Boże mój, cośmy z życia zrobili!... Widzisz, kto tam był, tego próg kościelny nawet odtrąci.

— Gdzie?

— W tynglu, w teatrze, w sztuce — to jednego diabła panowanie. Twoje to, Jelsky, królestwo, twa moc i chwała.

— Pan gardzisz sztuką?

— Tłum widziałem, twoją potęgę pojąłem... Gardzę sobą, nienawidzę swego życia!

— Ale sztuką, pytam?

Borowski zwiesił głowę i milczał. Jelsky roześmiał się krótko: — Oj, to słówko, to słówko fatalne!

— Czyś pan co postanowił?

— Wyjeżdżam dziś jeszcze.

— Hm!... A żona?

— Ja zbieg, ja złodziej, powrócę tam, bez własnego imienia, bez przeszłości, bez żony, bez celu, treści i przywiązania do życia, tylko z tą jego klątwą!...

— Ze sztuką? — skrzywił się Jelsky. — A kto cię tam będzie lansował? Macie u siebie porządnych dziennikarzy?... Ale przede wszystkim, co zrobisz z żoną?

— Pozostawię ją Kunickiemu.

— Jakże to „pozostawię”? I dlaczegoż koniecznie jemu?

— Ponieważ ze wszystkich łotrów, jakich znam, ten karierowicz wydaje mi się najuczciwszym.

— Hm!... — Jelsky wydał wargi. — Żenią się — chcesz powiedzieć... A no! poświęconą została sztuce, niechże z kolei poświęcą ją karierze. Poświęcanie się jest losem kobiety.

— Muller! — przypomniał sobie nagle Borowski i nachmurzył się. — Jego mi żal: młody! On się o tę przeszkodę gotów rozbić w życiu... Ale gdzie się podział Muller?
142

— Poszedł z tą... rączką, z łoży. Widziałeś ją? Borowski splunął.

— Niech was wszystkich piekło pochłonie!

— Dla takich mniej więcej poświęcają się kobiety. I one znają to słówko: „sztuka”!... Przy bramie opuścił jednak Borowskiego spokój. Wargi dygotać poczęły, ręka czepiała się kurczowo ramienia Jelsky'ego. Pociągnął go ze sobą na górę. — Chodź! dam ci list do Kunickiego. Boję się o tę pierwszą chwilę dla niej. Chodź! — Kazał mu jednak oczekiwać w sieni; Jelsky rzucił ramionami, siadł jednak flegmatycznie na schodach i począł się bawić woskowymi zapalkami. Borowski wśliznął się do mieszkania na palcach.

Przyćmiona lampa pod abażurem pali się na stole. „Jak zawsze w takich razach” — przemknęło przez myśl Borowskiemu. Ta cisza, lampa z czerwonym abażurem, ostry cień na ścianie: długi, czarny i taki dziwnie niespokojny!

Czuł, jak za każdym krokiem traci władzę woli, jak to> fatum znanej gorączki poczyna kierować jego ruchami... Skrada się na palcach, czai, własnego cienia płoszy i wzdry-ga... Przez chwilę zapomniał jakby, po co tu przyszedł-spojrzał na biurko i rzucił się na nie... Przerzuca kartki, przypada na krzesło i kreśli jakieś słowa bezładne, gorączkowe: ostatnie pożegnanie. Rzuca pióro i — roztwiera z hałasem szufladę! Nie — nie to! nie to!... Chce biec do drugiego pokoju, lecz wzrok jego pada raz jeszcze na biurko. I zdawało mu się w tej chwili, że ze wszystkich ciemnych kątów pokoju rozlega się potworny, złośliwy chichot...

Na stole leżała biała, czysta karta: nie napisał ani słowa! Wiódł piórem górą, ponad papierem, jak zawsze w t a - k i c h razach.

— Boże mój! — jęknął. Opadł na krzesło, ręce zwisły bezładnie. — Boże mój, więc ja naprawdę nie mam sił do prawdziwego życia?!...

14\$

Zmógł się przecie i pisał z wysiłkiem wielkim:

Wśród nas wszystkich, ty jeden tylko nie zgniłeś do reszty, ty jeden kochasz może prawdziwie. Ona jest bierną, jak każda kobieta: miłości potrzebuje, pokocha tego, kto

ją kocha. Broń i strzeż! Jestem najpodlejszym człowiekiem na świecie.

Ale gdy drzwi uchylił i w półmroku ujrzał jej jasną głowę na poduszkach, uczył, że nogi uginają się pod nim. Coś szczerego uderzyło go tym razem jakby obuchem w głowę i rzuciło do jej nóg. „Ty święta ofiarno!...” — zaczęło mu się już w myślach na wysoką nutę, lecz łkanie wtłoczyło mu te słowa nazad w piersi. Chłód jej stóp, które do czoła cisnął, wyzwolił mu łzy z oczu. Płakał jak dziecko, mając jedną myśl tylko, że to źródło łez jest dla niego jedynym już źródłem szczerości i prostoty — mocy życia!

— Władus! — szepnęła we śnie. Uniosła się na poduszkach, zgarnęła włosy z czoła i znowuż opadła na posłanie.

„Śpi — myślał — oczu nie otwiera”.

— Włada, zostaw mnie — zostaw mnie już dzisiaj. Sił brak! Ciała już nie czuję, duszy nie mam...

— Jezu! — krzyknęło coś w Borowskim. — Zocha, nie! — nie o to mi...

— Piłeś znowuż, Władus?

— Matko Boża!... Zochna, Zochna, za coś ty mnie kochała?!

— Ja cię zawsze. Władus, lubię, ale dziś idź już — idź!...

Borowski podniósł się ciężko z kolan.

— Idę już, Zocha, idę!... A niech cię Bóg...

Czucie instynktowne przepłoszyło ją w tym półśnie. Porwała się z poduszek i siadła na łóżku. Nerwowym, niespokojnym i sennym jeszcze ruchem przygarniała włosy na tyle głowy.

144

— Nie, Władek, wróć się lepiej, bo ja się czegoś boję... Borowski wysunął się cichaczem do sieni. Jelsky siedział na schodach; urządzał sobie iluminację z woskowych zapalek i wygwizdywał piosnkę Yvetty o rozdartym serduszku.

— Jelsky?

— No?

— Władek! — wołał z wewnątrz kapryśny, senny głos.

— No — Jelsky gasił po kolei świeczki — to było do przewidzenia, że ty efektu nie darujesz.

Podśluchiwali pode drzwiami: miękki plusk bosych nóg o podłogę, a potem nagły krzyk: • -

— Władek!!...

Borowski biegł na dół, przeskakując po kilka stopni. Jelsky stał w sieni i nadśluchiwał; rozrzewniało go to pluskanie bosych nówek o podłogę. „W koszulinie biedaczka biega”. I znowuż krzyk, tylko tym razem cichszy, niespokojny, poczuciem samotności lękliwy! „Gotowa sobie co złego zrobić” — pomyślał Jelsky. —

„Właściwie, wystarczyłoby w tym miękkiem serduszku zbudzić anarchię uczuć, aby...” Usłyszał w tej chwili ciężkie osunięcie się ciała na ziemię.

Ujął za klamkę: drzwi stały nie domknięte.

— A no!... — mruknał. Zgasił zapalną, zdjął grzecznie cylinder i wśliznął się na palcach do przedpokoju.

Końca tej drodze nie widać! Nogi drętwieją, grzbiet w pałąk się zgina, głowa ciężko

na piersiach zwisa — ciało się nie dowlecze... Żółta smuga blasku od kinkietów zastygła jakby i omartwiała w ciszy — i ta ścieżka tuż przed rampą — długa, równa, nieskończona... I dokąd ta droga wiedzie?... Pary czarnych, lśniących w ciemności, wielkich, okrągłych oczu... Ile ich tu jest dzisiaj — dziwi się Borowski. — Dech ich zaparty, pierś ciekawością przytłoczona...

10 — Próchno , a t

I oczy! — setki, tysiące oczu wlepią się w niego żądnie, chciwie, i ssie mu z piersi krew serdeczną... Idzie wciąż, wleczę się bez końca; dźwiga na sobie jakiś ciężar, co go lada chwila o ziemię rzuci... Padnie, zawali się!... Wszak te oczy wszystkie na to tylko czekają: padnij! padnij!... zwał się i krwią nam w oczach zabrocz!

I dokąd wiedzie ta droga?... Przez kłamaną scenę życia na serdeczną scenę... Boże mój, Boże litościwy!...

Nagle głuche łkanie wyrzuciło się skądś echem i padło mu, jak kamień, pod nogi. — Potknął się!... Zmógł się i dalej idzie... Oczy! oczy! oczy!... „Władek, Władek mój!” — załkało po raz drugi. — Potknął się!... W kamiennej ciszy wyczekiwania napięta struna gromadnej duszy ludzkiej już huczeć poczyna: pęknie lada chwila. Oczy! oczy!... „Władek, ci artyści uczynią ze mnie dziew...!” — Potknął się, zatoczył i runął na ziemię.

„Brawo, Borowski!... Bis!...”

I wre, huczy, przelewa się ten zgiełk. A potem sykania: „Cii!... Dosyć, Borowski! Niech błazny teraz idą!” — I wpada ta trójka w spiczastych czapkach, o kredowych pyskach i wielkich karminowych wargach: wrzeszczy, skamle, szczeka i przeskakuje przez niego ze śmiechem: „Hopp!”... Oklaski, brawa i śmiech błaznów:

„Hehehe!...”

Ocknął się i dźwignął ciężko z ziemi. Pusto było na tro-tuarach. Podwójny szereg żółtych latarni zamykał się klinem, hen, w dalekiej perspektywie. Ponure, senne mury wyrzucały na cichą ulicę nie samotne echa jego kroków, lecz za każdym stąpieniem głuche, stłumione łkanie.

— Płacz, Zocha — płacz!...

Ponad miastem, na chmurach, drgała krwawa, żywa, tętniąca łuna jakiegoś pożaru, zasnuwały ją czarne kłębiska buchającego dymu. A jednak cisza i pustkowie naokół — wielka cisza panowała o tej porze na mieście.

...A tam — znowuż scena! Tym razem gdzieś w ciem-

146

nych wyżynach, pod gwiazdami, hen! Ten oślepiający żar kinkietów, ta płonąca blaskiem plama na tle czarnej, gęstej, przepaścistej głębi nocy! I oni wszyscy zwlekają się tam po kolei — żywi, jaśni, promienni — pławią się w blaskach!... Oto wloką się bez celu, oni — młodzi! — smutni, błędni, z krwawymi przepaskami na oczach, z wyrazem niemocy na bladych twarzach; bezsilne ręce przed się wyciągają. „I tyżeś nas opuścił, Borowski! — ty, piersi naszych jęku, niemocy naszej głósie!...” Przeszli — minęli... Tam w głębi kłębią się ciemne dymy i krwawią łuny pożogi; długim grzmotem tłumnych roz-gwarów przebiegają ciężkie szeregi, słychać nieustanny suchy trzask, huk straszny i trąbki ciche, natarczywe granie. Marsz! marsz!... I oto „leci z szablą pan mój stary — złoty jak kudłaty lew”... Zasnuły go dymy, pochłonęła kurzawa... Z dymu wyłania się starzec, krwawego trupa na lewym

ramieniu dźwiga, prawą ręką lirę do piersi tłoczy. „Gdzie walki jego echo? gdzie czynów jego spizowy dzwon?”... I minął starzec, jak mija przeszłości krótkie wspomnienie. Lecz oto wpada drugi, rozwichrzonym włosem twarz przysłania, stryczek tylko na szyi widać. Poznał go Borowski i jękiem powitał. „Synu, gdzie życia mego ślad, gdzie głos i skarga tych, co umarłych wskrzeszają, z żywymi cierpią, a przez sennych tratowani — giną? Gdzie są tłumy dzisiejsze ofiary? gdzie mojej, gdzie twojej, gdzie naszej doli skarga i bunt? — Synu! synu! — synu mój!” I zdawało się Borowskiemu, że to jaśnienie w górze błogosławieństwo promienne na potępioną głowę mu zsyła; tęsknota poczuciem mocy piersi mu rozszerza i ptakiem rwie się w górę — tam do nich! Prostują się zdrętwiałe skrzydła, szeroko zagarnęły sięgi — oto z ziemi się podrywa, w powietrzu bokiem się kołysze i orłem do nich leci.

„Właduś, Właduś! Władek mój!”

— Słyszę cię, Zochna, słyszeć będę póki życia...

147

...bo w sercu mym, choć je ukoję, brzmieć będą drogie łkania twoje, jak bęben, gdy gra do ataku!...

Ponad miastem gorzała łuna pożaru.

Kroki wywiodły go na ślepo przed oświetlone wejście hotelu. Turkuł oczekiwał już w westybulu. W wąskim gumowym płaszczu i w małej wełnianej czapeczce na głowie, krzątał się o walizki: ptak przelotny gotów był do wędrówki.

— Jesteś pan? — witał Borowskiego niedbale, zajęty bardziej swą walizką i portierem.

Na Borowskiego mrozem powiało od tej twarzy. Przed chwilą jeszcze oczekiwał tego spotkania jak wyzwolenia; zdawało mu się, że wycieńczony padnie w czyjeś ciepłe ramiona, co go obejmą, wesprą, sił i otuchy dodadzą.

— Panie, jak oni tu zdzierają! — skarżył się Turkuł. — Rzeczy pojedą omnibusem, my mamy czas, pójdziemy pieszo, opowiem panu po drodze jego rolę w Przeznaczeniu.

Ujął go pod ramię i wyprowadził na ulicę. Płacąc napiwek groomowi, rozpoczął swą opowieść:

— Widzisz pan, w moim Przeznaczeniu główną rolę ma młody artysta. Pan czujesz miłość artysty? Bon! sztuka-kobieta? problem! — Przyparł łokcie do siebie i ścisnąwszy mocno kułaki, balansował nimi w napięciu. — Voyons! Pasuje się. — Otwartą dłonią przeciął w powietrzu jak siekierą. — Przepołowił serce! Połową kocha, połową tworzy. Czy pan potrafi oddać tę połowiczność, tę szcząt-kowość we wszystkim, co człowiek myśli, kocha, czuje, tworzy? Te... te nie podociągane struny, te zgrzyty, tę atmosferę ułudy... Bon! I zjawia się, widzisz pan, ta fatalna nuta bezwiednego fałszu w stosunku obojga. Projekty! projekty! Czy wiesz pan, jak potężnie marzą improduk-

148

tywy?... Zaczyna pić, zaczyna kochać mocniej, cela veut dire: namiętniej. A potem ta tęsknota do harmonii uczuć, myśli, marzeń, czynu; ta potrzeba złączenia, zlania, stopienia w jedną całość sztuki-kobiety — voyons, mój problem! Zaś ona — taka mała polska kobietka. Pan zna ten genre'ék. Bon! — Otóż...

— Otóż — przerwał niecierpliwie Borowski — ten pański artysta porzuca kobietę. ;— Nie. On ją tylko połowicznością swej natury i lepszą częścią swego ja wprowadza bezwiednie w świat smutku, rozmarzenia, potrzeby ofiary. Ona dobrowolnie ustępuje z drogi.

— Dokąd? — Borowski zatrzymał się na ulicy.

— W grób.

— Jezus Maria!...

— Mocne w koncepcji? co? O, ja zawsze mocno piszę. — Turkuł nie zdawał sobie sprawy, że człowiek, do którego mówi, jest tak własnymi ranami obolały, że każde dotknięcie kurcz trwogi wywołać w nim musi.

— Widzisz pan — tłumaczył Borowskiemu dalej — przeznaczenie powiodło go kołem i rzuciło na wpół żywego tam, gdzie mieć chciało. I teraz dopiero — tworzy! Z kolei zatrzymał się Turkuł i wyrzucił dłoń w górę.

— Ars triumphans! — wołał. Borowski zaśmiał się gorączkowo.

— Panie Turkuł, czy tak mocno stoi się w życiu na trupie? — Ręce splótł na głowie i w gorączkowym śmiechu zataczał się na ulicy. — Ludzie, do czego wy dziś dochodzicie!

— Jak to do czego? Kapitalne wnętrza ludzkie wyciągamy!

Borowski śmiał się wciąż.

— O, ja to panu zagram! Ja to świetnie zagram. Ha! ha!... Panie Turkuł, jakże to Muller śpiewał w kawiarni? >,W tym naszej sztuki smak, naszego życia sens!" Ha!
149

ha! — Borowskiemu spazm gardlany zerwał śmiech. — Panie, jakie krwawe są te nasze wnętrza, w których pan piórem dłubiesz po nocach, powróciwszy zapewne z tyn-glu lub zamtuza... I ja, i ja już wstąpiłem nogą na czyjeś piersi! Tylko jeszcze mi się to rusza, jeszcze drga i żyje! Jeszcze mnie te drobne ręce rozpacznie... Boże mój!...

Turkuł wtłoczył ręce w kieszenie i spoglądał na niego spode łba.

— Panie Borowski — rzekł po chwili — nieszczęścia, tak zwane życiowe...

— To nie jest nic literackiego! — ofuknął Borowski.

— Otóż to! Nieszczęścia, tak zwane życiowe, to starcia naszej upartej woli z naszym przeznaczeniem. Wierzaj mi pan, najwięcej zła, krzywdy, szkody sieje w życiu ten, co z przeznaczeniem swym walczy. A wiesz pan, co on z posiewu swych najlepszych chęci zbiera? Fałsz i kłamstwo na każdym kroku. Trzeba mieć odwagę powiedzieć „nie" nawet na obowiązek. Ale na to lwiej pono potęgi potrzeba. Należy mieć ten zmysł prostoty w sobie, aby najistotniejszej części ducha swego przyznać słusność w życiu. Lecz na to dziecka pono potrzeba.

Łoskot uliczny przycichł nagle — stał się głuchym, podziemnym, ciężkim: droga wywiodła ich na most. Przed oczyma Borowskiego zaświeciła mętym, ciemnym połyskiem woda, nurzająca w swych falach długie i żółte języki blasków od nadbrzeżnych latarni. Huczał i dudnił most — a tam na dole szum i zgiełk mrukliwy i jakby odwieczny w swej ciężkiej monotonii. Ponad miastem, w bok, mrugała wciąż niema luna cichego pożaru.

Szli wolno... Kiedy niekiedy Borowski przystawał i wspierał się na barierze, Turkuł poddawał się milcząco jego woli.

— Wspominaj pan najgorsze chwile swego życia: to sił dodaje. Czy nie poniżałeś siebie, aby swej dumie boleść sprawić? — pytał nieswoim, namaszczonym głosem.
150

— Tak — odparł Borowski, zapatrzony w pęd ciemnej wody i czując, jak sam w wir jakiegoś pędu wpada.

— Czy chorym będąc, nie odsyłałeś pocieszyciela? Czy nie zawierałeś przyjaźni z głuchymi, którzy nigdy nie pojmą, czego pragniesz?

— O, tak!

— Czy nie podawałeś ręki upiorowi sumienia, który cię straszyć chciał?

— Tak.

— Czy nienawidziłeś tego smoka, co woła przed każdym krokiem twoim: „musisz!”

— i potężną łapą do ziemi cię tłoczy? Czy nie zrywał ci się w duszy okrzyk: „chcę!”

— Tak.

— I jako świętość pokochałeś twe „musisz”! Teraz obłąd dobrowolnego szалу znajdujesz nawet w swej największej świętości. Rabujesz sobie wolność ze swego ukochania.

— Tak.

— Dobrze, iż mi „tak” odpowiadasz: to jest mowa dziecka... I oto, Borowski — kończył Turkuł i w pół go obejmował — nazwałem ci trzy przemiany ducha: jako duch wielbłądem był, lwem się stał, w dziecko się zmienił...

— Skąd pan to?...

— Słuchaj! — Na zimną twarz Turkuła strzeliły rumieńce; recytował z przejęciem, z piersi te słowa wygłaszał. — Słuchaj!... Bo niewinnością jest dziecię i zapomnieniem. Zapomnieniem, Borowski! Jest nowo-poczęciem, jest grą, jest łączącym się pierścieniem, pierwszym odruchem, świętego „tak” mówieniem! O, do gry tworzenia, bracia moi, należy święte „tak” nauczyć się wymawiać; swej woli pożąda duch, świat swój odnajduje, kto świat swój utracił!

— Skąd pan to?... Czy jest taka czarna księga, co by mnie potępionemu rozgrzeszenie dała?

15L

— Takiej nie masz. Jest natomiast inna, która ci dumę daruje. Przeczytasz — i staniesz na scenie jak bóg olimpijski!

— A ona?... Zochna?...

— Śmierć — życie, ból — sztukę rodzi.

— Ale nie podłość. Zlituj się pan, ale nie podłość! Zdeptać to, co z całym zaufaniem u nóg nam się wiesza... O, na tę zbrodnię także dziecka tylko potrzeba!

Turkuł tupnął nogą.

— I gadaj tu z nim!

Borowski przechylał się przez barierę: patrzył na wodę, wsłuchiwał się w jej szmery głuche... „Władek, Władek! — ci artyści zrobią ze mnie swą dziewczkę!”... Czuł, jak ten pęd przed oczyma rzuca w przeciwnym kierunku, ponosi coraz to prędzej, coraz to gwałtowniej... Huczał i dudnił mu most ponad głową...

— Stopp!... — Turkuł w samą porę schwycił go za bary i zerwał z poręczy. — Panie Borowski, bój się pan Boga! — Jeszcze żaden mężczyzna nie topił się z niezdecydowania.

Borowski patrzył na niego błędnie przerażonymi oczyma i cofał się tyłem.

— Co panu!?!...

— Nic — już nic! — minęło! Wtedy... zanim to uczyniłem, spojrzałem — i te oczy!... te oczy pańskie zimne rozżarzyły się w jednej chwili jak węgle. Myślałem, że mnie prowadzi...

— Kto taki?

— Diabeł!...

— W imię Ojca i Syna!... Oj, źle, Borowski! Słabyś duchem, wróć się lepiej tam — w łóżko małżeńskie, w wyrzuty sumienia i obowiązki.

— Nie mogę: stało się! Nie wiem, czy źle, czy dobrze robię, nie wiem nawet, dlaczego tak uczynić muszę — ale wracać już nie mogę!

— Przeznaczenie! — objaśnił Turkuł. I ruszyli dalej. Turkuł, zaplątawszy się w krąg jednych myśli, nie mógł

z nich wybrnąć: ustawicznie coś wspominał i recytował. Wreszcie objął Borowskiego serdecznie i przygarnął do piersi:

— „Kocham tych, których dusza głęboka jest, nawet gdy od ran serdecznych ginie, kogo drobne przejście zniszczyć może! — albowiem ci są, którzy przez most przechodzą!”

Stanęli wreszcie na brzegu przeciwnym i oparli się

o balustradę, raz jeszcze spojrzeli na miasto. Z ciemnego zwaliska murów wyrastały w czerwień płonącego nieba kościelne wieże, niby czarne i nieme upiory. Cicha łuna pożaru drgała wszczepiona po ciemnym niebie.

— Tam! — myślał Borowski.

— Tu — wmuszał weń Turkuł, ściskając mu dłoń jak w kleszczach. I aby odwieść mu myśl w inną stronę: — Pożegnaj pan rekinów, westchnij do przyjaciół z kawiarni 1 tynglu.

Borowski opadał coraz bardziej

— Panie — mówił słabym głosem dziecka — może to wszystko prawda, co pan mówił, mozem i ja umęczony mym szczęściem i niedolą, mą miłością i obowiązkiem, mą cnotą i winą! Może i ja na to tylko szamotałem się, aby mnie przeznaczenie tam wreszcie rzuciło, gdzie mieć mnie chciało!... Ale gdy pomyślę, gdzie to wszystko dojrzewa i bólem uświęca... Łóżko rozpusty — kawiarnia — tyn-giel — dziewczki — błazny — zidiociałe tłumy wielkemiejskie — prostytutki uliczne!... A! — wszystko to takie małe, drobne, brudem cuchnące!... Ha, ha, ha! „Sztuka!”

Odrzucił się od bariery, dłonie w czoło wciskał i śmiał się. Śmiech ten padał w bezdeń, leciał w czarną przepaść, aby gdzieś, w głębi od skalnych odbiwszy się czeluści wrócić ku górze krzykiem rozpaczony... Turkułowi dreszcz poprzez ciało przebiegał. Nastawiał uszy, poruszał chrapami jak wyżeł: czuł sztukę!...

152

153

— Śmiech taki wart życia — rzekł. — Ten śmiech spod piwnicznych wierzei grobów dochodzi: tak się śmieją dawne wielkie trupy nad dzisiejszym życiem... O, kto śmiech taki usłyszy, ten sam śmiać się przestanie!... Ciebie, Borowski, widoma łaska Boża opromienia. Ty z Bożą łaską śmiałeś walczyć... A tamto wszystko, ten nawóz sztuki — gardź nim! Wszystko co nasze, co młode, co dzisiejsze — to nikczemność,

to brud i rozkosz żałosna! Ale my jeszcze nienajgorsi — skoro śmiać się tak umiemy — z życia, z ludzi, z samych siebie... Śmieję się, Borowski, śmieję! Ten śmiech będzie tryumfem naszej szczerzej sztuki nad naszym kłamnym życiem.

Szumiało miasto i gadała rzeka. Drgająca luna rozrzuciła się po niebie coraz to szerszym płaszczem. Gwiazdy gasły. I trzepotała się ta luna na chmurach, jako wielki krwawy ptak; cicha i niema, próbowała jakby zniewolić do ratunku obojętny huk, zgiełk i gwar pustego życia miast wielkich. Czarne wieże kościołów strzelały w tej krwawej topieli coraz to wyżej i wyżej: zapomniane od ludzi, same nieba sięgały, Boga wzywały na ratunek.

Turkuł spojrział na Borowskiego. „Przecież on spłynie tęsknotą jak krwią — pomyślał. — Przecież on z tęsknoty za nią powiesi się najdalej za dwa, trzy lata. Tacy nie strzelają się nawet”.

I nie potrafił tej myśli opanować:

— Wiesz ty, że tym razem na śmierć idziesz?

— Wiem — Borowski machnął ręką.

Po wiaduktach między murami biegł pociąg, skakał z łoskotem po zwrotnicach, wypadł z dala na nasyp, gwizdnął i pędził przed się w obce, dalekie światy... Pozostał po nim ten pęd i rozmach w powietrzu, to rozpierające piersi pragnienie lotu...

— Pora nam!

— Pora...

CZEŚĆ DRUGA

Jeszcze luna pożaru tliła się na niebie, gdy Jelsky wychodził na ulicę. Długie wycia i skomlenia świstawek fabrycznych zwiastowały ciemnym przedmieściom świt. Ledwo dostrzegalna mgła zmywała kamienice i bruki niby deszcz ulewny. Ostra woń miejskiego poranku: zapach wilgoci, alkoholu i świeżego pieczywa. Śródmieście usnęło nareszcie i cisza legła na pustych ulicach. Gdzieś tylko oświetlone sutereny; wewnątrz białe, jak cienie snujące się postacie i ten cikliwy zapach ciasta i drożdży. Jelsky wypróżniłby w tej chwili kieszenie za filiżankę czarnej kawy, ale kawiarnie były już zamknięte, czy też jeszcze nie otwarte. Czuł oskome w gardle i obrzydliwą niemoc w członkach. Księżycy lamp elektrycznych ćmiły się ponad ulicą już tylko z rzadka gdzieś rdzawym, ce-glastym jaśnieniem. — „Ta oszczędność magistracka!” — gniewał się Jelsky. „Ludzie — filozofował wnet potem — powinni żyć i spać na przemian. To regularne zamieranie życia z tej tylko racji, że słońce zaszło, przypomina stare przesady i jest resztką melancholii pocziwego żywota naszych dziadów”.

„Kawiarni!” — dopominało się w nim jakieś rozprężenie wewnętrzne.

Poza olbrzymimi szybami narożnych wnętrzy widniały jeno po ciemku fantastyczne rumowisko krzeseł na stolikach. I tam tlił się, gdzieś w kącie, tylko jeden płomyk gazowy, rzucając między te ruiny i na zgasłe, zmatowane lustra tajemnicze żółte smugi. „Tiens! — Jelsky

157

zatrzymał się bezwiednie — w takich wnętrzach pokutować powinni samobójcy miejscy”. Popatrzał, podumał, laseczką w bruki podzwonił i poszedł dalej. Tuż za rogiem ulicy, wparte w węgiel, zadrzemane i jakby przylepione do muru, czyhały maruderki nierządu. „Mors syphilitica” — przypomniało się skądciś Jelsky'emu i

stały mu przed oczyma ludzkie kalectwa. Na przedmieściach wyły bez przerwy świstawki fabryczne. Jelsky'emu zdawało się, że słyszy suchy, suchotniczy kaszel wyschłych, zapracowanych kobiet, rzucających obfite pomioty żółtych, wzdętych i rachitycznych dzieci, zalegających, jak robactwo, przedmiejskie zaułki.

„Kawiarni!”...

Odpiął kołnierzyk i schował go do kieszeni, nastawił natomiast kołnierz sakpalta, zsunął cylinder na czoło, wcisnął ręce do kieszeni. Rój czarnych, dokuczliwych myśli przepłaszał upartym nuceniem miłosnej piosenki:

Nietoperze ro-o-jem Resztę krwi mej piją...

„Trzeba pisać sprawozdanie o Yvetce!”...

Ryk sygnałów fabrycznych zgłuszyły odległe, ponure grzmoty. Jelsky zmieszał melodię i zaśpiewał w takt tych łoskotów dalekich:

Et du fer pour travailler...

Ca ira, ira, iral... — były młoty parowe na przedmieściach.

Jelsky potknął się o coś białego. Podniósł z trotuaru wachlarz, obejrzał i powąchał go. „Lilas de perse fleuri... Lubię!... której to z nich tak pachniały ramiona? Zaś ona pachnie z gospodarską wodą kolońską, co przypomina bóle zębów, migreny, rekonwalescencje po cięższych wypadkach porodów... Dziwię się, jak mąż mógł to znosić!”

158

Słysząc wreszcie pierwszego przechodnia. Zbliżają się jakieś ciężkie, brutalne kroki. Jelsky machinalnym ruchem chowa wachlarz za pazuchę... Nie mundur wszakże, ale ubranie cywilne, co wzbudza w Jelskim grymas niesmaku.

— Gdzie się paliło?

— Nie wiem — brzmi twardo wyniosła odpowiedź. Błysk oczu czujnych, podejrzliwych, i kroki oddalają się powoli. — Majestat! — mruczy za nim Jelsky. — Król ciemności! Chamstwo węż ci zepsuje, nie wytropisz nic.

Ledwo ten znikł na zakręcie, a tuż poza Jelskim, jakby spod ziemi wyrosła, zjawia się baba w ciemnej chustce i ciągnie za sobą małego wyrostka o długich kruczonych włosach. — „Signor! signor! — ée!...” — słyszy za sobą Jelsky włoską mowę i obrzydliwy porozumiewawczy syk. Odgadując zamiary, rzuca im krótkie: „Va via!” — Przypomina sobie wachlarz i rzuca go im. Matka z dzieckiem dopadają do tego kęsa jak dwa psy.

„Jak te szelmy rzeźbiarze podle opłacają swych modeli!... Także ofiary sztuki — tiens!... Chłopczyk wykuty z kamienia zdobi prawdopodobnie, jako duszyczka, mogiłę niejednego opryszka lub kokoty... Ars longa, vita brevis...”

Jelsky rozłożył ramiona i ziewnął na całą ulicę.

Cisza, pustka i senność wilgotna wokół, a jednak czuć budzący się gdzieś ruch; ucho nie słyszy, lecz odgaduje, z ciężkiej atmosfery oczekiwania wyławia jakieś westchnienia, szepty pacierza, prężenia zmęczonych członków; jak gdyby pod te ustawiczne, obmierzłe świstki fabryczne rozbudziły się wreszcie i kamienie w brukach. Nagle...

Ave Maria, gratia plena...

Ciche, pośpieszne dzwonięcie, jakby skowronkowy pierwszy wzlot przed świtem. Sygnaturka rozkołysała się, drga, bije, trzepocze się, jak ptak.

Ave Maria, gratia plena...

159

A tam na przedmieściach wała już młoty po ciemku, huczy i dudni już praca. Jelsky zapalił cygaro, rozpiął palto, rozpiął kamizelkę, zdjął cylinder: coś tłoczy, dławi, dusi po prostu... „Przecież, u Boga, ta Borowska nie jest dziewczyną! A ja mam wrażenie, jak gdybym krzywdę dziecku...”

„Kawiarni...”

Na krańcach miasta rzucały pierwsze pociągi w nocną mgłę długie płaczliwe skowyty.

„Pierwsza beczka!” — krzyknął jaskrawy szyld na mętnie oświetlonych drzwiach małego szynku. Jelsky nie namyślając się skoczył do izby ciasnej i cuchnącej jak słodowa piwnica. W brudnym świetle zakopconej lampki kilka ciężkich, fałdami szerokich bluz twardo zarysowanych sylwetek. Mgła, para czy też mętna zadymka oddalała ich zaspanym oczom Jelsky'ego w głąb daleką i bezbarwną. W pośpiechu, na stojąckę, wlewali w siebie pierwszą dawkę dziennej trucizny. Jelsky siadł za stołem, dmuchnął w pianę podsuniętego kufła, skrzywił się i kazał sobie zgotować czarnej kawy.

— Gdzie, się paliło? — ziewnął niedbale.

— Składy drzewa nad kanałem. Dwóch ludzi upiekli... żonatych.

— Kto taki?

— Juścić straż. A od czego ona zresztą?... Może i tamci dwaj byli ubezpieczeni na żydowski dochód. Pożar to jest intratna rzecz. — Suchy, ochrypli i zły śmiech kilku basów, jak zgrzyt trybów w maszynach, plusk białej piany o kamienną posadzkę i ten zaduch chmielu — duszny, jadowity.

Dano wreszcie kawę i Jelsky odnalazł myśl swoją. „Taki ja dobry jak i Kunicki! — rozmawiał ze sobą

gryząc nerwowo ogarek cygara. — Oszczędzam zresztą jego wątłe siły nerwowe i ratuję karierę... Ty zaś mógłbyś adresować swój testament imieniem, ad personam, a nie pisać go jako list otwarty dla ochotników... Przede wszystkim spaliłaby się gdyby nie ja — przez tę lampę. Następnie, kto by ją docucił? kto dałby niezbędne dla rozpachy echo? kto otrząsnąłby z tego odrętwienia w tumanie nieszczęścia? z tego lęku przed skupieniem myśli? z trwogi jakby nie przed tym, co się stało, lecz że coś podobnego stać się w ogóle może?... Ochotnik musi mieć stalowe nerwy!... A potem to zatrzepotanie się kobiece: „Pobiegnę! wstrzymam! uratuję!” W czyichś oczach musiała wyczytać odpowiedź rzeczywistości: „Nie wróci, nie cofnie się, wrócić nie zechce i nie może”.

Jelsky wspominał. Gdy myśli przyniosły mu powtórzenie własnej wymowy, rozchmurzyła się nieco twarz, wyobraźnia zagrała żywiej, jędrniej, kapryśniej. Toć przemawiał jak Oktawiusz:

„Jednakże Brutus był to dzielny mąż”. — „Ja nie przeżyję! ja żyć nie chcę!” —

„Jednakże Brutus był to dzielny mąż.” — „Boże, mój Boże, co ja pocznę!” —

„Jednakże Brutus był to dzielny mąż.” — „I co ja mu złego zrobiłam? za co? za co on mi życie zniszczył?!” — „Jednakże Brutus...” — „O, wy wszyscy jesteście jednakowi!”

Chwała Bogu: „my!” To rozszerza pocieszająco widnokreśli. A więc my: „My...” Jak

ona serdecznie, jak pocziwie i bezradnie płakała! „Pani, pani Zofio! przyjaciele, obrońcy...” — „O, wy jesteście!...” Jak ona okropnie płacze! A więc znowuż „my”: „My...” — „Niech pan idzie, niech pan natychmiast odejdzie! Ja w tym stanie, w takim ubraniu nie powinnam być z panem”.

Jelsky zatarł ręce. Ta literacka projekcja niedawnych wydarzeń dała mu zupełnie niespodzianie podniety i .sensacje silniejsze niemal od samego faktu. „Ta scenka miała przecież w sobie kapitalne smaki” — przyznawał we wspo-

160
U — Próchno

161

mnieniach. Bawił się więc myślą, przeplatał swe wspomnienia dopuszczeniami wyobraźni:

Jak to biedactwo bać się musi samotności, jak drży na samą myśl o niej. Ta wczorajsza jeszcze Zochna, którą układano prawdopodobnie do łóżeczka, dziś sama jedna, samiutka, w tym wielkim, obcym mieście!

Bo miasto musi wszakże być rzeczą straszną dla Zochny?

...Ulica długa, długa... pełna światła, połysków, barw... ścisk, tłok, turkot. Nie widać nic. I te toalety! „Je-jej, jakie toalety! Tam, na przykład, w powozie. Hm, hm! — dziwi się Zosia. — Czarnych, poważnych panów tyle — i tych paskudnych, co kobiety zaczepiają. O, jest taka kobieta; druga, trzecia... Boże wielki, żeby mnie kto nie wziął za taką a.” — I Zochna poprawia pewno co rusz woalkę i kapelusz. I te wystawy sklepowe! Gdy się idzie bez męża, nie można się nawet wcale zatrzymać przed sklepem, bo zaraz wezmą za taką... „O, spojrzal na mnie jeden pan, drugi i tamten — nieśmiały. Obejrzał się raz jeszcze. I ten oto paskudny oczy wytrzeszcza. Władek by ci dał — no?...” — „Włada, Władus, czy ja dobrze dziś wyglądam? Czy ładna jestem? Która ładniejsza: ja czy tamta w powozie? Lubisz mnie?... A co więcej lubisz: usta, oczy, czy też?... Patrz, taki tam ładny szlafroczek w wystawie! Ojej!... Co więcej lubisz, Włada, włosy moje, czy też?...” — „Zocha, nie pleć!” — „Władus, wiesz, ja rada jestem: tak wesoło!... Patrz no, patrz, tam w sklepie: jaką to niektóre bieliznę noszą. Czy przyzwoita może także?... Włada, kup mi taką. Albo nie trzeba, bo pieniędzy nie ma. Szkoda, że nie ma pieniędzy! Ale kup mi za to ciastko... albo lodów... albo szampana. O, to drogie, prawda! Nie można szampana. Chcę... chcę... Sama nie wiem. Zafunduj dorożkę. Albo nie — pocałuj mnie lepiej.” — „Zośka, nie psoć na ulicy, bo ludzie śmiać się będą.” — „Niech się śmieją, nie boję się wcale, nie!” — woła Zośka rezolutnie i tuli się, tuli do ramienia męża. „Patrz, Włada, tamten już czwarty raz naprzeciwko nas idzie. I jak śmiesznie patrzy! Władus, ja zrobię na niego oko — można?... Wiesz, Włada, co niektórzy pewno myślą: że ja jestem taka, a ty z tych paskudnych... Widzę, że ja się tym Niemcom coś bardzo podobam... Cieszysz się, Włada? Ja się cieszę!”

Takie to — myślał Jelsky — odkrywcze podróże w obce, wesołe światy odbywała prawdopodobnie Zośka, spacerując z mężem po ulicy. Ale samej wyjść na miasto: „Brr!” A teraz rozpacz i lęk samotności rysuje jej tę samą ulicę w ciemnych, ponurych i wrogich barwach. Sama jedna! Boże, co ona pocznie sama w czynnym wirze tych obcych, frasobliwych i zimnych jak metal twarzy. Tak myśli prawdopodobnie i drży jak liść osiny. „Zginę, przypadnę! Ja jestem słaba,

niedoleżna... O, ja jestem do niczego..." Nie, nie, tak mówić nie należy. Ona jest tylko prawdziwą kobietą. To jest takie nowe, takie wyjątkowe, takie fenomenalne! To się powinno cenić jak skarb najdroższy życia, wielbić jak... Jednakże Brutus był to dzielny mąż.

„Niedobry! niedobry!...” Szlocha, skarży się, żali, pieści niemal tym płaczem. Z jaką bajeczną naiwnością, jak cudownie i pieściwie kocha ta kobieta samą siebie. Przecież to jest nadzwyczajny materiał na pyszną namiętnicę. Tam do diabła! to się ceni rzeczywiście... „Samotność dla kobiety w obcym mieście jest gorszą od piwnicznego grobu. Na bulwarach każde męskie spojrzenie to oczy pająka; po zaułkach jakieś mroczne, ponure życie: podejrzenia, policja, gnuśne knowania występków, areszty, cyrkuły, śledztwa. W domu zaś, po pokojach, wałęsa się duszna, złowroga cisza, z każdego kąta wypelza cień jak płaski gad i ostrym spojrzeniem pyta: co ty poczniesz? co poczniesz ze sobą?... Jednakże Brutus...” — „O, podły!”

„Samotność dla kobiety jest zgoła rzeczą straszną, wszakże Oktawiusz... Nie trzeba wzbraniać przyjacielowi rączki...” — „Ja jestem taka biedna, taka biedna, panie Jelsky!”

162

Chwała Bogu: „panie Jelsky”. To zwięża pocieszająco widnokreśli. Za serce chwytający cichy żal wyczerpanego płaczem dziecka. „Pani jest dzieckiem, dobrym, najlepszym, biednym i nieszczęśliwym dzieckiem.” — „Panie Jelsky, ja już sił nie mam... Boże, i te moje włosy. Niech pan na mnie nie patrzy”. I jakby w tym bezwładnym oparciu się o niego, w poczuciu ludzkiej obecności znajdowała nieco spokoju. „Niech pan puści rękę. Ja wiem, że pan jest dobry, zacny, poczciwy... Nie! nie klękać! Na miłość boską, co pan robi! Ja wcale nie jestem warta, żeby mnie kto!...” — Ostatnie zerwanie się głębokiego piersiowego płaczu.

„Pani, pani droga!... pani Zofio!... dziecko!... biedna Zocha”.

„Panie Jelsky! mój panie Jelsky!...”

W cikliwej i dusznej atmosferze szynku przeciągały przed oczyma Jelsky'ego kalejdoskopowym wirem dziwnie postrzępione obrazy wspomnień. Nagle uderzył się oburącz po kolanach. — liens! To jest une scene a faire. Przecież to jest świetne jako temat!

— Kawy jeszcze!... Macie tam cygara?... Ognia! Dziękuję.

Rzecz ma w sobie miłą, popularną psychologijkę, posiada sama w sobie warunki sceniczne. Zaś pikanteria sceny na tle leitmotywu rozpaczki jest wprost secesjonistycz-na!... A gdyby tak machnąć? Hm?... Der Fall Angelicas, eine Familientragödie von Karl v. Jelsky. Ja — to jest on! — czuję to, będzie narysowany świetnie. Atmosfera moralna w sztuce nie powinna być zbyt poważna: jo, so, lo-la! Wienerluft!

— Ja pana pamiętam — huknął mu ktoś basem nad uchem. — Pan z gazety?

— Mniej więcej.

Robotnik przed nim poczerwieniał w jednej chwili i zaperzył się jak indor.

164

— Ludzkie życie więcej warte niż żydowskie drzewo! —| parsknął bez bliższych objaśnień. — Ludzi żonatych... Ubezpieczenie od wypadków powinno być magistrackie albo państwowe. Ludzi żonatych... O!

Zakrztusił się impetem własnego monologu. Chciał widocznie coś jeszcze powiedzieć, ale nagle zawrócił i wyszedł trzasnąwszy drzwiami, że aż szyby jęły. Z gromady przed bufetem rozległ się pomruk aprobaty i potakiwania. Ten i ów rzucił jakieś zdanie w kierunku Jelsky'ego. Niebawem otoczyła go grupa robotników; posypały się gradem opowieści o pożarze. W rękach Jelsky'ego znalazł się wnet notes; pytania i odpowiedzi poczęły się krzyżować z błyskawiczną szybkością. Niedawne wspomnienia wraz z tematem sceny d faire odsuwały się coraz dalej i dalej...

— Zrobi pan co do gazety?

— Toż robię!

— A straż na przedmieściach mamy podłą — beczki dziurawe.

— Widział który z panów?

— Ja widziałem, jak z beczki ciekło.

Gdy otwierał drzwi do swego pokoju, spłoszył sprzed biurka Mullera. „Mały” zerwał się, jak oparzony, rzucił się na łóżko i odwrócił się tyłem do ściany. „Twórczość była” — wnioskował Jelsky. Nawiązało mu to w myślach nici zerwane przez wiadomości o pożarze. A że Muller do gawędy wciągnąć się nie dawał, filozofował sam: już sama obecność tego człowieka podniecała mu myśl i wprowadzała ją na tory paradoksów. Rozmyślał głośno o kobietach.

— Wiesz, to jest jeszcze wielki problem: kobiety uczciwe czy heteryzm? Bo pomyśl tylko — wywodził krocząc z rękoma w kieszeniach po pokoju — kilka godzin rozpaczy i jęku, całe morze łez, trwoga samotności, lęki złych

165

przeczuć i — le moment approche — obojczyki sterczą żałośnie i proszą widza o współczucie, zaś smętny zapach wody kolońskiej gotów wprowadzić młodego marzyciela w nastrój anemicznego kwietyzmu, skompromitować go pochwałą szlachetnej „dobroci”, oraz narazić na propozycję „bądźmy przyjaciółmi”.

— O czym ty?... — zaniepokoił się nagle Muller.

— Chcę powiedzieć ogólnie, że kobiety w monogamii tracą zbyt łatwo właściwe kryterium wywieranego wrażenia. Jest to los podobny do fatum poety samotnika. Kobiety w monogamii zapominają, że na impresję składają się, prócz pełniejszych kształtów, jeszcze i fale mięciutkie-go jedwabiu, obłoki koronek, lekki i dyskretny bukiet perfum, harmonijna całość w kompozycji otoczenia, wreszcie umiejętność, umiejętność, raz jeszcze umiejętność — bodajby nawet w uśmiechu tylko. Zupełnie zresztą jak w poezji... Jednym słowem, uczciwe kobiety... — Jelsky strzelał niecierpliwie z palców, krzywił się, wreszcie machnął i wytrząsnął jakby z rękawa:

— Ça ne m'amuse plus!

Muller uniósł się na łokciach i zapatrzył w niego.

— Więc tamte?... Już tylko tamte! Jezus Maria, Jelsky!

— Noo? — przeciągał niedbale Jelsky, gdyż w tej chwili był już zajęty czyszczeniem paznokci. — Jesteś dziś pokutny? Hm?

— Jelsky! Jelsky!... Dalej zająć już chyba niesposób, dalej już ani kroku!... Czy tobie, Jelsky, nie pachnie chwilami własny dowcip jak lufa rewolweru?

— Tym czarnym otworkiem — odparł flegmatycznie Jelsky — ziewa w skroń nuda, krzyczy rozpacz marzyciela. Ja żyję, staram się żyć najintensywniej. Zaś ty...

— Co ja?

— Marzysz, mały, marzysz niepoprawnie; w błotku nawet po uszy siedząc, marzysz. Wszelkie zło takich najłatwiej się czepia: nie dosięgnie cię w życiu, omota w myślach... Albowiem popełniłeś nierozwagę, podobnie jak i my wszyscy, wybrawszy profesję artysty. Trzeba było zostać fabrykantem, kupcem, wszechstronnym lekarzem lub estetycznie usposobionym prawnikiem. Ci ludzie mają równowagę w życiu! Żółw jest w porównaniu z nimi stworzeniem eterycznie chwiejnym. U nich nawet nikczemność osadza się na dno duszy ciężko, solidnie, jakby dla zrównoważenia tej pesymistycznej melancholii, jaką ich napawa filozofia Malthusa i Darwina, nawet głupstwo występuje w szlafmocy zdrowego rozsądku lub w rozdartej szacie oburzenia, nawet interes stroi się w jubileuszowy frak społecznej zasługi. Ci ludzie mają równowagę!... Panowie ci posiadają czasami córki na wydaniu. Jest to jedyne źródło, z którego sztuka może zaczerpnąć równowagi u społeczeństwa, oraz kapitalna ucieczka dla tych...

— Co uprawiają profesję artysty — przerwał mu Muller.

— Chciałem cię tylko namówić, jak to co dzień czynię, abyśmy się poženili bogato.

— Jestem codziennym i cierpliwym uchem twoich marzeń.

— Mamy długi, Muller ku, mamy przeraźliwe długi! — Jelsky rzucił się na fotel, wyprężył ramiona i ziewnął przeraźliwie. — To jest mego katzenjammeru zwrotka zwykle końcowa i najsmutniejsza... Aaa! — ziewnął po raz drugi. — W ogóle, jestem smutny; dość powiedzieć, że chcę pisać dramat. U-uchL. Jestem zmordowany... senny... Gdybym mógł obcować sam na sam z nieskończonością (w intymnym tete a tete bez dozoru teściowej ironii): jednym słowem, gdybym był współczesnym poetą, połknąłbym nawet nieskończoność. Świat bywa przeraźliwie nudnym tynglem... Uu! Jakże mnie strzyknęło w nodze!... Aktorzyska na scenie życiowej zmanierowały się doszczętnie i przestają już bawić. I ty, Mullerku, bywasz nudny z twym twórczym milczeniem. Co do mnie, lubię gadać

166

167

pod wieczór, zanim zasnę; w przeciwnym razie gada we mnie melancholia. Zważ, proszę, że i wtedy coś gada, zawsze i ciągle gada... Sumienie bywa hałaśliwym młynem.

— Na małej wodzie — mruknął Muller.

— Trafiasz tym, jak w sedno, w genezę współczesnej twórczości poetyckiej. Mam dla siebie, prócz szacunku, i wyrozumiałość: ja wierszy nie piszę!

— Wiesz, Jelsky?... — Muller roześmiał się nagle i usiadł na łóżku. — Sądząc z wymowy i dowcipu, musiałeś dziś popełnić nie lada nikczemność. — Jelsky pochwycił poduszkę z kanapy i cisnął mu ją z rozmachem na głowę.

— Psycholog! — zaśmiał się w odpowiedzi.

Wnet potem nachmurzył się, szlifując uważnie paznokieć środkowego palca u lewej dłoni.

— Do diabła, trzeba na jutro rano przygotować artykuł o Yvecie?... Mały, powiedz co o Yvecie! Podobała ci się Yvetta?... Ale jakże ta twoja biała rączka z łoży? Ona się dopełniała z Yvetką w kontraście. Słuchaj, Muller, czy to dałoby się zużyć w sprawozdaniu — felietonowo niby?

— Można, wszystko można.

— Czy ci Yvetka nie przypominała kruka, a ta jej piosnka — żerowego krakania nad padliną? Zaś ta twoja — sęp.

Muller zerwał się znowu i mówił szybko w nagłym gorączkowym podnieceniu:

— Ta woskowa lala szeleszcząca jedwabiem, białe ciało na plakaty mydeł toaletowych, trup z przepychem ubrany, flakon ekscytujących perfum, beczka do wlewania w nią szampana. To nie mówi wcale, beczka uśmiecha się tylko jak automat za każdym dotknięciem. Widzisz: sęp-ścier-

168

wnik, z jego potwornym, ociążalym chłodem, z tą wstrętną sennością sytego ścierwem ptaka.

Jelsky jednym susem wyskoczył z fotelu i począł krążyć rezolutnie po pokoju.

— Chłop tylko w gorzałce smak znajduje. W takim spokoju jest bardzo coś!... Na to mrozą szampana. Ta Galatea pozwala ci być Pigmalionem... E, Miillerku, jesteś dziecinny!

— Jelsky, porzućmy ten temacik, bo... bo ci lakierki opluję.

— Za własne grzechy.

— Jelsky?... — zachnął się czy też jęknął Muller i upadłszy na poduszki odwrócił się tyłem od niego. Ale Jelsky wpadł nagle w doskonały humor: przysiadł się na brzeg łóżka, począł łechtać Mullera i kułakować żartobliwie.

— Dzieciuch!... serdeczny!... naiwny!... Jakes ty się, chłopcze, uchował na tym świecie? Miillerku, Miillerku, nie miętoś ty sumienia, bo gotówes wygnieść wszystkie drożdże ze swego talentu.

— Poszedł precz!

— Bądź filozofem, poeto, i przyznaj, że bądź co bądź to są drożdże!

— Co?! Czego!?

— Sensacji, temperamentu, a więc i sztuki. Z własnego życia należy jak z filozofii wyciągnąć nieubłagane konsekwencje.

Muller usiadł na łóżku.

— Kokoty?! — krzyknął i zatrząsł się suchym zgrzyt-liwym śmiechem.

— Uch, jakiś ty trywialny! I śmiejesz się brzydko... A oczy ci świecą jak u wilka. Zachłysnął się tym śmiechem Muller, począł kasłać i splunął wreszcie krwią w chustkę.

— Uch, jakiś ty — przekonywający!

169

Jelsky sięgnął po butelkę z lekarstwem.

— Roztwórz dziób! Wypijesz tej obrzydliwości ze dwie beczki i będziesz zdrow jak fabrykant margaryny. Kunicki mówi, że mikstura jest ostatnim słowem. Rzecz na wskroś modern.

— On tak tylko dla sugestii — odparł smętnie Muller. Roztrząsł go i obezwładnił ten kaszel.

— Widzisz go, jaki przebiegły

Zamilkli. Jelsky pisał felieton. Muller leżał na wznak i wpijał się wielkimi, gorączkowymi oczyma w zwieszające się gdzieś spod pułapu splowiałe skrzydła wypchanego ptaka.

— Wiesz — przerwał Jelsky milczenie — stosuję formę do przedmiotu i piszę o Yvecie w stylu decadence. Zdania krótkie, strzeliste, między słowa rzucam garść kropek i do-myślników, metafory jakby żywcem wywiane z leksykonu: tu z patologii roślin, owdzie z mineralogii, gdzieniegdzie mała niespodzianka z Maeterlincka. Nie wytrzymał Muller i parsknął śmiechem wraz z autorem. Jelsky zaś, pisząc szybko, rozprawiał dalej:

— Wałęsają mi się po wierszach jakieś reminiscencje chaldejsko-egipskie: zawdzięczam to oczywiście asocjacom wywołanym przez sępa... Krytycyzm mój, jak widzisz, czuwa ustawicznie: pisząc najmodniejsze głupstwo potrafię zachować zawsze pewne pozory sensnej poprawności starego dobrego stylu. Miłośnikom tradycji narodowoliterackich może się nawet przypomnieć drzemiący przed biurkiem redaktor z tabakierką w ręku... I cóż ty na to, mały? — dopominał się nie otrzymując odpowiedzi.

— Jeszcześ za mnie nie odpowiedział? — zdziwił się Muller. — Jeśli chcesz koniecznie: jesteś dekadent umiarkowany, romantyk neopraktyczny, radykał młodokonser-watywny, artysta indywidualno-popularny, cygan cylindrowy; jesteś, jednym słowem, dziennikarz europejski.

170

Jelsky zachnął się niecierpliwie:

— To wszystko razem jest gadaniem z Bożej łaski neurastenika, wieszczego improduktywa z parafialnego zakątka czystej sztuki. Bój się Boga, Muller! wyście się zdążyli naprzykrzyć już rozsądkowi, życie z was się śmieje na całe gardło... Jak wy możecie samych siebie brać jeszcze na serio?

— Nie bierzemy, Jelsky, nie; tylko w inny, mniej wesoły sposób, niżli ty to czynisz.

— No — przeciął Jelsky — jeżeli nas humor tylko różni! Za karę nie przeczytam ci artykułu o Yvetce.

— Czytać! — kaprysił Muller opryskliwie.

— Jednak jesteś ciekaw, co w gazetce będzie stało — he? Wy wszyscy jesteście jednacy: „Jelsky taki, Jelsky owaki, Jelsky nie jesteś co dzień genialny” — a jednak żaden nie wytrzyma, żeby go nie przeczytać. — Mój kochany, znam ja swój tłumek! Inaczej nie byłbym dziennikarzem. Ja jestem nerwem waszego życia. Gdyby Jelsky'ego nie było, należałoby go stworzyć.

Muller stał już przy biurku i zapalał papierosa. Ćmił gwałtownie, chmurzył się, marszczył: widać było, że skupioną uwagą przejedzie, jak ostrym nożem, przez felieton Jelsky'ego. „Można lekceważyć sobie świat, ludzi, życie, samego siebie, własny talent, ale trzeba mieć talent — zastrzegął na początku. — Inaczej, to wszystko stoi tylko na cynizmie. A ty mi się zawsze jak węgorz przemykasz.” Słuchał więc i chmurzył się coraz bardziej. W chwili, gdy chciał przerwać Jelsky'emu, zakaszał strasznie; ciało się zatrzęsło, twarz spąsowiała, w gardle poczęło mu rzeźić, grać i chrypieć. W miarę tego kaszlu wzrastał w nim upór i zawziętość, jadowita złość zbierała w oczach. Przemógł się i wyrzucił ochryłym głosem:

— Staczasz się... beznadziejnie w przepaść banalności! — Porwał go znów kaszel z brutalną, bezlitosną przemocą: zrywał mu piersi, miotał ciałem i rzucił wreszcie

171

O łóżko. Ciało roztrząsł, duszy wszakże nie zmógł: na zmęczonej twarzy zaskrzepł

hardy upór, a w poczerwieniałych, głęboko zapadłych i jakby mgłą zasnutych oczach jakiś zimny błysk nienawiści.

— Roztarł cię ten młyn — wykrztusił z trudem — na pył i proch uliczny... Nie wierzyć nawet w samego siebie

I nie mieć talentu... To nie można, to już wcale nie można żyć... Słuchaj, Jelsky... czemu ty... czemu ty w łeb sobie nie strzelisz?

Jelsky porwał się na równe nogi. Pohamował się jednak w tejże chwili i składając papiery przeciął chłodno:

— Poczekam, aż ty umrzesz.

— Niedługo...

Uporawszy się z kaszlem, padł Muller rękoma na oparcie łóżka, splótł je i przy legł na nie podbródkiem; gorączkowym spojrzeniem wpijał się w Jelsky'ego, w gryzał mu się w duszę, wlepił w twarz łzawymi i zaczerwienionymi od kaszlu oczyma.

— Chcesz?... — szepnął przeciągle i dokończył wzrokiem swe pytanie. — Chcesz razem? chociażby zaraz? Ja zawsze gotów...

Jelsky nie pojął od razu, zwrócił się jednak czujnie w stronę Mullera. Zdawało mu się, że od okna powiało w tej chwili chłodem, zwiastującym świt. Wstrząsnął się całym ciałem.

— Zaczynasz swoje? — rzekł. — Dawno nie było!... Już ci diabeł w wilcze ślepie wlaźł?

— A wiesz ty? — odbijał Muller cichym szeptem, wciskając podbródek w splecione na poręczy ramiona — wiesz? Zgrzybiała kokota zwątpiła któregoś dnia o własnych wdziękach i przeraziła się swej brzydoty. Zmyła puder, szminkę, karmin i pod suchą, zjęłczałą skórą zarysy swej trupiej czaszki ujrziała! My, diatwa Apollina! he?... To jest straszna klęska! wielka klęska! — to się pomyśleć wprost nie da!... He, he, Jelsky — kochasz życie? Powiedz

172

dowcip, Jelsky, zrób kalambur, rzuć paradoks! He! he! he! — zatrzęsł się i zabeczał ochryple jak stary kozioł. Na zakończenie prysnął w kułak sztucznym, forsownym, zgrzytliwym chichotem.

Jelsky'emu rzuciła się krew do głowy; dopadł go, schwycił za ramię i wciskał z całych sił w poduszkę.

— Zgrzyta, zgrzyta, zgrzyta grzech w tobie? — bełkotał gorączkowo. — Za bary wziął się grzech ze śmiercią... Twe sumienie nie jest gadatliwe; ryje jak kret po ciemnej duszy... Nie tyle przed grobem drżysz, ile przed tym, że weń samotny wstąpić musisz... Nie tyle rozpaczy się boisz, ile tej myśli, że w swych ciemnych nocach sam, zawsze sam jeden królować będziesz. „Czuj, czuj, co się we mnie dzieje!” — tak twój strach wielkimi oczyma krzyczy. „Pójdź! pójdź! pójdź w tę ciemną noc moją, gdzie śmierć, diabeł i hetera sabat taneczny święcą...” Nie znosisz chłodu na cudzej twarzy, uśmiechu w cudzych oczach, pewności w ruchach nawet nie lubisz, nienawidzisz schludności w cudzym ubraniu: zgoła wszystkiego, co o jakim takim ładzie wewnętrznym mówi... Znam ja mowę twej nienawiści. Łasisz się wtedy i merdasz jak pies, jak wąż śliskim pochlebstwem oplatasz, jadowitymi wargami ślinisz i ruchliwym gada jęzorem szukasz, gdzieby żądło mógł zapuścić...

Ścisnął go jeszcze mocniej za ramiona, uniósł nieco z łóżka i puścił, jak piłkę, o

poduszki.

— Graj mi demona — wołał — graj! Wiem przecie: z tynglu wracasz, powlokłeś się z jakąś tam... Rozpusta ze łba dymi. Znam te ciemne drogi myśli, po których wałęsa się twa dusza bezwładna.

Muller zwinął się w kłębek na posłaniu i zaciskając suche ręce syczał uparcie:

— Jak ty życie kochasz! jak ty życie ubóstwiasz! Bój się, człowieku, Boga, czym ty się będziesz w życiu oszukiwał? Talenciku nie masz, nie masz, nie masz!

— Idź, szukaj swego po... — Jelsky przeżuwał jakieś

173

słowo, gryzł, zda się, w zębach, rozgniółł i wypluł wraz ze śliną na środek pokoju. — A jeśli mi jeszcze choć raz coś z twego czarnego repertuaru zagrasz, wyrzucę precz. Szczeźnij, gdzie chcesz.

— Taak?...

— Żebyś wiedział.

Müller powstał z łóżka, zapiął flegmatycznie tużurek i sięgnął po swą pelerynę.

— Wiesz — mówił porajac się flegmatycznie z rozdartą podszewką zarzutki — wiesz, co mnie w życiu najwięcej upokarza? Oto, że nie umiem zarabiać, potrafię się dostawać do egoistycznej kieszeni mych przyjaciół najpospolitszym wytrychem współczucia... Ile ja ciebie, Jelsky, kosztuję miesięcznie?

Jelsky podjął ze stołu niedawno odczytany rękopis i rzucił mu go pod nogi.

— Tyle tylko... Od czasu do czasu.

— Kochasz mnie, Jelsky? — Müller ze skupioną uwagą odgryzał przy tym szmat podszewki. — Wierzyłeś we mnie? bardzo wierzyłeś? Pozwoliłeś na swym dziennikarstwie pasożytować talentowi? — he? — aby spłacić ten dług lichwiarski zdradzie marzeń własnych... Bo przecież każdy człowiek jakiś mały procencik temu lichwiarzowi przez całe życie spłaca... I stała się rzecz śmieszna: przywiązałeś się, Jelsky, przywiązałeś się za to, że mogłeś przed kimś z siebie i ze świata drwić, a jednak w kogoś wierzyć, wierzyć mimo wszystko. Ten śmiech twój na gruzach wszelkiej wiary, ten otwarty cynizm w życiu i dziennikarstwie — wiesz, Jelsky — to dziwnie szlachetna w tobie rzecz: to szczery głos duchowego bankructwa. Pan jesteś: czuję! von Jelsky! szlachcic polski! Widzisz, bo są inni, którzy dla tychże przyczyn, dlatego że wiarę we wszystko już stracili, sami siebie z namaszczeniem traktują. A ty jednak... jednak wierzysz w coś. I dlaczego we mnie?!... Widzisz, to przywiązanie jest także słowiańskim szcząt-

174

kiem w tobie, ale ta pozostałość pochodzi z pospolitszych owiec polskich: w braku kogo innego, przywiązałeś się do pruskiego wilka. A skąd ty wiesz, czy ja nie byłem polipem na resztkach twego talentu? Może ja ci połowę duszy wyssałem i we własnej dopiero uświadomiłem tę twoją połowę?! A wiesz ty, że ludzie wrażliwi, chwiejni, a do życia się garnący, modlić się powinni co dzień: chroń mnie, Boże, od samotników, od osobowości silniejszych, bo wiarę w siebie utracę i zmarnieję. A tyś mnie przygarnął. He! he! he! Czemu drżysz, Jelsky?... Imponowałem ci? Przyznaj szczerze. Jak ty bledniesz! jak ty okropnie bledniesz! Imponowały ci ludzkie o mnie gawędy i wielkie pokładane we mnie nadzieje. A może imponowałem ci tym tylko, że byłem tak odmienny od ciebie. „Jeśli nie ja, więc taki — myślałeś. — On jest tym

wybrańcem losu, pomazańcem kaprysu natury!" Jak tobie rączki drżą, Jelsky!... „On — myślałeś — dokona tego, czego mnie dokonać nie było sądzono. Ja ginę, niechże to wiem tylko, że fatum, co mnie życie zniszczyło, jest warte życia. Sztuka — he, Jelsky? Sztu-ka, ta bądź co bądź ostatnia i jedyna nasza wiara... Jak to w tobie głęboko, głęboko siedziało! I jak naiwnie, jak niedołąźnie wypowiadało się pod koniec. Przedwczoraj sprawiłeś mi parę spodni. He! he! he! — Jelsky! Dla sztuki? co?... Jak twoje rączki cudownie drżą! I nóżki, także! Siądź, Jelsky, na krzeselku, proszę ciebie. Siądź i powiedz dowcip... Bo milczysz już za długo; wprost nieprzyzwoicie jak na dziennikarza.

Jelsky odepchnął go od siebie brutalnie i osunął się na krzesło. Muller otulał się już w swą pelerynę, nastawił kołnierz, nacisnął beret i stanąwszy tuż nad nim, jak wielki nietoperz, szepnął mu w ucho:

— Zrozumże raz, ty niedołęgo, coś polską duszę dziecka zgubił, a piersi trocinami europejskiej kultury wypchał, jak się w tej europejskiej kulturze robi talent. Rzecz prosta, a sekret wielki. Trzeba mocno, tego, uparcie na własnym

175

gruncie stać, trzeba mieć sto oczu, sto uszu i sto ssawek chciwych; do każdej duszy, która jest coś warta, trzeba jedną bańkę przyłożyć i wokół ssać, ssać i ssać! Każdą muchę wyssaną odrzucić precz i sięgać dalej, wyżej, szerzej! Pojąłeś nareszcie?! Tak się w Europie robi talent! W Europie wszystko się dziś robi... W Niemczech natomiast fabrykują przeważnie etykiety. Rozjaśnij liczko, czerwoną chusteczką mignę ci przed oczyma, na ucho szepnę słówko, które rodzi dowcip w największym kretynie. Polip utalentowany zwie się nadczłowiek... Zrób dowcip, Jelsky! Do każdego słowa można przyczepić słówko „nad". Jeszcześ nie pomyślał, a już czytelnik się śmieje. He! he! he!... Milczysz?... Przykro, żeś stracił kontenans. Pocieszam się tylko, że jutro napiszesz paszkwil. Ty pewno wciąż jeszcze deliberujesz nad tym, że ja — jakże to mówi Hertenstein? — że ja „nasz byt usprawiedliwie" — mój i twój byt... Marzyłeś (ho!ho! — marzyłeś! troiło ci się, powiem inteligentnym słowem dowcipnego dziennikarza), troiło ci się, że w ciemne kąty naszego życia padną te jasne promienie, co wszystko rozświetlą, że na naszym śmietniku zakwitnie ten mistyczny kwiat, co ślepym zrządzeniem losu raz na lat setki z najbrudniejszych bodaj wyrasta kątów. Marzyłeś o cudownym kwiecie, co nawet ślinę dziennikarską bez szkody znieść może, bo za niego ludzie kiedyś wszystko przebaczą, wszystko wyrozumieją i jeszcze z błogosławieństwem wspomną. Takeś marzył. I zawiodłeś się!... Widzisz, takie kwiatki na śmietnikach trudno się udają, one z piersi ludzkich wyrastają. I nie gnojem się żywią, lecz krwią swego twórcy... Zrozumiałeś? Krwi sztuce potrzeba, krwi i bólu!... He! he! he! Biedny Jelsky, biedny! I głupi!... Bądź wesół, Jelsky, i pielęgnuj dowcip. Jużeś mi więcej — niepotrzebny!... Jelsky bladł, bladł przeraźliwie; dygocące wargi mięły wraz z śliną jedno krótkie słowo.

— Łotr! — spadło wreszcie z ust.

176

Jelsky pozostał sam. Wokół była cisza i pustka: dudniło tylko miasto gwarem swym monotonnym i szumiało w uszach. Gdzieś na wieży wysokiej ocknął się zegar prastary, zazgrzytał ciężko i nową, nikłą godzinę dziejów głucho wydzwonił. Grały

zegary w ciszy nocnej, płynęły echem ponad miastem, wysoko, coraz wyżej, niby żurawich lotów podniebne skargi, i wlokły za sobą cały czasu płynącego smutek: i nadzieje zawodne, i troski rozpaczne, i żale spóźnione, i wspomnień krótkiego szczęścia ostatnie przebłyski. A zbierały zewsząd śmierć!

Jelsky czuł, jak dławi go w tej chwili nieobjęty wprost ogrom własnej i cudzej niedoli, ta straszna niemoc ludzkiej rozpacz, której losy nie użyczyły głosu; czuł, że jego skarga niema pada w otchłań czasu, niby te godziny, co się górą poniosły, ciągnie ponad tym potwornym mrowiskiem ludzi krwawa i milcząca i wlecze za sobą połamane skrzydła.

„Jam już dokonany!” — pomyślał.

Na ulicy potoczył się z łomotem ciężki, ładowny wóz i przyniósł ze sobą głuchą, szarą trzeźwość jawy.

Próbował mimo wszystko poprawić felieton o Yvecie, ale ta praca sama z rąk mu wypadła. Już się do snu zamierzał układać, gdy spostrzegł na stole kilka zeszytów pozostawionych przez Mullera. Pochwycił je chciwie. Na okładce pierwszego rzuciło mu się w oczy grubymi literami wypisane zdanie:

Nonumque prematur in annum.

(Horacy).

W pierwszej chwili te słowa uderzyły go w pierś, niemal jak głuchy wyrzut, lecz niebawem otrząsł się i mruknął: — Ba!... — Wziął do rąk drugi zeszyt. „Nonumque prematur...”

„Ha! ha! Takąś ty Mullerze pułapkę na samego siebie zastawił?... Dla Horacego ta formułka była prawdopodobnie tylko figowym listkiem nieszczerzej skromności, dla ciebie stała się górą, przed którą stawałeś jako wół z bajki. Dziewięć lat — bagatela! Inne, inne dziś czasy! Dziś nawet Horacy pisać by musiał kuplety. Wiele zmieniło się od czasu Horacego. Oto Kopernik ziemię wyważył, gdzieś w ciemny kąt wszechświata strącił i w wir codziennego biegu rzucił; a gilotyny rewolucji francuskiej zaśpiewały jej kankanową piosnkę: Dziś! dziś! dziś! — inaczej: Grosz! grosz! grosz! — Co brzmi po francusku:

Allons enfants de la patrie, le jour de la gloire est arrivé!

Inne czasy!...”

Rzucił okiem na pierwszą kartę i czytał:

Trzeba mieć lotne nogi, by przez lat dziewięć z życiem się ścigać i nie pozostać w tyle, trzeba mieć dobre spichrze, by przez lat dziewięć świeżość myśli w nich zachować, trzeba daleko patrzeć, by przez lat dziewięć móc tylko zasiewać, trzeba mieć dużo lekceważenia dla tych, co po cudzych spichrzach chleba tylko szukają, wiele wzgardy dla szkodnych szczurów i myszy, co cudzym niedostatkiem głodne, w samo serce się nieraz wgryzają.

Mnie nogi moje z pośpiechem w grób niosą, nieczystych dłoni zasiewy w duszę mi padały — wdarł się grzyb w spichrze moje, pleśń je niszczy, rdza pożera i sporysz wyplenia! A wzgarda moja zawiścią się stała: życia-m zbył w samotności!

Do mnie żadne słowo zrozumienia, żadna dłoń otuchy nie trafiła, do mej samotności śmiech tylko i chichot tłumu dolatywał: „Żyj!... Użyj!... Kochaj!...” Pochwycił mnie roj-ny i barwny gwar życia, padłem jak ćma w płomień. Zbyłem duszy w gwarze ludzkim! Uścisnęło mnie miasto, potwór piersi mi zdławił.

I oto pierzchły me myśli rojne, jako ptaki przelotne, bo w duszy serdeczna nastąpiła posucha. Rozwiały burze mej samotności płodne zasiewy. Na wielkiej tęsknot pustyni kraczą dziś tylko kruki, nad mego ciała padliną. Rzućcie mego trupa w kanały miejskie!

Jelsky urwał, sięgnął nerwowo po cygaro i zasnuł się niebawem smugami dymu. „Kawiarni!” — krzyknęło coś w nim nagłym przypomnieniem niedawnej wędrówki przez ulicę. Z gorączkowym pośpiechem przerzucał kartki chaotycznego dziennika, zatytułowanego dziwnie: myśli niepłodne. Znał po części te kapryśne rzuty i skoki wyobraźni; wiedział, że myśl Mullera, z jakich bądź dziedzin dążąc, natrafia zawsze na kobietę jako na mur! Ona była szczytem i uwieńczeniem każdego pojęcia, wszelkiego rozumowania. W tym fantastycznym gmachu myśli, dziwnych jasnowidzeń i gorączkowych rojeń mieszkał tylko harem.

Jelsky czytał:

Liii jest biednym, smutnym dzieckiem miasta. Gdy ją tymi słowy pieszczę, drży i tuli się do mnie jak dziecko. „Nie boisz ty się, Liii, miasta?” — „Miasta?” powtarza i taką ciszę skupienia ma w oczach!...

„Patrz, słuchaj, pomyśl!” W tej chwili wpadnie tu do ciebie pijana banda: brzęk szkła, pijane śmiechy, ochryple głosy i śpiewki cyniczne. I ręce! — suche, białe, o lśniących paznokciach, zdobne sygnetami plugawe dłonie pospolitych drapieżników! — wszystkie one wyciągają się ku

178

179

tobie. A wszystko wokół drga, tętni, wibruje. Muzyka gra — słyszysz, gra tym dziwnym tempem, w którym się cynizm tak swywołnie wypowiada — E x t r a b l a 11! — wołają... Extrablatt! Najnowsze depesze!... „Najnowsza powieść!”...

„Najnowsze arcydzieło!”, „Najświeższa płotka!...” „Ładny sposób zrobienia majątku!...” „Porady sekretne!...” „Tajemnica ruletki!...” „Jak zostać sławnym?...”

„Jak zyskać szczęście u kobiet?...” „Samobójstwo bankiera!!!” „Skandaliczny romans księżniczki krwi!” „Mord!...” „Mord i rabunek!...”

— Kupujcie! kupujcie! kupujcie!

A artyści śpiewają:

Tak, tak, tak, , W tym cały życia smak, W tym cały sztuki sens!

„Liii, włącz na stół!” „Liii, zaśpiewaj.” „Liii, zdejm podwiązkę...” „Szampana!...”

„Mord!...” „Mord i rabunek!...” „Skandaliczny romans księżniczki!”... „Śmierć głodowa!...” „Nekrolog poety.” — Kupujcie! kupujcie! kupujcie!...

A teraz ty śpiewasz, Liii:

Spojrzyjcie tu! spojrzycie tam!...

Spojrzyj ty, Liii, na ich twarze! na te podłe, głucho bezmyślne i pijane uśmiechy, na to zwierzęce umęczenie w szeroko otwartych, zeszlonych oczach, na białych jak kreda twarzach. Tyle jadowitego smutku jest w tej chwili błędnej, kiedy blask lamp gazowych ze świtem żółknie, blednie i zamiera. A kiedy nagle światło zgaszą, zda ci się przez chwilę, przez jedną krótką chwilę, że pośród trupów siedzisz.

A tam na krańcach miasta zawyją jak raniony potwór — sygnały fabryczne...

180

Liii odpycha mnie, pada w głąb kanapy i myśli, chmurzy się, głuchy wstręt w sobie

przetrawia. „Boisz się, Liii, samej siebie?” Potakuje głową, prędko, gwałtownie: raz, drugi, trzeci... „No, Liii, Liii — dzieciaku ty!... Widzisz, my oboje, jak przez Cyganów kradzione dzieci, na rozrywkę tłumu sztucznie hodowane; oboje w wielkim mieście zabłąkani...” Liii zrywa się i pada mi na szyję. „My oboje!” — wola i uwieszą się tak na mnie, jakby mnie wraz z sobą gdzieś w otchłań porwać chciała. My oboje, Liii!...

i ten smutek wielkich miast rozpaczny; i te surowe wrota zamkniętych o świcie kościołów; i te po rozpuście na rosę marzeń rozchylone białe kielichy tęsknoty, me poezje pisane o świcie; i tego życia mego ostatnie miesiące... My oboje, Liii! Jelsky nie wytrzymał: zerwał się z miejsca, aby się za-krzątnąć koło czarnej kawy. Zapalił spirytusową maszynkę i czytał dalej.

...Wprowadził mnie tam Jelsky! Było to pierwszego dnia mej ostatniej wiosny. Ona ma w sobie słoneczną radość łąkowego kwiatu, w pytającym błysku oczu nie gasnącą do życia ciekawość, pąkową świeżość, co rosę wrażeń chciwie chłonie i duszę zawsze odradza; ciągle zdziwienie, to wieczne i niezniszczalne dzieciństwo duszy, co jest opoką, na której bogi greckie świątynię sztuki zbudowały.

Borowskiego poznałem dawniej. On samego siebie wspomnieniem przetrawia; na każde jego słowo odpowiadają dalekie echa: „kiedyś!” W nim jest coś z potężnych dębów, z ich głębokim poszumem starej legendy. Mimo że pień już murszeje, jest w tym dębczaku wiele dobrej krwi: jest nie strawiona, wewnętrzna moc młodej rasy, czuć jędr-

ni
ność i siłę wielkich namiętności. Lubię Polaków! — Jelsky! Jelsky! cóżeś ty zaprzepaścił!...”

Jelsky zaczerpnął kawy z maszynki i wychylił filiżankę do dna.

Lubię myśleć o tych młodych rasach na naszych brukach, o tych smętnych barbarzyńcach, których toczy rak kultury. Lubię te ich zawody naiwne i serdeczne na tej starej nierządniczy Europie wraz z jej wielkimi hasłami. W smutnych oczach tych barbarzyńców jest coś ze spojrzenia Liii, coś z błysków dzikich zwierząt spoglądających z klatki na tłumy świąteczne, coś ze sztucznych wybujałości cieplarnianych roślin, coś z dusznej i zgniłej woni oranżerii. Lubię ich, jak lubię Liii, jak lubię podzwrotnikowe storczyki w świetle lamp elektrycznych za zamarznąłą szybą sklepowej witryny. Myślę często o Pawluku i Jelskym i lubię ich porównywać. Borowskiej raz opowiedziałem taką bajkę:

Było raz dwóch braci bliźniaczych, co w cieniu jednego dębu wzrastali. Dąb zgnił u korzeni, burza zniosła; zaś nawałnice rozwiały braci na wschód i zachód świata. Minęły lata, minęły czasy: dawnych ludzi dawne wiary spłynęły krwią do dwóch mórz: Inni ludzie, inne czasy, inne wiary! morza nawet już inne! Spotkali się bracia, spojrzeli i — za noże chwycili! Czas, przestrzeń, dwóch wielkich duchów potęgą odmienna, wyrwały między nimi przepaść tak głęboką, jak jednego stulecia myśli, i tak wielką, jak dwóch bogów nienawiść.

„Taką bajkę, pani, będą wam opowiadały kiedyś stare piastunki, bajkę o dwóch braciach”.

Jelsky ślaniał się jak fakir nad czarnym dymem, już go sine smugi wstęgami owiły, pochłoneła go chmura. Ćmił cygara bez końca, połykał kawę.

I czytał:

Lubię, gdy strach upiorów o północnej godzinie oczy mi zaokrągła, mięśnie na twarzy ściąga i przyczają zmyły złudą oczekiwania. Wtedy czuć moich skupienie rodzi wokół jakieś szepty, szmery, stapania... Nie sam słyszę, ludzie już o tym gawędzą: drwią ze mnie i boją się nieraz. Ja drwię, boję się i lubię te moje chwile; pieszczę się nimi, bawię się gorączką wyobraźni, co mi tętno serca tak rozkosznie przyśpiesza.

A od czasu gdy cię poznałem, tymi chwilami tylko żyję. Chcę cię wywołać, potęgą uczuć moich, jasnowidzeń moich przemocą przed oczyma postawić.

Wspomnienia tych krótkich chwil przy tobie stały się ducha mego soczewką, wszystkie promienie duszy w sobie jak w ognisku łączą i mózg mi palą. Znam już słodycz wielu marzeń z Tobą, przy Tobie, dla Ciebie: chociaż mi ciałem obca i daleka duchem, jużes moja! Wypiłem już haszysz wszelkich z Tobą łączności i upojeń, myśli moich wszechwładzą wiele pieszczot ci już nakazywałem. Ałem się przesycał marzeń moich ułudą.

Zjawu chcę!

Patrz — ja nigdy, przenigdy takiego skupienia wszystkiego czucia i myśli nie zaznałem, takiego stopienia się woli z twą myślą, duchem, ciałem! Jako tygrys do skoku przyległy i zdobyczy czujny, przyczaiła się woła ma. Woła moja wzywa cię! Przyjdź — jednym promieniem nadziei przyjdź, a wówczas serce mi chyba ptakiem z piersi wyskoczy, po tym bromieniu do cię zleci, do stóp padnie i chorymi skrzyłkami załopocze. Płaczesz... Dlaczego mi się zdaje, że Ty tam u siebie tej chwili płakać musisz?

Patrz! — już mi strach upiorów o północnej godzinie oczy zaokrągła, twarz ściąga i ramiona pręży... Słyszysz te szmery, szepty i stapania wokół? — Tu?!...

182

183

Coś echem się niesie, szmerem cichym się skrada.

— Czyż to ty?!...

Coś ze stołu spadło i echem wciąż jeszcze pada...

Słyszę, jak się tam miasto z dala burzy, słyszę świst głuchy i łoskot ciężki wzbierającej fali... Czy to brzęk złota, czy wiatru o szyby dzwonięcie?... Twój-że to szept pieści-wy, czy przytłumione tłumy szemranie: Dziś! dziś! dziś!..." Twej-że to sukni szelest, czy też Lili chichot pijany?...

— Kto woła?!...

I słyszę — szloch... Twój, Zochna, płacz rozpaczny!... Czego?... Czego ty tam płaczesz w tej chwili?... Kogo szukasz?... W tym blasku lampy czerwonym...

Upadniesz, upadniesz z lampą!... Chryste, ona się zapali!...

Zgasło. Przesiliło ciało moc moją. Już turkot wozów słyszę na ulicy... Opuściły mnie siły moje. Ciało czuję, ból czuję. Tu w piersiach dławi, dusi... I ten chłód, ten chłód okropny na czole, i to zamroczenie nagłe!... Wiem, co to znaczy: — chustki! — miski! — lodu! — Dobrze, iż lampa zgasła: nie chcę widzieć tego. Ukryję się z tym, ślady zatrę, nie chcę, by mi Jelski swą wyższość zdrowego zwierzęcia współczuciem okazywał. Nienawidzę współczucia!

A potem, sen krótki, gorączkowy; a może omdlenie. Po zbudzeniu się trwoga, dziki

lęk przed śmiercią i ta skrucha za chybionym życiem, zmarnowanym posiewem. Jesteś, karzący mieczu życia? Jesteś, szatanie mój? A trwoga ma i skrucha, i żal jednym tylko okrzykiem wołać umieją:

Pisać chcę!!

Jelsky ślaniał się wciąż jak fakir: otumanił go ten dymny czad i, zda się, wszystkie wrota zmysłów zamknął, aby jakieś inne drogi trwożnym czuciom i niepokojom otworzyć.

I w tejże chwili czuje, mimo że resztką władz tę myśl z uporem tłumi, czuje, że poza nim, tuż koło drzwi, ktoś w tej chwili stoi. Twarz bezradnie w ramiona ukrywa. szepcze cicho. „Boże mój, Boże, co to jest?” Lecz w tymże momencie zrywa się błędnie i spoziera poza siebie.

— Muller?! — krzyknął krótko, a usta, jakby w oczekiwaniu odpowiedzi, pozostały uchylone.

Powrócił, znaczy się! Ale milczy! Peleryną swą otula się tylko szczelnie, głowę w kołnierz wciska, pochyloną twarz beretem przysłania... Stoi i milczy, jak cień: w ciemnym kącie czarny, zamarły i dziwnie wyższy, dziwnie...

— Muller — ty?!...

Jelsky czuje, jak mu mięśnie krzepną, drętwieją, sku-wają się tą przeraźliwą niemocą gorączkowego snu. A tamten stoi pode drzwiami: czarny, zimny, pochyloną głowę beretem przysłania... Ramiona na piersiach skrzyżował i...

Spojrzał!...

Jelsky'ego jakby między oczy coś uderzyło: rzucił się w tył i ramionami załopotał. W sobie się zebrał, wtulił i twarzą do własnych dłoni przypadł. Bez wiedzy i woli, odruchowym jedynie instynktem dobrej krwi, chwycił krzesło i puścił je z całych sił w tamtym kierunku. Roztrzaskało się o drzwi na kawałki. Łoskot ten zbudził Jelsky'ego i spłoszył mu zmoreę przed oczu. Zatoczył się da okna, uniósł roletkę i szarpnął zawiasy. Chłód wtargnął do pokoju, ciężkie dymy poczęły się wyklębiać na ulicę.

Mroźne powietrze poranku drgało czystym, dźwięcznym i pośpiesznym dzwonieniem sygnaturki kościelnej:

Ave-Maria-gratia-plena!

Na dachach domów sąsiednich kładł się szronem biały świt....

184

T^o kilku godzinach zbudzono go natarczywym kołatanem we drzwi. Popołudniowe słońce w pokoju powitał Jelsky grymasem i zwłókł się ciężko z łóżka. Nie spieszył się jednak z otwarciem drzwi. „Korekta, artykuły, sprawy bieżące” — dudniło mu w uszach natrętnie.

— Dajże się ubrać! — krzyknął niecierpliwie. — Siądź sobie pode drzwiami, zdrzemnij się albo zdechnij — co wolisz... Możesz również obejść wszystkich czytelników i powiedzieć, że pan Jelsky prosi uprzejmie o pocałowanie w ucho... No, co powiesz, przedstawicielu najbierniejszej na świecie profesji?...

— Jestem posłaniec.

— Toż widzę, durniu!

— I starszy człowiek jestem — wnuków mam takich... I Polak, panie.

Jelsky wyrwał mu niecierpliwie list z ręki. Rozrywając kopertę łagodził po

niemiecku:

— Rodak pali? Niechże rodak weźmie sobie cygaro — tam, z pudełka.

Szanowny panie. — czytał. — Hm? Zosia Borowska... Oczywiście!... czy człowiek, czy potwór... Mocne! nikczemna... Po co ty się nad sobą znęcasz?... topić... Rozumie się! — źli tu ludzie, iii, źli. TaakL. / łez już nie stało. Wierzę!

Jelsky marszczył się.

— Rodak wziął już cygaro?... No, to niechże rodak idzie sobie precz. I niech wstąpi po drodze do redakcji

uprzedzić, że jestem chory i nie przyjdę dziś... Niech powie również, że jestem niespokojny o zdrowie i pomyślność pana redaktora, ponieważ dzisiejszej nocy zjawił się mi w gorączce szatan. Streszczam się: mam katzenjammer życiowy w połączeniu z febrą i bólem głowy; do redakcji nie przyjdę. Żegnam.

Posłaniec śmiał się i dławił swym cygarem. Spojrzawszy jednak na bladą, zimną, prawie surową twarz Jelsky'ego spoważniał natychmiast i cofnął się ku drzwiom.

— Jeżeli rodak odczuwa potrzebę obełgania tragizmem swych kolei życiowych i wyłudzenia wsparcia, będę nad wieczorem w kawiarni Muzeum. Niech będzie pochwalony! — rzucił na pożegnanie po polsku.

— Na wieki wieków — brzmiała odpowiedź. Posłaniec, biegnąc po trotuarach zwykłym truchtem łazęgi, kiwał siwą głową i mruczał:

— Tego musi coś szarpać za one dudy — za nerwy — hę? Ten coś knuje. Coś... coś... we łbie tym warzy. Z gęby diabeł się śmieje, a w oczach śmierć się strachem zżyma. Człowiekowi takiemu nie mów, co pół świata zeszedł, taki ma na to oczy, czego i przez połowę lunetę nie dojrzy. Widziało się i to! Bywają tacy ludzie, co z nimi kilka słów zagadasz, a on ci potem z głowy wyjść nie chce. I będzie ci się naprzykrzał pamięci, będzie nękał, będzie ci trapił duszę, jakby o Zdrowaś Maria prosił. — Stary zбочzył w po-przecznice, aby mieć przyjemność kornego zdjęcia czapki przed kościołem.

Jelsky tymczasem chmurzył się dalej nad listem.

Dobrzy ludzie... Hm!... hm!... i tak dalej... topić... D a cap o!... Świat się na mnie zwałił. — Przesadne. — Myślę, że tam na świecie słońce już dziś wcale nie wzeszło... To jest kapitalne w naiwnej ekspresji... Niech panu Pan

186

i

187

Bóg... — i tak dalej. Ja bo nie umiem... — Ślady łez na papierze!... ale na litość Boską, niech pan mną nie pogardza...

Jelsky uderzył się po kolanach. — Kobieta! — krzyknął. — Kobieta! Sacre nom de nom, kobieta!

Sukienki już spakowałam... Sukienki są w tym wszystkim, jak na mój smak, drobiażdżkiem ogromnie rzewnym — i czekam spełnienia pańskiej obietnicy... Co ja jej do diabła, obiecać mogłem?!... Piekarza, gdy dzwonił z rana... i tak dalej — Boję się wszystkiego — drzę ciągle... — Kanarek w klatce już nawet nie śpiewa...

Śpiewa?! Zlituj że się, kanarek wrzeszczy, nie śpiewa. — ...nie śpiewa, i ciągle tylko na mnie patrzy. A ja już z tego tylko ustawicznie płakać muszę... Za dużo wilgoci! —

i plotek także bardzo się boję. Rozumie się!... Klucz od zatrasku przesyłam. Oczywiście! Signum manu propria: podła! podia! podia! — Zosia Borowska. — Zosia! — nawet we własnych myślach Zosia!

— Taak!... — Jelsky wypuścił cały zapas tchu z piersi. „A wiesz ty, mały ptaku, że ty byś mogła wziąć każdego, żeby chociaż... choć przed rokiem!...”

Post scriptum. No jakże? — post scriptum być przecie musi. — Śnił mi się pan Muller całą noc. Czy miał krwotok? I że mnie przeklinał.

Tu Jelsky poczerwieniał nagle i zerwał gwałtownie cwi-kier. „Więc i ona go widziała?!” Począł wielkimi krokami chodzić po pokoju. Sięgnął na chwilę po rękopis Mullera, lecz odrzucił go niebawem.

„Do diabła — wołał — w tych nowych blagach jest coś więcej niż rozkoszny dreszcz dla histeryczek!” I znowu stanął mu przed oczyma pamiętnik Mullera, to niezrozumiałe, niepokojące wpisanie się jego w jakieś wyczucia tego, co się w tej chwili w drugim końcu miasta działo, wreszcie jego własne widzenie potem — jej znowuż list i trwoga... „Czy ja tu czasem nie tylko z Mullerem walczę, nie

188

I

tylko z nią, nie tylko z sobą? Czy tu czasami nie wkradło się już coś?...”

Równocześnie prawie przyniósł kaprys myśli:

Habe die Sonne nicht zu lieb... Komm, folge mir in das dunkle Reich hinab...

Chodził po pokoju twardym krokiem, chmurzył się, gestykulował do swych myśli.

„Tizeba poprawić inteligencję koniakiem” — zdecydował po chwili. Niebawem mówił już do siebie spokojnie, prawie głośno, rozkoszując się jakby swych myśli swobodą.

— Tak, na to wszystko można, a nawet należy patrzeć z olimpijską ignorancją człowieka nauki, ale na to trzeba być profesorem fizjologii oraz radcą dworu. Ja zaś jestem dziennikarzem, więc głos powołania błaga, prosi, żebrze natrętnie, aby puścić na miasto jakąś Katie King w postaci arcydzikiej kaczki. Swojskie gęsi podniosą gwałt, młodzież uniwersytecka się rozentuzjazuje, literaci ogłoszą bankructwo nauki i — profesor fizjologii będzie się śmiał! Źle mówię: „on!” się tylko ponad brodą uśmiechnie, ale za to dni, ci mniejsi, malutcy i wcale niewidoczni, roześmieją się po świecie srebrną gamą, nie tyle nad moją kaczką, ile nad głupotą ludzi, którym nie wystarcza katedra uniwersytecka wraz ze wszystkim, co się na niej mieści. Im głuch-szy zakątek, tym głębszym basem roześmieje się aptekarz, tym większy tryumf będzie święciła nauka!

— I tak oto — filozofował dalej — dusza współczesna skacze jak piłka między twardym kowadłem nauki i lekkim młoteczką dziennikarza. I cóż dziwnego, że w takich czasach tryumfuje duch kobiety? One są lekkie i elastyczne.

Jelsky tonął w fotelu i ćmił gwałtownie cygaro. Nagle, nie podnosząc głowy:

— Ty! — słuchaj, co ja myślę!

Rzucił okiem na łóżko Mullera i znów poczerwieniał w jednej chwili. — Nie ma szelmy — uciekł łotr. I przed kim ja będę teraz gadał? przed kim myślał?...

189

„Teraz mogę iść i zagrać w domino z sąsiadem kamie-nicznikiem. Tak — domino jest głębszą filozofią dla ludzi mających senne sumienia wołów... Moja Zosiu, widzisz,

rzecz jest taka, że ja się coś niecoś boję, tylko nie kanarka, lecz diabelka, żeby mnie znowuż nie odwiedził. Nie ciebie mi, Zosiu, potrzeba, ale jakiegoś gmaszyska wiedzy i nauki, abym mógł w cieniu tej piramidy odpocząć choć na chwilę. Potrzeba mi olimpijskiej brody królewskiego- profesora i radcy dworu, abym mógł wyśmiać razem z nim tę nową blagę i zmiażdżony wiedzą podręczników zasnąć snem fizjologicznie prawidłowym... Nie trzeba mi, Zosiu, klucza od twego zatrzasku, lecz klucza do mych myśli swobodnych, trzeba mi filozofującego opryszka, aby mi skrzydeł użyczył swoich i pomógł przeskoczyć przez... twego kanarka, Zosiu, co już nie śpiewa.

Przeskoczyliśmy w życiu tyle przeszkód w steeplechase artystycznym, że nie potkniemy się chyba o ten... senty-mencik polski (mam go zresztą w mocnym podejrzeniu o niesmaczne reminiscencje powieściowe!)"

„Hopp!... Oj nie!" — Jelsky prężył ramiona. — Przyjacielu! — Mullerze! — Pajaku!"

I nagle przypomniało mu się: „Beatńce mia!"

Gwałtowny wybuch szalonego śmiechu pchnął go na fotel. Rzucił, trząsł i miotał nim ten śmiech, podobnie jak śmiertelny kaszel chorym ciałem jego przyjaciela. Wyszedł z najwyraźniejszym zamiarem pójścia do Borowskiej, po niespełna pół godziny znalazł się niespodzianie na obcych schodach obskurnej kamienicy. Na drzwiach znalazł bilet wizytowy: Jan Kunicki, cand. med. „I po co ja tu?!" — Jelsky'emu chłód po ciele przebiegł. „Po co ja tu?!... Czyżby mną już co innego rządziło niżli wola moja?... Komm, folge mir in das dunkle Reich... A niech się dzieje co chce!" — Zadzwoił gwałtownie.

U Kunickiego zastał wielki nieład: stopy książek i papierów porzucane na ziemi, kufry na środku pokoju, naokół pełno ogarków od cygar i niedopałków po papierosach. Kunicki leżał na otomanie. Podał mu rękę milcząc i wskazał niedbale na krzesło. — Ja do pana właśnie iść chciałem — rzekł spokojnie, prawie sennie.

— Pan? — Jelsky musiał się powstrzymać, aby nie wzruszyć ramionami. „Skądże? — myślał — po co i co za kon-fidencja nagła?" Nie zdejmując palta, siadł konno na krześle i wsparł głowę na poręcz. Przypatrywał się Kunickiemu uważnie, badawczo, uparcie.

— Panie Kunicki, właściwie, co się z panem dzieje?!

— Wyjeżdżam — mruknął.

— Widzę. Lecz czy nie należałoby wprzód chociażby spróbować. Jak można pozwalać się tak maltretować życiu?

— Nie rozumiem. Czego ja mam próbować? Nie mam nic do zyskania, mogę tylko wszystko stracić.

— Ah, tak!

— Po części jużem stracił. Mówię szczerze, ponieważ nie znajdowałem nigdy rozkoszy w obełgiwaniu siebie lub ludzi. Widzisz pan, dla człowieka pracy i ładu nie ma nic straszniejszego w życiu nad te... nie wiem, jak powiedzieć... teatralne w życiu efekty. Zaprowadź pan kiedy młodego rzemieślnika, który nigdzie poza swą ulicę nie wychodził, na jakąś czarodziejską feerię; pokaż mu pan rusałki, na-jady, waligórow, wyrwidębów; przez tydzień będzie chodził jak struty. Własne życie wyda mu się nagle szare, nudne, brudne.

— No tak — potakiwał Jelsky. — A co gorsza, własne łydki tak rozpaczliwie, tak beznadziejnie i żałośnie chude, że młody pracownik szydła i dratwy gotów je sobie nad-sztukować w spodniach.

— Takie rzeczy robią tylko literaci — prostował Kunicki spokojnie. — Idzie o to życie nasze mizerne, o te zbyt

190

191

silne blaski w bezświatlne godziny codzienności. Każde niespodzianie silne i wielkie uczucie jest tym ogniem bengalskim, w którym wszystko nowe i obce wydaje nam się światem z czarodziejskiej bajki, a my sami tak ogromnie nikczemni i pospolici.

— Tak — potakiwał Jelsky niedbale. — Ale w panu zanosi się coś na dłuższą prelekcję. Czy (Jelsky oglądał się po pokoju) czy w gospodarstwie nie ma przypadkiem koniaku? (Spostrzegł na oknie butelkę wraz z kieliszkiem i sięgnął po nią). Zmieniają się coś obyczaje; byłeś pan,

O ile wiem, antyalkoholikiem... Koniak — mówił przelykając pierwszy kieliszek — jest napojem mistycznym: nalewką na sumieniach samobójców.

Kunicki spojrział na niego wzgardliwie i zwiesił wargę.

— Albo ta pańska wymowa, ten ustawiczny ferment

1 musowanie wina w głowie. I to mi kiedyś strasznie imponowało. Pamiętasz pan: rozbeczałem się wtedy w kawiarni. Dziś słucham ze współczuciem: panu coś bardzo dolegać musi.

— Najbardziej pańska nie dość treściwa wymowa. Czuję, że będę panu musiał opowiedzieć coś... coś mniej wesołego i że bodaj na to tylko tutaj zabłądziłem.

Krzepię więc ducha i — słucham — tymczasem słucham.

Ale Kunicki tkwił widocznie uparcie w pierwszej swej myśli.

— Panie Jelsky — rzekł — wyście mi wszyscy wtedy nawet w kawiarni i tynglu strasznie zaimponowali. Artyści! Oto jest życie... To jest świat! Miałem, widzisz pan, w duszy ten ogień sztuczny, który was wszystkich oświecał... Dawniej — mówił po krótkim milczeniu — miałem na wszystko jasny, spokojny i trzeźwy sąd; dziś tu, w głowie, pozasuwały mi się jakieś pstre kulisy, pozapalały się jakieś sztuczne, efektowne blaski. Wyobraźnia (ja dawniej nie miałem wyobraźni!) stała się rekwizytornią bohaterских kostiumów dla błaznów i komediantów.

192

— O! — szarpnął się Jelsky i skoczył z miejsca. Kunicki sięgnął znowuż po papierosa (na podłodze leżały już całe stopy niedopałków), przez dłuższą chwilę milczał, nagle uniósł się na łokciu i patrząc niespokojnie na Jelsky'ego, zagadnął:

— Co porabia Zosia Borowska?

Jelsky odwrócił się od tego spojrzenia. — Nie wiem — mruknął. — Czeka prawdopodobnie na kostium z pańskiej rekwizytorni. — I począł spacerować wielkimi krokami po pokoju, manewrując ostrożnie wśród książek porozrzuconych na ziemi.

Kunicki uniósł się jeszcze wyżej na otomanie: nieco przygięty tułów wspierał w ten sposób na wyprężonych w tył ramionach. „Przecież to jest męczennik — pomyślał Jelsky spojrzawszy na jego bladą twarz i ten ruch bezwładny. — Hiob na kupie

gnoju!"

— Ją zostaw pan na uboczu — prosił tymczasem Kunicki. — Jej nie dotykajmy naszymi językami. Mowa nasza jest nieczysta: plami nam wszystkie uczucia, bryzga kałem na wszystkich ludzi. I czym mi ona zawiniła? co winien kwiat słoneczny, że się niejedyn motyl jego nektarem struje? co winien płomień, że niejedna ćma w nim się spali? co winno słońce, że człowiek czasem tak bardzo cierpi?

— Bardzo efektowne, choć staromodne kostiumy posiadasz pan w swej rekwizytorni!

— Ja bym ją po nogach całował i przepraszał — mówił Kunicki już niemal obłądnie, zapatrzony gdzieś w kąt sufitu — p0 stopach całował i przepraszał za te uczucia, jakie we mnie wzbudziła.

— Jakież to uczucia?

Kunicki zdał się namyślać przez chwilę.

— Namiętność — rzekł wreszcie z dziwnym spokojem. Dla Jelsky'ego ten gnuśny, pełny umęczenia spokój miał w sobie coś z ohydy; wzdrygnął się: „Tak chyba ślimak w kałuży rozmyśla nad miłością.”

13 — Próchno

193

— Pan jesteś szczery — rzekł.

— Chcę spojrzeć na to wszystko jasno, trzeźwo, aż do obrzydliwości, aż do wstrętu. I dlatego czynię sobie tę krzywdę, że mówię głośno przed cynikiem. To pomaga nieraz bardzo. Jestem panu szczerze wdzięczny za wizytę. Sam się do niego wybierałem...

Co pan o mnie myśli, o to nie dbam. Widzisz pan, bywają rzemieślnicy, z tych słabowitych, marniejszych, rozmarzonych... taki, raz zobaczywszy scenę, zamarzy o kulisach i przypadnie wśród bandy cyganów jako najmizerniejsze popychadło.

— Et! — szarpnął się niecierpliwie Jelsky. — Zjedz pan obiadek w towarzystwie Liii i przejdzie. Nie ma z czego robić weltschmerzu. Za kulisy pan nie pójdziesz i ta wstrzeźliwość przyjdzie panu nawet łatwo.

— Diabła tam! — krzyknął Kunicki i zarzucił dłonie na czoło. — Diabła tam! Pójść może i nie pójde, ale ja chcę być takim jak dawniej! Pamiętasz pan tę naszą rozmowę w kawiarni: Gorycz, obrzydzenie, wstręt!" — oj, tak. Ta droga mego życia wydaje mi się teraz taką szarą, pustą i tak nieskończenie zbyteczną.

— Borowski — mówił po dłuższej przerwie, zapatrzony gdzieś błędnie — Borowski opowiadał mi raz swoje dzieje. A potem, pamiętam jak dziś: długie i smutne kominy patrzyły martwo w dal pustą i niemą. On narzucił się wtedy na mnie. „Widzisz — wołał — dawniej ludzkie namiętności były życia i pracy ramieniem i młotem, dawniej bogowie nie wstydzili się swych namiętności. Dzisiaj są one od biurka i maszyny precz wyklęte i gdzieś głęboko, głęboko pod ziemią zaryte, aby życiu nie przeszkadzały. Ty dzisiaj o nich nic nie wiesz. Dzisiaj — mówił Borowski — bogów nie ma; ale i bogów namiętność stać by się musiała w potępieniu gnuśną, jadowitą, trawiącą.” — „Dziś mamy rozsądek” — powiedziałem mu. „Macie rozsądek! — krzyczał. — A jednak słyszysz: oto maszyny do snu legły, a gdzieś w pomrokach kamiennych w ciszy umęczonych

dusz i ciał rozlega się nagle straszny, beznadziejny krzyk! Otwarły się podziemia wasze i cuchną. Zrozumiałeś, kto je otworzył? kto jest bólu waszego krzykiem po nocy? Zrozumiałeś, za co mu ludzie dają łzy swoje? święte i czyste łzy tęsknoty?" —

Wtedy powiedziałem: „Komediant”, dziś wiem, kto jest tym krzykiem po nocy. Jelsky przysłuchiwał się temu z uwagą.

— No? — pytał niecierpliwie.

— Artysta! — odparł Kunicki z naciskiem. — Wy, wy jedynie potraficie dziś i kochać, i cierpieć. Wy jesteście naszego bólu krzykiem po nocy... My dziś możemy dać tylko — łzy naszej tęsknoty.

Kunicki tonął spojrzeniem gdzieś w dali: widać było, że obrazy i słowa wspomnień więżą mu myśl; przeżywał je po raz drugi z głuchym, zawziętym uporem:

— Oto w pomrokach kamiennych, w ciszy umęczonych dusz rozlega się nagle straszny krzyk po nocy. Budzi się namiętność, bucha płomień duszy! I gaśnie.

Pozostanie — jeden, dwa trupy i otwiera się nagle przepaść bólu i cierpień.

— Co to znaczy?! — krzyknął nagle Jelsky i przystanął tuż nad nim.

— Borowski tak mówił.

— Aha, tak! Więc tak Borowski mówił?... Kunicki tymczasem snuł dalej swe nici pajęcze.

— Ale za dnia przepaść ta już głucha, już zimna, ziejąca tylko dusznym czadem zgniłych wyziewów! Bo my jesteśmy dniem. A wraz ze świtem odżyły już maszyny i zamarli ludzie. My, ludzie dnia, wzdrygamy się na te wasze nocne, podziemne sprawy. Nasze namiętności są przecież głęboko, głęboko pod ziemią zaryte, aby życiu nie przeszkadzały. Za dnia snują się już tylko rude, ciężkie kłębi-ska dymów: rozpacz po ziemi chodzi. Długie i smutne kominy fabryczne patrzą martwo w dal pustą i niemą.

— W dal pustą i niemą — powtórzył raz jeszcze. — Nas

194

195

nie stać na siłę uczucia. Ono nam odbiera tę moc i pewność w życiu, jakie daje automatyzm, to oparcie w niedoli i smutku, jakiego łaskawie udziela maszyna i biurko. Jelsky zwiesił głowę.

— Tiens! — cmoknął. — To jest Stimmung kapitalny! Czy pan nie pisujesz przypadkiem wierszy?

Na Kunickiego uderzył pąs. Jelsky sięgnął machinalnie po jakiś zeszyt na stole, lecz niedługo trzymał go w rękach. Kunicki wydarł mu go sprzed oczu i rzuciwszy się znowuż na otomanę, ciałem przysłaniał ten zeszyt.

Jelsky śmiał się szeroko: „Doktor medicinae et chirurgiae! Dobrze dzieje się na świecie! — Zosiu, Zosiu pocziwa, cożeś ty zamętu wokół narobiła!”

Kunickiemu drżały wargi.

— Czyś pan myślał kiedy — mówił szybko, aby zagadać niemile dlań zajście i odwrócić myśl Jelsky'ego w drugą stronę — czyś pan się nie zastanawiał nad tym, do jakiego absurdu doprowadzi nas kiedyś praca? Ha! ha! „praca rozkoszą!” „praca obowiązkiem!” „praca świętością!” — a jej sakramentem podział — podział pracy w nieskończoność!

— Panie, czym nie myślał! — Jelsky zakrzętał się nagle wesoło i zacierał ręce. — Gotuję zbiorek kaligraficzno-umoralniających wzorków dla młodzieży. Znajdziesz tam pan między innymi następujące sentencje: „Podział pracy ogłupia uszlachetniająco, miłość ojczyzny to sumienność w swym dziele pracy. — Czas to

pieniądz, moralność zmienia się wraz z czasem. — Jedno marzenie więcej, jeden grosik mniej. — Ora et labora, przyjdzie patriota, co z tego skorzysta. — Cierpliwość i praca jednych uszlachetnia, a drugich wzbogaca"... Mam i drugi zbiorek, tak zwany „filantropijny", dla poprawy charakteru zgrzybiałych bankierów; posiadam i trzeci, savoir vivre"owy, dla młodych artystów, poszukujących mecenasów. Panie Kunicki, czego ja nie mam w tece?... Tymczasem w tej tece to wszystko spoczywa! — Jelsky plusnął dłonią w czoło. A potem obejmując Kunickiego wpół:

— Jak Boga kocham, panie Kunicki, przy panu myśli się równie dobrze, jak przy Mullerze. Mnie aby tylko ruch myśli pod czyją czaszką odczuć! Jestem jak ten koń wyścigowy, póki w stajni, poty drzemie: niech ptaka zobaczy — już ścigać się gotów. Dlatego też pasjami lubię kobiety!

Kunicki próbował się uśmiechnąć, ale niebawem machnął ręką. Chmurzył się poty, póki myśli swojej nie znalazł, po czym rozjaśniła mu się nieco twarz.

— Widzisz pan, ten podział pracy tak człowieka stoma łańcuchami do miejsca i czasu kiedyś przykuje, że gdziekolwiek się ruszy, natrafi na zimny metal maszyny, każde jego spojrzenie w dal przysłonią kłębiska dymów. Tylko długie i smutne kominy fabryczne będą patrzyły martwo w dal — w dal pustą i niemą.

— I czy pan o tym pisze poezje? To może być wprost kapitalne.

— I będą te kominy widziały w dali jakieś złowróżbne znaki, Bożego gniewu ciche ostrzeżenia, jakieś dymne Mane Tekel Fares zawisłe ponad światem. Ale kominy nikomu tej tajemnicy nie zdradzą: ludzie mali, nikli, gdzieś tam wśród trybów maszyn na dole zagubieni, nic o tym wiedzieć nie będą... Sztuka? Wtedy tym namiętniej ludzie do sztuki wyciągać będą ramiona, bo życia już wcale wówczas nie będzie! A wy, co ją tworzycie, wy życiem głodni i na jałowej pustyni za życiem zrozpaczeni, wy z krzyków nocy sztukę robić będziecie chcieli. Ale wasza sztuka na was samych się zemści, zaszczepli wam ten obłęd, którym się już dziś bawicie — zaszczepli wam Furor Aphrodisiaca\

Jelsky zerwał z siebie palto, cisnął je gdzieś w kąt i przysiadł się do Kunickiego.

— Pan masz talent! — krzyknął. — Jak Boga kocham!

196

197

Rękopis proszę. Przetłumaczy się. W gazecie się umieści. Reklamę się zrobi. Z góry wiem, że tam jest talent. I niech się pan nie rumieni. To się zdarza w najlepszych rodzinach. (Zosiu, Zosiu pocziwa, cóżeś ty zamętu w świecie twórczości narobiła!) Pańskie rzeczy, czuję to, muszą być wprost wizyjne. Tam było coś: „Pozostanie jeden, dwa trupy i otworzy się przepaść bólu i cierpień." Panie, to jest wróżba wprost, jasnowidzenie!... Trans w sztuce sprowadzi się kiedyś wprost do somnambulizmu, gadania nie ma!... Ale! Ja pierwszy raz spojrzałem właściwie na pańską twarz. Pan masz kapitalnie mocno narysowaną głowę. Sprowadzi się tu malarza. Niech prosi, aby mógł portret zrobić... Panie Kunicki, pójdziemy się upić dzisiaj — co? Wiesz pan co? Pójdziemy do tynglu — Yveta daje drugi koncert. (Jelsky potrząsał prawicą Kunickiego). My się zaprzyjaźnimy, panie Kunicki! Medycynę pan, oczywiście, rzucasz, bo to jest przecie do cholery! Sztuka to jest wielka rzecz. Nie ma nic innego na świecie!

Kunicki patrzył na niego spode łba niedbale, otwierał szeroko oczy i ćmił papierosa.

W oczach Jelsky'ego rozdarł zeszyt na dwoje i tuż spod jego rąk cisnął kajet w kominek, gdzie tliły się jeszcze jakieś listy i papierosy. Jelsky zdążył go pochwycić za poły, przyciągnąć do siebie i powalić na otomanę. Sam zaś przypadł na kolanach do kominka. W tejże chwili buchnął płomień tak silnie, że Jelsky rzucił głowę w tył i zerwał się z kolan.

— Idiota i szubrawiec! — krzyknął w pasji.

I narzucając na ramiona palto, szarpał je i wołał gorączkowo:

— Można filistrów orzynać co się da. długów nie płacić, dziewczyny gwałcić, przyjaciół oszukiwać, żony cudze uwodzić, ale takiego chamstwa, jak Boga Kocham, nie popełniłem nigdy. Na to trzeba być chamem z urodzenia i karierowiczem z odziedziczonych skłonności! Trzeba być łykiem

198

z krwi i szpiku, niedołęgą, który zamiast brać, czego nie dają, filozofuje o miłości i boi się jej! Kunicki podniósł się ciężko i niechętnie.

— Przede wszystkim pan wzbudzasz tylko współczucie tym doszukiwaniem się genialności — w innych. Mnie tego ćwieka losy oszczędziły; wiem, że tamto jest w każdym razie mniej warte od pańskich nadziei... A co się tyczy pańskich grubiaństw, to nie chcę iść za kulisy życia! Nie chcę dać się omamić teatralnym efektem! Ja muszę się zmóc i zostać tym, czym być zamierzałem: człowiekiem pożytecznym! Zrozumiano?

„E, to jest idiota!” — zdecydował Jelsky w myślach i nie raczył nawet odpowiedzieć. I nagle przypomniały mu się te głuche, nieświadome zamiary, ten ponury nakaz, co go tu na ślepo przywiódł. Rzekł tedy bez żadnych wstępów, rozkoszując się już tylko bólem, jaki sprawi „temu idiocie”.

— Borowski uciekł i zostawił żonę na bruku.

Na Kunickiego podziałało to rzeczywiście mocno: otworzył usta jakby do okrzyku, ramiona mu zwisły, w przestraszone jakby oczy parły łzy.

— Prawdę mówisz?! — wymozolił z siebie.

Jelsky wyjął flegmatycznie z pugilaresu list pozosta-wiony-przez Borowskiego i wcisnął mu go do drżącej dłoni. Kunicki przebiegł oczyma tę kartkę, cofnął się do kanapy i zwijał się, wtulał tam w kącie: ścigał się jak ślimak w skorupę. Nie słyszał nawet konceptów, jakie mu Jelsky gradem na głowę cisnął.

Ten szarpał go wreszcie za ramiona.

— No — panie Kunicki?! —

Podniósł na niego jakieś uparte, ponure wejrzenie, to patrzył uważnie, to gubił go jakby sprzed oczu i spozierał obłądnie. Wreszcie zaprzeczył powoli głową i oddał mu kartkę.

— Panie Kunicki — nie?

199

— Nie, panie Jelsky. N i e!

— Bój się, człowieku, Boga — dlaczego?

— Tłumaczyłem długo — myślałem, żeś pojał... Ja boje. się jej po prostu jak ognia!... Ja już się zacząłem wykolejać w życiu... Te uczucia dla kobiet, choćby najszlachetniej pojęte, niszczą nas teraz i gubią bezlitośnie. Ja to nie z siebie: patrzę w świat i widzę, co się wokół dzieje. Albo szczenę, albo uczynię się takim jak wy...

Ja nie chcę być takim jak wy! Ja mam obowiązki rodzinne i do społecznych obowiązków się poczuwam. (Szarpał się i krzątał koło kieszeni tuzurka i łyzy wystąpiły mu do oczu). Oto co matka moja pisze... Przeczytam, co matka moja pisze...: „Na miłość Boską, miej ty litość nad samym sobą i uciekaj od tej kobiety, jeśli zapomnieć o niej nie możesz. Uciekaj tym prędzej, im bardziej byłaby ci skłonna...”

— Rozpłacz się pan teraz nad sobą!

— A ja pana odszukać chciałem i o pomoc, jak przyjaciela, prosić. Chciałem, żebyś pan, jak wówczas w kawiarni, wytruł i wypalił to ze mnie bodaj cynizmem. O! bo ja ciągle dniem i nocą o niej tylko myślę, gorączką wyobraźni tylko żyję i tworami tej chorej wyobraźni odpoczywam — tam, w tych spalonych zeszytach.. I wiem, że to jest zło, i rozumiem je przecie. Jak po nici doszedłem wyobraźnią aż na ten kraniec przepaści, gdzie życie w kłębach dymu i tyranii pracy ginie, gdzie szła głodnej wyobraźni się zaczyna. Rozumiesz przecie! A mimo to, gdym dziś tam przed oknem stanął, ta myśl zbiegła do głowy: jeden ruch, jeden skok; dom wysoki, bruki twarde... Skoroś zrozumiał, że życie twoje tak mało będzie warte...

— I nie poszedłeś pan do niej?! — krzyknął mu nad uchem Jelsky.

— Nie... Ta pana szukać zamierzałem i prosić bodaj o taką rozmowę jak wówczas, bodajby o...

— Cynizm?...

Jelsky'emu spadły sprzed oczu binokle. Podchwycił je 200 w powietrzu i począł czyścić machinalnie. Twarz pozbawiona cwikiera postarzała się jakby w jednej chwili i powiędła, potworzyły się na niej zmarszczki, wystąpiły rysy; krótkowzroczne oczy mrużyć się zaczęły pod światło. W wyrazie całym wystąpiło gnuśne piętno zużycia.

— Chcesz, młody entuzjasto, wiedzieć coś o wdziękach Zosi Borowskiej. Intymniej szych. He? Wie się coś niecoś... Widzisz pan, ja tu do niego trafiał wcale nie najszlachetniejszą drogą. I czemu pan dęba stajesz? Czemu pan mi do oczu skaczesz? Wszak to ja z życzliwości dla pańskiej kariery.

I Jelsky prysnął mu śmiechem w twarz. Kołnierz palta nastawił, cylinder na tył głowy zarzucił; wtłoczywszy do kieszeni ręce z gałką laski wpatrywał się w niego wyzywająco.

— Satysfakcji odmawiam, ponieważ mówię na żądanie... A ja myślałem, że to u nas tylko wszystko gnije. Pokazuje się, że i na przeciwnym biegunie rosną ładne kwiatki. A, chwałę sobie widowisko! Nadzwyczajny! wspaniały egzemplarz solidnego człowieka. Więc miałem rację: cor ranael

Kunicki zerwał się na nogi, jakby z zamiarem spoliczkowania Jelsky'ego. Ten zasłonił się szybko krzesłem i energicznym ruchem sięgnął do tylnej kieszeni. Stał krótką chwilę. Na korytarzu zatrzymał się wszakże raz jeszcze. W tejże chwili usłyszał za drzwiami jakieś osunięcie się czy upadek i nagłe zerwanie się spazmatycznego płaczu, jakiś rozpaczny szloch bezradnego dziecka.

— Ecce vir — pomyślał Jelsky.

Biaława, w brudnym pyłe nurzająca się mgła wysiąkła jakby z szarych murów ' zawałiła ulicę. Sylwetki przechodniów, koni i powozów otaczały się białym oparem, czerniały i krzęły, zda się, w sennej ociężałości. Bruki zionęły

zatechłym, zgniłym oddechem. Wlokła się mokra gnuśność przez ulice, dziwnie jakoś wydłużone w tej mrocznej perspektywie.

Jelsky zgubił jakby w tej mgłę swe chęci i zamiary: nie wiedział, dokąd i po co idzie. Gdzieś tylko na dnie każdej myśli nieokreślony lęk czy też niepokój przed tym, co się niechybnie zbliża. Już chciał wstąpić do najbliższej kawiarni, gdy go ktoś pod ramię schwycił i do siebie przytulał.

— Chodzę ja, panie Jelsky, po mieście, jak ten pies łązega, co pod murkiem przystanie, powącha, widzi, że nie tu, i idzie dalej, sam nie wie dokąd. Nie siedzi mi się tu coś u was. Nocą w gorączce tylko by malował i malował: hej, jakie obrazy! Wstaniesz do stalug: pędzle z rąk same precz wyłażą. Swoje jakby zgubił, cudzego jakby nie wiedział, gdzie szukać... Chodzę i patrzę (coś na kobiety bardzo patrzę!) a od tego patrzenia tylko wary na mnie biją. Tfu! Z nudów zaszedł i do Borowskiej. Trzy razy był. Wreszcie sami otworzyli. Powiedzieli, że nie przyjmują, i szliop! drzwi przed nosem. Ależ ładna, oj ładna!... A smutek taki i łagodność od niej idzie, jak od zorzy na wieczór. Uch, ładna, bo ładnaż ona! — krzyczał i wymachiwał rękoma.

Jelsky był zły:

— I czego pan się rzucasz jak diabeł w worku?

— Taką naturę Bóg już dał — odparł urażony. — Pan zawsze spokojny jak Chińczyk... Ot. pana to ja nie lubię — ulżył natychmiast swemu sercu. — Zawsze elegancki, jakby spod klosza wyjął. Dmuchać mam ja ochotę na pana... Wiesz pan, gdyby — niech Bóg uchowa! — między nami co wyszło — ja bym bił. Jak Boga kocham. I za nic: ot za cwikier, za cylinder, za bródkę w klinek, za oczy... A oczki to u pana za szkiełkami chytre! chytre! chytre!... No, nie! nie! — łagodził i śmiał się serdecznie, głaszcząc go po ramieniu. — Ja przecie nie myślę bić. Tak ot głup-

202

stwa gadam, duszę odwodzę. Bo ja na wszystko u was zły. Co usłyszę, na co spojrzę, wszystko mi kosteczką w gardle staje. Biłbym — ot co! Choć potem wszystkich profesorów i chirurgów wołaj. „Jakże my tu człowieka naprawić mamy, kiedy tu u niego nie wszystkie kosteczki na lico. Widać, że tu ktoś w żalu serdecznym je powytrząsał”.

— Nie radzę, panie Pawluk, nie radzę tutaj tak duszy leczyć. Myśmy już o trzysta lat od tego oddaleni. (Wyjął z kieszeni rewolwer i podsunął mu go pod oczy). Nie! nie! — śmiał się i naśladował jego głaskanie po ramieniu. — Ja nic złego przecie — wachać tylko daję. Rozumu uczę.

— Widzisz jaki! I za to nie cierpię. Wszystkich ja nienawidzę. (Chmurzył się, szarpał, wreszcie znów się go za ramię uczepił.) Panie Jelsky, po co pan taki?

— Jaki?

— Ja sam nie wiem!... Zdawałoby się, że człowiek dobry, serdeczny — a w oczach coś siedzi, takiego... Żle, panie Jelsky, źle! Ja czuję, że panu bardzo źle na świecie.

— Odczepże się pan!

— Pan się ubrał, żeby wyglądać jak ten Niemiec, jak drugi Niemiec, jak trzeci Niemiec... Ubierz się jak chcesz — wszystko jedno, skóry nie zmienisz. A skórę u pana to ja inną czuję.

Jelsky poklepał go po ramieniu.

— No dobrze, dobrze.

— Ja mądrzejszy od pana, klepać nie ma za co.

— Mądrzejszy — rzekł Jelsky poważnie.

— Wisz!

Jelsky patrzył tymczasem na niego uważnie, jakby coś w myśli układał. — „Ale zostaw mi pan adres, przyda mi się niebawem”.

— Do akademii pisz, kiedy chcesz, choć ja tam rzadko, rzadko!

Podał mu niedbale rękę, w oczy zaś patrzył uważnie.

203

— Ah, panie Jelsky, ja się boję, żeby między nami co nie wyszło.

Jelsky śmiał się nerwowo.

— No, idź pan już, idź, gdzie trzeba.

— Taż idę, choć nigdzie nie trzeba. Smutno coś u mnie, panie Jelsky — aj smutno!

I, kiwając wciąż głową, zanurzył się we mgłę.

„Taki przecie i zabić potrafi” — pomyślał Jelsky.

Ta dotykalna prawie mgła jest obrzydliwie śliska i ciepła, ma się wrażenie piwnicznej pralni; czuć niemal wstrętny zapach mokrych ścierek. Ludzie podnoszą kołnierze, krzywią się, charczą i spluwają co krok. Gumowe czarne płaszcze nawijają się co chwila, lśnią jak szkło i przynoszą ze sobą smród kauczuku. Na brukach ślisko.

Odbicie własnych nóg pod wilgotnym trotuarem odbiera pewność ruchów i sprowadza niecierpliwą w nich ostrożność. Ludzie burczą na siebie, spoglądają chmurnie, odpowiadają opryskliwie. Tu i ówdzie zapala się przedwczesna, latarnia, z bliska rdzawożółta, z daleka jakby czarna plama, otoczona jasną mętną obwódką; wokół latarni strzelają we mgłę dziwne tęczowe aureole. Cisza robi się na ulicach, dzwonki i sygnały dudnią głucho.

Gdy Jelsky wchodził na ulicę, przy której mieszkała Borowska, otarł się niemal ramieniem w ramię o Kunickiego. Skrzywił się i splunął. Potem zdawało mu się, że spostrzega opodal Pawluka, jak wyskakuje z tramwaju. Wreszcie gdzieś z dala zamajaczyła mu dziwna sylwetka niby ptaka wielkiego. „Muller w pelerynie” — pomyślał.

Mgła snuła się teraz przez ulicę, błąkała się po zaułkach. Czuć było tchnienie wiatru, ciepłe, ożywcze.

Gdzieś w głębi dał się słyszeć krótki, ostry pomruk; potem drugi i trzeci, niby sygnały tajemne. Jelsky'emu przesunęło się coś czarnego pod nogami. Niebawem usłyszał ostry, ochryply i przeraźliwy syk; darcie się gardłowe, ochryple, rozpaczne. Koty krzyczały po murach.

A mgła snuła się coraz prędzej, kłębiła się jak dym, odrywała się od ziemi, jak białe całuny na oparzeliskach o świcie.

Jelsky spojrział w górę. Jasno już było w oknie Borowskiej. Wielka świetlana aureola strzelała tęczowymi promieniami we mgłę. Zatrzymał się w bramie i spojrział przed siebie.

I zdawało mu się, że widzi po drugiej stronie, w pewnej od siebie odległości, trzy czarne, znieruchomione, jakby w jeden punkt wpatrzone sylwetki.

I znów ten syk obmierzły.

Szedł wiatr świeży i miękki, niosący mokrą woń świeżo zoranej ziemi.

— A no, wiosna! — mruknął Jelsky. Skrzywił się, splunął i wstąpił na schody wiodące do Borowskiej.

Bawił niedługo. W niespełna pół godziny uchyliły się drzwi wchodowe. Jelsky wysunął się na schody i szeptał coś niecierpliwie do wnętrza. „Trudno, ja nie mogę mieć zawsze jednakich myśli!... Zajęcia są! Mężczyzna jest nieco odmienny od was kobiet... Trzeba się przemóc... I czego ty się właściwie boisz?... Przyślę tu kogo... I w tym ubraniu!... Białą koszulę widać po ciemku. Okno jest naprzeciw... Zaziębić się łatwo”.

Zatrzasnął drzwi i stłumił tym czyjś płacz. Zaledwo krok postąpił, potknął się o coś na słomiance. Podniósł jakiś pęk z ziemi i zniósł o pół piętra niżej, do światła. W rękę trzymał zdeptaną i obłotoną przed chwilą garść białych lilij... I w tejże chwili zdało mu się, że tam wyżej, pod tym oknem, na które zwracał jej uwagę, ktoś jęknął

204

205

i osunął się głucho na schody. Jelsky rzucił kwiaty jak oparzony i wyskoczył na ulicę...

„Ratuj ty siebie! — krzyknęło coś w nim. — Rób coś. opanuj się woła!... Już ciebie ze wszystkich stron opadają upiory”.

A myślom przypomniało się natrętnie: Komm, folge mir in das dunkle Reich hinab! .Ludzi, jak najwięcej ludzi! — wołało coś w Jelskim — ruchu, życia, gwaru ulicznego”. Ten młyn miejskiego życia potrafił przecież zagłuszać najdokuczliwsze myśli, największe bóle. Nieraz zdawało się Jelsky'emu w takich chwilach, że ludzie naokół udają tylko jakąś pilną krzątanicę, wytwarzają umyślnie jakiś chaotyczny i bezsensowny wir, na to tylko, aby móc nie myśleć o sobie. Jakoż, idąc teraz przez ulicę, miał wrażenie, że wszystko naokół wpadło w jakiś dziwaczny i szalony taniec. Rozsnuła się mgła i tłumy wysypały się, jak mrówki po deszczu. Snuły się, płynęły, przeplatały w korowodach, wygarniały w boczne ulice, sypały się jakby w popłochu z zaułków, wbijały się klinem w inne fale i rozsnuwały pod murami w nieskończone czarne i ruchliwe wstęgi. Zaś na placach — tam gdzie powozy zbijały się w nierozwikłane węzły, gdzie tramwaje i omnibusy, kłócąc się ze sobą dzwonekami, tworzyły jakieś zawały nie do przebycia — tam zlewający się zewsząd tłum porywało coś jakby w nagłe, pośpieszne i gwałtowne ruchy. Wśród dzwoneków, krzyków, gwizdu i łoskotu wszystko, co żyło, wpadało, zda się, nagle w jakiś szal i wir kankana.

Jelsky lubił i ten tyngiel. Ale dziś po raz pierwszy uczuł się tylko widzem: on jeden nie brał w dzisiejszym spektaklu żadnego udziału.

— Zły znak — rzekł do siebie. — To jest bardzo zły znak!

„A więc do kawiarni” — kontrolował swe zamiary, do-

207

syć późno, bo wtedy dopiero, gdy zasiadł przy stoliku. Wraz z butelką wina przyniesiono mu i pocztę. (Jelsky wszystkie swoje sprawy załatwiał w kawiarni). Listów wszakże nie przeglądał, korekty robić mu się nie chciało. Siedział w cylindrze na głowie, dłuwał w zębach wykałaczką, popijał winem i rozmyślał:

„Kryształowy, niezmacony sentymentem szczyt cynizmu jest rzeczą niedościgłą dla nas. Brakuje nam głębokiej filozofii pieniądza, bez której z falą popłynąć nie

podobna. Toteż prędzej czy później na piasek wyrzucić nas ona musi... Jakże to Hertenstein mówił? 'A ja poprzez męty uczuć waszych, biedni, sentyment widzę. Przepadniemy...' I on także. Co robi na przykład między nami ten błady sceptyk, nielitościwy jak sumienie? ten znudzony Jeremiasz z kruczą wróżbą zagłady? ten między tyngle zabłąkany germański romantyk z koturnowym sentymentem swej muzyki, nie znoszącym profanacji tłumu?... I ten drugi na pół dziki aktor ze swoją tragedią instynktów? serdeczny męczennik najwyższego ich popędu, z którego wszelka sztuka się rodzi: instynktu do udawania i aktorstwa?... I oni wszyscy wraz ze swoją boleścią?! Czyżby to był tylko <ł> kupy naspędzany żer dla polipów?..." I coś jakby siłą odwróciło mu głowę w stronę tego stołu, przy którym siedział wczoraj wraz z całą gromadą. Nawał wspomnień rzucił mu się do głowy. Aby je stłumić, począł coś rysować na marmurowym stole. Od niechcienia wylitografował na nim gotyckie: Wein, Weib und Gesang, po czym zmył to palcem i wśród modnych wykrętasów oraz płynnych linii napisał: Wódka, prostytutka i nastrój. Ale oczy mimo wszystko odrywały się co chwila i wracały w tamtą stronę Bo gdy nie patrzył, miał wrażenie, że z tamtego kąta wlepiają się w niego oczy polipów, wypukłe, iryzujące, potworne ślepień mątw, i że oto wyciągają się ku niemu olbrzymie mięsiste ramiona, pełne obrzmiałych, śluzowatych i chciwie otwartych ssa-wek...

„Ssać, ssać i ssać! A wyssaną muchę odrzucić precz! I sięgać dalej, szerzej, wyżej!" I wydało mu się w tej chwili, że tuż obok niego siedzi Borowski, a po drugiej stronie Hertenstein i że skuwa ich coś do siebie, obezwładnia razem... że sto nici pajęczych oplata ich powoli. Szarpnął się i rzucił jak szczupak. Zadzwoił niecierpliwie i gwałtownie.

— Pióra! papieru! — wołał.

Za chwilę pisał gorączkowo, gwałtownie, goniąc myśli piórem. Już kilka kartek na bok odrzucił, gdy usłyszał nad sobą nosowy głos, akcentujący niedbale nonszalancję i lekceważenie. „A co! — pomyślał — jest już jeden z nich".

— Co się pisze? — pytano go. — Paszkwilek?

— Hm! — mruknął potakująco i dodał niecierpliwie: — Poszedł precz!

— Tytulik?

Jelsky odczytał tym razem z zadowoleniem: Furor aphro-disiaca. Z katechizmu i praktyki życiowej nadludzi.

— Ho-ho-ho! — zaśmiał się ktoś szeroko nad jego głową — Bój się Boga, Jelsky, tyś już dowcip stracił, kiedy możesz takie rzeczy pisać na trzeźwo. Pchły się pogryzły, a ty z armatą na olbrzymów ciągniesz. Kto, tu cierpi na furor? Tu wszystko na zimno się robi. Jaki czytelnik weźmie się dziś na „nadeludzi"? Słódko naprzykrzyło się już nawet przedmieściom. Pisz: „masonów", to zawsze jeszcze bardziej popłaca.

Jelsky rzucił pióro o stół. W pierwszej chwili szukał kogoś oczyma naokoło siebie. Ale nie znalazłszy w całej kawiarni nikogo prócz kelnerów, nie zdziwił się nawet bardzo. „I do tego dojść można!" — rzekł do siebie. Podarł kartki na drobne kawałki i rzucił je w kąt. „Te wszystkie polipy dla mnie już nawet ciałem egzystować nie potrzebują. Ja mam je wszystkie — tu, w głowie!"

508

H — Próchno

Dłonią oczy przysłonił i wciskał je sobie w ciało. Ale rozbudzona myśl już mu

spokoju nie dała. „Wszakże i ty byłeś dla nich Beatryczą — podsunęła mu natrętnie. — Tylko że tobie nie pomagał zdradny Eros, lecz poczciwy, nigdy nie zawodzący Merkur. La tua reclama imploro —

O Jelsky potente! — tak się większość was z głębi duszy modliła. Ile geniuszów napłodziliśmy z tobą, poczciwy Merkury! Ilu ich rozpycha się teraz w życiu i drzemie w przedSIONKACH Parnasu lub w łożu portiera. Zwłaszcza tam! Bo czyż może być bardziej wymarzone stanowisko społeczne dla tych, co przeliczyli się wprawdzie w swym talencie, znają wszakże natomiast stosunki, normy i wymagania: wiedzą, przed kim można hardo łeb zadrzeć, a przed kim należy kark nisko pochylić? Nie byle jakie to obowiązki

I nie lada odpowiedzialność przed społeczeństwem! Niech tam wewnątrz trują się, myślą, męczą, szaleją, kochają i giną; portier musi mieć zawsze obiektywną i czcigodnie poważną fizjonomię kolumny. Portier reprezentuje przecież godność gmachu; wyszarzanym tużurkiem pańskiego dziada lub pańską liberią imponuje ulicznym tłumom tak dalece, że gasi doszczętnie wszelką ciekawość tego, co się wewnątrz dzieje. A dzieje się zawsze źle: nie tak to za starszych państwa bywało! I ludzie wierzą, że źle się dzieje. Któż bo lepiej od portiera znać może pańskie plotki? Serdeczni moi — zwrócił się Jelsky do tego stołu w kącie, co mu wciąż oczy drażnił i przyciągał wzrok — serdeczni moi, jam was wszystkich na Pegaza powsadzał.

Siedźcież bodajby okrakiem, ale trzymajcie się mocno za grzywę i jedźcie powoli a ostrożnie wygodnym gościńcem naśladownictwa lub obchodną ścieżką względów i wzglę-dzików. Poczciwy koń zaprowadzi was prędzej czy później do żłobu.

Cierpliwości tylko!

Wam przystoi być bardziej uświadomionymi od starszego pokolenia; toteż w zwycięskich fanfarach, wśród uroczystych peanów na cześć Erosa, pokłońcie się choć po

210

cichu Merkuremu. Innymi słowy, oddając hołdy każdej swej Beatryczy, wspomnijcie choć kiedy niekiedy dobrym słowem — Jelsky'ego.

Bo te dożynki wasze, polipy moje, to chyba życia mego jedyny plon będzie!...”

„Osmętniałeś coś?” — Jelsky podrzucił hardo głowę. „Trzeba zjeść kolację” —

pomyślał i sięgnął po jadłospis. Lecz karta wypadła mu niebawem z rąk. „Oto są skutki ambicji! — podszeptał mu w nagłym zwrocie bies kapryśnej myśli. —

Pomyślałem na chwilę tylko o pośmiertnej sławie i straciłem natychmiast apetyt... A gdyby tak do kolacji zaprosić Liii?... Albo — tiens! — Zosię Borowską!

Towarzystwo naiwnej kobiety robi nadzwyczajny apetyt!... Nie można, nie podobna! Łzami przesoliłaby mi wnet wszystkie potrawy”.

Począł coś kreślić ołówkiem po stole. Z bezładnie poplątanych linii wyrzały nagle kontury ptaka.

„Chrześcijański ptaszek Feniks? — zgłębiał Jelsky własny rysunek — czy też... czy też — kanarek?... Oj, źle!” — Jelsky przygryzł wargi.

Wychylił czym prędzej kieliszek wina i starał się ten nieznośny zgrzyt dokuczliwych wspomnień zagadać czym prędzej, zasypać nowymi myślami, pogrzebać w ironii.

„A no — mówił do siebie, ocierając wąsy po winie — droga otwartal Mieszkanko czyściutkie, rondle są w kuchni, po poprzedniku pozostały pantofle, z których

szczęśliwie wyskoczył... Recepta żywcem wyjęta z epilogu angielskiej powieści: Stojący nad przepaścią artysta odżył, odrodził się w miłości. Muza jego w ciepłym objęciu ubóstwianej żony pozbyła się dziwactw młodości i poczęła się udzielać często, tanio i z całym wdziękiem popularności. Muza, nie żona! Zapewnia mu to na długo ciepło domo-

211

wego ogniska, poszanowanie u ludzi, jakie daje dobrobyt, oraz zasłużoną dumę, jaką darzy nas popularność".

Jelsky parsknął śmiechem. „Nie udają mi się utopie" — zdecydował.

Ale zaledwie się ten śmiech rozwiął, wyrzało spoza niego nieubłagane oblicze rzeczywistości z dziwnym, złośliwym uśmiechem: „Nie miniesz, nie oszukasz!"

Jelsky znowu sięgał po wino i przepłoszył te myśli ironią.

„Co się w tej głowie Mullera w tej chwili dzieć musi? Hm? Beatrice... puściła się! Musisz sobie przyznać, że doświadczasz dreszczu na wskroś nowego!"

Śmiech Jelsky'ego rozległ się głośnie gamą po kawiarni.

„Hm — mruknął głaszcząc wąsy — jeżeli to żywe zainteresowanie się społeczeństwa sztuką będzie i nadal wsiąkało szczęśliwie we wszystkie pory znużenia i bezmyślności, we wszystkie próżnie i pychy życia, należy się spodziewać, że z końcem wieku każdy szanujący się bankier będzie wymagał od swej metresy, aby dawała five o'clock'i artystyczne i w chwilach wolnych od zajęć była plato-niczną Laurą lub Beatryczą dla jakiegoś młodego, pełnego nadziei geniusza. Pod koniec wieku bankierów stać będzie na przyjaciółki z uniwersyteckim nawet wykształceniem; zaś artyści, w swym życiowym noli me tangere oraz głębokiej nienawiści do spraw społecznego smętku, potrafią pogodzić i taki stan rzeczy z błękitnym marzeniem o absolucie".

Jelsky zatarł ręce. „Ta utopijka udała mi się wcale nieźle.

Jednym słowem, fuszerką miłości, małżeństwa, beatry-czowych natchnień źródłem my się leczyć nie będziemy.

A gdyby tak spróbować kuracji w dietetycznym sanatorium obywatelskości? Smętna to wprawdzie rzecz współ-pracownictwo w jakimś etyczno-społeczno-zagraniczno-statystycznym i jedynie nieomylnym organie tygodniowej opinii, jednakże — Boże wielki, czego rozbitek życiowy

nie robi! A środek — bywalcy to wiedzą! — probatum est. 'Umiesz pan pisać?' — 'Umie'. — 'Damy panu dział krytyki artystycznej i naukowej'. — 'O co właściwie będzie chodziło?' — 'O obywatelskość. — 'Bon!' Czy może być rzewniej sza i prostsza droga cnoty nad tę, jaką wskazuje społeczeństwo obywatelom umiejącym pisać?"

Ze wszystkich kątów kawiarni przynosiło mu echo raz po raz własny śmiech, niby złośliwe pohukiwanie gnomów w górskim uroczysku. Przymrużone oczy Jelsky'ego zapatrzyły się w dal bezświecącą i ponurą.

Nagle, tam za wielkimi szybami kawiarni coś szarpnęło jakby miejskim pogwarem, zadrgało w powietrzu, zadudniło po brukach miarowo i mocno. Z łoskotem trąb i bębnowym grzmotem wpadły w turkot uliczny tęgie, twarde rytmy wojskowego marsza. Już za oknami poplątał się tłum, już się sypnęła ruchliwa awangarda uliczników.

„Oto idą panowie, którzy wyrażają opinię narodów — myślał Jelsky patrząc na tych

łobuzów. — Oto idą narożni przyjaciele trotuarowych samotnic, ich wrogowie z obowiązku, kamloci oraz inni próżniacy. Ecrasez l'infâme! — Conspuez Zola! — Strike England, strike merciless! — A Berlin! Vive Boulanger! — Nieder mit den Sloven! — Wszyscy Niemcy są łotrami! — Preussen, Preussen uber alles, uber alles in der Welt!"

Marsz porwał wszystko, co żyło na ulicy, w swój rytm dziarski, butny, zuchwały. Ulica grzmiała potęgą. I tą brutalną mocą mosiężnego łoskotu uderzył marsz w szyby kawiarni, zamieniając i tu ludzi w konie: uszy strzygły bezwiednie, same przeżyły się golenie.

Jelsky'emu głęboki oddech piersi podniósł i rozszerzył, lecz przekorna myśl w tejże chwili odwróciła i ten nastrój, bo przyniosła grymas nad tym, że marsz tak wielki, marsz tak potężny głośny dziś tylko cichy płacz dzieci. Czyżby na

213

to trzeba było aż takie łoskoty po stolicach czynić?... „Zresztą chwałę metodę: i ja mam w sobie orkiestrę, która fanfaramą paradoksów grzmi wtedy najgłośniejszym, im ciszej skarży się oniemiała dusza".

A może ten marsz święci dawne boje i dawne chwały, czas taki jeszcze niedaleki, kiedy te surmy zagłuszyły inną, weselną piosenkę bojową:

Lamom sacre ae la patrie...

Ti hukiem bębnow i trąb łoskotem szła nowa, nieubłagana brutalnej mocy potęga.

Preussen! Preussen! uber alles, Ober alles in der Welt!

Przewalił się marsz łomem burzy i jak ciężka chmura gromem dalej się potoczył.

Mijał, cichł... Już go łoskot uliczny głośny. Jeszcze drży w podnieceniu ludzi, jeszcze bębni słabo po szybach kawiarni.

Jelsky'emu opadła pierś, zwiotczało napięcie w mięśniach. Przymrużone za szklami oczy zapatrzyły się — w próżnię.

I już myśleć nawet nie mógł; siedział długo w bezwładnym otumanieniu. Wreszcie szarpnął się i zatrzepotał jak zbudzony ptak. Aby skupić rozproszone w lęku myśli, rysował coś znowu na stole. Z wiru linii wychylać się zaczęły najwyraźniej kształty rewolweru. Wylot lufy ozdabiała twarz ludzka, skrzywiona w jakimś okropnym okrzyku.

Secessionsrevolver — podpisał Jelsky pod tym swoim rysunkiem i sięgnął machinalnie do kieszeni. W zamuszowym futerale błysnęła lśniąca i połyskliwa broń.

„Więc ja po to się tu przywlokłem?" — pomyślał teraz dopiero. I w pierwszej chwili lęk za gardło go chwycił. Chłód przeraźliwy przebiegł go od potylicy, grzbietem, aż po stopy same. „Więc to wszystko było już obmyślane? już

214

postanowione nieodwołalnie?... Kiedy?! Więc ta gwałtowna chęć zaprzyjaźnienia się z Kunickim, ten artykuł na nich, to bicie się z myślami w poszukiwaniu ratunku dla duszy, to pogrzebywanie śmiechem i ironią wszystkich jej bankructw — więc to wszystko było tyłkoniedołęzną próbą obejścia postanowienia.

Kiedym ja je powziął? Kiedy się to wszystko stało? Kiedy?!"...

Komm, folge mir in das dunkle Reich hinab!

— Pan kazał przynieść kopertę — usłyszał ponad sobą.

— Kazałem? Mówisz?!... Daj! I czekaj, czekajże! — Wyrwał z pugilaesu list

pozostawiony przez Borowskiego, włożył go do koperty, dołączył klucz od zatrzasku i zaadresował do Pawluka. Kazał odnieść natychmiast."

— Akademia Sztuk Pięknych! — Ledwo chłopak się odwrócił, Jelsky zakrzętał się nerwowo koło siebie i zapiął szczelnie tużurek. Zapatrzone gdzieś oczy utonęły po raz drugi w próżni. Wsparł czoło na dłoniach i przesiedział tak chwilę w otumanieniu. Nagle sięgnął po butelkę, napił się dwukrotnie raz po raz; odstawił potem kieliszek z takim impetem, że szkło się rozprysło o marmur.

I wyjął znów z kieszeni zamszowy futerał. „Hu — jakież to zimne! jak błyszczący, jak zęby szczyrzy... Przecież w tym jest głęboka myśl czasu, że w epoce demokratycznego rozbrojenia każdy cichy filisterek nosi w kieszeni taką sześciostrzałową armatkę, z tym smętnym przeczuciem, że jeśli jej kiedyś użyje, to chyba tylko przeciw samemu sobie".

Pochwycił jakąś kartkę i jął coś pisać, ale zniechęcił się wnet. „Że też ja nawet w takiej uroczystej chwili nie mogę się zdobyć na krztynę talentu! (Zaśmiał się trochę za głośno i, zły na siebie, przygryzł wargi). Dobryś — teraz w piersiach już zaczyna skrobać — z samej tylko emocji".

Gdy uniósł głowę, ujrzał ponad sobą jakieś siwe sumiaste wąsy i wielkie oczy pod krzaczastymi brwiami.

— Panie Jelsky...

215

— Czego?

— Panie Jelsky...

Jelsky nie orientował się, o co idzie; mrużył oczy, głową zaprzeczał. Wreszcie:

— Prawda, prawda — posłaniec. Przyszedłeś obeł-gać?!... No, mów, mów! Biłeś się, gdzie nie było potrzeba, i teraz nie masz co jeść.

— Ja dla pana tu jestem. Cały dzień mi pan z głowy wyjść nie chce. „Pójdę. — myślę — i powiem mu, co mam na myśli. Stary ja człowiek, rodak — może mnie i posłucha. Pójdę i powiem mu: Grzech, grzech, panie Jelsky, takie myśli!"

— Jakie myśli?... Więc tyś z rana już odgadł?

— Kto by nie widział!

Jelsky patrzył na niego pochmurnie.

— Wytlumaczże mi, czemu ja własnych myśli nie widział?

— Są rzeczy, które sercem się tylko widzi. Jelsky opędał się jakimś myśłom dłonią.

— Głupiś! — rzucił mu krótko w odpowiedzi.

— A teraz słyszałem przecie wyraźnie, jak pan jęczał.

— Co?... — Jelsky teraz dopiero zauważył stojących nad nim kelnerów. —

Jęczałem?... E, to jest złudzenie wa" szego sentymentu. Albo macie nieczyste sumienia: daliście mi podłego wina z grubą marką. A że ja za nie gotówką przecie nie płacę, więc mi nie wypada się skarżyć; jęczę sobie po cichu — ot co... Panie rodak, paneś widział pewno dużo tchórzów w życiu?

— Czego, jak czego!...

— No, to mnie się pan nie przestraszysz... Odprowadź mnie pan tam w kącie na sofę... Zresztą, jeśli chcecie koniecznie, jestem niezdrów. Mam od wczoraj silną gorączkę. Szatany spacerują po moim pokoju jak w klubie parlamentarnym. O tak, tu poleżę — i nabiorę może trochę odwagi... Pan jesteś dobry, zacny człowiek, panie Zahlkellner,

pan ze

216

świadomą melancholią udzielasz mi kredytu. Ta melanco-; lia świadczy również dobrze o pańskiej przenikliwej inteligencji... Doktora? U, nie lubię! To są najsmutniejsze ka-botyny, co nawet w samych siebie wierzą... Panie ekspres, siadź pan tu przy mnie, chcesz mi pan rękę na czoło położyć? Dobrze. Panie Zahlkellner, niech się pan nie martwi, proszę. To przejdzie. Powiedźcie mi, panowie, czy ja miałem talent? Dawniej? w początkach?... Chcesz mnie pocałować, panie ekspres? Owszem wyświadczyć mi tę śmieszność. Poca...!

Jelsky opadł ze śmiechem na sofę. Kazał sobie podać papierosa; leżąc na wznak, ćmił go powoli i strzelał dymem w sufit. Nachmurzony kelner począł się wałęsać między stolikami. Ujrzał zbity kieliszek i skierował się w tę . f j stronę.

Na kanapie obok znalazł rewolwer i schował go natychmiast do kieszeni. „Chwała Bogu, że stchórzył!” — pomyślał. Zgarniając szczyrby szkła, zauważył coś białego na brzegach, podniósł do oczu — i w jednej chwili rzucił się w stronę Jelsky'ego... Nie dobiegł jeszcze do niegox gdy z krzykiem cofnął się w drugi koniec kawiarni. Zadudnił telefon.

Nasypało się narodu do kawiarni. Ludzie prości biegli przede wszystkim tam w ką, aby ratować kogo należy; ludzie lepiej odziani rzucili się czym prędzej do stolika, aby odczytać pozostawioną kartkę. Wyrywano ją sobie chciwie z rąk do rąk:

Jedyną bronią przeciw fatum naszego życia jest dobra gra; ta na w pól już tylko świadoma zdolność oszukiwania ludzi i siebie aż do ostatniego tchnienia. Was, bracia, artyści, uczyć tego nie potrzeba: w tym sztuka nigdy nie zawodzi: odbiera duszę, daje 'rolę'. A więc, kanalie: evvi-va l'arte!

70

T_Jroczysta cisza panowała tu na wzgórzu w okolicach willi von Hertenstein. Miasto na podłach, zobłoczone dymem, przysłonięte rdzawą luną, rzucało w tę stronę głuche, zrywane i ponure zgiełki. Zresztą panował tu spokój prawie uroczysty. Życie ukrywało się poza ogrodami wewnątrz murów cichych, prawie sennych, życie odosobnione, dumne, trwożliwie unikające wszelkiego natręctwa. Surowe sztachety odgradzały je od bruków zadrzemaney i nudnej ulicy. Czasami potoczył się lekko powóz, parsknęły konie, poniosło echo długie wołanie. Zatrzasnęły się po chwili wrota i znów niezmacona, uroczysta cisza, cisza samotności, dumy i wzgardy. Müller przychodził powoli do siebie u Hertensteina. Łagodny spokój pieścił go ciszą, darzył dobrym, kobiecym prawie wyrozumieniem. Hertenstein leżał opodal na długim i niskim fotelu, kołysał się na jego biegunach i rzucał od czasu do czasu krótkie, badawcze spojrzenie. Milczeli obaj. Müller, wtulony w ką otomany, pobrzękiwał na strunach jakiejś mandoliny, czasami sięgał po wino na stole, to znów uderzał w struny, grał, brzdąkał. Po pokoju wałęsał się ogromnie wysmukły, soplami długich białych włosów okryty chart. Co chwila podchodził do Mullera, kładł mu na kolana długi pysk i wpatrywał się w niego smutnymi oczyma kobiety. Gdy Müller grać przestał, pies na bok odchodził, kładł się u nóg swego pana, wyciągał łapy sztywno przed siebie, mrużył ciężko oczy i drzemał,

221

wstrząsając się od czasu do czasu jakby pod zmorą snu przykrego lub rojem

dokuczliwych wspomnień.

— Jaki on wrażliwy!

— Suka — bąknął Hertenstein nie przestając się kołysać.

Muller odrzucił instrument w drugi ką otomany, głuchy pobrzęk strun obudził psa: uniósł łeb, obejrzał się i już oczy zamykał, zanim głowę do snu ułożył. Po chwili znowu łeb uniósł i spojrział bystro na swego pana. „Mówcie cośkolwiek” — zdawał się niepokoić

Hertenstein podniósł się powoli i nalał wina.

— Pij! — Uśmiechnęli się ku sobie jak ludzie bardzo zmęczeni i sięgnęli po kubki.

— Niebrzydka — mówił Muller obracając czarękę w dłoni. I wnet potem bez żadnego przejścia: — Prawdopodobnie przyjdzie i na ciebie kolej niebawem. (Roześmiał się sucho). Przecie to z Jelskym niedługo potrwa. A ktoś zając się nią musi.

— Szukaj brutalniej szych — odparł mu spokojnie i osunął się na fotel — albo bardziej egzaltowanych. Ja w gąskach nie umiem odkrywać skarbów poezji.

„Wyzwolenia” szukać już dawno przestałem u kobiet.

Muller rzucił się tylko na otomanie, ale nic nie odpowiedział.

— Gdzieżeś ty spał wczoraj?

— Na plenerze.

Hertenstein wzruszył ramionami. Po chwili zaś, rzuciwszy nań okiem:

— Pij!

I znowuż milczeli długo, uparcie. Pies zadrzał raz po raz we śnie, czasami łeb zadzierał, przeżył swe długie cienkie nogi i szyję jakby w bólu w tył odrzucał. Nagle zerwał się i przegięty w sobie, jakby garbaty, dreptał cicho po dywanie, snuł się jak cień po kątach.

222

— Cisza tu u was... Smutek, ale jakiś niespokojny. Za daleko od życia.

— Przywykłem. Potrzebuję. Nagle, wstrzymując bieguny:

— Z Jelskym jest gorzej, znacznie gorzej!

— Niżli z kim?

— Z nami chociażby. — Roztargnionym ruchem zgarnął włosy z czoła i rozkołysał gwałtownie bieguny.

Muller zerwał się nagle, wychylił duszkiem kubek wina i nacisnął beret na głowę.

— Pójdę — krzyknął.

— Dokąd? Wzruszył ramionami:

— Gdzie bądź, w jakiś najciemniejszy kąt, z dala od ludzi. Widzisz, i tu nawet nie mogę. Człowiek, stworzenie, sprzęt każdy ma dla mnie jakiś grymas niepewności i lęku, trwogi czy złej wróżby. Niepokoi mnie wszystko, na co» spojrzę, i wydaje mi się, że wszystkiemu, na co popatrę, ten niepokój udzielać się musi. Kunicki powiada, że to od picia. Ja przesycam wprost atmosferę tym przenerwieniem, w krótkim czasie potrafię zatruć nim każde miejsce, gdziekolwiek spokoju szukam. Po prostu wierzę, że to się nawet martwym przedmiotom udziela. Gdy sam w pokoju jestem, gotówem przysiąc, że tak jest. Chociaż Kunicki powiada...

— Głupi jest ten twój Kunicki — wtrącił chmurnie Hertenstein. — Mów!

— Widzisz, to przychodzi w chwilach dusznego oniemiaenia i bezwładu, kiedy myśl nawet staje, a instynkt krzyczy: „Ludzi! ludzi!” — ciepła ludzkiej dłoni, ciepła

ludzkiego oddechu... Borowski to rozumiał, sam miewał; powiadał, że to ona jest: zmora życia. Ja myślę, że to jest jeszcze nieświadomiony paniczny lęk samego ciała przed pustką w sercu, w duszy: co wolisz. Horror vacui — wiesz?

223:

Na Borowskiego nieraz to przychodziło. Wówczas zrywał się, biegł do niej, tulił się, krył się twarzą w jej piersiach i krzyczał, że się śmierci boi.

— A ona przepląsała nawet widmo śmierci?

— Tak — odparł Muller z jakąś ponurą powagą.

— Bagatela! — skrzywił się Hertenstein. — Czego te cudotwórczynie nie potrafią! I czego my od nich nie wymagamy! A one tak mało mają do rozdania od siebie, a tak wiele ze skarbcza naszej wyobraźni. Wyobraźni! — powtórzył z naciskiem, patrząc Mullerowi twardo w oczy. — Bo nie chcesz chyba stać się śmiesznym i mówić poważnie o uczuciu. Podniecenie wyobraźni, jej pęd niepowstrzymany i szął wreszcie. W tym mieści się klucz do zagadki, dlaczego gęś stać się może przeznaczeniem dla takiego jak ty człowieka... „Przeznaczenie!” — „wyzwolenie!”

— za dużo się tego dziś słyszy. Afrodytę z nas się śmieje.

— Mówisz jak Jelsky — zachnął się Muller. I wodząc dłonią po czole, z trudem jakby zmuszając się do mówienia: — Zbyt mało obchodzą mnie dziś twe porównania, ale jeśli chcesz koniecznie, to oprócz Afrodyty jest jeszcze Astarte. Hertenstein, głaszcząc długi łeb psa spoczywający na jego kolanach, mówił spokojnie:

— Zlituj się, to była bogini tych na wpół gołych bestyj o płaskich lubieżnych twarzach, o hebanowych w kwadrat ciętych brodach, w których tonęły usta i policzki, bestii o posagowych goleniach i czarnych kudłatych piersiach, potworów strojnych w szkarłat i złote obręcze. Przedstaw ich sobie tylko i przejrzyj się w lustrze: nie wskrzesisz. Przecież w tych czarnych, sytych, rozleniwionych w tropikalnym słońcu panterach fermentowało jak w podzwrotnikowych trzęsawiskach? Przecież w małych czaszkach tych brązowych kudłatych diabłów leżała się tylko potworna, dzika, chaotyczna wyobraźnia? Przecież te ogniste ślepia, zmrużone pod wiechami brwi, nie dorosły pono jeszcze do

224

błękitu? Baal miał za wielką paszczę, aby mógł mieć wystarczający dla boga mózg, Astarte za mało ducha jak na swe milionowe chucie. W walce bogów zgubiła ich gnuśność niższej rasy, zwyciężył intelekt... Poszukaj sobie innych bogów, mój drogi. Muller słuchał w roztargnieniu. Podniósł się ciężko i ukrywszy się w okiennej niszy Zci firanką, kreślił coś palcem na szybie.

— Bardzo barwnie, nader uczenie mówisz o bogach... Mój drogi, ty jesteś taki mądry, powiedz... powiedz — tak tylko — co będzie po śmierci?

Hertenstein pokotywał się na biegunach, napił się wina i mówił:

— Pytała raz Maitrei męża, co będzie z nami po śmierci. „Za wiele żądasz — odpowiedział jej — o tym i bogowie nie wiedzą”.

— Kim była Maitrei?

— Wielką kobietą, jedyną w dziejach świata, której duch rwał się w absolutne głębie. Ustami Maitrei przemawiają nieraz święte księgi Wschodu. Prorokini. Jedyna!

— Ciekawe rzeczy opowiadasz. Każ przyrządzić nargile.

— Życzysz sobie?

— Poproszę. A tymczasem... mój drogi... (Ja ciągle czegoś się boję: teraz tam za oknem!) Mój drogi... O czymże ja?... Aha! Co będzie po śmierci? — powtórzył kapryśnym głosem upartego dziecka.

Głos Hertensteina kołysał się wraz z nim i falował nieznacznie.

— Wraz z tobą zginie treść i sens zagadki. „Gdy umrę, skona wraz ze mną nawet Bóg mój” — powiada Anioł Ślązak. Wobec tego nicość jest wszechświatem.

Muller milczał przez długi czas.

— Przyjemnie tu u ciebie — rzekł wreszcie — pachnie miło, wino masz przednie, mówisz interesująco o bogach i o śmierci. Ale ja...

!5 — Próchno • 99'i

— Co — ty?

— Jestem złym towarzyszem dzisiaj... Ja mam umrzeć za kilka miesięcy.

Hertenstein zatrzymał bieguny i zerwał się sprężyć, ale w tejże chwili stanął w zakłopotaniu, nie wiedząc, czy zbliżyć się do niego i jak to uczynić. Wyprzedził go pies: poskoczył do Mullera, rzucił mu się łapami na piersi i wyciągał pysk.

— Jaka ta suka jest dobra, wrażli...

Zadrgało coś, złamało się w jego głosie; w jednej chwili poczerwieniał jak rak.

— Bój się Boga, wyrzuć tego psa, bo ja się rozbeczę! Hertenstein uderzył psa ręką.

— Poszła! — krzyknął gniewnie. — To już płęć ma to do siebie, ten sentyment — mówił w zakłopotaniu i wicherzył włosy. — Ale! — krzyknął nagle i rzucił się do biurka. — Mam dla ciebie nadzwyczajne cygaro!... — Przy biurku zatrzymał się jednak znowu w zakłopotaniu. — Nie chcesz może?... A gdyby tak rzeczywiście nargile — co?

— Widzisz, Henryk, ty może niesłusznie... może ja do tych jej dłoni o dar dobroci, spokoju... Tak, o spokój, o tę ludzką możność śmierci! Potem w wyobraźni wyszło co innego... Ale my o tych pierwszych, najszczerzych drgnieniach nigdy nic nie wiemy, my zwłaszcza.

Hertenstein potakiwał gwałtownie i pośpiesznie, potakiwał wtedy jeszcze, gdy Muller przestał mówić i wyciągał z zanadru garść białych, pomiętych kwiatów.

— Co to? — ośmielił się zapytać.

— Brud, kał, życie! — bąkał Muller.

I w naglej, niepamiętnej pasji począł te kwiaty wciskać, wcierać sobie w twarz. A potem odrzucił je precz ze wstrętem.

— Pyf! — krzyknął na psa. 226

Hertenstein energicznym ruchem powtórzył psu ten nakaz i otarł sobie pot z czoła.

Chart skoczył, poślizgnął się po podłodze, dopadł zębami do kwiatów i w jednej chwili roztargał je na strzępy.

Zdawało mu się, że leży w czerwonej grocie: to płonące za purpurowym abazurem światło przenikało wszędzie cichym, uroczystym spokojem bajki. Wzrok jego, odurzony tym równym zalewem czerwonego światła, błąkał się sennie, szukał jakby oparcia i wytchnienia dla myśli. Natrafił na głowę kobiety na portrecie: twarz białą, chmurną,

O wysokim jasnym czole w ciemnym mahoniu włosów. „Aha!” — pomyślał i przeniósł oczy na Hertensteina.

Jego spokojne, zgaszone prawie wejrzenie, mleczna, prześwietlona bladością twarz, zastanowiły go na chwilę. Kilkakrotnie przenosił wzrok na portret i już chciał go o coś zapytać, gdy Hertenstein powstał gwałtownie i odwrócił się tyłem do niego. Po chwili wydało mu się, że słyszy, jak woda gdzieś cicho pluszcze; widzi, jak się przelewa zwolna i mąci na kamieniach lekką białą pianą. Jakieś dwa potężne granitowe złomy, ociekłe wodą, białe od śniegu, jakieś przytulone do siebie czarne cyprysy, jakieś małe, czarne wyłomy w masywie skały: oczy smutku spozierające tajną głębią grobów...

„Obraz” — uprzytamniał sobie w tym półśnie.

O, już tylko móc umrzeć, cicho, spokojnie, bez żalu

I skargi, jak płomień, co zamiera... Zapomnieć, co było. Wziąć rozgrzeszenie z rąk najlepszego z bogów: niepamięci. I zgaśnie to wszystko wokół, jak lampa, co się wytliła. Raz i drugi świadomością wielkiego żalu błysnie i... Zamknie się grota. A ta skała potworna zwali się głucho na piersi...

Rzucił się na kanapie i otworzył oczy.

227

— Henryk, co to?!...

— Koncert e-moll. To largetto — wiesz?

— Dostyc — nie to!... Nie mogę dziś.

Hertenstein urwał, po chwili jednak rzucił kilka taktów, szukał melodii.

— Pamiętasz?

— A?... Podobno siostra twoja śpiewała na koncertach? Z twoją melodią poleciał ten mój Łabędź w dalekie strony... Ile to już lat?

I Hertenstein grał znowu. Rzucił kilka akordów, spróbował melodię, znów ją pasażem zmaścił i urwał. Potem odchrząknął, z krzesłem bliżej się przysunął, dłońmi klawisze musnął i zaczął. W dźwięki fortepianu wplotł się niebawem głęboką nutą umyślnie tłumiony śpiew:

Obloczną górą ciągnie ptak

W bezgwiezdną ciszę przyszłych burz,

Ponurą grozą krwawych zórz,

W daleki, chmurny zwątpień szlak.

Łabędziu mój, z tęsknoty mój Polotem twym daj boży znak, Ty, białych marzeń błędny ptak,

O dolę, dolę moją wróż!

Łabędziu mój, z marzenia wód, We snach się iści bytu cud

I snuje piękno rojem mar!

Łabędziu mój, z nadziei stron, Ty życia złudy wieścisz skon I przedmogilnej pieśni czar!

Hertenstein urwał. — Taki ty byłeś dawniej — mówił zamykając powoli fortepian.

Muller leżał z twarzą zwróconą w czerwony blask lampy. Wspominał jakby. A spod przymkniętych powiek trysnęły nagłe łzy. Stał nad nim chart i przypatrywał się podejrzliwie, niedowierzająco. Wreszcie zaniepokoił się, a obejrzawszy się daremnie na

swego pana, postanowił widocznie sam zaradzić. Przystąpił bliżej, powąchał i liznął Mullera po twarzy. - Ty!...

Pies szczeknął radośnie, skoczył i przednimi łapami wraz z głową przypadł, przytulił mu się do piersi.

Hertenstein zerwał się gwałtownie sprzed fortepianu i sięgnąwszy po dzban wina zapatrzył się chmurnie na Mullera.

— Czego ty właściwie żałujesz?

— Hm?

— W życiu co żal ci za sobą zostawiać? czego nie chcesz opuszczać?

— Tego, co i ciebie trzyma — brzmiała opryskliwa odpowiedź. Oczy Mullera zwróciły się leniwie w stronę portretu.

— To bardzo niewiele. — Hertenstein wychylił kieliszek do dna. — Ty powinieneś szukać innych teraz przyjaciół. Ja nie umiem być humanitarnym znachorem. A wreszcie — szarpnął się nagle — wszystko to razem wzięte jest tylko tchórzostwem: wypowiedzieliśmy każdy ostatnie słowo życia, a nie stać nas na mężne dokończenie: „Amen”. Czekamy, aż się z nami załatwi natura A ona skrzętnie umiała drogę życia rozmaitym strugglelifero m... „Schodźcie z drogi, ciemności, bo kariera bardzo się dziś śpieszy, przeto się gniewa i oburza szlachetnie na was”. Z tymi słowy krząta się po gościńcu życia zahukana cnota. A wiesz, jak się ta cnota nazywa? Pożytek. „Bądźcie pożyteczni”, to znaczy: żyjcie dla naszych żołądków i dla tych ciał, jakie nasza gnuśność obficie napłodzi. Doprawdy, gdyby życie ten sens tylko miało, można by z dobrodusznym zaciekawieniem przyglądać się wyścigom sprytnych oprysz-ków, umięających pod hasłem patriotyzmu, interesów narodowych czy miejskich wpręgać do swego rydwanu sturamienny egoizm tłumu i puszczać „męczenników idei” przodem jako swych laufrów. Widowisko jest tym ciekawsze, że za karierą wlecze się zawsze żebraczym krokiem mała cząstka ogólnego pożytku, splatając wieńce zasługi na przyszły pogrzeb działacza. Jest to jeden z najpospolitszych paradoksów życia, że kariera jest matką społecznej energii, gdy tymczasem za oderwanymi od życia: myślą i marzeniem, następuje najczęściej... Hertenstein zapalał powoli cygaro.

— No? — nalegał Muller.

— Nieurodzaj na kartofle — zaśmiał się z cygarem w ustach. A pochyliwszy się na fotelu, sięgnął po kieliszek. — Pij, proszę, i to zdrowie...

— Było już raz — przerwał Muller, zanim toast zdążył wypowiedzieć. — Było wczoraj w kawiarni. Że też ty zawsze do jednego wracasz! Ma się niemal wrażenie, że w tych ogólnikach opowiadasz coś ze swego życia.

Chwilowe podniecenie Hertensteina oddziało i na niego.

— W czyje ręce zresztą? — pytał dalej. — Turkuła nie ma. Ty — zwrócił się do charta — chcesz żyć?

Pies szczeknął, wyskoczył zza fortepianu i już się łąsił, już merdał ogonem.

— Ona „potwierdza bytu chęć” — wygłosił Muller patosem książkowym. — Niech żyje Venta!

Tręcili się kubkami. Muller wypił duszkiem i w tejże chwili zamachnął się z pasją, aby rzucić misterną czarę z całych sił o ziemię. W porę schwymano go za rękę.

— Jest i cham! — Hertenstein odstawił kubek ostrożnie. — Rzeczy wykwintu są jak piękne kobiety: nie znoszą desperatów.

— Przypominasz w tej chwili Jelsky'ego — skrzywił się Muller. — Ale ty bodaj że

jesteś niebezpieczniejszy od niego.

— Jelsky... Jelsky... — Hertenstein wyrzucał kręgi dymu pod sufit. — Jelsky jest problemem (bo on lubi problemy): odmówiła natura narkozy sztuki, morfinizuje się cynizmem, jakby w przeczuciu, że skutek będzie ten sam.

— Mianowicie?

— Pustka.

Muller aż się naprzód pochylił zapatrzony podejrzliwie w Hertensteina.

— Dokąd ty zmierzasz?

— Ja już od dawna nigdzie nie zmierzam. — Machinalnie, niemal automatycznie wodził dłonią w powietrzu, głaskał wciąż jeszcze nieobecnego już psa. (Chart w kłębek zwinięty drzemał już pod fortepianem).

— Czy ty przywiązałeś się w życiu tylko do psa?

— I do sztuki — zaśmiał się krótko w okłębie dymu, a ręka bez przestanku głaskała delikatnie powietrze.

— Henryk?

Milczał. Ramię wysunięte poza poręcz kołysało się uparcie, miarowo, jak wahadło.

— Henryk?! — nie wytrzymał Muller i targnął go silnie za ramię.

Podniósł na niego oczy i próbował się uśmiechnąć. A że uśmiech nie złożył się, więc zagryzłszy wargi zerwał się na nogi i schwycił za kubek. Wina w nim nie znalazł, zniecierpliwził go i ten drobiazg nawet. Sięgnął gniewnie po dzban.

— Słuchaj — mówił twardo, niecierpliwie — jeżeli to wszystko jest twoją prawdą wewnętrzną, jeżeli ty nie chcesz korzystać z tego głupiego urlopu kilku miesięcy, jakiego ci udziela natura... Koniec końców, jeżeli dostatecznie przemyślałeś te rzeczy, pizyjdz do mnie: pomyślimy nad tym razem. Może się znajdzie lekarstwo dla nas obu.

Napił się wina, otarł starannie wąsy i wyjął z kieszeni od kamizelki małą szklaną rurkę zatopioną z obu końców.

230

231

— Co to?

— Nie krzycz... Upas Antiar.

— Prędko?

— Nie o to idzie. Działa powoli, łagodnie, ale pewnie. Strzały tym zatruwano.

Müller ukrył twarz w dłoniach; gdy ją uniósł, był bardzo blady, wargi mu zmiękły, a oczy mrużyły się, jakby pod światło.

— Dobrze, że się tak stało, żeśmy się zmówili. Są myśli, słowa nawet, które trzeba koniecznie głośno wypowiedzieć, aby nas straszyć przestały. Przy twojej woli...

— Ja nigdy nie miałem woli — przerwał mu Hertenstein opryskliwie i niechętnie.

— Więc przy — rezygnacji... Rozumiem... — przerwał sobie nagle własne myśli. —

Na ogół ja miałem wolę — ale wola jest narzędziem życia, jego chęcią właśnie.

Potrzeba mi twojej większej mądrości. Może znajdę tę moc wewnętrzną, co da mi spokój nawet w takiej chwili.

— Więc już jej nie chcesz szukać u kobiety — skrzywił się Hertenstein — nawet u Zosi Borowskiej?

— Ah! — Müller machnął ręką. Wnet potem chciał coś powiedzieć: już mu się

zaiskrzyły oczy, zadrgała ruchliwa twarz, nerwowe ręce gotowały się do gestów; gdy wtem błyskawica wspomnień skłóciła widocznie zamiary; opadł w sobie, głowę na piersi zwiesił.

W pokoju zapanowała ta przyczajona cisza godzin wy-rocnych, chwil trwożnego oczekiwania, tajonego lęku, cisza, rzekłbyś, nierówna, jak owo, w podobnych godzinach od czasu do czasu jawne, choć w rytmie skłócone cykanie kieszonkowego zegarka. Nocny ptak wpadł, zda się, do pokoju i w błyskawicznym, bezszelestnym locie rzuca się krzyżowo w przestrzeni, nie dotykając ścian i sprzętów: odbija się bezgłośnie o warstwy powietrza.

Hertenstein oglądał, wahał i ćmił swe cygaro; oglądał, obracał w dłoni i podziwiał po tysiącny raz misterny kubek do wina; wreszcie zagłębił się nad słupem popiołu zawistym u cygara; badał z początku pilnie i ciekawie, potem uparcie; wreszcie z oczyma chmurnie utkwionymi w ten słup popiołu na cygarze zastygł jakby i znieruchomiał. Pies, zwinięty pod fortepianem w biały futrzany kłębek głowy wprawdzie nie unosił, ale miękkie uszy od czasu do czasu prężył, wyrzucał w górę, strzygł nimi i pomrukiwał coś z cicha. W tym półśnie zadumy swojej wzdychał kiedy niekiedy głęboko i ciężko.

— Widzisz... przekonaj się — zaczął Muller zgębionym | głosem prośby czy też skargi i podniósł twarz żółtą w tej chwili i lśniącą jak wosk, z nabiegłymi sznurkami sinych żył na skroniach. — Widzisz... ta drobna, wątła, w dotknięciu tak przedziwnie pocziwa, chłodna jej ręka, jak wonny płat kwietnego kielicha na rozpaloną skroń... Samo to przyszło, nie wołane. I przez cały ten czas o tym tylko myśleć, to tylko czuć i widzieć musiałem... A to poczucie, silniejsze od wspomnienia, zostało mi do tej chwili wonią, miękkością, chłodem na lewej skroni... Od moich i twoich myśli tak mnie, pocziwa, uratować chciała. Bezradne są jej myśli wobec naszych...

— Tak? — ocknął się Hertenstein krótkim zapytaniem i stracił popiołowy słup z cygara — Ha! — odezwał się od razu zerwanym i nieszczerym śmiechem. Wreszcie zapalił zgasłe cygaro i podniósł głowę. Spojrzawszy uważnie, zmarszczył brwi i zerwał się z krzesła. Rzucił niespokojne wejrzenie poza siebie; po chwili jednak rzekł cicho z twardym naciskiem:

— Ślad jest na skroni!

— Co!?

Mullera jakby prąd przebiegł: rzucił się jak szczupak w fotelu. W splecione dłonie przypadł czołem, a wargi zadrgały mu nagle kurczowo.

— Tutaj?... teraz?... Widzisz: była! Przyszła!... Hertenstein ujął go mocno za bary.

233

— Zerwij nić tę! słyszysz — zerwij! W pokoju nie ma nikogo. Rzuć myśl gdzie indziej.

Muller zaprzeczał tylko poruszeniem głowy, zaprzeczał długo ze smutnym uporem chorego dziecka.

„Była... Przyszła, cicha, swą lepszą, niezniszczalną cząstką, i tą boską mocą łagodności bezmiernej...”

Zmuszony, napił się wreszcie wina i zapalił papierosa. Przemagał się: zbierał i skupiał myśli, wymykające się śladami uczuć z ogniska świadomości. Wreszcie

zaczął na pozór spokojnie:

— Widzisz, Henryk, takie uczucie to straszny krzyż w życiu. Ono największą moc ducha w końcu przetrawi... We wszystkim tak! Wszędzie i zawsze. I z ludźmi! Pomyśl tylko, czy może żyć z ludźmi taki, co spod słów, spojrzeń, ruchów i milczenia wylawia — nie cudze myśli (te zawsze dla nas giną), ale to, co się przez skórę jedynie wyczuwać daje: te płomykowe, na wpół świadome, przelotne, błędne, dla większości zwykle nikłe odruchy prawdziwych wewnętrznych mocy, co kłóca się nie tylko ze słowem i czynem, ale wprost z uczuciem. Obcować z ludźmi na to, aby zawsze, wszędzie i nieubłagane słyszeć ten przechodzący poprzez wszystkie ludzkie sprawy ostry zgrzyt rozpaczego egoizmu, co się sam sobą dławi. Gdy naokół wre i kipi życie, wsłuchiwać się w dziwnym napięciu w ocieranie się węży: widzieć, czuć i słyszeć jak każde „ja” zżyma się wewnątrz, kurczy i jeży wobec każdego „nie ja”, a na zewnątrz garnie się rozpacznie do kobiety, do ludzi, do gromady, do tłumu. Być skazanym na to, aby w najserdeczniejszych ludzkich porywach: w miłości, w przyjaźni, w ofierze nawet, widzieć tylko stulone czujne pazury i odgadywać ten dziwnie im przeczący krzyk szczerego bólu: „Pozwól się wżyć, wtopić, wświecić w twoją ludzką duszę, abym wielki ciężar własnego egoizmu mógł choć

234

na chwilę rzucić i o mojej duszy, mojej odrębności zapomnieć. Chciałbym mieć jeden oddech, jedno pulsowanie, jedną krew i jedno pragnienie z tobą! z wami! ze światem całym! Chciałbym być tylko cząstką nikłą twoją! waszą! ziemi! słońca! Chciałbym spłynąć w ciebie! w was! w słońce! we wszechistnienie jedno! i jedno serca bicie!”

Tak się modlą roztesknione oczy, tak się przyczaiły na chwilę pazury zmęczonej sobą bestii. — Takim jest ten najgłębszy, zawsze rozbolały nerw wszelkiej miłości.

I tak oto widzieć muszę, że wszelkie uczucie ludzkie jest rozpaczonym zgrzytem beznadziejnego fałszu, jest kłamaną pokorą i pokutą drapieżcy, co pragnie bezsilnie pochłonąć w otchłań bezbrzeżnego egoizmu i ciebie! i was! i świat cały!

Dlatego modli się nawet.

Wiesz! — krzyknął nagle i cała twarz rozgorzała mu nagle jakimś fanatycznym ogniem — wiesz, gdy było już źle, bardzo źle, gdy tak krew z ust chlustała, a serce stawało w przerażeniu — wówczas pomyślałem sobie nagle, że... że to przez nią, dla niej! I ogarnęło mnie nagle jakieś upojenie dziwne, szczyt rozkoszy niewypowiedzianej... Wraz z tą krwią... Myślałem, że to śmierć.

Zżymnął się Hertenstein.

— I twój egoizm wymarzył sobie ostatnią rozpustę — rozkosz całopalnej ofiary. Nie, nie! Tyś beznadziejny. Wszystkie twoje uczucia i myśli stoją w nieświadomym może, ale smutnym pokrewieństwie.

— Z czym?

Wzruszył ramionami. — Po prostu boję się powiedzieć, nie odważam się nawet pomyśleć... Mówiłeś coś o Astarte. Czy to wszystko nie jest czasami z jej mrocznego państwa?

Wsparł czoło na dłoniach i zamyślił się chmurnie.

— Kto wie — rzekł wreszcie — może to jest cały ciemny świat uczuć, w którym

ponure dusze ludzkie w koła boleści dobrowolnie się wplatają?... Dziwny świat,
gdzie

235

ślepe pożądanie rozkoszy zapomnienia o samym sobie (rozkoszy z jakichkolwiek źródeł zaczerpniętej!) rodzi na szczycie ekstazy niepamiętną żądzę poświęcenia i ofiary. To mogą być krainy ducha, gdzie chucie nawet dostępu nie mają, a jednak... Albo te wszystkie mroczne tajniki duszy szatan po prostu w jeden węzeł nam zsupłał, ukazując nam wyłącznie i uparcie tylko najpospolitsze jego objawy: szały i ekstazy miłosne.

I są ludzie — krzywił się Hertenstein niedbale — co zapatrzywszy się w te wybuchy chuci sądzą, że stanęli przed tajnym ogniskiem życia. Przywdziewają wtedy co prędzej szaty kapłańskie. A to są, kto wie, czy nie krótkie i marne wybliski wielkiego morza podziemnych płomieni, światowego A g n i, w którym wszelka chuć tak tonie, jak tonie każdy brud życia w szerokim sercu... I ty byłeś mi jednym z takich...

— Jakich?

— Wspomniałeś pierwszy o Astarte... Takich oto brązowych kudłatych diabłów z płaskimi twarzami czarnych panter, co na szczycie ekstazy cielesnej druzgotali swe ciała pod tryumfalnym wozem Astarty.

A po chwilowej zadumie: »

— Tyś powinien był unikać kobiet, życia, ludzi, wielkich miast, bo tylko w rojnych tłumach przejawia się druzgocąca potęga tych ponurych bogów.

— Nie mogłem, Henryk, nie mogłem inaczej! Ta trwoga, ten niepokój (wiesz? mówiłem!), ten paniczny lęk przed zmorą życia rzucał mnie między ludzi, jak między wilki.

I teraz nawet, gdy pomyślę, czuję, że nie mogę, Bóg widzi, nie mogę!

I Muller przysunął się nagle, cicho i potulnie, jak chart, i na j niespodziewanie dla Hertensteina pocałował go w ramię. I wnet potem wsparł ciężką głowę na tymże ramieniu.

— Nie mogę, Henryk!... Coś łka, zrywa się jękiem w duszy. Ludzi mi potrzeba! Życzliwości, dobra, ciepła mi potrzeba!

Hertenstein skrzywił się w pierwszej chwili. Po kilka razy otwierał usta, aby coś powiedzieć, przemilczał jednak za każdym razem. Wreszcie nie wytrzymał:

— Czy i mnie masz za wilka? Mów szczerze!

— Tak, Henryk!

— Szukasz fałszu i kłamu w mych słowach? brudu w mych myślach?

— Nie, Henryk — dziś nie. Jutro będę. Jutro pomyślę: Ten Henryk z wysokich koturnów na ziemię spaść musiał; sceptycyzm takich ludzi rodzi się tylko z niedołęstwa, cynizm przerasta ich siły. Zda się, biały, czysty; przyjrzyć mu się bliżej: trupia biel do góry grzbietem przewróconego gadu. Jutro, jutro! — powtarzał bezradnie; już mu głos drgać poczynał na dobre.

I nagle, jakby pożałowałszy swych słów i myśli, pocałował go dwukrotnie, raz po raz, w ramię.

Hertenstein zerwał się i walcząc z uczuciami współczucia i niesmaku odsunął go niechętnie od siebie.

On zaś machnął smętnie zmiękczała jakby w stawach i niemocną ręką. Począł ocierać

pot, co tłustymi kroplami rozsypał się po bladej i umęczonej twarzy.

— Widzisz — takie życie moje!... Szukałbym po świecie na klęczkach miłości, przyjaźni, przywiązania, a znajduję... Wracam za każdym razem od ludzi pełen goryczy i nienawiści: w całe ciało setki cierni mi powbijano. A ja każdy cień przypomnieniem wyciągam, rozjątrzam i rozkrwawiam rany. Setki, setki cierni!... I cały rozbolały, krwawiący, tarzam się w bólu i wyć chcę, wyć jak zwierzę, które z gromady wygryziono precz!

Westchnął ciężko i splótnął ramiona na stole ukrył w nich twarz.

236

237

— Henryk, zlituj się! pomóż mi zakończyć to wszystko. Po co mi te kilka miesięcy?! Widzisz przecie, że ja nie mam w sobie tej mocy wewnętrznej nawet na jeden dzień życia.

I zerwały się w nim ostatnie pęta: zapłakał jak dziecko, cicho, bezradnie i obrzydliwie miękko.

Pies podniósł łeb i mruknął, ale tym razem już nie podbiegł. Patrzył raczej z pewnym zniecierpliwieniem w stronę swojego pana.

Hertenstein powstał powoli i wyprostował się sztywno. Po czym, jakby szukając czegoś wokół, zagarnął wzrokiem po ścianach. Oczy zatrzymały się na portrecie i przylgły doń długo, uparcie. Oderwał je siłą i spostrzegłszy psa pod fortepianem strzelił nań z palców.

— I cóż ty na to, Venta? No, chodź, chodź! I czego ty drżysz? — no, głupia? Przedelikatone, przenerwione, nad-wrażliwe psisko! Histeryczka!... Patrz, śmieję się przecie... Oh, jak to skacze! jak to się przegina! jak kokoszy się radośnie! — Już rada? — Ujmujące stworzenie! Teraz łasisz się do mnie, nie do niego? — oczywiście! — Ty szelmo niewierna!... Nie lizać — poszła precz!... No, no — skomlijże teraz, skomlij z radosnego wyczulenia... Oh, ty wdzięku niewieści!...

CZĘŚĆ CZWARTA

Hertenstein przerwał sobie na samym wstępie. Powstał ciężko i wydobywszy jakąś szkatułkę z biurka począł rozgrzewać dwa metalowe cybuszki nad spirytusowym płomieniem.

— Ty się nie dziw — mówił flegmatycznie. — Przyzwyczailem się — potrzebuję... Myśl mi staje, słowa wędną bezbarwne na ustach... Te półsny ducha na jawie to najgorsze chwile życia... Nie mogę! I tobie przygotowuję. Dodam zresztą więcej tytoniu. To cię prędzej uspokoje, zwróci wyobraźnię w kierunku konkretności i ani się spostrzeżesz, jak w barwnych obrazach roztopi się twój lęk... Potrzeba mi twych zmysłów wszystkich, wyobraźni i uwagi całej: chcę, byś raz jeszcze przemyślał to życie dziwne, jakie sobie ścielemy... O sztuce będzie mowa — o tym grzechu naszym pierwotnym, za którym idzie kobieta, utracenie raju rzeczywistości, wreszcie zło wszelkie i gorycz życia aż po grobu próg... Grób na nas poczeka. Wspomnienie chce pożegnania, życie prosi o wspomnienie. Duch wzdryga się przed tym, że ma zakończyć na przypadku dnia — on chce objąć wszystko, co było, obtoczyć życie ostatecznie i rzec wtedy dopiero: niech się kończy... Masz fajkę. Ta ci postawi wnet barwne kulisy i zapali światła. Ja dam myślom swoim bieg swobodny. A ty pal... Na czym ja stanęłam?

— Przyjechałeś na zamek za późno — podchwycił czym prędzej Muller zatulając się gorączkowo, febrycznie w miękki kąć kanapy.

— Taak... Pal, proszę!... No, i nastały zwykłe formal-

16 — Próchno

241

ności, dotyczące pozostałego majątku, grubo zresztą nadwerężonego. Przy dłuższym życiu ojca pochłonęłyby prawdopodobnie całą fortunę te walące się w gruzy ruiny zamku, które upór fanatyka sprzęgał w żelazne obręcze, niemal że wraz ze skałą, na której stały: bo i skała kurczyła się i pękała. W papierach na biurku znalazłem list jego wprost do mnie adresowany. Zachowałem dotychczas — mogę ci go przeczytać: Skończyłem — pisał — ze sobą, dała mi smutne rozgrzeszenie rezygnacja: wszystko, co było, stać się musiało. Nie wyzbyłem się tylko żalu, że wielkich pragnień moc wytlili się we mnie bez tego śladu nawet, jaki pozostawiają wspomnienia.

Skończyłem ze sobą: już bólu ciała nawet nie czuję. Myślę o Tobie, Tobą już jestem. Uchwycić za ster życia za młodu: kochaj! — to jedyne, co moc czynu dać jeszcze potrafi. Nie ludzi — zawiodą, nie kobietę — oszuka, nie pracę — ogłupia! ukochaj dzieło i czyn swój, ukochaj je w pracy i w spoczynku, w radości i w smutku, w rozkoszy i w zniechęceniu.

Życia się nie bój: miecz do boku przypasz i rozciągnij ramiona. Niech przyjdzie wraz ze swym ziem i dobrem, z winą i cnotą, ze zbrodnią i pokutą. Kładź się w łóżko wypoczynku i rozkoszy, z uździenicą konia wokół dłoni i z mieczem u wezglowia.

Tak przodkowie nasi na marchii czynili.

Życie jest dziś tłumem rojne. Ty się na czoło nie tłocz: nie naszej to godności rola i nie naszej dumy rzecz. Ty stań na uboczu, lecz stój twardo: kto w promień woli twej wejdzie, od tego uległości hołd i daninę pracy weź.

Żyj! czyń! działaj! walcz!

Drzyj tylko przed szatańskim zwierciadłem życia, co w barwach wspomnień, w blaskach marzeń, na wyżynach pragnień, w głębiach tęsknoty, miraż bytu ukazywać ci będzie: Strzeż się sztuki!

242

Bądź panem rzeczywistości. W obłocznych pałacach każą ci hołdować lirowym dziadom, co tłumowi pochlebstwem żyją; każą ci być cudzych czynów echem, cudzej wielkości cieniem, własnych marzeń żywą ironią. Wzgardzone życie zemści się grzechem i staniesz się dla samego siebie krwawym wyrzutem.

Tych królów zebranych z obłocznych zamków miej za swego smutku igraszkę: niech ci pobudkę do życia grają, niech twoim czynom laur plotą, niech ci kwiaty w weselne łóżko rzucają. Bądź cudzej woli, cudzej myśli, cudzych natchnień panem.

Synu, ja chcę, byś w promieniu woli twojej królem był!

Posłuchaj, co jałowa ziemia dziś szepcze: ona, jako jurna kobieta, pana i władcy czeka: rodzić chce. Zapłodnij ziemię w promieniu woli twojej.

Żyj! czyń! działaj! walcz!

Okiełzaj serca swego porywy, bezgranicznej woli sercu nie dawaj. Bacz czujnie na serce swoje i strzeż je od obojętności. A więc sztuki się bój!

Taką jest brama czyśćca, pod którą duch mój za życia już przeszedł. Wymódl mię stamtąd czynem życia twego.

U progu zamku cień starca, co życie w marzeniu strawił, cień ojca twego korny hold młodości twej składa:

Ave vita! morituri te s alutant!

Drugi raz listu czytać nie potrzebowałem, słowa jego wryły się w pamięć: słowa jak walenie miecza po hełmach rycerskich. Tak mógł pisać człowiek, co — jeśli marzył — marzył potężnie o potężnym życiu. Patrzałem na tę żółtą głowę na białych poduszkach, na tę wielką siwą brodę na czarnym tużurku. W kamienne formy dumnej i twardej siły zastygła po śmierci twarz marzyciela. I przyszła mi dziwna myśl do głowy: „A może on rzeczywiście gdzieś, w świecie jakimś tajemnym przepadał: tam boje staczał,

243

walczył, burzył, zdobywał i, pełen cichej tajemnicy, powracał między nas?"

Musiałem walczyć prawie ze sobą, aby nie rozpiąć mu tużurka, nie rozerwać kamizelki i nie szukać blizn na jego piersiach.

„Więc tak cię szatan zwiódł — myślałem. — W zwierciadle swym ukazał ci całą potęgę i urok przeszłości, a nie dał mocy ducha, aby potęgę tę wskrzesić w słowie i w jej imię rozgrzeszyć świat z rzeczywistości."

W drugim liście, pisanym widocznie przed samą śmiercią, liście chaotycznym, pełnym miękkości i zakłęb serdecznych, wzywał mnie, abym porzucił służbę wojskową i wstąpił do szkoły inżynierów. Chaotyczność tego listu, jego miękkie prośby i zakłęcia!... Rzecz była jasna — ojciec zmuszał się do czegoś wbrew wszystkim swoim instynktom, odczuwając ostatecznie potrzebę dodania do mocnego testamentu swej woli coś z konkretności, coś, co by go uczyniło radą, pouczeniem: wskazało mi rzeczywiście jakąś drogę życia...

Dawniej — pisał — o tę skałę zamkową rozbijały się wszystkie wrogie fale barbarzyństwa, co przez nasz wąwóz kawał kraju zalać pragnęły. Dziś wróg stokroć gorszy z gór schodzi: rzeką gładów, żwiru i kamieni, ze wszystkich żlebow się sypie, korytem rzeki wali, aby całą dolinę kupą gruzów przysypać. Państwu, co nas przed wiekami wchłonęło, nie opłacamy się już dzisiaj. Na uboczu, w kącie świata zapomniani, pozostawieni jesteśmy własnemu losowi. Powinnością naszą odeprzeć teraz i tego wroga.

Z rodziny pozostała przy życiu tylko starsza o lat kilka siostra. Wychowany z dala od domu, pamiętam ją tylko z najwcześniejszego dzieciństwa. Wiedziałem dalej, że źle żyli z ojcem. Potem nastąpiła jedna z tych głuchych tragedij w domu, o których nic pewnego dowiedzieć się po-

tem nie można. Miała wtedy lat osiemnaście. Przymuszono ją w następstwie do małżeństwa z kimś kupionym za posag. Dalej, przypomniałem sobie wiadomość o jej nagłej ucieczce. Zatarło w zamku wszelkie ślady po niej, z sali portretowej znikł jej obraz. Nie wspomniano o niej nigdy.

Zapomniałbym może, gdyby nie gazety: została śpiewaczką, zdobyła imię i rozgłos po stolicach świata.

Nie pamiętam, czy ciekawość to była, czy te wspomnienia rodzinne, co odżyły tak nagle, czy też po prostu to, że na sędziego cnót pospolitych ja się nie rodziłem: posłałem depeszę, dowiedziawszy się z gazet, gdzie przebywa.

Sam zaś spędzałem smutne dni oczekiwania na pogrzeb. W tych zapachem grzyba

prześniętych i ponurych ruinach, w towarzystwie trupa i niemych, czarno odzianych sług, jawiły mi się w wyobraźni barwne obrazy rojnego przepychu w jaskrawych fałach światła, kryształach i purpurze. Widziałem tysiączne tłumy, co przed chwilą tak pstre i gwarne, tonęły nagle w ciszy, kamieniały w milczeniu. Słyszałem śpiew. I widziałem ją.

I jakieś inne, żywe tchnienie władzy, siły, potęgi przychodziło wraz z tymi obrazami. Na olbrzymiej perzynie muru wspierała się zwisająca z najwyższego piętra zamku narożnica kamienna. Małe jej okienko w głębokiej nyzie rzucało wzrok wprost na biel lodowca, wkryształoną jakby w rozwartry błękit nieba. Tu w narożnicy mieściła się biblioteka. I nic ze świata, niG z życia myślom tu nie przeszkadzało. I te, co z ksiąg ożyły, i te, co się rodziły w skupieniu, strzelały wprost w błękit nieba jasny, na biel najczystsza, na szczyty najwyższe.

Oto tęsknot moich owoc boski,
oto grób tajemnic wielkich, oto płomień i żar grzechu mego, oto stos mój kacerski!...
Te słowa dziwne wyrzyła czyjaś ręka w na pół zmurszałym czarnym pulcie pod oknem.

W ciasnej izbie, ponad półkami starych ksiąg tuż pod sklepieniem, szedł w krąg czerwony napis gotycki. Skupione, na siebie nałożące jego litery tworzyły jakby jezdnego słowa wstęgę. Odczytałem ją kiedyś z trudem:

Poucz! rzuć rosę pewności na spragnioną ducha mego posuchę.

Ten trupi zapach starych ksiąg, te napisy dziwne, te lśniące w słońcu, jedwabiste szczyty w dali i to morze białe, zatopione w błękit niby wrota olbrzymie!...

I przypomniałem sobie nagle: „Albowiem taką jest brama czyścica, pod którą duch mój za życia już przeszedł”.

Przykuwało mi bez końca wzrok to białe czyste pole jakby marzeń niebo wytęsknione. „Oto życia mego nieskończoność, oto grób tajemnic wielkich!” — odczytywały uporczywie oczy na czarnym na wpół zmurszałym pulcie.

I oto przez to małe okno w narożnicy kamiennej ujrzałem trzy drogi życia: na szczyty białe drogę marzeń bezpłodnych, wydeptany gościniec w dolinę szarej nędzy i daremnej, syzyfowej walki z kamieniami, oraz ścieżkę krętą, co wierzchołkami gór i padołem przepaści wiedzie w czarne pałace, gdzie lirowe dziady królują i tłumy pochlebstwem żyją...

A tam — za oknem, wśród zadumanej kamiennej głuszy, gadały tylko strumienie szeptem i pluskiem, z początku jakby skłóconym i dziwnie niespokojnym — potem, gdy ucho do tych głosów przywykło, szmerem dziwnie smutnym i monotonnym, jak melancholia. Ukryte gdzieś źródła, potoczywszy nagle lżejszy żwir, ozwały się niekiedy głośniejszym czystym podzwiekiem i cichły wnet w gniewnym pomruku strumieni. Pod stopami nieogarnionych olbrzymów, w zakamieniałej grozie pustki, w granitowym chło-

246

dzie spiętrzonego pod chmury świata — wymrukiwały potoki swą nieskończoną opowieść o twardym pochodzie czasów.

Wzrok błąkał się niespokojnie po tym głuchym świecie, ślizgał się po tych lśniących garbach, zawisał na stromych przełęczach, zapadał jak kula w przepaście i jak orzeł wzbijał się na lśniące szczytów iglice. Wreszcie męczy się i zwisa jak ten zbłąkany

strzęp chmury na pierwszym lepszym szczycie, czepia się na nim — senny i znużenia pełen.

Jakieś pogranicze śmierci, grób życia pragnieniom, grób woli i wszelkim porywom. I oto gasły blade zorze na szczytach, sine kadłuby skał lśnią w pomroku jak metal. Po dniu, zadrzemane gdzieś na dnie przepaści, urwisk i kniej, wylażą teraz leniwie białe okłębny chmur. I noc wali się w dolinę.

Nagle gdzieś w głębi zagrała trąbka pocztowa. Poniosło echem. W odpowiedzi zawtórował jej skądś róg; jeszcze ten nie skończył, już zagrał inny. Z czarnych uroczysk, po upłazach, ze skalnych gardzieli, z głębi wąwozów, czeluści i jarów zahuczały rogi, zagrzmiały surmy. Szło granie pośpieszne i gwałtowne, biło echem, budziło wśród skał łoskoty, jakiś tętent daleki, odgłosy ciężkie, surmy nagłe, zrywane ciszą, powtórzone jękiem, rozelkane w płaczu żalonym. A w ślad za tym jękiem, płaczem i lamentem pędzi zemsta w cwał: huczą wraże głosy, toczy się grzmot po szczytach, huka pomsty okrzyk wojenny.

Grała ziemia, grały góry, grał mi świat ten cały!... Ocknął się przecie po nocy: zbudził drzemiące po przepaściach hufy, skowane na szczytach namiętności rozpętał i — puścił na dzikie łowy!

Stoczył się gład i runął w żleb z grzechotem... I raz wraz padały w ciemnej głębi suche roztrzaski strzałów. Pogonił znów tętent, znowuż gwar i łom, i gon, i bitwy żar, i konania jęk.

247

A ponad tym wszystkim gra trąbka: zrywa i znów rzuca, pęta i znów budzi; a kiedy wszystkie te odgłosy skupi, natęży i w wysoki ton zamknie, to we wszystkie knieje uderza jakby szeroki śmiech swawoli, potem buntu wołanie dumne, wreszcie gardłowy jakiś krzyk pożądania, co najwyższego szczytu sięgnął, tam się echem rozbił, w wołania rozprysnął, na dno przepaści padł i tam wciąż jeszcze wabi, jeszcze szuka, jeszcze nęci, wciąż jeszcze śpiewa...

Grała ziemia, grały góry, grał mi świat ten cały!

Zmartwychwstał! Żył!

Po chwilowej ciszy obiecanego cudu uderzyły głucho kopyta po moście zamkowym... Jada! Samosześć jada!...

I serce mi w przerażeniu staje i radość piersi zapiera. Brzęk łańcuchów?... — słyszę! Ciężki skrzyp wrót?... — nie łudź się przecie! Pędem zbiegam na dół, pod łamane, ciężko zwisłe gotyckie sklepienia długiego korytarza.

Przez jedną krótką chwilę wydaje mi się, że tam — w jasny wylot tego lochu, gdzie tli się mętnie czerwona latarka, zstąpił rycerz od stóp do głowy w lśniąca stal zakuty. Przyłbicową maskę hełmu odchylił, żelazną rękawicę na krzyżackim oparł mieczu, długą siwą brodę w żelaznym kułaku targa i wprost na mnie idzie.

„Patrz, jak duch mój pokutować musi... Synu, strzeż się szatańskiego zwierciadła życia — drzyj przed sztuką!”

Ocknęły mnie parskania koni tam na podwórku, skrzyp pojazdu na żwirze, brzęk uprząży, głosy sług.

Naprzeciw mnie szła jak cień cicha i lekka wśród tych potężnych, niskich murów, smukła i giętka — ciemna sylwetka kobiety, przeświecona mętnym czerwonym blaskiem latarki, niesionej tuż za nią. Podbiegła szybko, ciemny szal z głowy na szyję

odrzucała — ujrzałem twarz poważną, białą, świeży błysk ciemnych oczu, jasne otwarte czoło w lśniącym ramieniu ciemnych mahoniowych włosów. — Henryk?... — usłyszałem.

24S

— Hilda — ty?!...

I poszliśmy wąskim korytarzem w głąb na kamienne schody, wąskie przejście, długi krużganek... Szliśmy milcząc, wśród głuchego echa naszych kroków na kamiennych płytach; za nami kołysała się latarka, przed nami dwa długie cienie w czerwonej otoczy. Potem w głąb przez salę — do jego pokoju.

Uchyliłem drzwi i wskazałem na katafalk.

Uklękała tam w ciemnej zieleni, w gromnicznym żółtym blasku, i długo tak pozostała w zadumie ciężkiej. Mnie, stojącemu z dala, pode drzwiami, zdawało się, że ta zieleń ciemna, te grube liście w złotawych połyskach gromnic w ramę jej głowę ujmują, że laury nad jej głową szumią...

A to z dala, po nocy, w dolinie ciemnej szemrały strumienie swą nieskończoną legendę o czasie.

Gdyśmy potem wracali, pytałem ją oczyma: „Znalazłaś szczęście, tam gdzie zwyciężałaś rojny przepych tłumów?!” Uśmiechnęła się blade, jakby łaskawie i wyrozumiale. Podała mi rękę z męską, twardym, roztargnionym ruchem, i uścisnęła krótko. Było coś z nakazu milczenia, wiele dumy w tym pierwszym ruchu.

Cofała się już ku drzwiom przeznaczonego dla niej pokoju, gdy nagle:

— Papiery jego w bibliotece?

— Spalił wszystkie.

— A!... — Spochmurniała twarz, zmarszczyło się czoło: w podłóż, między czarnymi połyskami oczu.

— On miał bardzo smutne życie — rzekła.

Ja miałem łzy w oczach, może nie od tej chwili dopiero, ale teraz za ledwie poczułem je na rzesach. I ona spostrzegła: ściągnęły się jej brwi. Zwróciła się bokiem i podała mi rękę po raz drugi; tym razem, okrągłym, miękkim, kobiecym ruchem. Pochyliłem się bezwiednie do tej dłoni.

249

— I ty — taki — rzekła musnąwszy dłonią po moich włosach.

Ujęła za kłamekę.

— Pozwól! Jakież to ja jestem?

— Słaby, dobry — co wolisz.

Krew rzuciła mi się do głowy pod tym surowym badawczym spojrzeniem.

Wyprostowałem się odruchowo i tymże odruchowym (tak świetnym w danej chwili) gestem uderzyłem się dłonią w bok po rękojeści szabli.

— A mnie się zdawało — wycedziłem siląc się na oschłość — mnie się zdawało, że to ja ciebie powinienem przede wszystkim zrozumieć, aby... aby móc niejedno — zapomnieć.

Ani jeden rys nie drgnął na jej białej twarzy.

— Każ chować jutro — rzekła szeptem. — I jeszcze jedno: nie pochowasz go chyba tak, jak tam leży: w tu-iurku? Niech nań wdzieją mundur dziada... Niech przysposobią stare instrumenty: z baszty każesz otrąbić pogrzeb. Niech ludzie dziś

jeszcze wyruszą na najbliższe szczyty: jutro z zachodem niech rozniecą tam ogień.
Pochowamy go na podwieczerek.

Skłoniłem głowę. Rozkazała i poszła.

Złożyliśmy ciało do podzamkowych grobów. Ci, co przybyli, rozjechali się, zanim noc zapadła. Pozostaliśmy sami na terasie zamku pod basztą, zapatrzeni w dogasające na szczytach ognie, zasłuchani w szmery wody po dolinie.

W miarę jak malały purpurowe plamy ognia na ciemnych szczytach, masywy skały spływały wraz z podgórzem w jedną płaską masę, stając się jako czarne podniebne mury. Granat sklepienia unosił się ponad tym kamiennym grobem coraz wyżej, wpukłał się, gwiazdami tkał, złocił, mienił, dyszał...

250

Z padołów buchało wonią łąk, od skał wiało chłodem, od zamkowych murów szedł zapach mchu i pleśni. Woda zagadała głośniejsze, zaskrzypiały milionowe chóry świerszczy.

W tę gwarną noc wspomnień kładzie się spokój zasłuchania na duszę: oczy po gwiazdach błędzą, jakby bojąc się spojrzeć na to białe morze w ciemnych niebiosach — na lodowca pole, tak dziwnie o tę porę świetlane i jasne, że gwiazdy ponad nim bladły, żółkły, mrużyły się i gasły. I ciągnął wspomnień obrazy przed oczyma duszy jako blade, smutne, zadumane cienie: błędzą wśród oparów w dolinie, sięgają gwiazd ponownie i pod świerszczy gwar nieustanny rozplývają się i toną w dali granatu: głębiej, dalej i jeszcze dalej, tam gdzie gwiazd świetlane chóry rozegrały się cichą harmonią sfer...

Wody to szept? czy też świerszczy gwar nieustanny? Źródeł to szklane pobrzęki? czy też gwiazd tak dziwna muzyka? Smutek, niemoc i bezwola kołyszają myśl tajemną melodią nocy...

Grało niebo! grała ziemia! grał mi świat ten cały!

Uczułem na ramieniu jej dłoń Nie uniosłem nawet głowy, zasłuchany w gwar wody, w jej oddech głęboki i własne westchnienie. Potem dopiero, gdy rękę cofnęła, ująłem ją i uścisnąłem krótko. I - — Henryk — szepnęła i próbowała się uśmiechnąć — jak jej na imię?

— Nie ma jeszcze imienia. Może kształty kobiece nadaje jej tylko uboga myśl moja. Zagadnęła o moje zamiary, o przyszłość.

— Co ma być, stanie się — odparłem. — Idzie o to, aby tych życiowych potęg mus wypowiedział się jak najsilniej, jak najgłębiej.

— Nawet w nieszczęściu? — pytała zdziwiona.

— Nie ma doli i niedoli dla tego, kto nie żyje przypad-

251

kiem. Nieszczęście jest nieraz źródłem najgłębszej świadomości.

Milczała. W półmroku widziałem tylko, jak te jej oczy czarne, o dziwnie świeżym, głębokim i mocnym blasku, rozszerzały się w zdumieniu coraz bardziej. Nagle, splatając odruchowo dłonie:

— Jakie ty mary gonisz po świecie?. Zaszumiały czarne lasy na podgórzach: to urwane tchnienie nocnego powiewu przeszło przez wąwóz i ścichło.

Przypomniała sobie nagle ojca i poczęła o nim mówić tym szeptem stłumionym, jaki nakazywała groza gór, wód szumiących kołysanka i niedawnej śmierci wciąż jeszcze

jawne brzemie. Bieg moich niewypowiedzianych myśli i milczenia mego mowa musiały jej widocznie narzucać uczucia, w których się czuła obco, nieśmiało i chwiejnie.

— Gdzie on jest teraz? — pytała sama siebie. — Nie bierz tego za banalność: jego myśli, ducha, woli było tak pełno tu wszędzie, gdzie się zwrócić... To wszystko dało się niemal dotykać, jak bryła, jak ciało: mocny on taki był we wszystkim, co mówił, czynił. To wszystko przecie tu stać powinno, jak ta góra... Jakże można, żeby się to wszystko tak nagle obróciło w nicość? Nie rozumiesz mnie pewno? A w tym jest ból wielki... To nie jest zagadka śmierci, o czym myślę — to jest pytanie życia.

— Wiesz, jak się ta bolesna tajemnica życia nazywa? Niemoc twórcza, przy wielkiej pełni olbrzymiego ducha. Po tym człowieku góry pozostać były winny.

I znowuż widziałem tylko ten równy błysk głębokich, baczących i niespokojnych oczu. I ta chmura troski na czole, wpodłuż między oczyma.

— Serce miał twarde jak diament — rzekła, przypomniawszy sobie widocznie młodość swoją.

— Serce takich ludzi jest jak agatu migdał lub ametystu ziarno. Dla ludzi kamień tylko polny: odrzuca precz. A ono wartość swoją wtedy dopiero ukaze, gdy — pęknie.

dla

— Henryku... — wytłumił się lęk z jej piersi.

— Wówczas serce takie osiąga cenę ozdoby próżnych.

— Henryk! — powtórzyła trwożnie.

A mnie dopiero po kilku minutach zwrotne echo wrażenia przyniosło ten jej głos.

— Mówisz?... — spytałem, zapatrzony na lodowiec.

— O tobie myślę. Gdy tak twej dziwnej mowy słucham, takich przemyślanych, przeboleń słów; gdy na te oczy zawsze gdzieś zapatrzone spojrzę... Ty już samym sobą żyć zaczynasz, samego siebie już przetrawiasz. Henryk, ty koronę męczeńską na czoło sobie wciskasz.

— Hilda, powiem ci tajemnicę moją.

— Mów!

— Szatan zwierciadło mi swoje od dawna już przed oczy postawił.

I tylko gwiazdy ponad nami drgały; zewsząd sączyły się wody z szmerem, pluskiem i dalekich gwarów skłóconym echem. I ten suchy skrzyp świerszczy, ta dziwnie kłótniwa muzyka po nocy. Chłód czy trwoga dreszczem po raz drugi ją przebiegły.

Zwróciła się gwałtownie i poszła w stronę zamku.

Powłokłem się za nią jak cień.

Gdyśmy przechodzili przez salon, usiadłem przy fortepianie, prosząc ją oczyma, aby się zatrzymała. Radosne, niespodziane zdziwienie rozjaśniło w jednej chwili jej czoło, rozpromieniło twarz całą. Podbiegła, prędka i lekka jak dziewczyna, i gdym jedwabny poszum jej sukni uchem jeszcze łowił, otwierała z pośpiechem fortepian. Potem przysiadła się do mnie, cicha, uległa, i splótłszy dłonie opuszczonych rąk, dumiała nad czymś w skupieniu. Nagle przygarnęła się do mnie i objęła z całych sił za szyję.

— Henryku!... — (zdawało się, że zapłacze). — Henryku!... (zaśmiała się gorączkowo) ty sam pewno nie wiesz, ile w tym jest z ojca, z tych gór, z tej doliny

całej. Wi-

\
dzisz, ten ustęp: ta skarga pod koniec! (i rzuciła dłonie na klawisze, aby ją odszukać). Te surmy początkowe, co się rozkołysały w rytmie po wiolinowej stronie i zamieniły w pieśń, w legendę, w dumkę, w płacz! Albo ta potęga tego marsza, te pobrzęki spiżowe i jęk ziemi pod stapaniem ciężkim... A w miarę jak grasz, czuć, jak się to w górę hejnałem unosi i płynie w mgłach, w oparach. „Widma! widma!” — chciałoby się zawołać. A poprzez wszystko, te szmery, pluski, wody gawędy... Skąd w tobie to wszystko?

Przez jakiś czas odszukiwała tego wszystkiego po klawiszach. Po chwili opadły jej ramiona — i znowu ta zaduma.

— Widzisz — mówiła jakby ze sobą — tak się utrwała wszystko, co ginie. To jego drugie, nieśmiertelne życie... A ty ślepiec jesteś szczęśliwy!

Przeszła w drugi koniec fortepianu przerzucać me nuty i notatki. Po czym, wsparłszy głowę na łokciach, zatopiła palce tych dużych białych rąk w mahoniową gąszcz włosów i zapatrzyła się we mnie przenikliwie.

— I czego ty się lękasz? czego tobie jeszcze brak? Prosiłem ją oczyma, aby się zbliżyła, i pochwyciwszy te

jej ręce, z całych sił wciskałem je sobie w skronie.

— Mocy!... Mocy!...

I zwiększył się tylko niepokój mój w tym uświadamiającym się poczuciu własnej słabości. Tak somnambulik w półśnie swoim uświadamia sobie nagle, że wokół nigdzie oparcia nie ma, że go teraz wola musi wywieść stamtąd, dokąd go tak bezpiecznie zawiódł sen.

Ukrywałem się przez dzień cały w bibliotece. Zaciszenie i bezpiecznie czułem się w tym trupim zapachu starych ksiąg, pod czystym wejrzeniem zawisłego u błękitu lodowca.

Z rozkoszą pieściłem się starymi księgami. Cieszyły mnie naiwne rysunki miniatur, iluminowane z tak mozolnym przepychem w ciężkim złocie, głębokiej purpurze i w lazurze kryształowym. Bawiły grube, czarne, gotyckie litery, ich mocne szeregi niby nieskończone przemarsze całej armii w stal zakutych rycerzy. I styl tych ksiąg trafiający, w swej naiwnej kłopotliwej ekspresji, jakby przypadkiem na najszczerze dźwięki, na jędrne, soczyste barwy.

Uderzyło mnie jakieś słowo — imię, ale, jak u mnie zawsze, wtedy dopiero, gdy już dawno te kartki przewrócił. Szukałem długo. Znalazłem wreszcie i czytałem.

**O KSIĘŻNICZCE BRATUMILE, WITEZIU KIEZAMIJSLU I SWIĘTYM
JACŁAWIE RZECZ PRAWDZIWA**

Gładkie lice księżniczki Bratumiły w XIV wiośnie jej życia, prawie rzecz można, z misternego kształtu jej ciała jako z pąka na świat wyglądało, na smukłej szyi wszędy ciekawie się chyląc. Akuratnie jak on kwiat na szypulce. Coś z pąkowej opuszki na różowym licu jeszcze ostało, ona ciekawość pąka pod rzęsą, coś z pacierza i z miodowej rosy na wargach. Motylom w sadzie tylko ją pokaż! Pilno im było bardzo. Ćma po nocy wprost do niej jak w świecę. Bo też ćmy tylko, motyle i ptak, co śmielszy, oglądały gładkie lice księżniczki Bratumiły. Na Tyńcowej górze, za trzema murami, za dwoma zwodzonymi mosty kwitła księżniczka Bratumiła. Jednego

rycerza pieściły jej oczy ciekawe, jeden rycerz płonął pod tym patrzeniem ciekawym: księżniczkowy brat, Witeź Niezamyśl. W gładkim licu i misternym kształcie księżniczki Bratumiły rozgorzał Niezamyśl miłością wielką. Witeź, brzydząc się imać lutnie j pod alkierzem, z konia i przy zbroi (jako rycerzowi godnie) takowe minnesangi, od bolesności w grzesznym kochaniu tęskne, wszędy składał i głosił, że gdzie przybył, dworski fraucymer łzami głośnymi go witał i miesiąc po nim płakał.

Witeź Niezamyśl, wstydząc się pisać, mie-

254

255

czem na dębowej korze takie wiersze na jej cześć wycinał, że gdy je potem sobie odśpiewał, ptaki zbiegały się z gąszczy i obsiadały rojnie drzewa, osobliwie zięby i kosy, na śpiew najciekawsze. Święty Jaclaw, co był podonczas przeorem w klasztorze, myślał i ważył, zali nie za diabła przyczynieniem składają się pieśni takie? Poradziwszy się Ducha Świętego, nakazał święty Jaclaw Witeziowi zdziałać pieśń taką w kościele na uciechę Przenajświętszej Pannie. Leżał Witeź trzy dni krzyżem i choć się szczerze modlił, nic mu do składu nie przychodziło. „Z konia tylko umiem!” — zerwie się w złości i tupnie w kamień posadzki, aż echo jękło, gdzieś pod sklepieniem. „Dawaj go sam! — krzyknie święty Jaclaw. — Chwał Przenajświętszą z konia. Gdy onego podawano, nawinął się grzecznie diabeł, strzemię dwornie trzyma i szepcze: „Przeor wiedzieć nie potrzebuje, o kim ty myślisz. Madonna nawet, jako jawnie w pismach stoi, inną być nie mogła, jako jest Bratu-miła. Nawet lelii w dłoń nie trzeba: pięć onych paluszków w biały kształt lelii się złożyć”. — Co się zbudzi po nocy popłakuje z tęsknoty, szyjkę białą w puchy tuli i myśli: „Przecz chmurnie na mnie patrzy Niezamyśl? Zaliż go ukrzywdziła w sercu moim?” Rzecz Witeź: „W poręś mi!” Jakoż uczynił w myślach swoich i zaśpiewał pieśń taką, że mu z pustego kościoła pobożnym echem westchnęły organy. (To prawdziwe wydarzenie uczyniło klasztor od cudów potem sławnym). — Wrócił Witeź do księżniczki, aliści oną niechętną sobie już nałazł, a owego, co mu strzemię podawał — w dziewosłębach. „Tenże rycerz — rzecze Bra-tumila smutnie — wierność mi ślubował, jako ty damie swego serca.” — „Jakowejż?” — krzyknie i jużci mieczem na onego sięga. „Marią zwa oblubienicę twoją. Niech cię Bóg z nią połączy!” I polały się łzy na te gładkie lica księżniczki Bratumiły jako pierwsza rosa na pąkowy kwiat. Wypadł miecz z ręki Witezia, jako że palec Boży w tym poczuł: od jawnego grzechu odwiedzenie. Nawrócił co ry-chło do klasztoru i w otwarte ramiona św. Jaclawa padłszy zapłakał gorzce z żalu do Przenajświętszej Panny, że pieśń i piękno diabłu na poniewierkę odstąpić raczyła i kusić nimi pozwala. Święty Jaclaw, w tkliwości ojcowskiej, własnym kułakiem twarz mu z łez utarłszy, w nowicjat (po staremu) przyjął. Jakoż Witeź skruchę, Matce Boskiej miłą, uczyniwszy, oną pieśń sławną „Oblubienico moja!” na wieczną chwałę (klasztoru) zdziałał. Święty Franciszek nawet pieśń tę potem chwalił; a grzeszne dusze po dziś dzień w godzinę śmierci pieśnią takową zbawiać się rade. Między błogosławione pańskie Ojciec święty Witezia łaskawie zaliczyć nie raczył, ile że księżniczka ona, Nieza-myślowym śpiewaniem wielce w myślach swych roztešk-niona, diabłu (na chucie) się oddała. Taka jest jedynie prawdziwa przypowieść o księżniczce Bratumiłe, Witeziu Niezamyślu i o świętym Jaclawie. Opowieść

dokładnie zamierzył biegly w piśmie Sclauus Mariae i pod onej cudowną opieką, wbrew złości możnych i iniuriom głupich, w uroczysty dzień cudownego jej rozwiązania A. D. MCCI szczęśliwie do końca doprowadził. Amen.

Ponad przepaście wieków przyniosło mi echo niespodzianie tę prostą bajkę. Uśmiechałem się z początku, czytając: bawiłem się nią, jak się bawi z dzieckiem. Przeczytałem po raz drugi, wciąż się jeszcze uśmiechałem, ale gdy oczy ciężko i uparcie przyłgły do pergaminowej karty, myśl w dal odbiegła. Ruszyły mi przed oczyma te ciemne szeregi liter w nieskończonych marszach, wirach i koli-skach. Myśli pracowały gorączkowo: były pulsem na skroniach, prześlizgiwały się przez świadomość lekliwie, przebiegały przez nią w popłochu i nikły, rozpraszały się, gasły.

A że dolinę i góry poza oknem zalewało miękkie światło zachodu, więc i mnie przysłało słońce promień łagodnych myśli.

256

17 — Próchno

257

Zamarzyłem o klasztorze pokutnym w poszumie lasów jodłowych, o białych podwórcach w balsamicznej woni cedrów, o kawek wokół wieży rojnych lamentach, o chórze mnichów głębokim, o organów kościelnych jęku psalmicznym i o sygnaturki wysokim tonie... I błędzę, ja mnich, w białym podwórku, po złotych plamach słońca i sinych cieniach gałęzi, wchodzę w wilgotny chłód arkad i na starym rzymskim sarkofagu to słowo kreślę w zadumie bolesnej:

Hilda...

Drgnąłem. I spojrzawszy na tę jasną topliel łagodnego zachodu na szczytach, zrozumiałem, że mnie nieświadomego opływa już od wczoraj miękka atmosfera rodzącego się uczucia.

A jednak... Ta narożnica kamienna z oknem na lodowiec, te księgi stare, miniatury złote, ta opowieść naiwna, ten klasztor, wyczarowany z myśli, te kawek wokół wieży rojne lamenty, ta całego świata wokół mnie muzyka; owo światło złote i cień ponury: rozkosz pieściwa i ból trawiący w tym jednym imieniu „H i l d a” — przecież to wszystko, wszystko razem jest jakby nie dopowiedzianą do końca bajką, jest bezpłodnym, zabójczym marzeniem!...

Szatanie, odwiedź zwierciadło swe ode mnie!...

I osunąłem się na kolana, tam przed pulsem, u okna. Splotły się palce dłoni, wsparła na nich ciężka głowa...

To jej czoło jasne, otwarte i dumne, te równe połyski na gładko zaczesanych mahoniowych włosach, jak smugi światła na fali — ta przezrocza głąb czarnych oczu... Oczy te są zanadto spokojne!

Szatanie, odwiedź zwierciadło swe ode mnie!...

Poprzez małe okno w głębokiej nyży padły me oczy na to zatopione w błękicie śniegowe morze najczystszej, niepokalanej bieli. I w jednym mgnieniu oka, jakby pod mego spojrzenia nieczystą siłą, wielka fala płomiennej lawy zalała te bezmiary jasne. Skalne zręby, szczyty i iglice, białe morze w głębi, lodowcowe złomy na przegubie i ten jego język wryty dołem we wnękę skały: wszystko to — w tej chwili takie jawne, widne, dotykalne — stanęło w

purpurowym blasku oślepiającej pożogi. I przycichł gwar ziemi. Chmury zwinęły swe żagle, niemocne wiatry przyległy kornie na stokach.

Olbrzymia łuna ciche skrzydła rozpostarła nad światem.

W piekło świat się na szczytach rozpalil.

I tam także?!...

Kurczowo splatały się palce wyprężonych ku górze rąk...

O nieskalane, dumne, gorejące szczyty! O zwiastowań tajemnych płomieniste zorze!

O krwawej wróżby ciche, rozognione morze! Grobie życia królewski, w purpurę spowity!

Grzechu orla kolebko na podniebnej hali! Raju wrota płomienne w zwierciadle szatana! Choć sięgnie was myśl harda, choć wola spętana Żarem tęsknot daremnych niebios zapali,

Choć na bieli dziewiczej żary piekła wznieci. Choć, wszelkie życie depcząc, na szczytach zaświeci, Piekło sobie zgotuje tuż pod tronem Boga!

O zorze! zorze! ciche, gorejące zorze! W sto tęcz wokół świat spłonął: krwawi! dymi! górze! — Nieskalanych to szczytów złowieszczą pożoga.

Szatanie, odwiedź zwierciadło swe ode mnie!...

Już mroźne sine okłębę wyrzucać się poczęły spod tej ogniowej topieli. Porwał się wichur i zmiotł w jednej chwili pożogę. Koniec!

Gęste przedmierzchowe mroki sinym kirem zaciągnęły świat.

258

259

Na podniebiu widać już było tylko dziwnie twarde, zimne i mroczne zwały granitu, pośród nich zastygał i krzepł siny lodowiec. Dołem legła ta cisza mroczna w godzinę oczekiwania, kiedy się dzień poza przełęcz zwała. Jeszcze tylko dwie długie taśmy czerwieni snuły się leniwie pośród chmur. Cisza... Tam górą, po szczytach, mignęło coś: płynie... Cień! cień!... Orłowych skrzydeł po lodowcu cień.

Minął — przeleciał!...

Teraz słyszę z dala jakiś skrzyp drewniany: uparte, niedołączne bujanie w starej dzwonnicy. Nagle dźwięków całe roje, jak stado cyranek, co się z wody poderwie, zakrąży i w zmierzchowej, wielkiej ciszy płynie wysoko, wysoko — hen w podniebną dal!

Kiedy Aniot zwiastował Marii...

A z łąk alpejskich, z lasów jodłowych, z hal podniebnych wionęło pod niewidzialne ołtarze kadzidłem mięty, anyżu i tymianu.

A na ziemi pokój ludziom dobrej woli i czystego serca...

I ten świat cały, ten mój, oczyma duszy widziany ten świat rozśpiewał się kornym, pokutnym modleniem. A kiedy oczy, uczuciom swym wierne, wciąż jeszcze na szczyty wracały, rósł, krzepł i potężniał śpiew ten: pastoralnym hymnem rozpsalcił mi się w duszy.

I zda mi się, że leżę martwy tam na lodowcu, w podniebnej trumnie sinego granitu — i że poprzez ziemię całą przechodzi szumem wielkim zmartwychwstania godzina. I widzę, po horyzoncie świata, wielką, rdzawą, a dymną łunę od gromnicznych świec...

W tę oczekiwania godzinę najcięższą...

I zda mi się, że z bożych aniołów duchem najsilniejszy odwała głąz mego grobu:

ciebie, Hilda, widzę w złotym blasku świec gromnicznych. A laury wokół ciebie lśnią i nad głową twą szumią. I mówisz do mnie: „Wstań i ty, grzechem niemocy naj-grzeszniejszy. Patrz, oto na wątle piersi kładę ci złotą Chrystusową tarczę miłości: tworzyć będziesz!... I lęku zbądzł Chrystus Pan kamień nawet rozłamać każe, zali nie jest to agatu migdał lub ametystu ukryte ziarno — aby żadnemu pięknu krzywda się w niebie nie stała. Widzisz milionowych tęcz płonąca bramę i biały, szumny gościniec aniołów? Słyszysz ziemskiego ptactwa świegot radosny? łąkowych kwiatów poszumy tajemne i małych smutnych dzieci śmiech szczęśliwy? Patrz — oto po prawicy Boga Ojca zasiada Chrystus Pan nasz miłościwy.

Urbi et orbi!... Urbi et orbi!...

Słyszysz trąb serafickich łoskotanie weselne na cztery świata strony? — Raduj się, grzeszniku, raduj z aniołami! „Hosanna królowi Dawidowemu, hosanna na wysokościach!...”

Kiedym, po gorączkowej i pilnej nocy, oraz po pracowitym dniu następnym, pod wieczór jej to odegrał i kiedy, po ostatniej modlitwy hejnale, ręce mi z klawiatury opadły, drżące usta wyszeptaly niewolnie wraz z ostatnim po-brzękiem ostatniego tonu:

— Tobie to, Hilda, pod nogi.

Chciała coś odpowiedzieć: poruszyły się tylko wargi. Błada i poważna była na twarzy, myślała snadź nie o mnie, lecz o tym, co słyszała przed chwilą, rozumiejąc, że było to Requiem do wczorajszego pogrzebu.

Mówiłem jej potem, że się tak słaby i zmęczony czuję nie tyle nie przespaną nocą, ile tą gorączką trawiącą, że chciałbym o wszystkim móc zapomnieć i dzieckiem być...

— Już nim jesteś — rzekła. — Każdy z takich... — zaczęła i nie dokończywszy myśli swojej, zgarnęła tren sukni z dywanu.

260

261

— Chodź — mówiła wskazując mi miejsce na dywanie tuż przy fotelu.

I głaszcząc po chwili włosy moje:

— Zabieram cię ze sobą. Musisz dać koncert w stolicy.

— Nie! nie! Roześmiała się.

— To podnieca, budzi, dodaje sił. My musimy mieć coś takiego, co by nas ciągle naprzód pchało; w przeciwnym razie cofamy się łatwo albo tracimy właściwe miary.

— O czym ty mówisz?

— O tłumie. I jest w tym upojenie, krótkie, ale mocne: haszyszowe.

— W czym, Hilda?

— We władaniu tłumem... Ich dusza ma całą gamę uczuć. Te rozproszone oklaski, gdy wchodzisz, to naprężone milczenie, gdy zaczynasz, to westchnienie gromadne czasami, poszepty i te nagłe burze oklasków...

— Powiedz, Hilda — mówiłem, siedząc u jej nóg jak paż i ujmując ją za obie ręce — powiedz, Hilda — w tym musi być coś upokarzającego: być aktorką?

— Dzieciaku, jesteś niegrzeczny względem kobiety! — śmiała się zgarbiając mi włosy z czoła. — Mówi się: artystka.

— Przepraszam.

— Przepróż! Ucałowałem obie ręce.
— Wstań i pokaż się: lubię ten wasz mundur.
— Hilda!
— Wstań! — przytupnęła nogą. — Że też tobie pozwalają w pułku nosić takie długie włosy.
— Ale ja siądę z powrotem — kaprysiłem zawstydzony.
— Siądź... He ty masz lat? Poczekaj!
— Dwadzieścia cztery — pomogłem jej pamięci.
— Śmieszny!

262

— Hilda! nie mów tak!
— Nie, nie!
— Ty nie jesteś taka, jakem wczoraj myślał.
— Kobieta nigdy nie jest taką, jak ją sobie wyobraża dwudziestoczteroletni porucznik.
— Hilda! — szarpnąłem się gniewnie. — Czyżbym ja dla ciebie był rzeczywiście tylko...
— Prócz tego jesteś artystą, co z ciebie czyni jeszcze większe dziecko.
— Ty masz dziwną dojrzałość... artystki. Podniosłem się i zacząłem chodzić po pokoju.
— Mały!
Zachnąłem się. A ona poty przytupywała nogą, póki nie zbliżyłem się do niej i nie pocałowałem w rękę.
— Nie osądzaj nigdy przedwcześnie — rzekła z naciskiem.
— Cóżem ja winien, że mi przed oczyma stoją uparcie — kulisy.
Grymas: niedbałe, wzgardliwe wydęcie warg.
— Jutro wyjeżdżam.
— Hilda... "
— No? W oczach łzy? Oo!
— Jadę z tobą.
— Dokąd?
— Gdzie bądź. Dawać koncerty wraz z tobą. Rzuciła bystre, uważne spojrzenie.
— A ja ciebie nie wezmę — rzekła niespodzianie i poczęła wiązać sobie krawat na szyi. (Nosila się z angielska, w sukniach o surowej niemal prostocie, lecz w nieskazitelnych, rysowanych liniach).
— Dlaczego nie weźmiesz?
— Daj pokój! — przerwała niechętnie i potrząsała niecierpliwie głową.
I poczęła się przechadzać po sali: wysmukła, bujna, mocna w chodzie i w wejrzeniu.
Z góry spoglądały na

263

nią szerniałe i zrudziałe portrety w złoconych ramach, o zgaszonym przez czas połysku. Kołem pod ścianą płonęły, w kapryśnych rzutach refleksów od świec, ponure, trupie, sztywne szeregi zbroić. Dywan głużył nasze kroki, natomiast każde chrząknięcie i tłumione westchnienie rozlegało się piwnicznym echem po dalszych

na wpół pustych komnatach.

— Z początku — rzekła — chciałam ci była podziękować.

— Bój się Boga, za co?

— Prawda! Ty nie żyjesz nakazami klubu, salonu, szablonów, lecz duszą własną.

— Nie mów...

— Boisz się wspomnienia kulis?

— Rozumiem, żeś postanowiła przed chwilą w myślach oczernić siebie przede mną.

Roześmiała się. — Jaki on czujny! — zawołała do siebie. — To „on”, cała intonacja tego okrzyku nie poszła mi w smak. Toteż nie namyślając się dodałem:

— Myślałaś: „To go przyprowadzi do rozsądku”. Zatrzymała się gwałtownie:

— Proszę, aż tak dalece czujny! Zresztą — mówiła wnet potem, jakby z pewnym politowaniem — zresztą ten instynkt mają wszyscy, co bez kierownictwa woli, omackiem przez życie idą. Wielki urok szarej godziny egzystuje tylko dla mocnych wola: oni nie widzą, ponieważ mogą sobie na to pozwolić. A w tym jest wielka tajemnica szczęścia.

— W czym, Hilda?

Podbiegła do mnie i przysłoniwszy oburącz oczy:

— W tym — zaśmiała się krótko.

— Siądź — szeptałem — pozwól raz jeszcze złożyć głowę na twych kolanach, oczy mi przysłoń — i niech się upiję tą szarą godziną szczęścia!...

264

I znówuż przechadzała się w zadumie po sali: bujna, giętka i taka mocna w chodzie i w wejrzeniu.

— Hilda — szeptałem stojąc z dala — gdy tak na ciebie patrzę, gdy wspomnę, coś mówiła... (Ja każde słowo tve pamiętam!) Przed twą wolą, rozumem, uczuciem...

Nie chciała słuchać, nie pozwoliła mi dokończyć.

Z góry, spoza ram wyblakłych, spoglądały na nią harde głowy przodków. A kołem, pod ścianą, płonęły w kapryśnych rzutach refleksów stalowe zbroje; z głowami wtulonymi w ramiona, stali sztywno, jakby cześć jej oddając, spiżowi rycerze: prężyli się ponuro, trupio, strasząc czarną otchłanią pod hełmem.

I juzem wzroku od niej oderwać nie mogł.

— Ty byś na barkach swoich udźwignąć mogła nawet brzemie!

Zwróciła się nagle ku mnie.

— Jakie?

— Majestatu, Hilda!

Rumieniec, pierwszy rumieniec trysnął na jej twarz.

— Dzieciaku ty! — rzekła surowo.

A ja przygiąłem się szybko do tej, na czarnej sukni zwislej białej dłoni i opowiadałem jej gorączkowo, bezładnie o tym, jak mi ona w ów wieczór przyszła z nieba i ziemi cudowną muzyką, jak świat mi się przez nią rozegrał, jak ona granitowy gład z grobu mej niemocy jeła, jak me wątle piersi złotą tarczą miłości osłoniła.

Odpowiedziała spokojnym, prawie smutnym głosem, musnąwszy z lekka me włosy.

— Biedny ty — niewolnik wyobraźni!... Nie wierz ty swym wrażeniom, uczuciom, chęciom, samemu sobie nie wierz! Ty ani sobie, ani nikomu dać szczęścia już nie

potrafisz. Ty możesz być tylko artystą.

Przejęła się, pochyliła w dół głowę ku moim ustom. I na te wargi me pragnące
złożyła długi, cichy pocałunek. Przyjąłem go jak sakrament: cicho i kornie, bo ta
szarą

265

godziną szczęścia wciąż jeszcze pijany, wyzbyłem w pamięci kobietę: marzyłem, że
to ONA — sztuka, daje mi boskie swe pomazanie.

Z góry, spod pułapu, spoglądały potężne, harde, w miecze własne ufne oblicza
dawnych ludzi czynu.

„Oto jest ta, co nas wskrzesi, na nowe boje, nowe zwycięstwa w nieśmiertelnym
życiu powoła”.

Chłodem ponurej, skupionej ciszy wiało z dalszych komnat zamku. W sali, pod
ścianą, prężyli się trupi rycerze. I zdawało mi się, że z tych martwych szeregów, z
tych czarnych jam pod pustymi hełmami, wyszedł pomruk basowy, niby głuche i
mocne w bojowy bęben uderzenie:

Salve Regina!

Minęło. Dziś nie wiem nawet, czy ta chwila snem była czy objawieniem, złudą czy
jawnym cudem.

Hildę, kobietę, widziałem już przed sobą.

Oto poprzez salę bezszelestnie stąpa — ramiona uniósłszy, splotła dłonie na tyle
głowy: na tym bogactwie i przepychu włosów lśniących. Rumieńce żywe ma na
twarzy (białą była dotychczas!) — pierś jej faluje — słyszę oddech nierówny. Gdy
przysiadła na chwilę, a spojrzenie me (nie odrywały się od niej oczy moje!)
zatrzymało się przelotnie na jej stopach, zasłoniła je czym prędzej trenem sukni. A
gdy się zerwała znowuż, tom słyszał już odtąd w jej chodzie jedwabisty, sypki szelest
sukien.

Poczęła nucić: zrazu cicho, potem śmielej. Wreszcie...

Słucham. Głos piersiowy, pełny: kryształ w brzmieniu duchowym, metal w dźwięku
materialnym, we frazowaniu bogactwa twórcze. Lekki dreszcz rozkoszy przechodzi
przez ciało, tak się ucho raduje. Na chwilę zapominam znów o kobiecie: słyszę tylko
głos sztuki i stroję chciwe ucho... Śpiewa!

I co mi w piersiach Żary roznieca,

266

Co mi się do krwi Płomieniem wyświeca, Jak pierwsze świty W duszy mi dnieje,
Wolę rozgrzewa, Dumą się śmieje...

Urwała. Umyślnie jakby: nie wytrzymała nuty końcowej. Echa ją zmieszały: po
sąsiednich komnatach tłuką się echa.

Zatrzymała się na drugim końcu sali. Tyłem do mnie zwrócona i zajęta jakby hełmem
na złoconej zbroi, odezwała się nagle głębokim recitativem:

Marzanna chce: Niech będzie noc!

A z sąsiednich pokoi przyniosło nagle echo w głuchym pohuku:

Niech — będzie — nooc!

Zadrzałem mimo woli. A ona, jakby na przekór tym sowim pohukom z pustego
zamku, dobyła z piersi całej w sile namiętnego wybuchu:

Wschodzące życia słońce me!

A echo przyniosło wraz z głębokim przydechem organowego hymnu to najwyżej wzięte słowo: Życia!

Tam, poza drzwiami, skłóciły się na chwilę echa i pogwary; a potem nagle, z obu stron, tam, w dalekich komnatach, zadrgały, zda się, spazmem wiolonczelowe struny, zapłakał wysoko żałośliwy flet — a wraz z nimi wpadł do nas i załopotał skrzydłami zranionego ptaka ten okrzyk

dziwny:

Życia!... Życia!...

|| -

267

A gdy i te echa zamarły w westchnieniu, przytłoczyła nam serce taka ciężka i głucha zaduma, że zasluchani, czy echo czegoś więcej nie przyniesie, słyszeliśmy tylko głębokie oddechy wzajemne... ,

— Wstań! na miłość Boską, wstań z kolan!

Te jej usta, zwykle surowe, prawie twarde w rysunku, stały się nagle takie łagodne w miękkim kolistym układzie: ogromnie dużo kobiety było w niej w tej chwili. Ręce, które starały się uparcie podnieść mnie z kolan, obwisły bezwładnie.

— Wstań, dziecko — szeptała tylko raz po raz — wstań... Po coś ty mnie wciągał w tę czarną otchłań twojej wyobraźni!?... To gorsze jest od grzechu.

I zaśmiała się tak dziwnie, że z ciemnych pokoi przyniosło echo jakiś okrzyk zranionej miłości własnej, co złamał się nagle w spazmatycznym łkaniu. Wyrwała świecę z lichtarza i szarpnąwszy drzwi, wybiegła w ciemne pokoje, naprzeciw tego echa.

— Hilda! — krzyknę za nią.

I tak, poprzez te ciemne gmachy, w słabym połysku świecy, wśród głuchych uderzeń naszych pośpiesznych kroków w płyty kamienne. A w ślad za nami, ze wszystkich, zda się, komnat, wnęk, nyż i korytarzy tych murów niemych wypadła, zda się, nagle dzika sfora faunów: biła kopytami w posadzki, goniła wołaniem, szczuła dzikimi świsty, sowim pohukiem i śmiechem szalonym.

Nagle wydało mi się, że tuż ponad naszymi głowami zarywa się z łoskotem sklepienie całe. Porwał się huk tak przeraźliwy, że oboje stanęliśmy na miejscu. Ona tam dalej, pod kolumną: biała, dysząca, nieżywa prawie, drżącą ręką zagarniająca ten ciemny płaszcz rozplecionych w biegu włosów.

Oprzytomniałem nagle.

— Lawina! — rzekłem, kiedy ten huk, zamiast słabnąć, w wichurę huraganu się przeradzał i już jakieś gromy podziemne ze sobą toczył.

— Lawina — powtórzyłem. A potem już w myślach tylko swoich: „A tamto grzmot głązów po skałach i grzechot kamieni w żlebie. Pędzą, sypią się, wałą na łąki nasze”.

— Hilda — ojciec nakazywał, ojciec zaklinał! Patrz, tak dolina nasza tonie w gruzach, powoli, z dnia na dzień: kona beznadziejnie... I nie ma, kto by ją ratował. Bo mnie bezwola pajęczyną marzeń omotała i przez matnię sztuki w zło wszelkie wpędza.

A tamten piorunowy łom i grzechot piekielny nie chciał ucichnąć. „Boże, Boże, jakąż to lawą dziś się sypie!” Złamała się wytrzymałość moja: ciało nie miało sił wysłuchać do końca.

Osunąłem się cicho i powoli na chłodne płyty kamienne.

Ocknąłem się w tejże portretowej sali.

Miękkie, pieczołowite dłonie chłodziły mi czoło, skronie, twarz. Od czasu do czasu tylko łzy kropliste parzyły mi ręce, policzki, skroń. Ciepłe tchnienie pocałunków zwilżało mi co chwila suche wargi i sztywne, chłodne ręce.

I znowuż straciłem świadomość.

"Gdym się ocknął po raz drugi, uczułem, że coś jak noże kraje i kłuje mi czoło oraz ręce. Ponad oczy zwieszała mi się gałązka ciemnych, grubych liści. Poruszyłem ręką: miałem tego pełno na piersiach, ponad głową, na nogach. To ona, Hilda, nałamała laurowych gałęzi z doniczek owych krzewów — laurowych gałęzi spod katafalku. A gdym je łamał w rozpaczy na tym posłaniu śmierci, tam z podwórza słyhać było brzęk uprząży, parskanie koni, szczeł łańcuchów, głuche bicie podków o most zwodzony nad urwiskiem.

Daremniem czekał na odezwanie się trąbki, na grę tę

268

269

czarowną po echowych kniejach i uroczyskach górskich: na zmartwychwstanie świata mego. Tej nocy zaciążyła na dolinie pochmurna, głucha groza kamiennej pustki wśród olbrzymich gór. Świerszcze zamilkły, przycichły potoki... Huczała tylko wezbrana rzeka, tocząc w ciężkich westchnieniach swe głązy wielkie. Czekam!... Czekam smutny i wiary pełen, że w tę czarną noc grzechu niebosiężne olbrzymy skał przelamią się u podnóży, zachwieją i zamkną grób ten...

Led wie dosłyszał Muller końca opowieści. Ostatnie słowa utkwily wraz z westchnieniem w piersiach Hertensteina. Sięgnął machinalnie po wino, ale bezwładne ramię opadło, zanim dłoń kubka dotknęła. Powstał z zamiarem otworzenia okna, lecz w tejże chwili wszystko zawirowało mu przed oczyma, podwinęły się bezwładne nogi i opadł z powrotem na kanapę. Już rozproszone swe myśli skupiał, chwycił, już chciał coś powiedzieć, zawołać, krzyknąć — gdy w jakiejś dziwnej perspektywie długiego czarnego lochu ujrzał zamek w ruinach, niby ciemną kępę potwornych grzybów na popielatej skale. Patrzał, uśmiechał się błędnie, nagle pochylił się do Hertensteina i objął go w pól.

— Bój się Boga, Henryk, po coś ty mi opium dawał!

— Grałeś na fortepianie? — pytał wnet potem, chłodząc dłońmi rozpalone policzki

— czy też opowiadałeś? Bo toż to nie ludzie przecie — ci twoi tam! Koturnowe, senne cienie, poruszane rytmem, taktem i melodią twej muzyki... Jej nie ma wcale!

— zaśmiał się nagle, idąc gorączkowo za biegiem podnieconej wyobraźni. Cień kobiety, cień sztuki!...

Powalił się na otomanę, wyprężył jak długi i wetknął w zęby papierosa. Ledwo się jednak położył, zerwał się znowuż gorączkowo.

— Upiłeś mnie opiumowym jadem twych marzeń. Hertenstein nie drgnął, nie uniósł nawet ciężko zwisłej

głowy.

— Literat! — syknął tylko przez zęby.

271

Ale Müller uwagą i wyobraźnią był już gdzie indziej: spoglądał w ponurym

skupieniu na portret, który już przedtem przykuwał mu niejednokrotnie wzrok.
— Gdzie ona jest teraz? — zagadnął nagle. Lecz choć pytanie swoje dwukrotnie powtórzył, nie otrzymał odpowiedzi.

Kilkakrotnie przenosił wzrok z tego portretu na Hertensteina, chciał o coś zapytać, machnął jednak ręką: „A tyś osiadł wraz z twym marzeniem na bezpłodnej mieliźnie!”

I przyszła mu na myśl Borowska. Zagryzł wargi jakby w bólu i targnął myśl w inną stronę. Wspomnienie przyniosło mu, niespodzianie, słyszaną niejednokrotnie opowieść Borowskiego: ojca aktora, jego kochanki i jeszcze raz żonę jego; a potem ten mizerny świat szminki, w głodzie wrażeń na wpół dzikie, upioiowe namiętności, z których, jak z kotła czarownic, wynurzają się bohaterskie widma, zalane jaskrawym blaskiem teatralnych kinkietów. Opowieść Hertensteina biła mu jeszcze pulsem w skroniach. I te dwa biegunowe światy jeły mu się wikłać i plątać w obrazach. Widział w teatralnym blasku barw i świateł, pod pałającym spojrzeniem setek ludzi, w burzach oklasków, tryumfy aktorów o szerokich, namiętnych wargach i twardych czołach byków. W mizernych ramach kulis, wśród malowanych murów starego zamczyska gra oto Borowski z ojcem i aktorką o rudej peruce tę samą opowieść, która wciąż jeszcze tętniła mu w skroniach... I oto wzywają natarczywie autora. Wychodzi on, Müller, i kłania się wraz z Borowskim, jego starym ojcem i aktorką w rudej peruce. A na widowni wrzawa, oklaski, wiwaty, wrzask i tupanina wyrostków po galeriach... Tam oto, w pierwszym rzędzie, siedzi Hertenstein; białymi dłońmi oplótł swe kolano i kiwa się niedbale. Patrzy na wpół z politowaniem, na wpół z ciekawością, nieraz ziewnie, to znów się uśmiechnie, wreszcie zwraca się półgębkiem do siedzącego obok Jelsky'ego: „Dobre aktory; niezły literat. Zrób im, proszę, reklamę; dam ci szampana...” Zaś tam — na wielkowiejskich bulwarach, ogłuszona łoskotem i wrzawą uliczną, przemyka się wśród tłumów w ciemnej chustce na lamionach — ona: Zosia Borowska! — szuka, goni kogoś czy też ucieka!...

I nie mógł wzbić się myślą ponad te chaotyczne obrazy i niespodziane zestawienia. Coraz to pochmurniej, w coraz to większym skupieniu wpatrywał się w Hertensteina, jakby oczekując, aby mu pomógł z tych obrazów wyłuskać dręczącą, zaledwie nieświadomie odczuta zagadkę. A te węzły poplątanych wspomnień, te powikłane z dwóch światów obrazy, wciąż mu nie dawały spokoju. Dłonią czoło tarł, próbował napić się wina. Wreszcie wsparł zmęczoną głowę na łokciach i wyszeptał po raz drugi:

— Bój się Boga, Henryku, po coś ty mi opium dawał!

Hertenstein tymczasem zbliżył się do okna. Głaskał machinalnie charta i za każdym turkotem z ulicy nasłuchiwał niespokojnie wraz z nim. Wreszcie powrócił do stołu i sięgnął po wygasłą fajkę. Muller mrużył już oczy, wpatrując się coraz natarczywiej w jego białą, wygasłą twarz i oczy o smutnym w tej chwili, gorączkowym połysku.

Wreszcie nie wytrzymał i rozłożywszy ramiona krzyknął niemal:

— Czemuś ty do klasztoru lepiej nie wstąpił, jak tamten z bajki?

Hertenstein osunął się na fotel, rozkołysał bieguny i pykał powoli ze swej cienkiej fajeczki. Na odpowiedź kazał czekać długo.

— Hm? — bąknął wreszcie. — Wstąpić do klasztoru, zostać rzemieślnikiem!...

Wcale niezły ratunek dla Pa-wluka i jemu podobnych chłopców z kawiarni — tych od sztuk plastycznych. Samotność i rzetelność rzemiosła! Jedno i drugie może z nich uczynić mistrzów, o ile nie stali się już beznadziejnymi „artystami”. W przeciwnym razie

272

18 — Próchno

273

nie pozostaje nic innego, jak oddać się pod opiekę literatów. Mistrzami to ich nie uczyni, może wszakże zrobić sławnymi.

No, dobrze! — niecierpliwiał się Muller — ale czemuś ty sobie tego nie poradził?

— Mistrzostwa? — pytał wraz z dymem fajkowym. — Nie pragnę być rzemieślnikiem. Sławy? Fundowałem Jel-sky'emu nieraz szampana, bo tylko pod tym warunkiem zobowiązywał się oszczędzić mi sławy... Zresztą, mój drogi, jak ci się zdaje? czyż przy innym zbiegu życiowych okoliczności nie mógłbyś na przykład być dzisiaj zwykłym sobie Francem Mullerem, dependentem bodaj w policji, ojcem kilku sprytnych pauprów o brzydkich skłonnościach do zrobienia majątku?

Zaperzył się Muller: — Nazywam się...

— Bardzo legalnie. Ale nie o to idzie.

— Chcesz powiedzieć, że tylko baroni do sztuki się rodzą?

— Ah! — Hertenstein machnął niedbale ręką. — Baroni rodzą się zasadniczo tylko do kokot i salonów oraz na to, by grzechem bezmyślnej pychy rozśmieszać nawet diabła. — Chcę spytać się tylko, czy w malstrómach wielkowiejskich zysku, wyzysku, automatycznej i możliwie bezmyślnej pracy oraz wyrafinowanego, możliwie przemyślnego użycia zmęczonych zmysłów, czy w tym malstromie nie wypływają kapłani o bardzo wyraźnej fizjonomii?

— Co dalej? — syknął Muller. — Zaczynasz banalnie, skończysz, oczywiście, pobożnie.

— Dalej, że ponieważ zysk, wyzysk i możliwie bezmyślna praca są tematem dla sztuki dziś już tylko gdzieś na dalekim wschodzie, a więc...

— Kapłani najbardziej wyrafinowanego użycia znużonych zmysłów? Czy taka ma być definicja? Jeżeli wszystkich pięciu zmysłów, to nienajgorzej. Zmysły są zawsze pierwszą instancją sztuki. Ostatnią jest dla niej kulturalny umysł, który dojrzewa dziś tylko w twoich „złych wirach” wielkowiejskich.

. — Taak — Hertenstein pykał powoli z fajki. — O nic więcej mi nie idzie.

Kulturalny umysł był zawsze arbitrem wyrafinowanych zmysłów. On to wymaga mistrzostwa i rozdaje sławę. Poznałem aż nadto dobrze smutne i karłowate egzystencje tych, co bardzo pilnie malują, rzeźbią, piszą, tworzą, krytykują — ad usum kulturalnego umysłu. Oddychałem aż nadto długo tą duszną atmosferą ambicji, zawiści, oszczerstw, pochlebstw; dusiłem się zbytnio tym zaduchem pełzającej dumy... Daruj więc, że mistrzostwo pozostawiam ambitniejszym, a sławę tym, co — rzetelniej na nią pracowali.

Nie wytrzymał Muller: zerwał się z kanapy i wczepiwszy mu się w wyłogi od tużurka, szeptał mu w usta niemal:

— To wszystko jest tylko samoobłudą improduktywa. Idzie o to, żeś ty sobie za młodu wyciął ten właściwy, twórczy nerw życia. I oto osiadłeś na mieliźnie wraz z

cnotą swoją... Co wam szkodziło? Tam, na zamku, w zapadłym kącie?... Zresztą, co by mnie ludzie obchodzili!

Dreszcz ohydy wstrząsnął, wykręcił niemal ciałem Her-tensteina. Ale Muller wpił się w niego mocno rękoma.

— Czyś ty odgadł tajemną wolę natury? Czy ty wiesz, jakie źródła trysnąć by ci mogły z duszy pod jej ręką? A może tylko wielkie namiętności rodzą wielkie czyny? A może temu ogniovi z ciała sądzono po całym duchu moim rozplómić się? A może grzech oto niesie mi złotą lirę? Czyś ty odgadł ciała wielką tajemnicę?...

Człowiekiem tylko jestem, ciałem i grzechem — a więc ciałem i grzechem żyję, lecz nie dla ciała, nie dla winy, nie dla cnoty, lecz dla dzieła mego! Z nieba ognia sobie nie przyniosę, ale może go diabłu wykradnę. Ale na to trzeba w piekło zstąpić!

I nie szarp mi się!... Kto mnie, kto ciebie zapyta, skąd my swój ogień czerpiemy? I niech mnie nikt nie pyta,

274

275

skąd ja mam tę moc, co świąty wskrzesza, za serce bólem targa, upiory sumienia przed oczy ci stawia. Ani cnoty, ani winy waszej nie znam, ja, dusz waszych władca, światów wskrzesiciel, namiętności mag — ja, cudotwórca!...

Płomień zalał mu twarz, zaświecił w oczach. Długie i suche ręce wczepiały się Hertensteinowi pod szyję jak ptasie szpony, a chuda, ostra twarz suchotnika czyhała niby ptasi dziób, aby mu wyrwać z ust odpowiedź. — Czekał długo.

Hertenstein patrzył nań spokojnie, zimno. „I ten człowiek myślał o śmierci? I ten człowiek chciał śmierci?”

— Kłamstwo! — krzyknął odruchowo i zerwał się z fotelu.

Krzyknął przy tym i zerwał się tak gwałtownie, że chart zbudzony ze snu skoczył, warknął, a raczej zarzęził ochryple i błysnął Mullerowi w twarz czerwonym wnętrzem pyska oraz białymi rzędami ostrych kłów.

Muller roztwierał szeroko oczy.

— Co takiego jest kłamstwem?

„Ty!” — pomyślał Hertenstein. A na natarczywe nalegania Mullera zamachał tylko niecierpliwie rękoma.

Odłożył fajkę. W chmurnym milczeniu począł chodzić po pokoju. Gdy na dworze ożywiło się nagle, znalazł się wraz z chartem u okna i nasłuchiwał czujnie. Gdy cisza zaległa znów na ulicy, zbliżył się do Mullera.

— Słuchaj no, przecież to jest ogromnie poważna rzecz.

— Co takiego?

Oparł mu ciężko dłonie na ramionach i patrząc mu mocno w oczy rzekł twardo:

— Śmierć.

Muller zbłądł natychmiast; oczy przymrużyły mu się na chwilę, a potem niespokojnie, przepłoszone, szukały w rękach Hertensteina tej szklanej rurki z kieszeni od kami-

276

zelki. Opuszczone ramiona przeżyły się mocno i kurczowo, a chłód nielitościwy przebiegł po całym ciele. Szarpnął się i wetknął papierosa w zęby, rzekł z twardym grymasem:

— Jam bodaj dziś gotów.

— No, tak, tak! — potakiwał Hertenstein jak dziecku: pośpiesznie, niechętnie i bez wiary. — Tym bardziej... Wobec tego warto pomyśleć szczerze. Warto nawet jeszcze nauczyć się szczerze myśleć. Z kłamstwem w sercu nie tylko żyć, ale i umrzeć nie można.

— Czego ty chcesz?

— Przekrocz tę granicę fałszu.

— Jaka?!

— Zapomnij „o sobie samym”.

Muller aż się na krześle uniósł mierzając go od stóp do głowy podejrzliwym spojrzeniem.

— Między jakie jezuitę tyś się wpisać zdążył?!

Ale Hertenstein spostrzegł się jakby, że nie w porę wystąpił, lub też pożałował może, że w ogóle rozpoczął o tym: wtłoczył ręce do kieszeni i powrócił do swej wędrówki po pokoju. Muller odprowadzał go z początku podejrzliwymi, badawczymi oczyma, ale niedbały pośmiech rozwiął mu się wnet na wargach: zgasił go zimny i twardy spokój na twarzy Hertensteina. I znowuż ten dreszcz chłodu, co iskrą wskroś poprzez ciało przebiega. Kręcił się niespokojnie w swym kącie na kanapie, chwycił raz po raz za papierosa. Zaśmiał się nieszczercze jedną, drugą ironią, chcąc jakby wywołać w nim odruch jakichkolwiek namiętności. Ten twardy, ponury, zawzięty spokój... fanatyka! (kończył Muller w myślach). I coraz to chwiejniej, coraz lękliej czuł się w atmosferze tego spokoju. I teraz dopiero, w miarę jak patrzył na Hertensteina, począł sobie uświadamiać w całej jawie i obrazowości to, co wykonać zamierzeli. A to równe stapanie jego po pokoju wydało mu się nieubłaganym krokiem chwili, która się zbliża... Więc

277

tak się zbliży ona: tak lodowo zimnie i bezdusznie? Bez żalu, bez rozpacz, bez buntu nawet?... Nie! — szarpnął się i poczuł, że omiękłe wargi dygocą mu jak w febrze. Rozumiał, że jeśli ten paroksyzm trwogi nie minie, gotów zerwać się i uciec. Dokąd? przyszło mu równocześnie na myśl. Wszak nigdzie właściwie nie jest u siebie, nigdzie nie mieszka, nikt go się nie spodziewa i nikt nań nie czeka. Pod most? do parku na ławkę? Do Jelsky'ego? (po tym, co było?...) I na co ucieknie? po co? z jaką myślą? Bo przecież każdy w takim położeniu musi mieć tę jedną upartą myśl, która mu umożliwia przespanie się pod mostem lub w parku na ławce? Tamci wszyscy mają tę jedną: „Chcę jeść, jutro będę jadł”.

A więc na to uciekać od Hertensteina?... A potem? Każdy z takich, o ile o trzy dni myślą wybiec naprzód potrafi, musi mieć to, co ludzie nazywają nadzieją. Tamci wszyscy mają tę jedną: „Będę co dzień spał pod dachem, będę dużo, dużo jadł!” A więc na to uciekać od Hertensteina?... Jakaż moja nadzieja? Trzy miesiące, lub chociażby pół roku...

I stanęła mu nagle przed oczyma zimna, nudna biel szpitalnej sali. I te szeregi wąskich łóżek, te żółte, wyschłe, bezmyślne głowy na poduszkach, ten zapach cikliwy, woń kalectwa i śmierci: to całe piekło cierpienia, powleczone białym powietrznym kirem, i czarny jak otchłań, wielki znak Chrystusa — zda się nie ludzką powieszony ręką, lecz ustawiczną trwogą tyłu przygasających oczu rozkrzyżowany

na ścianie. Gdzieś, na jednym z tych łóżek, leżeć zapomniany, miesiące całe tonąc w tej zimnej bieli. I myśleć tylko o tym, że tam, poza szpitalnymi murami, w żywym jeszcze świecie, nie pozostało z nas nic! nic!... Podczas gdy ci wszyscy, mierni, przyziemni, już za młodu nikczemnie wyrachowani, którym się kiedyś ledwie rękę podawało — oni dopełzali się w życiu nawet do szacunku ludzkiego, ba! nawet do działalności owocnej. A myśmy

278

zaczęli lotem, pozostawili po sobie tyle śladu, co przelotne ptaki, i tyle praw do ludzkiej uwagi, ile daje dobroczynność! Ich dobroczynność — tych miernych, przyziemnych, już za młodu nikczemnie wyrachowanych, tych solidnych i czcigodnych dziś obywateli, którym się ręki nie podawało — kiedyś — gdy się jeszcze dumne w piersiach miało serce...

I zdawało się Mullerowi, że oto zrywa się z szpitalnego łóżka i ucieka z tej chłodnej toni ludzkiego miłosierdzia — aby prędzej — tam poprzez okno: na bruki! I oto uderza głową i krwawi o dobroczynne kraty...

Ocknął się i krzyknął niecierpliwie na Hertensteina:

— Daj tamto... Po co zwlekać?

— Jeszcze nie czas.

„Nie, ten jego spokój! — myślał — ten bezduszny, zimny spokój. Ten człowiek wyzuł się ze wszystkich namiętności, z uczuć wszelkich. On tam chce dojść wyrozumowaniem. Taki musi się własnymi myślami wpędzić wprzód • w jakiś beznadziejny trójkąt, zamurować sobie wprzód wszelką drogę logicznego odwrotu, chce jakby zaorać za I sobą całą świadomość wzgardy dla życia”.

— Jeśli ja chcę swego życia treść usprawiedliwić — krzyknął wreszcie — ty szukasz logiki w śmierci. Tej podwójnej gry nie rozegramy dzisiaj. Skończ! Upij się, to powinno ułatwić ten krok. Albo nie, to przypomnij sobie wszystkie krzywdy życia, wszystkie jego zawody, wszystkie tryumfy małych, niskich, miernych i wszystkie własne upokorzenia. (Szkoda wielka, żeś ty i nędzy nie zaznał!) O, to wszystko upije cię stokroć większym szalem, da ci siłę postanowienia stokroć większą — da ci nienawiść!

Ostro zarysowane pąsowe rumieńce wytrysnęły mu na twarz: pod nawąłem wspomnień chłostały go, zda się, w tej chwili wszystkie doznane w mizernym życiu upokorzenia i nędze.

279

— Pić daj! — dopominał się. — Widzisz, to są naj-żałośniejsze twory, ci Prometeusze...

I śmiał się. Tym razem bezdźwięcznie, cicho: pierś mu się tylko trzęsła, łkała; krzywiła się twarz.

— ...którym nie przyszło nawet walczyć z bogami, bo ich mizerne przykuło życie. I nie orły pierś im szarpia, lecz robactwo ich obsiadło, to naj mizerniej sze robactwo ludzkie... Wiesz, co taki uczyni, gdy, utraciwszy wiarę w świat, w ludzi, w siebie, zachowa jeszcze tylko siłę woli? Wiesz, co taki donkiszot uczyni?...

Długimi, kleszczowymi palcami swej suchej ręki wpił się w ramię Hertensteina.

— Pamiętasz — w Chicago? — wczoraj na bulwarach okrzykiwano. Właśnie tam — w rój ludzki: gdzie radość bezmyślnej uciechy, gdzie głupstwo życia tryumfuje.

Urwał. Odurzył go, otumanił wprost ten potworny obraz, jaki mu zawsze czujna wyobraźnia wnet podsunęła. Po chwili dokończył szeptem cichym i miękkim, jakby w zaufaniu serdecznym:

— Nienawiść to jest wielkie, święte uczucie!...

— I zemsta — dodał po chwili jakby dla siebie.

— Na kim?

— Na wszystkich! — odparł rozrzuciwszy ramiona jak skrzydła.

— Za kogo?!

— Za siebie! — kończył uderzając się w piersi. Hertenstein dobył z bocznej kieszeni chustkę: chrząknął, splunął i chowając ją z powrotem, pytał zimno:

— Więc ty dlatego tylko myślisz o swej śmierci? Wtulony w kąt kanapy, głowy nawet tym razem nie

uniósł, tylko swe długie i kościste palce wyciągnął, aby Hertensteina za ramię ująć, do siebie widocznie pochylić i na ucho coś szepnąć. Lecz w tejże chwili zakaszłał głucho i ciężko. Ścisnął oburącz czoło, pasował się z ciałem. Uspokoił się wreszcie i z zaciętym uporem za-

patrzył się gdzieś hardo przed siebie. Nagle łzy trysnęły mu nawałem do oczu i w szybkim biegu potoczyły się jedna za drugą po zapadłych policzkach.

— Daj mi pokój! — zachnął się wnet potem w rękach Hertensteina. — Daj pokój, słyszysz! Czułości!... Niech mnie piekło pochłonie, że ta moja nienawiść jest taka niedoleżna, taka mizerna, że nie znajduje innej broni prócz... prócz samobójczych myśli!

Hertenstein przysiadł się do niego. Milczał długo, rzucając nań ukośne spojrzenia; wreszcie odważył się ująć go za rękę.

— Skorpiony zawiedzionej pychy tak cię wychłostały i takim strasznym zatrąły jadem... Tak daleko zanoszą „złe wiry” wielkowiejskie... Do tego wszystkiego dochodzi się żyjąc wyłącznie myślą o „samym sobie”, dzięki szatańskiemu zwierciadłu życia.

Muller odmachnął się słabo i niechętnie.

— Tobie ćwiekiem to zwierciadło w głowie utkwilo. Bój się Boga, przecież te twoje romantyczne kategorie nie mogą mieć dla mnie wartości — teraz, w takiej chwili.

- Widzisz, po pięciu latach byłem tak daleko niemal jak i ty. Wtedy czując, że wszystkie podstawy życia chwieją się pode mną, uciekłem ze złych „wirów” wielkowiejskich tam, na zamek.

— Tęsknotę swą sycić wspomnieniem — przerwał mu kategorycznie Muller.

— Twoja myśl po ziemi pełza i zewnętrżności tylko się czepia — odparł Hertenstein niedbale. I wnet potem w nagłym podnieceniu: — Czy ty wiesz, gdzie kres i granica tęsknocie? dokąd ona ludzką myśl doprowadzić może? Ze wszystkiego, czym kobieta obdarza, tęsknota jest jedynie czystym jej darem.

280

281

— Nie widywałeś jej przez ten czas? — zagadnął Muller mimo wszystko.

— Raz jeden. Teraz.

— Jak to teraz?!

Ale Hertenstein nie chciał widocznie odpowiedzieć.

— Powróciłem, tam, na zamek — powtórzył. — W dolinie mojej kamień przy kamieniu. Wszystko to błyszczy się, iskrzy, żarzy w słońcu. W rozpalonej atmosferze czuć wprost ten mdły zapach natartych kamieni. A gdzie kamień się rozpęknie, gdzie żwir się rozsunie, stamtąd źródło tryska. Woda płacze się, pluska wszędzie: czuć tu jej robotę żwawą, >.złośliwą, szkodną. I tak w cmentarz kamienny zmieniał się kraj mój... Olbrzymi gzyms skalny, co wisiał ponad lasem lat tysiące, jakby na mój los i dolę czekając, teraz zarwać się musiał! Zmiotł las na upłazie, przeskoczył rzekę i długim usypiskiem głazów wklinił się w tę resztę łąk po drugiej stronie... Co dzień spotykam jakichś obcych ludzi: to delegaci z akademii. Ten gzyms skalny przyniósł spod szczytów ciekawe skamieliny. Konający świat zwierza się ze swych tajemnic, zwierza obcym ciekawym i natrętnym oczom. Był w tym dla mnie głuchy, trawiący wyrzut i bezlitosne upokorzenie... I co te wielbłądy znajdą? — myślałem niechętnie. — Ułamkowych kształtów liche skamieliny... Ponumerują to, poznaczą i będzie im się zdawało, że dawnemu światu tajemnice życia wydarli." A ja chciałem wszak ten świat cały, poza wieków krańce, poprzez czasów zawrotne dale, ożywić, tajemnicę jego ducha z mroków epok wydrzeć, moim duchem natchnąć i wskrzesić! Sztuką moją!... A teraz oto jestem mniej wart od każdego kamienia, co się spod szczytów stoczył.

Poszukując resztek żyjącego dziś jeszcze świata, uciekałem z zamku w jodłowe lasy po przeciwnej stronie i na te łąki na stokach i podnóżach... I wiesz, com czynił? Oto, w drobiazgach zcwnętrności cały tonąc, czepiałem się ich wtedy jeszcze. Gdziekolwiek myśl się zwróciła, wszędy/ie na ból zawodu natrafiała, a ja ją kołem, kołysałem pierwszym lepszym drobiazgiem. Oto, chodząc po łąkach zbierałem jakieś kwiaty: wątle, delikatne kielichy wysilonego pod jesień fioletu... Zimowit! Lubilem ten kwiat... Spójrz — tu pod sufitem fryz taki wymalować sobie dawniej jeszcze kazałem... Zresztą modną stała się nawet potem ta jego wątle barwa, to tchnienie fioletu na kielich kwiatu! I ta smukłość jego! I ta prostota w liniach! I to, że bez liści, bez łodygi wprost z ziemi jako grzyb! Lubilem kwiat ten: na chmurnej jesieni wspomnienie wiosny ostatnie... Jest coś z pięknej suchotnicy w tym kwiecie... Mówią, że woni nie posiada; dla mnie miał on wysubtelnioną woń świeżego śniegu. I patrz — takim ja byłem niewolnikiem zewnętrności! Takem się pieścił każdą błahostką, w każdą bańkę mydlaną tyłem z ducha swego kładł. I każda bańka więcej tęczy dla mnie miała, a każda tęcza więcej barw. I tak mi się świat cały z barw, z blasków, z woni i z tęczy uplatał, a pod każdym tchnieniem głębszej tęsknoty jak bańka mydlana pryskał. Byłem jako wy wszyscy jesteście: niewolnikiem niewolników moich, kaprysem kapryśów mych, ofiarą ofiar moich i bańką tęczową! Gdym raz te kwiaty po upłazach zbierał, nawinał się jeden z tych chudych, suchych starców górskich, o których śmierć w tych kątach zapomina zupełnie. Mruczał coś, wreszcie ostrym głosem wygwizdał mi z wygasłego cybucha fajki, że to zielsko jest ich klęską ostatnią: czego woda nie zabierze, czego kamień nie nakryje, żwir nie przysypie — zabiera to zielsko. Niby nie kwiat, bo to na wiosnę owocuje, wówczas ma i liście. Od tego pada im dobytek.

Juzem kwiatów tych więcej nie zbierał, juzem na świat nawet nie wyglądał.

Przepędzałem dnie całe tam w bibliotece, w narożnicy kamiennej, pod wiecznie białym i spo-

kojnym wejrzeniem lodowca wkryształonego w dziwnie jasny jesienny lazur nieba. Siedziałem tam w narożnicy, gdzie czas się na godziny nie liczy, i skubałem niewolnie w rękach te wysilone, jesienne kwiaty wiosennych trucizn... I to pytanie miałem na ustach: „Za com ja życie oddał?”

I to drugie w piersiach: „Czy daremna, syzyfowa praca zbierania kamieni z doliny ginącej nie warta życia motyla na trujących kwiatkach?”

I tak oto miary wszelkich wartości pokruszyły mi się w dłoniach.

A tam, poprzez okno w nyży, widziałem, jak wówczas, trzy drogi ducha: na szczyty najbielsze drogę marzeń bezpłodnych, wydeptany gościniec w dolinę szarego życia na daremną walkę z kamieniami i krętą ścieżkę, co wierzchołkami gór i padołem przepaści wiedzie w czarne pałace, gdzie lirowe dziady królują i tłumy pochlebstwem żyją.

Zaś u góry, ponad głową moją, te dwa śnieżne szczyty po bokach lodowca, białym puchem przedziwnie osrebrzoj-ne, w jaskrawym słońcu lekkie i dyszące, niby tęskniącej ziemi pierś dziewicza... Te szczyty, lodowiec ten... Są przecie jakieś stałe, niezmiennie wartości?

W na pół zmurzałym czarnym pulcie u okna czytałem znowuż te słowa:

Oto tęsknot moich owoc boski, oto grób tajemnic wielkich, oto żar i płomień grzechu mego, oto stos mój kacerski...

Zaś u sufitu wił się czerwoną wstęgą ten napis gotycki:

Poucz! rzuć rosę pewności, na spragnioną ducha mojego posuchę.

W głębi, na zamykających murową wnękę dębowych odrzwiach, pod czarną pieczęcią, te słowa ostatnie:

Ostrożnie z nauką moją! Niech znużenie i ciekawość po miecz ten ostry nie sięga,
Poranić niedołączną dłoń...

Muller, umęczony i zajęty swymi myślami, słuchał go w roztargnieniu i niechętnie.

— Szyję dam — przerwał wreszcie — żeś ty ostatni rok spędził tam, w tej narożnicy kamiennej, szukając w chmurach tych stałych wartości, na jakie co krok mogłeś się natknąć w życiu?

A nie otrzymując odpowiedzi, dorzucił niecierpliwie:

— Zrozumże chociaż to. Myśmy przypadli, ale wszak świat pozostał; ocaleli inni i ich dzieła. Dzieła ludzkie są jedyną trwałą wartością na świecie. Pisał ci o tym i twój ojciec.

— Dzieła? — Hertenstein kiwał smętnie głową. — I ja tak myślałem kiedyś.

— Zaczynasz mi się uśmiechać z tępym uporem fanatyka. Tak jest, dzieła! — krzyknął niecierpliwie.

Lecz on ujął go spokojnie za rękę i pomilczawszy chwilę:

— Ojciec mój? On posiadał stokroć głębsze wartości, a wraz z nimi i tę świadomość, że one szczęścia na ziemi nie dają. Na czarne pieczęcie zamknął mi je, życie wskazał: snadź targały nim jeszcze ostatnie, te najsilniejsze rozterki... Dziś wiem, czemu po nim góry pozostać nie mogły. On był zbyt pełen kultury ducha, zbyt szerokie widnokregi myśli ogarnął i opanował, zbyt potężny świat w nim żył i poezją swą zbyt go przeniknął. Może brakło mu tego uświadomienia ty lko, że tu twórczości być nie może: snadź nie był ostatnim ogniwem rozwoju.

Zamilkł, a po chwili:

284

285

— Przypomnij sobie jej męża — Borowskiego.

— No? — Müller mimo woli ścisnął go za rękę.

— Widzisz, w nim, po części i w tobie, jest przerost nerwu twórczego, który zwie się aktorstwem. Aktorem każdy z nich jest, z tych twórców — w mizernym otoczeniu rzeczywistości swojej... W tamtym z zamku tego nerwu nie było i być nie mogło: jeżeliby ta twarz dumna larwę zniosła, larwa na niej przezrocza by się stała i zdradziła właściwe oblicze. On nie mógł stawać się „tym” i „owym”, bo człowiek i rzecz każda mogły być tylko lustrem jego ducha; świat zewnętrzny zbyt nikły był wobec tego, co on mu z siebie narzucać musiał... Taki nie mógł się nawet wypowiadać: zbyt głęboko sięgał; tam, gdzie jawną się staje cała mizerna nikczemność słowa, barwy, dźwięku, kształtu. Taki mógł chyba przemawiać uśmiechem, spojrzeniem; już nawet nie gestem, który jest rzeczą trywialną. Müller wsparł aż podbródek na splecionych dłoniach i zapatrzył się uważnie na niego.

— Mówisz?... — mruknął tylko. A Hertenstein coraz to żarliwiej:

— Sztuka jest dla wszystkiego, czym targają namiętności; co się tworzy, przeradza, przetwarza; co kulturę wieków i pokoleń w jednym osobniku skupić, natężyć i przeświecić w sobie musi. Taki to wszystko z trudem z chaosu wyłuskał i opanował, i odrzuca z siebie wraz z kawałami serca: drgające ciepłem, życiem, krwią! Twórcą się nazywa. Zaś potem... Jeśli go głód życia pokonał, wówczas zaczyna przeżuwać to, co przeżył w sercu, i staje się literatem, art. malarzem, art. rzeźbiarzem, art. muzykiem — obywatelem, czymś w rodzaj u-violä celui, qui va venir, jenerałem dla ludzkich czapek. Mistrzem się nazywa... Jeśli głód ducha przemógł głód życia, wówczas pograża się dalej w nową głąb ciemnych zagadek i w nowe otchłanie potężniejszych jeszcze namiętności. Tam też grzęźnie, tonie i — przepada. Nazywa się dekadentem (jeśli słówko

w modzie). Jest zwyrodniałym, a więc przynętą dla kruków, czymś w rodzaju: „Biada społeczeństwu, w którym...!” — jest przedwczesną mogiłą, na której powiewa zwycięski sztandar poprawnej mierności. I Hertenstein rzucił te słowa mocno i zerwał się w pod-| nieceniu. Począł chodzić po pokoju, odprowadzany czujnym spojrzeniem Mullera.

— Ale przychodzi czas — mówił zatrzymując się przed nim — i w rozwoju duchowej kultury czas taki przyjść musi — kiedy się ci twórcy, ci mistrze, ci wiecznie szukający, na taką dal od nas odsuną, że dla naszych oczu maleje, obojętnieje i znika wzajemna ich odległość. Bo oto duch ujrzał ich wszystkich we właściwym świetle życiowych zabiegów i daremnych wzlotów. Poprzez ciemnie zagadek, poprzez otchłanie namiętności i cierpień, poprzez bankructwa wszelkich wartości, poprzez zmierzchy bogów wszystkich wydostaje się na świty wiecznych wartości. Oto się przerodził, przetworzył, kulturę czasów skupił, natężył, głodem własnej duszy przeświecił i ponad nią się wzbił... Aż tam, na te najwyższe, najbielsze szczyty, na których nic rosnąć już nie może! Taki wcale się nie nazywa: i to jest jego dumą.

— Czyś ty... — Hertenstein stał tuż nad nim i mówił z wzrastającym wciąż żarem — czyś ty głębią duszy nie wyczuwał czegoś brutalnego, czegoś z obłudy i aktorstwa w sztuce każdej: ułamek, fragment, mierna cząstka stara się oto wielkie twe oczekiwania oszukać, ducha omotać i wślizgnąć się w twe serce... Czyś ty nigdy nie czuł, że sztuka to nie jest rzecz dostojna? A ci jej kapłani?... Żaden człowiek tyle poniżej nie zniesie, ile ten, co tryumfu oczekuje. Ta kręta ścieżka wierzchołkami gor i padołem przepaści — to nie jest droga dla ludzi godnych.

Dzieła, mówisz? Gdzie miara tych dzieł sztuki? W hałaśliwym młynie ludzkich gawęd? na targowisku próżności? na pstrym kiermaszu, gdzie lada poliszynel tłumy bawi,

286

287

lada pierrot sentymentalny je wzrusza, gdzie narodowa chorągiewka już je dostatecznie podnosi? gdzie zła wola, gnuśny nawyk ducha i tępy upór borykają się z każdą nową myślą?... Wreszcie kto te dzieła tworzy? Najbogatsi, najsubtelniejsi duchem? tych wnet duma lub serce zgubi; kruki roznoszą potem ich szczątki żabom na żer. Bo zawsze i wszędzie przetrwają tylko najbardziej dopasowujące się, ostrożnie zimne, żabie natury. To mi twórcy! Pokaż mi ich, przypomnij wszystkich, aby mógł doszczętnie wzgardzić...

— Sztuką?! — parsknął Muller, zaskoczony tym wnioskiem.

— I samo słowo mi obmierzło!

— Dalekoś zaszedł.

— Chodź i ty! Znajdziesz ten spokój, jaki daje wżgarda. Pokonasz klęskę swego życia, gdy raz powiesz sobie...

Hertenstein urwał. Płomyk niepewności przemknął mu po twarzy, jakby raz jeszcze zawahał się, czy z tym człowiekiem warto mówić o tym: te połyskujące oczy suchotnika czaiły się tak chytrze, wświdrowywały się w niego już gotową złośliwą ironią.

— Hm? — Muller wydymał wargi. — Taak?... No, to było do przewidzenia, że ciebie zahipnotyzują te górskie szczyty.

— Twoja myśl do grobu nawet chce tylko zapelzać. Wyczerpała się cierpliwość Mullera.

— Ślepy ty! — wołał zbliżając się do niego — czy ty nie rozumiesz, że jeśli w nas tkwiła jakaśkolwiek ludzka wartość, to jedynie ta, co zbudzona bodaj grzechem i rozpaczą rwie się do słowa, do barwy, do kształtu, do dźwięku? Że to są jedyne jasne chwile naszego życia, „które nasz byt usprawiedliwiają” (jakeś sam to kiedyś mówił), że wtedy wszystko, co lepsze w człowieku, woła najszcz3rszym bólem: „Grać chcę!”

— „Pisać chcę!” — „Tworzyć chcę!...”

288

Hertenstein potakiwał spokojnie i chłodno, z uśmiechem wyrozumienia, jakby z góry będąc pewnym, có mu w tej chwili powiedzą.

Po chwili otrząsł zadumę i chodząc po pokoju, mówił jakby do siebie: — To tajemne i bądź co bądź najczystsze płomień życia... Ono spaliło was wszystkich, którzy byliście jeszcze cośkolwiek warci: Borowskiego, Jelsky'ego, ciebie...

I jakby unikając wzroku Mullera, odwrócił się nagle i cofnął ku oknu. Ten aż

przechylał się na kanapie, wpijając się w niego spojrzeniem już tylko zdumionym. Niebawem wszakże odgarnął jakby swe podejrzenia na bok i chcąc wy badać ostatecznie, spytał:

— Więc tkwią przecie w tej pogardzonej przez ciebie sztuce jakieś szlachetniejsze, trwalsze pierwiastki, wartości wieczne...?

— Udzielające się na detal — wpadł mu twardo w słowa — za jarmarczne ceny powodzenia.

— Więc są jednak wieczne wartości?!

— Te nie udzielają się ani za jarmarczne, ani za żadne inne ceny. One, jeśli się w człowieku rodzą, w nim też i pozostają. Dla nich nie ma wyrazu. One są milczeniem: jak Bóg, jak fatum!...

Mullerowi iskrzyły się już tylko oczy. O nic już nie pytał, na nic odpowiadać nie zamierzał. „A więc taak?...” — pomyślał wreszcie i zapaliwszy papierosa spoglądał ze swego kąta na kanapie, spoza obłocznego dymu chmurnie i ponuro. „A więc już tam?... Oto na co ty mi czekać kazałeś!” .

— Słuchaj, Henryku — zapytał nagle, jakby chcąc się utwierdzić w swych domysłach — te odrzwia dębowe pod czarną pieczęcią we wnęce muru — tam — w twojej bibliotece?...

— Zerwałem pieczęcie! — dokończył Hertenstein w głębokim serdecznym przydechu.

19 — Próchno

289

Tym razem obaj nadśluchiwać poczęli. Bo oto w cichą ulicę wpadł nagle prędko i donośny tętent, potoczył się lekko powóz, za nim drugi: oba zatrzymały się tuż pod oknem.

Hertenstein przepłoszył się i zapomniawszy nagle o wszystkim, zakrzętał się gorączkowo koło stołu.

— Zostań! — krzyknął. — Od dwóch dni ona tu jest — rzekł wreszcie z trudem... — Nie, zostań!... Po pięciu latach po raz pierwszy... przedwczoraj. Dlatego to wszystko tak żyje w myślach... Dlatego wczoraj między was uciekłem, dlatego opowiadałem dziś... I dlatego to wszystko o koniec swój dopomina się natrętnie.

Po chwili, unikając wzroku Mullera:

— Na koncerty swe przyjechała... Dotychczas omijała to miasto. W Ameryce przeważnie... Dziś tutaj śpiewała Odwożę.

Jakoż, nagłym, prawie melodyjnym i lekkim truchtem zadudniło znowuż na brukach. Jeszcze jeden, tuż za nim drugi powóz.

Muller z trudem przenosił uwagę w tamtą stronę. Tarł oczy dłońmi, spoglądał na portret na ścianie, to znów na bladą twarz Hertensteina. I gdy z ulicy dochodzić już poczęła wrzawa, jemu przyniósł przekorny zwrot myśli te słowa Leopardiego:

I być tylko cieniem,

Którego skrzydła anielskie unoszą

Między nicością i grobów marzeniem...

I kobieta, myśl o niej, wydała mu się w tej chwili czymś brutalnym.

— Może zechce zająć tutaj — mówił tymczasem Hertenstein odzyskując widocznie spokój. — Na pewno nawet... O mnie milcz... Zresztą, wszystko dawno już

zapomniane: czas pogrzebał. Ci, co żywi z daleka od życia s'°j^» jadą najszybciej: umierają nawet w sercach naj-

290

bliższych. Uczucia ludzkie podlegają nieczystym prawom ruchu. Wiedzą a tym ci, co pragną pozostać w serdecznej pamięci kobiety lub tłumu... Słuchaj! Jada.

Z tych bezładnych okólników wnioskował Muller, że Hertensteinowi zapomniano tam więcej, niżli zapomnieć należało, że pogrzebano nawet te wielkie pokładane w nim nadzieje i że stosunek obojga czas zmienić musiał znacznie.

Na dworze stało kilka karet i powozów. Konie parskały bijąc niecierpliwie kopytami o bruki. Słysząc było głośną rozmowę.

— Ona! — szepnął jeszcze Hertenstein.

Krzyk, wrzawa, jakiś rojny tumult wypełnił nagle ciemną ulicę, jakby cały gwar miasta buchnął nagle w te zaciszne strony.

— Konie wyprzęgli — tłumaczył Hertenstein — wiozą... Młodzież.

Jeszcze dwa, trzy powozy — nagle cisza — skrzyp otwieranej bramy i...

Z kilkudziesięciu piersi okrzyk jeden, co echem potężnym we wszystkie okna uderzył, zaszeleścił liśćmi na drzewach.

— Brawo!... Brawo!... Niech żyje... Zostać u nas, nie wyjeżdżać... Zostać!... Wiwat!

Zaś im w pokoju rozjaśniały się bezwiednie chmurne twarze, krew jakby uderzała do głowy, rozchyłały się nozdrza: wdychali to zawrotne tchnienie, co trupa nawet zgalwanizować potrafi. Mullerowi zadrgało coś nawet koło policzków, oczy poczęły mrugać migotliwie i łza drobną, krętą strugą przewinęła się po twarzy. I być tylko cieniem

Między nicością a grobów marzeniem?... A tam za oknem bezładne klaskania w ręce, rojenie się tłumne, krzykliwe i uparte. Ponad tym to parskanie koni i granie podków na brukach.

291

77

Wreszcie jeszcze jedno, tym razem opętane już wprost zerwanie się krzyku, przecięte mocnym zatrzaśnięciem się wrót. Ruszyły konie, potoczyły się powozy. A tłum się rozsypał.

Muller niedobrze wiedział, co potem było. Za chwilę uchylły się drzwi: jakiś człowiek wniósł olbrzymi ciemny wieniec, inni nieśli kosze, bukiety, kwietne liry, rzucali całe stosy luźnych wiązanek. I wraz z tą pełną, odurzającą wonią i barwnymi tęczkami kwiatów weszła do pokoju jakaś jasność, blask, przepych, oraz to duszne, zawrotne tchnienie władzy i tryumfu.

Muller kłaniał się, głowę chylił. „ONA — sztuka!” — przynosiło mu wspomnienie. Ave Regina! — szeptały niedosłyszalnie drżące wargi.

Rojna i gwarna, korna i władna — fama królewska!... Czuć ją było tu naokół. Wraz z przepychem kwietnych woni nasyciała pokój wciąż jeszcze tym szalejącym upojeniem tryumfu. Obaj widzieli niemal tę salę, w morzu światła jaskrawą, od barwnych tłumów rojną, słyszeli przyśpieszone serc bicia, tłumione oddechy; czuli prawie te z setek serc ludzkich wydarte uczucia, co rojem białych ptaków łopocą się po sali. I w tę wsłuchiwali się chwilę, kiedy ta cisza łamie się w nagłym okrzyku gromadnej duszy: w grzmocie, w huraganie oklasków... W oczach iskrzyły im się

tylko tęcze kwiatów, co po brzegi wypełniły pokój: mieniły się purpurowe, żółte, białe plamy, wirowały, zda się, te wielkie ciemne koła laurowych wieńców, snuły się, jak węże, czerwone ich wstęgi. I zdawało się niemal, że te kwiaty niby barwne puchy sypią się i sypią bezszelestnie; że te wstęgi biją się wichrowo i fale ich mącą się jako zwycięskie sztandary.

Wielkiej artystce! — odczytywali złotymi zgłoskami na tych purpurowych wstęgach. Ona tymczasem kazała bratu zdjąć sobie z ramion białą pelerynę i wyczerpana rzuciła się w głąb fotelu.

— Zlituj się, Henryku, wyjdź tam, do tych, którzy się jeszcze naprzykrzają.

Podziękuj już zimno tylko i powiedz, że... że jestem nieżywa — zaśmiała się nagle.

— Kwiatów tu nadsyłanych nie pozwól przyjmować. Dosyć tego! Basta!... Nie mogę. Jej jasne suknie, o tym delikrtnym tchnieniu zimowi-towego fioletu, wchłonęły, zda się, w siebie połyskliwą jas-

ność i blask koncertowej sali. Bujny biust, od martwej, sinej bieli pereł na szyi, zdawał się tym bielszy, tym jędrniejszy, tym większym pulsujący życiem. Głęboki ton mahoniowych włosów złocił się i mienił w błyskawicznych refleksach od brylantowego diademu. Promieniała jasnością.

I tak na wpół leżąc w niskim fotelu, uśmiechała się przelotnie do nich obu, ale tym uśmiechem z estrady: odruchowym i zimnym. Zmęczona była.

Pierś jej falowała jeszcze miękko, pulsowały nozdrza. W czarnych głębiach oczu iskry podniecenia wciąż jeszcze gasnąć nie chciały. Po twarzy przemykały się raz po raz błędne płomyki rozkosznego upojenia. Uśmiech igrał na ustach, gasł i znowuż się wysilał: raz wesoły i psotny, to znów smutny, wreszcie dziwnie rozmarzony. Wargi, tą pulsującą krwią nabiegłe i żywe, omiękły jakby i zwilgotniały: senne, znużone, upojenia pełne, oczekiwały zda się na pocałunek — pocałunek od tłumu.

Śnieżne ramię wyśliznęło się jak giętki wąż z długiej rękawiczki. Rękawiczka ta usunęła się niebawem na ziemię. Hertenstein schylił się po nią machinalnie i zatrzymał w swych dłoniach. Uśmiechnęła się doń znowuż tym błędnym, zdawkowym uśmiechem z estrady.

— Zapomnij już! — rzekł jej niechętnie.

— O tym koncercie?... Ah, już bym sama pragnęła! Chciałabym już teraz o wszystkim zapomnieć, wtulić się gdzieś w kącik jak dziecko...

I przegiąwszy z lekka szyję, przyłgnęła twarzą do miękkiego oparcia fotelu; przymrużyła nawet oczy.

— Ale! — ocknęła się wnet i rozpromieniała nagle — po pierwszej części rozkazano mi na górę — do łoży.

— Był kto? — pytał Hertenstein niedbale.

— Sami! — dorzuciła z naciskiem.

294

— A?...

Rozkołysała bieguny fotelu i patrząc gdzieś w sufit, opowiadała śpiewnym, niedbałym, nieco drwiącym głosem:

— Zostałam miłościwie pochwalona za uczucie i inteligencję.

— Pa! — sarknął.

— Niby przez nią — mówiła przeciągle, patrząc wciąż gdzieś w sufit. — Słyszano

już mnie gdzie indziej... W Tristanie i Izoldzie. Mam być nieporównaną: inattainable.

— A on?

— Znacznie wytworniej. Wplatał swe pochwały w rozmowę. Prowadził ją przy tym tak, że nie potrzebowałam ani razu dygnać. O, to dyganie jest rozpaczliwe! — zaśmiała się nagle głośno i dźwięcznie. — Życzył sobie, abym pozostała na stałe w tutejszym teatrze. Równa się to rozkazowi dla mnie i dla intendentury. To też intendent dziś jeszcze tutaj napastować mnie chciał...

Hertenstein powstał gwałtownie i odsunął energicznie krzesło.

— Henryk — szepnęła i uniosła cokolwiek rękę, jakby chcąc go po włosach musnąć, gdy się do tej dłoni pochyli. A że czekała daremnie:

— Nie bądź taki sztywny!... Widzisz, oni mnie tam swymi hołdami zawsze rozkapryszą. Boję się potem jak dziecko każdej surowej twarzy... A wiesz — uniosła się nieco, przytuliła na chwilę twarz do jego ramienia — mimo zakazu (nie gniewaj się!) — mimo zakazu śpiewałam aż trzy wasze...

Rzucił ramionami.

— Po co?

— No, ludzie szaleli po prostu! Dziennikarze nagabywali mnie aż tutaj w bramie. On się nawet zainteresował: czyja melodia, czyje słowa.

— Powiedz to jemu — Hertenstein wskazał na Mullera.

295

Zdumienie radosne, uśmiech i uprzejme skinienie głową w jego stronę. Sięgnęła do najbliższego kosza kwiatów: wyjąwszy jakąś białą różę, podała mu ją. — Za Łabędzia — rzekła.

Müller splonął w jednej chwili, bąknął coś, uklonił się i cofnął się czym prędzej na swoje miejsce, czując, że koło oczu znów mu coś drgać poczyna.

Ona zaś, kołysząc się dalej na fotelu, powróciła do swojej opowieści.

— Rozmawiał ze mną przez cały antrakt. Jest nadzwyczaj ujmujący w swej na pół wojskowej manierze.

— Ah! Że też ty do takich rzeczy przywiązujesz tyle wagi!

Müller powiódł tymczasem okiem po stosach kwiatów naokół, po laurowych wieńcach i wstęgach czerwonych; spojrzął na swój kwiat i głowę zwiesił. „Tyle tylko ze mnie, tyle z nas w tym wszystkim”.

— Kim jest tu u was baron Farnsberg? — usłyszał tymczasem.

— Bankierem — odparł przypomniawszy sobie to nazwisko.

— Nie wygląda... Bardzo dystyngowany. I wykwintny znawca sztuki. Ogromnie zachwycony pańskim Łabędziem... Łabędzia musiałam bisować dwukrotnie.

Müller skubał tylko w rękę swój blady kwiat.

— Ah, tak? — rzekł niedbale i poprawił swe roztargnienie natychmiast uprzejmym uśmiechem. A potem darł już tylko i prosił te blade różane płatki. „Tyle nas w tym wszystkim” — powtórzył w myślach.

Kołysała się przez chwilę na fotelu, a potem jakby zdziwiona ciszą, lub może tym, że żaden wzrok na niej nie spoczywał, zatrzymała bieguny i rzuciła na obu czujne wejrzenie.

— Wiesz, Henryk — rzekła mimochodem — taka dzi-296

wna, prawie niepokojąca jest ta cisza u ciebie. Dlaczego ty tak daleko od miasta

mieszkasz?

— Dla ciszy — rzekł spokojnie.

Zastanowiły ją poważne, prawie zimne ich twarze. W jakimś przegięciu czy w zamiarze powstania zaskoczyła ją nagle zaduma. Niecierpliwym ruchem dłoni strzepnęła ją sobie z czoła, skoczyła z fotelu i zaszeleściła suknią.

— Zaśpiewam wam po prostu coś!... Nie słyszeliście przecie jeszcze, jak wasze rzeczy śpiewam. To dziwne — zamyśliła się znowuż — jak wy wszyscy obojętni jesteście dla swoich... No, Henryk uważa, przypuśćmy, koncerty za rzecz szatańską, ale pan?

I już do fortepianu zasiadając przerwała swe pytanie pasażem.

— Przepraszam cię? — przycichła natychmiast i pochyliła ucho.

— Nic ważnego. Chciałem ci tylko powiedzieć, że kwiatów żal. Po owoc może sięgać każdy.

— Nawet ja — dokończyła ostro, jakby zadrażniona tymi słowami. — Kwiatów — dodała wnet potem, oglądając się po pokoju — Boże, jakie ich mnóstwo jednak!... Kwiatów żal dlatego, że więdną, że tak szybko nieraz więdną, Henryk. Im szlachetniejsze...

Dłonie jej, muskające klawisze, osunęły się z klawiatury, poprzeczne zmarszczki ściągnęły nagle czoło. Po chwili ocknęła się niespokojnie:

— Co to jest?!

— Wiatr.

— Boże, jaka tu cisza! Jak w grobie. I znowuż zamilkła.

— Henryku?

— Słucham. m

— Zasluguję na pochwałę! Już zaczynam zapominać o koncercie i o tym wszystkim. Już idzie smutek, wracają wspomnienia, czuję jakby zawód... (Dziwna rzecz, że po tych tryumfach czuje się zawsze jakby zawód). Idzie pustka...

— I?

— Pojutrze dam drugi koncert. Na złość tobie. Ja żyć chcę!

I rzuciwszy dłonie na klawisze, przebiegła po nich z brawurą. Urwała, spróbowała następnie melodię, zmąciła ją pasażem i poprzez ramię obejrzała się na Mullera. Jemu serce zabiło przy pierwszych taktach tej melodii, a gdy jej głos usłyszał, zbladł i mimo woli dłonią po czole powiódł, jakby niechętnie poddając się tamtym wspomnieniom.

Bo zdawało mu się, że to dalekie rozlewne echo młodych wspomnień przynosi mu hen z bezkresnej dali jesiennych odlotów całą głębią serdecznego żalu to wezwanie ostatnie:

Łabędziu mój, z tęskncty mórż Polotem twym daj Biży znak, Ty, białych marzeń błędny ptak, O, dolę, dolę moją wróż!...

Obejrzała się na niego. I nie myliła się. Głębokie, jakby żółtym płomieniem świecące oczy suchotnika wpijały się w nią chciwie i zazdrośnie, ssąc jakby z niej siłę, zdrowie, radość i dumę życia. Przykuwała ją do siebie, wtapiała się w oczy, obezwładniała niemal ta smukła, dziwnie blada, jakby zielonawo fosforyzująca twarz, niby maska śmierci przeczutej i jeszcze nieświadomej, ten złoty błysk wielkich

oczku pod płową czupryną obfitych włosów. Nagle skłóciło się coś w tym spojzeniu: wzrok musnął jej włosy, ślizgał się po szyi, pieścił biust odkryty, głaskał ramiona i przepłoszony jej zamiarem powstania, przyłgnął kornie do rąk.

Zerwał się i chwytając gorączkowo kwiaty, rzucał je garściami pod jej nogi.

— Za to echo z młodości — szeptał. — Za tę sekundę sztuki.

598

Uśmiech rozjaśnił jej twarz, zrazu otwarty i szczery, ale wnet smutkiem jakby owiany, na pół senny i rozmarzony, jak wówczas, gdy weszła do pokoju.

— Napisze pan co dla mnie?

— Tak! — krzyknął krótko.

Ale ten złoty połysk coraz to szerszych oczu zaniepokoił ją bezwiednie. Powstała, zaszeleściła suknią i ten czarny prawie, pąsowy kwiat zerwała sobie spod biustu i rzuciła

nan.

Nucąc jeszcze z cicha, przeginała się lekko w tył, gdy Muller zarzucał pelerynę na jej śnieżne ramiona.

A potem tuląc się pieściwie w te białe puchy kołnierza:

— Dobranoc, Henryku — rzekła śpiwnie, a głos jej zafalował w podnieceniu.

Hertenstein stał w niszy okiennej i patrzył w noc ciemną na dworzu.

— Życzę ci snów tłumnych i gwarnych. Bądź szczęśliwą nawet w snach.

Chart wybiegł za nią do dalszych pokojów, zawrócił jednak natychmiast i stanął na progu jakby zdumiony: oglądał się niespokojnie za odchodzącą, to znów na pana swego spozierał. Wreszcie szczechnął niecierpliwie, śmignął jak strzała w ciemne pokoje; tam się na posadzkach pośliznął i obalił w biegu, aby za chwilę znów się na progu ukazać. Spoglądając to na pana swego, to na Mullera, skamieniał w tym ruchu zdumienia; stał we drzwiach, na ciemnym tle wnętrza, jak biały posąg: wysmukły, giętki, czujny.

Zapatrzył się w ten kwiat. I zdawało mu się, że przy tej pąsowej, prawie czarnej, puszystej róży faluje jeszcze miękko jej pierś, to znów, że przy tym kwiecie bieleje jak śnieg ta biała duża dłoń, co mu tę różę w oczy rzuciła. Obejrzał się naokół i oczy wszędzie natrafiały na kwiaty.

299

I

Czerwień, biel, fiolet i błękit snuły się i migotały mu w oczach jak barwne smugi. A na tle tej tęczowej przędzy wielkie, prawie czarne koła laurowych liści z czerwonymi szarfami. Wielkiej artystce — odczytywał po raz setny.

„ONA — sztuka” — myślał otumaniony duszną wonią tych kwiatów.

— Henryk! — zawołał nagle — jakieś ty mógł ją widzieć taką?

Tamten powrócił powoli do stołu.

— Jakem ją mógł wówczas inaczej sobie przedstawiać niż ty teraz? Wówczas nie była igraszką życiowego wiru. Była na zamku, w ciszy i skupieniu tamtego świata. Zresztą każda rzecz kształt swój i imię, a więc i byt, zawdzięcza nam tylko. Każda rzecz jest wieloraką zależnie od chwili i od oczu, jakie na nią patrzą. Jak ją widziałem, taką być musiała; tym pewniej, im bardziej odmienną wydaje się tobie teraz.

Muller miał ochotę wzruszyć ramionami. Ściągnął wszakże tylko brwi i spojrzał nań ciekawie. „Aha!” — pomyślał.

— Tu pozostaje! — zawołał nagle Hertenstein i zaśmiał się niespodzianie po raz pierwszy tego wieczora. — Słyszałeś? Dwór, bankier, tłum... ONA — sztuka! Tak było zawsze na świecie! I tak pozostanie. A tę pajęczynę z myśli zerwij — kończył wyjmując mu z ręki kwiat.

I gestem dłoni uprzedzając jego protest, nakazywał milczenie czy też cierpliwość. Poszedł w głąb i powrócił niebawem ze starą księgą okutą w klamry stalowe.

— Słuchaj.

Muller spochmurniał nagle i cofnął się w swój kąt na kanapie: przypomniał sobie, co było przedtem, zanim ona tu weszła. Ujrzał we wspomnieniu tę białą szklaną rurkę, jaką pokazywał mu Hertenstein, i zdawało mu się, że

300

te spłowiałe karty, te ponure szeregi czarnych liter przyciska śmierć kościstą dłonią.

— Łatwo przewidzieć, co tam będzie — wycedził mimo to ze złością i akcentując lekceważenie, sięgnął niedbale po papierosa. — Żądze, grzechy, skrucha, serce... jak zwykle u proroków i u ich zbankrutowanych na kulturze apostołów.

— Nie skrucha, lecz myśl! — zapłonął się nagle Hertenstein i uderzył dłonią w książkę, aż grzybniowa próchnia dymem uderzyła w górę. — I nie serce, lecz głowa! Sercem ciemnej drogi życia sobie nie oświecisz... Głosy serca to tylko bezradny spazm dławiącego się egoizmu; wola zna cenę tego spazmu i gardzi nim. Głos serca to tkliwy flet żądz, którym nawet namiętność dziś już gardzi. Głos serca to pokutny płaszcz trwogi — trwogi przed karą. Serce to skorupa fałszu, to obłudna broń pocziwej głupoty... Nic we mnie takiej odrazy nie wzbudza, jak „dobre serce”. Niedoleźny i sobie nie ufający egoizm czai się z pętami, a że własnym siłom nie ufa, wabi i roztkliwia ofiarę fletem serdecznym. Wszystkie małe i stare dzieci bez charakteru mają pocziwe serca. Przenieś twą dobroć do głowy; spraw, by twoja i cudza wola ufać w nią mogła!

— Czytaj! — krzyknął wobec tego Müller.

— Serce zawlokło cię pod nogi kobiet, serce twą głowę pod stopy im kładło. Reszty dokonała nieczysta myśl kobiety: zrodziła niesyte żądze. I takeś ty zmarniał.

— Czytaj! — powtórzył Müller.

— Słuchaj — rzekł głucho. I roztworzył księgę.

— „Dzikiego tygrysa paszcza, kata topór ostry mniejsze zło mężczyźnie czyni, niżli ducha jego z kobietą obcowanie. Kobieta, czy gdy mówi, czy gdy milczy, gdy idzie, stoi, siedzi, leży, ponętą członków tylko nęci, wdziękiem ciała wabi, pięknem postaci poty w myśli się wpieszcza, póki w piersi nie sięgnie i mocnym sercem nie zatarga.

301

Łez smutek, uśmiechu powab, bioder niedbale przegięcie, ramion lekkie ułożenie, włosów uplot kapryśny, pieściwy wdzięk miękkiego konturu i kształtów przepych bogaty: z ogłupionym mężczyzną gawędzi rozkosznie kobieta.

Gdy serce mężczyzny wdzięki kobiety rozgrzeją, gdy oczy piękno jej osłepi, zaciemnia się myśl jego. I oto jeszcze jeden duch wstąpił na mroczne drogi kłęski. Przeto brońcie się, którzy bronić się pragniecie. Myśli wasze niech tarcza chroni godności, po łuk sięgajcie dzielności odpornej, na czole prawego myślenia hełm, w

dłoniach prawej mądrości ostre dzierżcie strzały. A dobrze mi łuku targajcie cięciwę! I, dumni, na pięć dróg zmysłów waszych dostępu jej brońcie!"

Muller w pierwszej chwili wpijał się chciwie w tę czerń liter gotyckich na żółtym pergaminie. Teraz wydał wargi:

— Dalej! — dopominał się krótko. — Więc taką świętością stała się dla ciebie — książka? Daruj, ale jest w tym pewien smętek w dzisiejszych czasach. Książka jest dziś jak prostytutka: każdy, co ją kupi, rekomenduje ją przyjacielom, gdy wszystkim jego wymaganiom dogodzi. W przeciwnym razie piwa na nią najbezkarniej w świecie. A więc książka jak świętość...? — wzruszył ramionami. — Zresztą słucham. — Widzisz — odparł Hertenstein wymijająco. — Kiedyś byłem jak ty. W „złe wiry” wielkowiejskie rzuciła mnie gonitwa za tą sztuką waszą. Miotany nimi, szukałem samego siebie w obcym życiu, w cudzych światach. Me uczucia, pragnienia, myśli, otoczenia mego technienie, powietrze, jakim oddychałem, wszystko to mówiło: czerp i chłoń z życia jak najwięcej i przetrawiaj to w sobie jak najgłębiej, aby siebie zwielokrotnić. Wnikaj w siebie, nurzaj się myślą nawet w namiętnościach, rzucaj się w otchłań najciemniejszych uczuć, ale doładź z siebie wszystko. Wzywaj się, wmyślaj, wgłębiaj w samego siebie!

Róź się, przeradzaj, rzeźb, cyzeluj siebie! Współczucia zbądź, stań się sobą dla siebie, pokonaj człowieka w sobie — Bogiem bądź sobie!...

I patrz! — wyrzucił mnie przecie ten wir tam w narożnicę kamienną. I tam, pod białym wejrzeniem podniebego lodowca, otwieram tę książkę... Cisza zasłuchania, była wtedy naokół, tylko wody szemrały głucho swą odwieczną legendę o czasie.

„Zapomnij o samym sobie i o wszelkiej ku temu przyczynie!"

Nie pochodnią, błyskawicą jasną były mi te słowa.

„Duch widzi wszystko w wiecznej przemianie i bez trwania. Myśli tej 'ja sam' czepia się tylko ciemny. Mędrzec widzi, że we wszechświecie ruchu nie ma przyczyny dla tego pojęcia". I ty się dziwisz, że mi ta książka nowym zwiastowaniem była?

Czytałem: „Nie dość stłumić zmysłów pożądania wszelkie. Zarobek twego 'ja' stłum, zniewól i zabij go w sobie"...

— Co ty...?! — Muller zerwał się na równe nogi. — Oszalałeś?...

— „Twe 'ja' zniszcz!" — przybił Hertenstein jak ciężkim młotem. — „Oto jest iskra, co w popiele drzemie; oto w twej duszy płonące zarzewie, pożar utajony i wicher drzemiący. — Zabij twe 'ja' w sobie!"

Muller wcisnął obie ręce w kieszenie i patrzył na niego osłupiałym wzrokiem.

— Pojąłem! bo nie przez ciała zetknięcie, nie przez krwi burze zapanowała ona nad duchem moim. Droga wyobraźni wkroczyła kłęską w życie me. I splotła się z każdą mą myślą, pragnieniem, czuciem wszelkim, wsiąkła w najtajniejsze głębie, wchłonęła się w całość ciała i ducha, legła widnokregiem wokół świata mego. Przetopiła 'ja' moje, wsiąkła w nie, zrosła się z nim. A ja, nieświadomy, lata całe pracowałem nad tym, aby siebie zwielokrotnić, roz-

302

303

szerzyć, pogłębić, by wszystko, co poza nim, usunąć precz, sobą stać się dla siebie, człowieka w sobie zmóc — Bogiem stać się dla siebie. I tak oto rozszerzałem, pogłębiałem, zwielokrotniałem tęsknotę moją: żądz mych kłęską Bogiem sobie

uczyniłem...

Muller parsknął już tylko złym śmiechem, zerwał się i deptając kwiaty, rozrzucając na wszystkie strony ogarki od papierosów, chodził wielkimi krokami po pokoju. Gdy przystąpił doń, aby mu przerwać, Hertenstein schwycił go kleszczowo za ramię. — Słuchaj! — krzyknął i drżącymi rękoma przerzucał pośpiesznie kartki. Wreszcie znalazł: przypadł, przyległ do książki.

— „Wyklnij z ducha twego wszelkie myśli o 'samym sobie'. One cień rzucają na twe najwyższe wzloty, na śnieżne wyniosłości najczystszych chwil życia twego; są jako chmur okłębny, co ci słońce przysyłają. Obojętnością i dumą zaskorupią-c serce, rozdmuchają do potworności każdy drobiazg twych upodobań i niechęci, rozwiemożnią żądz twych chciwe ogromy, troską czoło zryją, najsilniejszą wolę podkopią i zniszczą. Jako młody pąk chłonie chciwie z nieczystych soków ziemi ten jad, co rozkład chorób i wędnienie czyni, tako twój duch wzrasta, krzepnie i tężeje myślą o 'samym sobie'. Rozkład chorób i wędnienie jest w tobie. Patrz, jak w twych oczach kurczy się ziemia: jak maleje zasługa, nikczemnieje cnota, jak karleje czyn. To samoprzeceniania żalosne owoce! W ciele tkwiący pąk ducha twego, samopoczucie tve, karmiłeś złudą o 'samym sobie' i jadem samoprzeceniania. Rozkład chorób i wędnienie jest w tobie. A naokół ciebie ludzkiej woli śmierć!...”

Pojąłem!

Muller podniósł się ciężko i oburącz twarz wycierał, jakby ciężar otumanienia spędzając daremnie z myśli.

— I cóżeś ty pojął?!...

— Że nie dość stłumić zmysłów wszelkie pożądania. 304

:

Tę kunsztowną czarę marzeń pragnień, doświadczeń, drgnień najczulszych, całej odrębności czucia i myślenia mego — należy strzaskać o pierwszy kamień przydrożny! Spaliłem wszystko, co się z ducha mego spalić dało: wszystkie me ułamkowe utwory i kompozycje.

Muller z drugiego końca pokoju rzucił się wprost ku niemu.

— Go ty...!?

Lecz Hertenstein dokończył z niezmaconym spokojem:

— Wyjąłem struny z fortepianu mego.

Muller uderzył w stół kułakiem, aż czarki wina zachwiały się i potoczyły na ziemię. Ale widząc blade, ponury spokój na jego twarzy, zamachał tylko rozpacznie rękoma i, jakby na wszystko już przygotowany, rzucił się w głąb kanapy i wcisnął ręce w kieszenie.

— Mów! — wołał niecierpliwie. •

— I widzisz, daremnie to wszystko uczyniłem. Daremnie koła mnie cisza, daremnie wody o wieczności szemrały, daremnie uśmiechał się do mnie lodowiec, bo — patrz!

— oto uciekłem z zamku i puściłem się po Europie jej śladem, aby unikając spotkania z nią, chociaż raz na scenie ją zobaczyć. A kiedy ją tam ujrzałem w brylantowych błyskach światła jasną, w tęczach barw promienną, dumną, silną, tłumami władającą; kiedy ta boska potęga jej głosu zagrała jak na tysiącostrunnej harfie na każdym włóknie ciała mego — to mi się wtedy duch z ciała wyzwalał i, bezwiedny, nieważki, swej pracy nieświadomy, snuł nieskończoną melodię smutku,

tę przedzę mej sztuki cudowną... A jam przez te lata całe tak niewiele z siebie dobyć potrafił; za ledwie w chwilach najcięższych wyrzutów za swą bezpłodność zdołałem wymozolić z siebie ułamkowy, blady fragment... I oto, czego nie mogła praca, to stawało się nagle igraszką ducha bezwiedną: wyklęte żądź moich tęsknotą tryskało nagle obfitym źródłem czarów...

I daremnie powróciłem na zamek. Daremnie koła mnie

20 — Próchno

305

cisza, daremnie wody o wieczności gadały, daremnie uśmiechał się. biały lodowiec — bo oto świat cały zadyszał mi życiem, zaśpiewał pieśnią, rozegrał się w hejnał uroczysty, rozjęczał i rozdzwonił się w pogrzebowym Requiem... I daremnie wyjąłem struny — bo oto, myśląc o niej — słuchaj, Müller! — myśląc o niej — grałem na niemych klawiszach!...

Müller czuł, jak mu czoło chłodnie i krew spływa od głowy. Podniósł oczy: nad nim pochylała się twarz męczennika. Po śnieżnym, prześwieconym obliczu Hertensteina ociekał strugami pot, niby spod cierniowej korony wąskie strugi krwi!

Po czym zasiadł nad książką i wsparłszy głowę na łokciach zapatrzył się błędnie w te żalobne szeregi grubych, gotyckich liter; twarz jakby zaskrzepła, skamieniała w spokoju. Müller, siedząc naprzeciw, wciskał podbródek w splecione dłonie: czekał. — Mów! — zaniepokoił się nagle i targnął go za ramię.

— Potem przyszło to, co przyjść musiało — zaczął nie odrywając oczu od żółtych kart. — Zgasły zorze i siny chłód rozlał się po szczytach. Przycichła ta muzyka we mnie, opadł duch i zamarł świat cały. Tylko to rozbudzone tętno życia burzyło się gorączkowym pulsem i tylko te poruszone trzęsawiska namiętności ziały trującym oddechem, warząc resztę myśli i pragnień innych. Tak oto po raz ostatni zwielokrotniłem, pogłębiłem i rozszerzyłem żądź moich tęsknotę. I była pustka tylko i znużenie okropne — w sercu, w myślach: wielki, szary smutek głodnego ciała.

Duch mój stał się wrzodem ciała, a myśl ropą jego krwi zburzonej.

Zważ i ty to sobie: te natchnienia z rąk kobiet zawsze tak się kończą.

— Widzisz — zaczął znów po chwili i uniósłszy teraz

dopiero głowę, wskazywał gdzieś przed siebie ramieniem — tam po drugiej stronie zamku, w ocalałym jeszcze jodłowym lesie... Stoją tam drzewa dziwnie kurczowo powykręcane, pełne kłębiastych guzów, grubych narośli, na pół suche, spróchniałe i brodate. Tam dnie całe spędzałem stąpając po głębokim dywanie zielonego aksamitu: takim szczelnym kobiercem pokrywał mech śliskie głązy podłoża. W tej cmentarnej głuszy drzemały tylko na gałęziach rude sowy, tak leniwe i harde, że gdym się zbliżał, puszyły tylko pióra na łbie i przewracały kołem te zielenawe, płonące białka na wpukłonej i w piersiach ukrytej twarzy. Wężę oślizłymi pęczyskami oplatały wyważone z ziemi korzenie; po dwa, po sześć, w siebie lubieżnie wplątane i senne. Te płoszyły się za każdym moim krokiem i wszczynały naokół obrzydliwe gadzie szelesty wilgotnych grobów. Czasami droga wiodła przez wykrot: w zawieruchę suchych konarów i gałęzi, w kłęby kurczowo sterczących korzeni powplątywały się całe pęki i warkocze rudych i siwych wiedźmowych włosów. Stąpiłeś nogą na pień, i wnet pień, konary i gałęzie prysły ci pod stopą rzucając w górę dymne kłęby rudej, grzybiej kurzawy: próchno!...

Takim był świat mój konający, takim duch mój młody.

I patrz! — z tej piwnicznej ciemni wywiodła mnie myśl w bezkresną jasność śnieżnych szczytów. Wiedziałem drogę moją...

— I cóżeś ty wiedział? — pytał Muller czym prędzej, śledząc każde drgnienie na jego twarzy. A podbródek w splecione dłonie wciąż wtlaczał i chłodził nimi policzki.

— Wiedziałem, jak cierpienia wszystkie korzenie wyplenić można...

— No? — zgrzytnął Muller podejrzliwie.

— Prawą i głęboką myślą, rozważą nad czterema prawdami najwyższej nauki.

I Hertenstein w szczególnym skupieniu obliczał na pal-

306

307

m

cach, jakby bojąc się zmylić lub opuścić cokolwiek. Mówił przy tym sucho, twardo, jak rzecz po tysiąc razy powtarzaną w myślach:

— O bycie cierpienia,

o przyczynie jego trwania, to jest, o niemożebności

zadowolenia swego „ja”, o możliwości usunięcia cierpienia, o drogach wiodących do tego. Muller powstał powoli i przeżył ramiona, chcąc tym fizycznym wysiłkiem spędzić jakieś odrętwienie z ciała i ducha.

— To jest gra na niemych klawiszach! — krzyknął wreszcie i sięgnął nerwowo po papierosa. — Tyś to wszystko wygrać był powinien: i twe wzloty, i twój upadek, i te namiętności, i ten bór wiedźmowy... To zresztą w muzyce tkwi: te ogromy nieogarniętych namiętności, ta bezdenna głąb tęsknot aż po istotę bólu, do absolutu duchowego życia... Tyś powinien był to wszystko wygrać, w dźwięk zamknąć, a nie w słowa, nie w myśli, bo się nimi jak w sieci uwikłasz... To jest gra na niemych klawiszach!

— Ty z boru nie wyjdiesz nigdy — mruknął Hertenstein.

A na dalsze jego słowa uśmiechał się tylko blado: zdawało się, że słyszy tylko dalekie echo jakiegoś wołania,

O które nie dba. Pochylał się miarowo, kołysał prawie

I mrużąc oczy odliczał raz jeszcze na palcach, jakby na swój tylko użytek, sobie na powtórzenie:

— O bycie cierpienia,

o przyczynie jego trwania, o możliwości usunięcia cierpienia, o drogach wiodących do wyzwolenia się z jarzma cierpień.

Rozważać te cztery prawdy najwyższej nauki, znaczy

wstępować na szczyty wszelkiej wiedzy, znaczy istotę bólu poznawać, znaczy ostatnią przyczynę bytu znosić...

Przysiadł się do niego na kanapę i ścisnął mocno jego ręce w kostkach, powyżej dłoni, jakby w obawie, żeby mu się znów nie wymknął. Na rozpalonej wypiekami k°s~ cistej twarzy suchotnika nie drgnął ani jeden mięsień: zasłuchał się, zapatrzył na niego. W oczach żarzyła się ciekawość, błysnęła chwilami zła ironia, to znów rodziła się w nich niepewność, podejrzenie, lęk.

A Hertenstein pouczał:

— ...Ta rozpaczliwa niemożność zadowolenia swego „ja” zawsze i wszędzie, w każdej chwili życia, ta roztwie-rająca się zawsze głodna i ponura pustka! Jeśli w twym ciele resztki ducha się kołaczą, to przecież one muszą postawić ci przed oczyma cel życia w całej jego grozie! I im dalej w życie, tym natrętniej. Bo nieprawdą jest, jakoby dogodzenie pożądanemu, dokończenie upragnionych zamierzeń gasiło je; ono wzmaga tylko i syci nasze chęci. A w miarę jak się zwiększają nasze pragnienia i zamiary, zmniejszają się środki ku ich zadowoleniu. To jest najstraszniejsze, najbardziej bezlitosne prawo życia! Podlegają mu wszystkie żądze, pragnienia i chęci w świecie materialnym — wszystkie bez wyjątku!

— Więc? — mruknął Muller ponuro.

— Więc nie ma szczęścia w wyżyciu samego siebie, w żądzach, pragnieniach, zamiarach, czynach, lecz na drodze celowego oddalania się od wszelkich żądz, pragnień i chęci wszelkich.

— Jak?! — wyrwał mu niecierpliwie z ust.

— Wyjdź poza chęci, ponad wolę. Zerwij kajdany realności!

— Jak?!...

A Hertenstein, ściskając coraz mocniej jego dłoń:

309

— Unikaj zetknięcia zmysłów z rzeczą wszelką, a nie powstanie w tobie poczucie i miara rozkoszy; gdzie nie ma poczucia i miary rozkoszy, tam nie rodzi się chęć wraz z żądzą oraz to wszystko, co się pod nią kryje. Gdzie nie ma chęci, tam nie powstaje lgnienie do rzeczy zewnętrznych wraz z namiętnością, która się pod nim kryje; gdzie nie ma lgnienia do rzeczy zewnętrznych, tam nie rodzi się twych czynów, zabiegów, przypadków i losów treść, indywidualnego, na zewnątrz, życia twego mięsz. Wyjdź poza twych zabiegów i losów treść łańcuchem przyczyn, wstecz, aż poza zetknięcie się zmysłów z rzeczą wszelką, a rozwieje się wówczas i świadomość, a wraz z nią i ciała twego indywidualność. A co najbardziej sy7ci twych losów i zabiegów treść, indywidualnego na zewnątrz życia twego mięsz — to jądro i ognisko świadomości, w którym się skupia, streszcza, jednoczy i kształci ducha twego wewnętrzna indywidualność: B i j n a n a t w a. A ta się rozwiewa wraz ze świadomością. Gdy w duchu zbraknie B i j n a n y, nie zbudzą się w sercu tych wielkich tęsknot wzloty, co rwą się do słowa, do barwy, do kształtu, do dźwięku — co tworzyć chcą: w sercu takim nie zrodzi się S a m-s k a r a!

Patrz! — takim jest wszelkiego cierpienia łańcuch przyczyn dwunastu i osiem dróg wyzwolenia.

Muller wydawał się już doszczętnie odurzonym: oczy mrużył, palce wyciągał, aż w stawach trzeszczało, wreszcie splecione dłonie cisnął z całej siły sobie w czoło, jęknął niemal.

— Chociażby nawet... Gdyby nawet... Czy da się pomyśleć nawet taka wola ludzka?...

— Czemu człowiek nie podoła, dokonać muszą pokolenia. Takimi są koleje ducha, co się poty przekształcać, przetwarzać, poty przeradzać musi i nowych ciał poty szukać, póki w sobie się nie prześwietli i nie wzbije się

310

aż na te najbielsze szczyty, gdzie nic z ziemi osiągnąć go nie może.

— Zlituj się, Henryk, i tyś w to wszystko uwierzył?!

— Czy można nie uwierzyć? — uśmiechnął się łagodnie do swych myśli. A gdy w tejże chwili powstał, wydał się Mullerowi wyższym, potężnym niemal w swym olbrzymim spokoju. — Przypomnij sobie tylko nas wszystkich i rozrzuć nas myślą w przestrzeni i czasie: Kunicki, Borowski, ty, Jelsky, ojciec mój i ja. Pomyśl, czy ten szereg ludzi nie mógłby być łańcuchem jednego cierpienia, dla którego karzącą Karmą była S a m s k a r'a. Zdawałoby się: to najczystsze płomień życia. A ono zawlokło was wszystkich łańcuchem przyczyn wstecz, aż na dół chuci. W życiu, chciej je mieć jak najczystszym, klęski zła tylko zbierzesz.

— I ty wierzysz, że tak jest w rzeczywistości?! Te wędrówki dusz? — Muller prężył bezradnie ramiona i przecierał twarz dłońmi, jakby budząc się ze snu ciężkiego.

— „Tak jest” — „tak nie jest” — wybuchnął nagle Hertenstein z szerokim gestem zniecierpliwienia — to jest waszych słów mądrość cała! Wszystko to rodzi tylko gorycz, zło i ciemnotę w życiu ludzi. Wnikaj w myśl spokojem ducha, a rozwieją się wnet zarówno twe pewności jak i twe wątplenia.

Muller opędzał się już dłonią od tych mroków i tumanów mistycznych.

— Więc czymże jest prawda? — krzyknął i rzucił się jak w sieci.

— Ona nie zależy od waszego „tak jest” ani „tak nie jest”, ona nie jest pewnością ani wątpleniem — ona jest objawieniem! Prawdzie w oczy spoglądają prorocy.

Muller w ponurym niepokoju zapatrzył się w oczy Her-tensteina.

— I co... co osiąga twój stężały w beczuciu ideał?

311

— Koniec swój. Taki już się nie przeradza, bo zatrzymanym jest koło bytu, bo duch objął i ogarnął wszystko, stał się wszystkim; spłynął za życia z duchem wszechświata — ani żywy, ani zmarły, bo poza nim zarówno byt jak i niebyt pomyślanym być nie może... Posłuchaj! Gdy prorok łańcuch przyczyn dwunastu i osiem dróg wyzwolenia świata odnalazł, przekwitła jego ekstaza. Saki ja Muni powstał, uśmiechnął się do słońca i tak rzekł do wszechświata: „Oto wyrzekam się dalszych trwał żywota mego. Ległem jako połamany wóz. Stańło życie me, już wstecz nie nawróci, ani naprzód nie ruszy: śmierć mu nie grozi, w nowych narodzinach już się nie powtórzy. Nie potoczy się pęknięte koło żywota mego, bo w trzech światach nie masz jemu chęci i nie masz dlań okowy”...

— W trzech światach? — powtórzył Muller jak echo.

— I dla mnie w trzech światach. Z narożnicy kamiennej zamku ujrzałem je już dawniej: bezpłodny świat białych marzeń, przyziemny świat szarego życia i chmurny świat sztuki.

Muller w odurzeniu dłonie na czole splatał i przysłaniał oczy, jakby chcąc przywołać przed nie te białe, zatopione w błękit lodowcowe szczyty, które tylokrotnie obły mu się o uszy.

— I co się stało z twym prorokiem? Nie umarł?

— Doskonały duch jego wystąpił z powłoki ciała jako kurczę z jaja, wświetlił się w słońce, rozplynał się w niebiosach, wpłynął w światowe A g n i.

— Słuchaj, Henryk... — Muller czepiał się go oburącz. — Nie o proroka twego mi idzie. Powiedz, powiedz to tylko — bo ta myśl dziwnym szalem mnie upija! —

więc... więc nie ma śmierci?!

A Hertenstein, rozłożywszy ramiona:

— I cóż śmierć takiemu uczynić może, który sam w sobie pokonał to wszystko, co ona zniszczyć zdolna: Ignienie do świata zewnętrznego, chęci, indywidualnego życia

312

treść, w łańcuchu przyczyn aż po zgłuszenie świadomości?..-Ułamanym jest kolec śmierci.

_ Więc w co wierzyć?! Co nas czeka? Mów!

— Spokój, spokój wieczny i świadomy. Błogie zapatrzenie się ducha, który stał się już duchem wszechświata, w swą świadomą pełnię... I patrz! — skoro spokój w sobie czujesz, ty już tam jesteś. I nic już grozić ci nie może.

— Henryk!... — Muller wsparł głowę na jego piersiach i zamykał oczy. — Henryk, jeśliś ty szalony, zaszczep i mnie ten obłęd! Ułam kolec bliskiej śmierci mojej!

A Hertenstein, obejmując go troskliwie:

— Kochałeś? — szeptał — kochasz jeszcze? Uczyni z miłości tęsknotę ducha wielką. Spójrz na szczyty! Bo...

Jako garść ziarna w głąb ziemi zasiana

Da z czasem cienie, owoc i kwietne wonności,

Tak, gdy tęsknota w twym sercu zagości,

Da ci cień swój i owoc, i wonność Nirwana!...

Miiller wgarniał się, wtulał w jego ramiona.

T_J pułapu zawisły sine mgławice rozkołysanych dymów. Barwny klomb wokół dyszał wonią: kwiaty zamierając wyrzucały z siebie niby wonne kadzidła chwały.

Chart nie mógł uleżeć, coraz to niespokojniej biegał po kątach, wylatywał gdzieś w ciemne wnętrza dalszych pokojów, wślizgiwał się z powrotem niewidocznie i tajemniczo, kładł się na kwiatkach i przeżył chude ciało. To znów łeb czujnie podrzucał,

zasłuchany w nierówne i ogromnie przyśpieszone bicia dwóch serc.

Zaledwie Muller w zamiarze powstania z krzesła zdążył pierwszy ruch uczynić,

chart, jak sprężyną podrzucony, skoczył mu pod nogi, obwąchał, łeb ku niemu zadarł i zapatrzył się lękliwie. I tak patrzeli przez chwilę na siebie, zasłuchani w trwożne bicia trzech serc.

Zbliżył się do okna i roztworzył je na oścież. Zaszumiały senne po nocy liście, wionął chłód i potoczył się gwar głuchy, przytłumiony Tam na padole, w szerokiej kotlinie, pod zimną osłoną stalowych blasków, drzemał potworny, ciemny kadłub miasta. W tej czarnej masie, gdzieś na rozłogach, porozpraszały się smutnie blade, mgliste światła tych, co czuwają.

I zdawało mu się po nocy. że patrzy na wielkie roztopy czarnego trzęsawiska, nad którym żadna nie świeci gwiazda, a natomiast rozproszone po błotach gdzieś, po czarnych wądołach, wróżbnych kryjówek i na złych zakrętach, pozapalały się błędne ogniki: zaświeciło próchno...

Tu i ówdzie zadrgała świetlana zorza, przygasła i usuwała się niżej. Cisza wielka kładła się na miasto coraz to

gęstszym kirem. Po ciemku, omackiem szedł miejski świt pracy. I była to godzina smutku, co czuwających ogarnia bezmiernym dla ludzi współczuciem. Jeszcze,

jeszcze godzina wytchnienia, godzina snu, złudy i zapomnień! Tam oto w uścisku spłotła się młodość: śni, marzy. Niech jeszcze minutę pomarzy!...

Zawyły po przedmieściach zbudzone ze snu potwory: rykiem długim, przeciągłym, żalonym. Już białą pianą gorącego oddechu zioną w ciemne powietrze. Za żerem ludzkich dusz wyją, stalowe członki prężą i w ruch je miarowy puszczają. Już syczą, świszczą, kołaczą, gromem podziemnym się toczą i strzeliste smugi skłębionego dymu rzucają w rdzawe niebiosy. Ofiarnicy przy ołtarzu pracy już stoją; już ciągną szare, nieskończone szeregi tych, co giną.

W tej ciemni wyrastały w oczach powoli i zarysowały się ostro pojedyncze kontury najeżonych w kominy dachów. I wydało się Mullerowi po nocy, że z tego zwaliska tysiąca ciemnych plam o ostrym konturze wyciągają się cienie tysiąca rąk. I wnet po całym tym ciemnym mu-rowisku, gdzie oczy sięgnęły, widział tylko rozpacznie ku górze prężące się ramiona w zimną toń stalowego blasku.

I spojrzął ku górze. Ponad świetlaną luną miasta wisiała tylko rdzawa bezdeń; oczy daremnie szukały gwiazd. W tej otchłannej pustce zawisła tylko chmurna plama, nieco ciemniejsza i zwiewna: jakby przez to lustro miejskiej łuny rzucony gdzieś w przestrzeń złudny majak po nocy. Patrzył. A gdy oczy daremnie wyfnadlały gwiazd po niebie, ułożył się ten cień w kłęb potwornego kształtu: z podwiniętymi pod siebie nogami zasiadło tam spłaszczone, olbrzymie cielsko bałwana. Długie, cienkie dłonie tuż pod szyją na obojczykach płasko wtlacza; mrużą się małe jak u słonia i skośne oczy, a szerokie, aż po uszne konchy, ostre wargi skrzepły w dziwnym wyrazie błędnego uśmiechu.

To on! — wielki Risi, Sakija Muni, co pokonał na

314

315

zawsze klęski cierpienia, choroby wieku, śmierci i narodzin, co istotę bytu — ból poznał i jego przyczynę — ruch przezwyciężył. I oto, wświeciliwszy się w słońce, wtopiwszy w niebiososa, wchłonawszy w światowe A g n i, w niezmaconej ciszy i wiecznym spokoju Nirwany króluje uśmiechnięty nad wszelkiego cierpienia łańcuchem przyczyn dwunastu.

A tam na padole z głuchego zgiełku i nocnego mroku wyrastają bez końca i prężą się rozpacznie ku górze ramiona tych, co czują i myślą.

I zdawało się Mullerowi po nocy, że wszystkie te ręce wyciągają się w przestrzeń rdzawą i bezgwiezdną z modlitwą o jedną gwiazdę na niebie, o najdalszej gwiazdy najśłabszy bodaj promień... „Niech przyjdą klęski, cierpienia, choroby, wieku i śmierci, niech gromy namiętności życie nam burzą, niech pokuta daremnie wzywa niebiososa, ale w zamian jednej wiary, jednej nadziei cień! najdalszej gwiazdy promień najbledszy!"...

, Zawrócił w głąb pokoju. Drżąc od chłodu, otulił się w swą pelerynę i rzucił w swój kąk na kanapie. Spojrzął niedbale na Hertensteina. Twarz jego była prawie bez wyrazu, tylko jeszcze bledsza, zimna i jakby przezrocza.

— Henryk?... — szepnął. Hertenstein drgnął i podniósł oczy.

— Henryku, to jest straszna rzecz — bezwiednym ruchem wyciągał ramię górą w kierunku okna — ten bezduszny bałwan twego bożka!

Hertenstein ocknął się jakby nagle i ożywił. Twarz zwarła się w twardym, mocnym

wyrazie. Dłonią odruchowo swą księgę przycisnął i spod nachmurzonych brwi patrzył ze współczuciem na Mullera.

— Nie wierzysz?

— Nie mogę.

316

Po krótkim namyśle ujął wszakże Hertensteina za obie ręce.

— Ja cię tego pozbawiać nie chcę. I to jest wielkie, skoro głęboko w sercu tkwi... Widzisz, ja ci nawet dziękuję, dziękuję ci za tę chwilę szczytnego otumanienia. I że się to stało. Widzisz, ja już niczego nie żałuję, już spokój we mnie.

— Proroka nauka wsiąkła w twą duszę.

— Ah! daj pokój!... Nie mogę! — Muller wciąż się dłonią opędział. — Za to ci dziękuję, że byłem twym spokojem, twą wiarą pijany, kiedy się to stało... Widzisz, ja nie wiem nawet, kiedy i jak się stało. Mogłoby mi się wydawać, że ta trucizna wprost z twoich słów w duszę mi wsiąkła i zabije. I może ta woń kwiatów otumaniła mnie wprzód: cudzej sztuki tryumf... Słuchaj, Henryku — wszak i to twoje zwycięstwo nade mną, to także tylko tryumf wielkiej poezji w twojej wierze, w twoich szczytach podniebnych nad zamkiem i — w tak bezmiernie łagodnej śmierci. Przez wrota sztuki wprowadzasz mnie w grób. I za to ci dziękuję... Już jestem tylko bardzo zmęczony... I chciałbym, żeby to prędzej! prędzej! Dlaczegoś wybrał tak powolną... Długo jeszcze?

Hertenstein wyjął zegarek i położył go przed sobą na stole.

— Czujesz co?

— Nie... Tylko spokój bezwoli, jakby po długiej gorączce... O coś ważnego, o coś najważniejszego chciałem cię jeszcze pytać... Słuchaj, czemu... — mimowolnym ruchem wyciągnął ramię ku oknu, dołem, w kierunku miasta — czemu tam ze mnie, z ciebie nie zostanie nic, nic. Czemu z nas żaden?... Powiedz, kto i kiedy wypowie?...

— Co wypowie?

— Rozpacz tych, co dlatego tak strasznie grzeszą, że tak beznadziejnie szukają, co wpadli w „złe wiry” życia z tą jedną jedyną wiarą w piersiach...

317

— W „samych siebie” — dokończył Hertenstein.

— Kto i kiedy wypowie nas?... i tamtych? — Muller wyciągnął mimo woli dłoń w kierunku okna, jakby przywołując obrazy widziane przed chwilą — i wszystkich? Całą głąb ludzkiego cierpienia?

— Nikt.

— Jego obraz złudny? ułamkowy cień tego obrazu?!

— Kto granicę swego „ja” przekroczy, ten tylko zrozumieć jest zdolny cudze cierpienie. Kto swe „ja” zniszczy ten dopiero odczuć je potrafi.

Ruchem dłoni nakazał mu cierpliwość. Zwiesił głowę — milczał.

Po czym znów dłoń uniosł:

— Gdy się Samskara w Bijnanie zjednoczy i w szerokiej męskiej piersi o A g n i rozplómi, wówczas niema rozpacz swe rany serdeczne obnaża i groby mówić poczynają.

— Ah! — Muller zwiesił ciężko głowę i milczał. Wreszcie, nie poradziwszy widocznie ze sobą, zapytał głucho:

— Czym jest A g n i?

— To się wypowiedzieć nie da. To się pomyśleć nawet nie pozwala. Ból życia rodzi A g n i bez końca, a nieubła-galność nieba bez końca je chłonie...

Muller odpędzał się oburącz od tych sieci pajęczych. Nagle na umęczonej twarzy, w na pół przymkniętych oczach zaświecił lęk.

— I ty się nie boisz?

— Czego?

— Tego, co nas czeka — kary!?

— Nie masz nade mną sędziego, bo we mnie sędzia mój mieszkał i wraz z wolą moją — umarł.

Oglądał się coraz to niespokojniej po pokoju, wsłuchiwał, szmery łowił. Wreszcie, nie widząc jakby nigdzie

318

ucieczki, przykląkł przed Hertensteinem i całował tę spoczywającą na kolanie białą, p rzezi oczą dłoń.

Na bladej, jakby prześwietlonej twarzy Hertensteina powieka nawet nie drgnęła.

— Henryku, to ostatnie!... Na miłość tego, coś kochał

w życiu

— Nie znam żadnej...

— Powiedz, powiedz! — więc nie czeka nas kara za... za mord na duchu?!

— Życie samo jest karą w beznadziejnym poszukiwaniu, a wszystkie jego dary są nieczyste.

A gdy Muller zamachał rozpacznie rękoma:

— Przypomnij tylko... Przedwczoraj jeszcze. Przypomnij. Przedwczoraj jeszcze, gdy ona przyjechała — jeden jej uśmiech... Stamtąd, z wyżyn moich — w wasz głód życia! I w wirze wielkomijskim szukałem największego ruchu, bodaj szafu rozpusty, aby się zbudzić — aby tworzyć... I jeszcze raz zaimponował mi czyn. Jeden uśmiech kobiety! Nieczysta myśl kobiety słońce nawet przyćmić potrafi... A wiesz, czemu ze swoich wyżyn tak nisko spaść mogłem?

— Mów mi o tym, że kary nie ma!

— Wiesz, czemu spaść mogłem? Bom po ostatni korzeń zła nie sięgnął, siedem zaledwie dróg przebyłem. Pozostał jeszcze jeden stopień, z którego spaść już nie można. Pozostało to, co kształt i imię dla mnie tworzy: ciała mego indywidualność. Muller zerwał się z kolan i ścisnął rozpaczliwie czoło. Rozumiał, że ten człowiek sobą już być przestał, że myśl jego tego koła nie opuści, gotowa jakby wieczność w nim się obracać.

— I patrz, drogi — mówił Hertenstein łagodnie — oto usuwam lekko tę ostatnią zaporę: już nie będę igraszką przypadku. Nigdzie duch mój nie pójdzie i nigdzie się nie przeniesie. Pozostanie, gdzie był. zanim ona przyjechała — gdzie jest teraz, w tej chwili. Patrz, ja już tam

319

jestem, już skończyłem. I nic więcej spotkać mnie już nie może!...

Muller cofnął się w niszę okienną i stamtąd patrzył na niego czujnie.

Hertenstein siedział nieruchomy i coraz bielszy na twarzy. Otwarte oczy nie patrzyły nigdzie, a równy, spokojny uśmiech zwracał się jakby do tej ręki, spoczywającej na

kolanie.

— Henryk?! — krzyknął Muller bezwiednie i zrobił ruch, jakby mu do kolan chciał przypaść z powrotem. Lecz w tejże chwili odepchnęło go coś wewnętrzną odrazą. Stał przy oknie i patrzył, jak powoli rozplywa się mrok. Już się rozjaśniały dachy i kominy, już perłowy świt opływał wieże kościelne i dzwonił w ciche sygnaturki. Modlitewne szepty przebiegły po mieście. Tu i ówdzie wychylały się z domów otulone w chusty, przygarbione sylwetki kobiet: zbierały się i skupiały zewsząd ciche gromadki tych, co wierzą.

Mullerowi zdawało się, że tuż przed jego oczyma przebiegły w szalonym popłochu zmory nocne: łopot wielkich skrzydeł usłyszał i tchnienie pędu poczuł. Tuż za oknem zaszeleściły w tak nagłym pośpiechu zbudzone liście: poruszyło je pierwsze tchnienie rannego wiatru.

— Więc ta chwila, co się zbliża — myślał — najstraszniejsza ze wszystkiego, co stać się może — więc ona nie jest nawet końcem? Więc kiedyś jeszcze raz to samo?... Wpadł mu w ucho gwar przytłumiony, czujny, kłótlivy, po drzewach budziło się już ptactwo.

A ten świergot radosny, te ciche deszcze strząsanej przez ptactwo rosy, zapach ziemi świeży i kojący oraz te złote pochodnie, co pozapałały się na szczytach wież i kominów — przyniosły mu na rozpalone czoło miękkiej dłoni współczujące dotknięcie.

320

I łzy trysnęły mu do oczu.

Ciężką głowę przechylił w tył i wsparł ją o kobiecą pierś...

— Przyszłaś? — pytał sennie. — Powiedz ty! Więc to nie jest jeszcze końcem! Zimna marmurowa pierś... A jednak bije wszak pulsem życia? Puls ten jak młot wali mu w skroń. A te dłonie na skroniach chłodzą jak lód, ściskają mocno, mocno...

— Utęsknienie moje!... Życia mego jedyny jasny promieniu!... Powiedz — więc to jeszcze nie koniec?!

Głowę wciąż do tych piersi tulił i — rozchylił powieki. Groźny niemy krzyk przebiegł mu chłodem po krzyżach. „Ktoś ty?!“ — pytały oczy. Nad nim czaiła się, jak pantera, śniada, prawie brunatna twarz kobiety o nieludzkiej potędze zimnego wyrazu. Widzi na jej skroniach puszyste pęki przepaścistej czerni włosów; zielonawa głąb polipowych oczu wpija się w niego, wsysa mu się w krew. Chłodne lodowe dłonie oplotły mu czoło, skuły głowę w te kleszcze i cisną, wmiążdżają mu czaszkę w granitową pierś...

Ramiona przed się wyprężył, zachwiał się i zwiśł na framudze okna.

Przyskoczył doń chart, obwąchał i najeżył sierść. Prężąc łapy i cofając się zadem zbierał się w sobie, kurczył, wreszcie skoczył w okno i wypadł jak strzała do ogrodu. Hurmem załopotalo ptactwo, jakby wichur żagle targnął. Chmurą ciemną zerwały się roje z drzew i rzuciły się w dół, ku miastu; w nagłym zwrocie szarpnęły na lewo i uderzyły w górę, zakrzyżyły kołem, kołem i jeszcze raz kołem, kapać się i pławić w słonecznej roztoczy...

Jasny świt poranku rzucał rosę na więdnące kwiaty. W różowe i fioletowe plamy powoli je rozświetlał i roztapiał, zwiewnym całunem sieniej mgły nakrył i ten klomb

21 — Pnkb.ii»

barwny jednym akordem chłodnego tonu tłumiając, w iskrzeniu jakimś plamy rozkołysał, cały pokój osnuł, omotał, ukwiecił.

Koło laurowego wieńca, oparte o poręcz fotelu, ujmowało Hertensteina po pas w ciemną ramę; purpurowe szarfy zwisłe po bokach tuliły go jak w ramiona. W perłowym rozbrzasku dnia i w błyskaniu kwietnych barw twarz jego stawała się mleczną, przezrocza, tchnieniem błękitu jakby owianą i w półsennym zasłuchaniu w ranny świergot ptactwa po raz ostatni jakby uśmiechniętą. Nagle poruszyły się jego wargi i rozlały uśmiech na całą twarz.

— Chcesz wiedzieć?... — zaczął.

Zagłuszył go świergot na dworze. Promień słońca przedarł się przez liście i rojem złotych motyli rzucił się na kwiaty.

— Chcesz wiedzieć?

Jeden z tych słonecznych motyli przysiadł mu na wargach, jakby chcąc wypić z nich dziwną słodycz i woń tego uśmiechu.

— Chcesz wiedzieć, czym jest A g n i?...

Złote motyle obsiadały mu głowę, twarz i ręce. A on, zapatrzony tam, gdzie chmara ptactwa iskrzyła się w kręgach na niebie:

— Co w miłości się znajduje, od miłości odmienne, czego miłość nie zna, a co miłością kieruje, co miłością jest miłości — oto jest A g n i, kierownik życia wewnętrzny, oto wielkie, twórcze i zabójcze Om!...

OD REDAKCJI

Wydanie Próchna z r. 1933 — ostatnie przed obecnym — jest jednocześnie ostatnim wydaniem powieści za życia pisarza, na nim więc opiera się w zasadzie tekst niniejszy. Zawiera ono jednak szereg błędów drukarskich, dla których sprostowania musieliśmy sięgnąć do wydań wcześniejszych: pierwodruku w Chimerze (1901), pierwszego wydania książkowego (Warszawa 1903) oraz wydania „Biblioteki Polskiej” z r. 1920.

W wyniku kolacjonowania poprawiono około pięćdziesięciu wyraźnych błędów literowych i wstawiono parę opuszczonych wyrazów, nie naruszając zmian, które mogą być zmianami autorskimi. Najwięcej ich w stosunku do pierwodruku już w wydaniu z r. 1903 — tu poczynił Berent zasadnicze skróty (głównie w dzienniku Mullera, s. 178) oraz dopisał pewne partie tekstu. Wydania dalsze przynoszą jedynie drobne zmiany stylu, form językowych, zachowując często przeoczone omyłki.

Tak więc poprawiono błędy typu: „szargać” zamiast właściwego „szarpać” (s. 22), „biała” zam. „brała” (s. 28), „aktorami” zam. „aktorkami” (s. 36); błędne „na rogu” (s. 91) zastąpiono zgodnym z kontekstem „na progu”, „śpiew” poprawiono na „śmiech” (s. 128), „za-skrzepił” na „zaskrzepl” (s. 172), „gra” na „drga” (s. 180), „podwórz” na „podwórcu” (s. 258), „palce wyprężone ku górze rąk” na „palce wyprężonych...” (s. 259), „wsparł się” na „wsparł ją” (głowę) i „zawisł...” na „zwisł na framudze okna” (s. 321). W kilku wypadkach usunięto błędy w pisowni przytoczonych nazwisk: Guilbert na s. 94. Millóckera na s. 104, Ribery na s. 114 oraz Malthusa na s. 167.

Jest to oczywiście część zmian, podana dla przykładu. Wprowadzono także następujące wyrazy opuszczone: „nic” w zwrocie „za rok już nic w sobie nie znajdę”,

błąd powstały już w wydaniu 1903 (s. 18) „kielichy” w zwrocie: „liście palm i kielichy orchidei” (s. 123), „można” w zdaniu „Do każdego słowa można przyczepić słówko” (s. 176).

Ponadto na s. 303 — również cofając się aż do pierwodruku — wykreślono wyraz „nie” w zdaniu wypowiedzianym przez Hertensteina.

323

Zgodnie z sensem całej wypowiedzi brzmi ono: „... że mi ta książka nowym zwiastowaniem b y ł a”.

W wypadkach niejasnych pozostawione wersję z wydania ostatniego, a więc na s. 33 „gatunek w nas żyje”, mimo iż we wszystkich poprzednich wydaniach „wyje”, na s. 47 „zęby wytrzeszcza”, choć wszędzie poza tym „wyszczorza”, na s. 46 „rozeszła się na chmurach... łuna”, choć przedtem zawsze „rozeszła”, na s. 146 „padnie, zawali się”, mimo że o dwa wiersze dalej pozostało analogiczne „padnij!... zwał się...”, co autor mógł po prostu przeoczyć. Tego rodzaju niekonsekwencji pozostało w tekście więcej. Np. już w wydaniu 1903 zmieniono na s. 114 „Hertenstein...” na: „Jełsky wyprowadzał swą drużynę”, na s. 118 pozostała jednak „drużyna pana Hertensteina”. Tak samo zmieniono (s. 246) „trzy drogi ducha” na „trzy drogi życia”, pozostawiając „ducha” na s. 284.

Poczyniliśmy drobne zmiany interpunkcyjne, usuwając częściowo, tam gdzie nie spełniały one wyraźnej funkcji znaczeniowej, znaki podwójne oraz nadmiar myślników i wielokropków. W obecnej postaci powieść wydaje się bardziej czytelna. Ta krótka notatka nie wyczerpuje, rzecz jasna, zagadnienia tekstu Próchna, pragnęliśmy jednak w tym pierwszym wydaniu pośmiertnym dać tekst możliwie poprawny. Nie znamy rozmiarów ingerencji w tekst autora i poszczególnych edytorów. Zachowując konsekwencję, nie przywracamy np. utrzymującego się w trzech wydaniach, lecz zarzuconego w ostatnim, motto z dzieła „O naprawie Rzeczypospolitej” Frycza Modrzewskiego: „Niemoc serdeczna jest stokroć gorszą od niemocy fizycznej. Przeto zlecacie myśl waszą”.

Poniżej przytaczamy interesujący zarówno dla czytelnika jak komentatora „List autora Próchna” wydrukowany w Chimerze (tom IV, 1901) w zeszycie zawierającym zakończenie powieści. Fragment ten warto ocalić od zapomnienia jako pierwszy i wiarygodny komentarz utworu.

Szanowny Redaktorze! Upraszam o pomieszczenie tych kilku słów, nie w sensie dopełnienia lub posłowania do powieści, lecz jako konieczne zastrzeżenie się co do niektórych punktów ogólniejszej natury. Przede wszystkim, nie[^]mo-gąc robić odsyłaczy w samej powieści, pragnąłbym przypomnieć zawodnej pamięci czytelnika źródła tych fragmentów wierszowych, jakie w toku opowieści podwinęły mi się pod pióro. A więc:

324

w zeszycie 10—11—12, str. 331 trójwiersz Leopardiego, str. 219 dwuwiersz Goethego; w zeszycie 7—8, str. 178 i 213, trójwiersz Bau-delaira, str. 183 ustęp ze Słowackiego; zeszyt 6, str. 418, fragment sonetu Miriama; zesz. 4—5 str. 199 — Słowackiego (Lambro). — Inne fragmenty wierszowane są moimi próbami.

Co się tyczy dwóch ostatnich rozdziałów, to czerpiąc z prastarych, niełatwo może dostępnych, lecz dla każdego otwartych skarbów ducha i poezji Wschodu, nie sądzę

się być obowiązany do żadnych odsyłaczy i wyjaśnień.

Nie uprzedzony czytelnik — wszystko jedno, czy będzie znawcą rzeczy wschodnich, czy nie — zrozumie, że w wąskich ramach dwóch rozdziałów powieści nie sililem się bynajmniej na zobrazowanie or-todoksalnego buddyzmu lub współczesnych poglądów teozoficznych, lub w ogóle obowiązujących kanonów jakich bądź wierzeń; że jeśli tu o wierzeniach może być mowa, to wyłącznie tylko o osobistych, bynajmniej nie ścisłych w stosunku do przypuszczalnych źródeł; że najważniejszym z tych źródeł jest więc bądź co bądź treść osobistych uczuć i życia. (Dotyczy to oczywiście nie autora, lecz powieściowej postaci). Właściwie, zasadniczy jedynie ton w obu rozdziałach jest buddyjski, na tym ogólnym tle znajdują się między innymi i myśli o charakterze raczej bramińskim, które zawdzięczam reminiscencjom z dostępnych mi ułomków Rig-Uedy, Upaniszad, Bhagavad-Gity. D'a przykładu jedynie wspomnę, że prapierwiastek Agni, wraz z jego definicją, jest rzeczą na wskroś dowolną, nie mającą nic wspólnego z buddyjskim Akaza lub bramińskim Atman. — Dosyc tego! Odsyłacze, dopiski, nawet ścisłość naukowa nie jest moim obowiązkiem, poty przynajmniej, póki te rzeczy poruszam w powieści.

Obowiązującym dla tej ostatniej jest, wprost na odwrót, wyłącznie indywidualny, jedynie subiektywny kąt widzenia, w którym stapiać się i harmonizować mogą pierwiastki rozmaitych wierzeń. I nie mój to kąt widzenia, lecz tego typu, jaki naszkicowałem w tym przekonaniu, że dzisiejsi bankruci duchowi nie tylko na te rzeczy faktycznie już natrafiają, ale, zmęczeni „samymi sobą”, coraz częściej na nie natrafiać wprost muszą.

Wszelkie więc aluzje co do tego, że ktoś „propaguje” Nirwanę i widzi w niej rozcięcie jakichkolwiek duchowych czy życiowych węzłów, będą równie płytkie jak zwyczajowe. Podpisuję się pod rysunkiem postaci, nie zaś pod jej wierzeniami i sądami. Roli niewczesnego proroka czy sekciarza pośród swojskich snobów, ciekawych nowostek a gnuśnych myślą — powstydzilibym się równie szczerze jak zawodu niewolniczego kopisty jakich bądź katechizmów: prastarych buddyjskich czy też najnowszych, dzisiejszych katechizmów dziennikarsko-obywatelskiej moralności.

325

Wobec usunięcia właściwej akcji w między rozdziały, wyrzucenia jej poza nawias powieści, wobec pozostawienia jedynie koniecznego tła wrażeń, chłoniętych przez owo próchno, dla którego rozkładowym fermentem jest wyobraźnia i nielitościwie czujna myśl — nie o moralność tam chyba iść może, lecz o prawomyślność i prawowierność. W tym znaczeniu, moralniejszym jest oczywiście ten, którego duch nie błądzi, ponieważ śpi, jego „strawa” — „zdrową”, ponieważ w setkach ust już przeżutą i prześlinioną; taki na niczym nie bankrutuje, ponieważ niczego sam nie szuka, ponieważ rzetelnie, szczerze i wewnętrznie w nic już nawet wierzyć nie pragnie. Jemu wystarcza owa na użytek zewnętrzny służąca, lecz z własnym wnętrzem „twórcy” nic nie mająca wspólnego — „sztuka”.

Są wszakże i inni, dla których sztuka jest najostatniejszą potrzebą ducha; przyrodzonym piętnem umysłowości, „głodem i bólem ich wnętrzości”, klęskową rozterką z życiem, nieraz fatalistyczną wprost koniecznością wgłębiania się całą siłą myśli i uczucia we wszystkie wrażenia, objawy i w samych siebie, a więc we wszystkie przekazane wartości, normy, dogmaty i wierzenia. Wśród czujących, co

zarazem i myśleć potrafią, jest takich wielu, dziś więcej niż kiedykolwiek. I oni wszyscy, niezależnie od tego, czy władają artystycznym narzędziem, czy się udzielają lub nie, wszyscy oni są dziećmi sztuki, są prawymi artystami. Zaś wśród szukających jest wielu takich, których głód wrażeń rzuca w złe wiry wielkowiejskie, głód ducha wiedzie na beznadziejne błędne ścieżki; jedno i drugie szczepi im niemoc serdeczną, jad wyłącznych myśli o „sobie samym”, i kruszy im w dłoniach miary wszelkich wartości. Dziś więcej niż kiedykolwiek. I oto gdzie się zaczyna próchno.

Który z tych dwóch przedstawicieli arcyzmu i sztuki jest „moralniejszym”, nie może być wątpliwości, natomiast powstać może poważne pytanie, który z nich niesie ze sobą zarodki przyszłości? który na przyszłe ciemne drogi ducha ludzkiego wnosi choćby najdrobniejsze płomyki świadomości? Może niejednen pomyślał już nad tym, że błądzący duch jest bądź co bądź więcej wart od sennego i upartego, z których pierwszy rodzi wokół łatwe zadowolenia, drugi z brutalną zawziętością wyrywa wszystkie nowe kielki dlatego tylko, że swój wzrost nie tak rozpoczynają, jak to stare drzewa czyniły. Może niejednen zastanowił się już nad tym, że tam, gdzie drga i krwawi serce, gdzie myśl pracuje bezustannie i zrywa się do najwyższych wzlotów, że tam nie może chyba być mowy wyłącznie tylko o niemoralności? że niespokojna twórcza myśl szukająca nowych dróg najłatwiej na błędne ścieżki schodzi i że te jej błądzenia nie są zupełnie bezowocne? że próchno staje się wszak z czasem płodną mierzwą, na której kiedyś dziewicze nawet bory wyrosnąć mogą? że klęska nieodwołalna zaczyna

326

się tam dopiero, gdzie rodzajną bądź co bądź próchnicę przysypią piaski jałowe? „To całe współczesne jakoby próchno duchowe — to jest rzecz fikcyjna! Cela n'existe pas, ponieważ tego nie widać na moim podwórzu.” — Ta roztropna uwaga powinna uspokoić najbardziej. Jako środki ułatwiające wskazuję: czysto formalny, celowy zresztą względ, że rzecz dzieje się na wielkowiejskich brukach Europy (a więc: za-graniczność! nieswojskość! A beau mentir, qui vient de loin!); następnie, wspomniane powyżej dwa ostatnie rozdziały powieści (a więc: nauki tajemne! buddyzmy! A beau mentir itd.). Tego wszystkiego u nas nie ma!

A jeśli czasem z cudzego podwórza zaleci tchnienie rozkładu, śmierci, a nawet zbrodni, jeśli, u nas zwłaszcza (wobec braku wielorakich i głębszych zainteresowań tzw. inteligencji), tchnienia takie stać się mogą niebezpieczeństwem nie tylko dla starych panien i teatromanek — czyżby wtedy tłumaczyły rzecz w dostatecznej mierze plotka, oszczerstwo i koncept? Czyżby wszelka próba wyjścia poza etyczną metodę tłumaczenia zjawisk społecznych była zuchwałym zamachem na „społeczne zdrowie”?

Ale czynić z tego wszystkiego niebezpieczeństwo społeczne wolno pono wtedy tylko, gdy się w porozumieniu z gazetami wywiesi sztandar bojowy z napisem: przeciw „pozytywistom”, „liberałom”, „masonom”, „nadludziom” lub „dekadentom”.

A więc przypuśćmy na chwilę... dekadenci. „Jakże miło! Oto jak sami siebie... itd.” Jest kogoś czymś obryzgać. Dostyc wywiać pierwsze lepsze zdanie z całości bez właściwego oświetlenia, bez ducha, jakim całość przemawia. Tam, gdzie o duchowym rozkładzie mowa, znajdzie się dostyc błota dla obryzganania nim przede wszystkim tego, co na nie wskazywać się ośmiela. Winien jest ten, co widzi i czuje.

— Czyżby tylko ślepy lub obłudny był „zdrowym” czynnikiem społecznym? Wszystko to nie dotyczy jednak rzeczy najważniejszej i jedynie decydującej, która winna być nerwem utworu od pierwszego słowa, ciałem jego i krwią, słupem kręgowym i mleczem pacierzowym — nie dotyczy powieści ad meritum jako utworu sztuki. Ale o tym pod żadnym pozorem czy pretekstem nie zamierzałbym mówić, i z całym naciskiem zastrzegam się, że pisząc te kilka słów, w moim przekonaniu niezbędnych, miałem na uwadze jedynie obronę ducha całości, obronę myśli własnych! Koniecznymi wydają mi się te słowa również ze względu na stanowisko, zamierzenia i cele Chimery, która w pierwszym swym roczniku, mając przed sobą ludzi bądź co bądź nowych, a wokół siebie jawną i ukrytą złą wolę, musi niejedno akcentować dobitniej, domawiać wyraźniej, niżli to było zamiarem redakcji i piszących.

327

Być może, iż ten list zawiedzie mą powieść do czyjejś szufladki z napisem: „nie sztuka, lecz publicystyka”. Rzecz znana! Są „estetycy” społeczni, dla których „sztuka czysta” jest sztuką bezmyślną i na odwrót: myśl w dziele sztuki — jego tendencją. Racz przyjąć, Szanowny Redaktorze, zapewnienie — głęboko odczutej wdzięczności za udzieloną mi swobodę myśli i wolność słowa: za tę dziwnie rzadką u nas możliwość szczerego wypowiedzenia się w powieści bez lawirowania pośród rozmaitych „względów”, które prowadzą koniec końców najbardziej nawet opornych do wąskiego korytarza „miejscowych wymagań” obywatelskiej poczytności pisma. — Jeśli ma próba oświecenia „próchna” jego własnym światłem chybiła, mam to zadośćuczynienie, zem ją podjął i że znajdzie się może ktoś inny, co ją w twoim piśmie szczęśliwiej ode mnie rozwiąże.

Wacław Berent

Warszawa, d. 30. III. 1902

PRZYPISY

i. 19

». 20

19

Alles ist weg - wszystko skończone.

20

Je m'en fi c h e - O 1E« ! - ot &wizdz<: na to! ""Figaro - francuski dziennik społeczno-literacki o zabarwieniu konserwatywnym, wychodzący °& r' 1854. ...

Frankfurter Zeitung - P5™10 demokracji połudmowo-za-chodnich Niemiec, wychodzące od i. 1856. ». 24

All r i g h t — w porządku.

"Sto mój żywioł... - urVwek z PieŚni 11 Lambra JuliUSZa

Słowackiego.

Dzisiaj ja nie c h c ę !•- uO™ek z Pieśni I Lambra.

t. 27

zawierają am

. . . „„, c och on - spoufalają się. 111 e a "

t. a»

duch Banka — postać z

Makbeta Szekspira.

«. 47

stupor — odrętwienie.

gazeta mająca okrzyk „Naprzód” w nagłówku -dziennik berliński Vorwärts, naczelnny organ niemieckiej Socjaldemokracji. Tytuł pisma podany w brzmieniu polskim, przywodzi na myśl krakowski Naprzód, wówczas dziennik Polskiej Partii Socjalno-demokratycznej. JO

Cest le peuple! — oto lud!

atter of lact _ tu: uosobienie rzeczowości.

polaska bajka o stratowanym przez świnię kwietniku — mowa o wierszowanej bajce politycznej Henryka Sienkiewicza pt. Kwiaty i korzenie.

Daudeta... Z mojego młyna — mowa o „Legendzie o człowieku, który miał złoty mózg” w Listach z mojego młyna Alfonsa Daudeta.

i. 58

Carmagnola — Karmaniola, francuska pieśń rewolucyjna, skomponowana z okazji zdobycia miasta Carmagnola we Włoszech w 1792 roku.

C'est la vie! — oto życie!

i. 80

Samotnyś. Błędzisz... — fragment sonetu Miriama pt. Stimmung (Nastrój) znajdującego się w zbiorze Z czary młodości. Liryczny pamiętnik duszy, Kraków 1893.

». 62

Allons, petit bourgeois — dalej, mały mieszczaninie, a. 63

métier — zawód, zajęcie.

kastalskie źródło — według mitologii greckiej bijące u podnóża Parnasu cudowne źródło, którego woda dawała natchnienie poetom.

I. 64

Graphic — angielskie pismo ilustrowane. • 66

va banque — na całego (w grze hazardowej stawka o całą sumę). .

Speisekarte — jadłospis, i. 77

Vous tombez dans la risée du monde — pani się ośmiesza.

Volksstuck — scenka ludowa.

i. 80

Zbankrutował... — mowa tu o dramacie Ibsena pt. John Gabriel Borkman (przekład wyd. w r. 1897), a następnie (na s. 82)

330

o jednym z najpopularniejszych utworów wybitnego dramaturga — o Wrogu ludu.

s. 84

Spiritus fiat ubi reporter vult — duch objawia się tam, gdzie życzy sobie reporter.

». 91

Non capisco — nie rozumiem. Da ist er ja — otóż i on.

I. 93

Davos — uzdrowisko szwajcarskie, gdzie znajduje się słynne od wielu lat sanatorium dla chorych na gruźlicę.

i. 94

Ivetta Guilbert — słynna francuska pieśniarka kabaretowa (ur. 1869), występowała także w Niemczech, Anglii oraz Ameryce. Cela veut «dire quelque chose — to coś znaczy. Le génie du sexe — geniusz płci.

Der kategorische Imperativ — nakaz bezwarunkowy, w systemie etycznym Kanta naczelnym postulat, z którego wypływają wszystkie prawa moralne: „Postępuj wedle takiej zasady, co do której mógłbyś jednocześnie chcieć, aby stała się prawem powszechnym”.

i. 95

Horror vacui — obawa próżni. W fizyce Arystotelesa zasada, że natura lęka się próżni, czyli że próżnia nie może istnieć.

s. w

Novissimae gloriae cupido — żądza światowej sławy.

Katastrofa w Nowym Jorku!... Zamach anarchistów! — prawdopodobnie mowa o zabójstwie prezydenta Stanów Zjednoczonych McKinleya przez anarchistę Leona Czolgosza. Zamach ten miał miejsce 6 września 1901 roku.

». 97

Kupiec wenecki, Ryszard III — dramaty Szekspira.

Pietro Caruso — Don Pietro Caruso, dramat Roberta Bracco, napisany w r. 1895 a wystawiony na scenie teatru Rozmaitości w r. 1900, m. in. w ramach „wieczoru Roberta Bracco" urządzonego z okazji przyjazdu włoskiego pisarza do Warszawy.

i. 98

Extrablatt — dodatek nadzwyczajny.

331

s. 100

Coquelin młodszy — Alexandre Coquelin (1848—1901), znakomity aktor francuski. W historii teatru trwalej zapisał się jego starszy brat, Benoit Constant Coquelin. .

w i l a j u t — kręca.

s. 101

izwoszczyki — dorożkarze, furmani.

s. 102

coups de grace — tu: pod względem finezji, coups de force — tu: pod względem siły.

-8. 104

Bettel-student — Student - żebrak, operetka Karla Mil-löckera (1842—1899).

*. 105

Very well — znakomicie.

hakatysta — Hakatą nazywano (od nazwisk, założycieli: Han--semanna, Kennemanna i Tiedemanna) niemiecką organizację polityczną, stworzoną w r. 1894 w celu walki z polskością w zaborze pruskim.

s. 106

interview — wywiad.

s. 107

Tak dowodzi estetyk — aluzja do opinii Stanisława Witkiewicza o twórczości Kossaka, zawartej w jego książce, Juliusz Kossak, Warszawa 1900.

s. 108

Silentium — milczenie, cisza, speech — mowa, przemówienie.

„G dym szatana mego ujrzał...” — zdania z rozdziału „O czytaniu i pisaniu” w dziele Fryderyka Nietzschego Tako rzecze Zaratustra. Przekład Wacława Berenta.

s. 109

Zahlkellner — kelner inkasujący należność za konsumpcję. » .110

Siehst du... — widzisz, to jest interes, z którego coś można mieć, trzeba się tylko w nim połapać.

!s. 111

vanity fair — targowisko próżności; termin pochodzący od tytułu powieści Williama Thackeraya.

332

amitié de bohème — przyjaźń artystów.

S. 113

Nicht wöhnen, Halunken... — Nie płaczcie, łajdaki! Ja jestem jednym z was.

Pereat mundus, fiat ars — niech zginie świat, byle istniała sztuka. '

*• 114 i

Magdalena Ribery — mowa o dziele hiszpańskiego malarza, Giuseppe Ribera (1588—1652); obraz ten znajduje się w galerii Prado w Madrycie.

8. 115

na razpaszku, — otwarta.

da hört die Gemütlichkeit auf — tu: koniec z przyzwoitością.

•- 116 ,

aus Oberschlesien nähmlich — mianowicie z Górnego Śląska.

Wasserpolacke — was? — zniemczony Polak? hochpolnisch — polski język literacki, analogicznie do: hochdeutsch.

•oder wie sagt man denn — czy jak to się mówi?

M o j e n — Guten Morgen, dzień dobry.

Das Patschhändchen her! — podać łapkę.

Gott, dies Kind — Boże, cóż za dziecko.

Sachsengänger — obieżysasy, polscy chłopci udający się na sezonowe roboty rolne do Niemiec (głównie do Saksonii).

germanisierte Wasserintellekte — zgermanizowane pseudointelekt.

s. 117

Das überschäumend Temperament — żywiołowy temperament.

Das verflucht Sentimentale — przeklęta sentymen-talność.

s. 123

Café chantant — kabaret.

Memento moralitem — pamiętaj o moralności. — memento mori — pamiętaj o śmierci. S t i m m u n g — nastrój.

333

Czyniąc sobie tron i łożę... — fragment wiersza Upiór Charlesa Baudelaire'a. Kwiaty grzechu, Warszawa 1894, przekład Adama M-skiego (pseudonim Zofii Treszczkowskiej).

s. 127

Ich bin nicht von Prag... — Nie jestem z Pragi ani z Wiednia, ale jestem morową

Węgierką.

s. 128

The fashionables — szykowni chłopcy.

Jeżeli masz zostać młodą... — ustęp z Pieśni I poematu Juliusza Słowackiego: Beniowski.

». 130

au fond — rzeczywiście.

c'est le public — oto publiczność.

s. 133

sub specie aeternitatis

• 135

Spiegel zerschlagen

z uwzględnieniem wieczności, zbić lustro.

gadzina.

i. 137

h a d i u k a

f. 147

„Leci z szablą pan mój stary...” — słowa Semenki z IV aktu Snu srebrnego Salomei Juliusza Słowackiego. Wizja starca z lirą prawdopodobnie z tego samego dramatu, jakkolwiek nie ma tam sytuacji, w której Wernyhora dźwigałby krwawego trupa.

». 148

bo w sercu mym ... — fragment wiersza Baudelaire'a pt. Heautontimoroumenos. Kwiaty grzechu 1894, przekład Adama M-skiego.

g r o o m — chłopiec usługujący, lokajczyk. Bon! — dobrze. Voyons! — oto!

i. 149

cela veut dire — to znaczy, genre'ek — rodzaik, stylak.

334

Ars triumphans — sztuka triumfująca.

s. 151

„nazwałem ci trzy przemiany ducha.»." oraz dalej: „Bo niewinnością jest dziecię...” aż do

„...kto świat swój utracił” — to fragmenty rozdziału „Trzy przemiany” z dzieła Fryderyka Nietzschego „Taką rzecz Zaratustra. Berent cytuje z własnego przekładu.

s. 153

„Kocham tych...” — Fr. Nietzsche, Taką rzecz Zaratustra. Zdanie zacytowane (nieodkładnie) z „Przedmowy Zaratustry”.

! 158

Mors syphilitica — mowa o jednej z grafik Félicien Ropsa (1833—1898).

Et du fer pour travailler — słowa z Karmanioli, wiersz ten w polskim przekładzie brzmi: żelaza w pracy trza.

C a ira... — początek francuskiej pieśni rewolucyjnej powstałej w r. 1789: „Poruszy się wszystko, co żyje”.

Lilas de perse fleuri — kwiat perskiego bzu.

s. 159

Signo r! signo r! — c'é! ... — Panie! — panie! — to... Va via! — odejdz!

Ars long a, vita brevis — przysłowie łacińskie: życie trwa krótko, sztuka — długo.
Ave Maria, gratia plena — Zdrowaś Mario, łaskiś pełna.

s. 161

przemawiał jak Oktawiusz: „Jednakże Brutus był to dzielny mąż” — jest to powtarzający się zwrot w mowie pogrzebowej Antoniusza (nie Oktawiusza) nad zwłokami Cezara, w dramacie Szekspira Juliusz Cezar.

». 164

une scene áfaire — temat do sztuki.

Der Fall Angelica's... — Upadek Angeliki, tragedia rodzinna pióra Karola Jelsky'ego. Wienerluft — atmosfera wiedeńska, powiew Wiednia.

s. 166

le moment approche — nadchodzi chwila. Ca ne mamuse plus — to mnie już nie bawi.

335

i. 1G7

Tete A t e t e — sam na sam.

t. 169

Galatea pozwala ci być P i g m a l i o „ e m _ aluzja do greckiego nutu o królu-rzeźbiarzu Pigmalionie, który zakochał s* w stworzonym przez siebie posagu pięknej kobiety, z łaski bogów ozyw.onej i noszącej potem imię Galatei. g

i. 170

styl *décadence* - termin popularyzowany przez rrunne poetów francuskich (Verlaine, du Plessyslorrain i in^..współpracu-
ITmeTZrm U *Décadmt* (Schyłkowiec) la-

!. 177

Nonumque prematur in annum (Horacy) — nie ogłaszać dzieła przed dziewiątym rokiem od napisania.

i. 178

Allons enfants... — dwa pierwsze wiersze Marsylianki, które w polskim przekładzie Edwarda Porębowicza brzmią: Dcl broni, hej, ojczyzny dzieci! Czas wieńcem chwały ubrać skroń! *signum manu propria* — podpis własnoręczny. t. 187

Da capo — od początku.

a. 189

Habe die Sonne nicht zu lieb... — według autora, dwuwiersz Goethego.

i. 190

steeplechase — wyścigi z przeszkodami.

h. 196

Ora et labora — módl się i pracuj.

». 197

Furor a P h r o d i s i a c a - szał miłosny, erotomania.

». 201

E c c e vir — oto mąż. 336

208

Wein, Weib und Gesang — wino, kobieta i śpiew, i. 210

La tua reclama... — błagam o twą reklamę, potężny Jelsky!

». 212

fi ve o'c l o c k'i — podwieczorki.

noli me tangere — nie waż się mnie dotknąć.

probatum est — tu: wypróbowany.

Ecrasez l'infâme! — zgniećcie niegodziwość, ulubione powiedzenie Woltera; przez niegodziwość rozumiał on fanatyzm religijny i nietolerancję.

Conspuez Zola! — plujmy na Zolę!

Strike England, strike mercilles! — bić Anglię, bić bez litości!

A Berlin! Vive Boulanger! — na Berlin! Niech żyje Boulanger! Generał francuski, George Boulanger (1837 —1891), w okresie prowokacji niemieckich po wojnie 1871 roku cieszył się dużą popularnością; w razie nowej wojny z Niemcami nacjonałiści francuscy widzieli w nim zwycięskiego przywódcę.

Nieder mit den Slaven! — zniszczyć Słowian!

Preussen, Preussen uber allés... — Prusy, Prusy ponad wszystko, ponad wszystko na świecie; parafraza pieśni Deutschland, Deutschland uber allés.

t. 214

L'amour sacré de la patrie — święta miłość ojczyzny, słowa z Marsylianki, w polskim przekładzie: ojczyzny miłość niech nas wiedzie.

«. 217

evviva l'art e! — niech żyje sztuka! i. 224

Astarte — u starożytnych Fenicjan, Asyryjczyków i Babiloń-czyków bogini wojny i miłości, towarzysza Baala.

». 225

Maitrei — postać z religijnych legend hinduskich. O źródłach światopoglądu Hertensteina, wyrażanego przezeń w końcowej części

22 — Próchno

337

powieści — patrz s. 325, „List autora Próchna". Część użytych tu terminów znaleźć można m. in. w tłumaczonych przez Berenta fragmentach Upaniszad, ksiąg zawierających „wiedzę tajemną" brarai-nizmu [Chimera, 1907 t. X].

Anioł Ślązak — właściwe nazwisko: Jan Scheffler (1624— 1677), niemiecki mistyk protestancki.

s. 228

marzeń błędny ptak — według wyjaśnień autora („Upani-szady Kena, Isa oraz fragment z Wielkiej Aranyaki", Chimera, 1907 t. X) łabędź indyjski był symbolem „duszy indywidualnej w jej podgwiezdnych wędrówkach ku nieznanym przeznaczeniom".

s. 229

strugglelifer — od: struggle for life, walka o byt. «. 232

Upas Antiar — upas: malajska trucizna do zatruwania strzał. «. 243

Ave vita! morituri te salutant — bądź pochwalone, życie, mający umrzeć cię pozdrawiają.

t. 261

Urbi et orbi! — miastu i światu! «. 266

Salve Regina! — witaj, Królowo.

s. 275

ad u s u m — zgodnie ze zwyczajem.

• 286

voilà celui, qui va venir — oto ten, który ma nadejść

s. 290

I być tylko cieniem... — według autora cytaty z wiersza Giacomo Leopardiego.

«. 295

inattainable — nieprześcigniona.

s. 315

Saki ja Muni — rodowe nazwisko twórcy buddyzmu, żyjącego prawdopodobnie w latach 563-483 p. n. e., znanego raczej z przyjętego później przydomka i tytułu Buddy, czyli „oświeconego”.

WYKAZ RECENZJI O „PRÓCHNIE”

1. Brzozowski St. — Współczesna powieść polska, 1907.

2. Chmielowski P. — Howa Reforma 1903, nr 126—127.

3. Gałęcki T. — Ogniwo 1903, nr 31—33.

4. Gomulicki W. — Kraj 1903, nr 31.

5. Grzymała-Siedlecki A. — Rzeczpospolita, listopad 1920.

6. Kisielewski J. A. — Panmusaion 1906, s. 131 —148.

7. Kridl M. — Wiadomości literackie 1933, nr 26.

8. Kudliński T. — Gazeta Literacka 1933, nr 5 i 8.

9. Lack St. — Nowe Słowo 1903, s. 476.

10. Maciszewski St. — Próchno Wacława Berenta, 1907.

11. Matuszewski I. — Twórczość i twórcy, 1904.

12. Nowaczyński A. — Wczasy literackie 1906, s. 202—223.

13. Skiński J. E. — Tygodnik Ilustrowany 1933, nr 7.

14. Spasowicz WŁ — Kraj 1904, Pisma 1908, t. IX.

15. Troczyński K. — Artysta i dzieło. Studium o Próchnie Wacława Berenta, Poznań 1938.

16. Trzpi, s H. — Próchno Berenta, 1907.

17. Wlast. (M. Komornicka) — Chimera 1902, t. VI, s. 455—459.

18. Wyka K. — Marchoń 1937.

SPIS TREŚCI

PRÓCHNO

Część pierwsza.....• 5

Część druga 155

Część trzecia 219

Część czwarta..... 239

Od redakcji..... 323

Przypisy..... 329

Wykaz recenzji o „Próchnie”..... 339